

VIRGINIA C. ANDREWS

willow

Prószyński i S-ka

VIRGINIA C. ANDREWS

Willow

Przełożyła
Małgorzata Fabianowska

Prószyński i S-ka

PROLOG

Z ociąganiem szłam korytarzem na zajęcia z literatury angielskiej na Uniwersytecie Karoliny Północnej, gdzie studiowałam na drugim roku. Wlokłam się, jakbym już wiedziała, co mnie czeka. Drżałam coraz gwałtowniej; rytm mojego serca przyspieszał i miałam wrażenie, jakby kostka lodu spływała mi wzdłuż kręgosłupa. Obudziłam się dzisiaj rano z przeczuciem, że coś bardzo złego wydarzyło się w domu. Tak jakby czarna burzowa chmura napłynęła nad moją głowę i wisiała tam długo, zanim lodowatym deszczem zmroziła mi serce. Zaledwie otworzyłam oczy, już chciałam dzwonić do taty – a jednak nie zrobiłam tego. Mój chłopak Allan Simpson, przygotowujący się do studiów prawniczych, uwielbiał żartować sobie za każdym razem, kiedy dopadało mnie to, co moja portugalska niania Isabella Martino nazywała „demonami” – mroczne, złowrogie lęki i przeczucia, które pełzły wzdłuż kręgosłupa do głowy niczym rtęć w termometrze.

– Nie do wiary, że stara, przesądna kobieta mogła cię tak skołować – utyskiwał. – Demony? Przeczucie nieszczęścia? Słowo daję, Willow, masz już prawie dziewiętnaście lat i nie jesteś dzieckiem!

Oczywiście, że nie byłam dzieckiem, ale pozostawałam pod jej wpływem nawet teraz. Miałam prawie siedemnaście lat, kiedy rozstała się z nami i wróciła do rodzinnej Brazylii. Prawdę mówiąc, Isabella – pieszczotliwie nazywałam ją Amou – praktycznie mnie wychowywała i była mi bliższa niż matka, od której się dowiedziałam, że jestem adoptowana, gdy dorosłam na tyle, by rozumieć, co to znaczy. Nie wahała się używać tego słowa, kiedy w rozmowach odnosiła się do mnie. Inne dzieci miały matki, a ja miałam matkę adopcyjną.

Ojciec nigdy tak nie mówił i zawsze myślałam o nim jako o swoim tacie, tatusiu.

Zaczęłam nazywać Isabellę Amou, gdy tylko nauczyłam się wypowiadać pierwsze słowa. A może nawet było to jedno z pierwszych moich słów. Zawsze wywoływało uśmiech na twarzy Amou, w jej oczach migotały isierki.

„Amou, amou” – powtarzała i z czasem sama tak o sobie mówiła. „Zrób to dla Amou, Willow – zachęcała. – Zjedz jeszcze jedną łyżkę”. I jadłam posłusznie.

Odkąd pamiętam, mówiła *amou um*, kiedy mnie niańczyła albo układała do łóżka i na dobranoc śpiewała mi ulubione portugalskie kołysanki. *Amou um* znaczyło po portugalsku „kochanie”, a ja po prostu odpowiadałam jej tym samym – tyle że skracałam całe wyrażenie do jednego słowa, bo tak łatwiej było wypowiedzieć dwulatce. Upierałam się, powtarzając „Isabella jest Amou”, choć moja matka adopcyjna ciągle mnie poprawiała i pouczała, abym nazywała nianię Isabellą, zwłaszcza w obecności mamy przyjaciółek, kiedy przychodziły do naszego domu. Usłyszawszy, jak zwracam się do niani, pytały z kwaśnymi minami: „Co ona mówi?”. Nie rozumiały, o co chodzi, i matka adopcyjna była coraz bardziej na mnie zła.

Pamiętam, że któregoś razu – miałam wtedy trzy, może trzy i pół roku – chwyciła mnie za ramiona, potrząsnęła mną jak workiem i wrzasnęła wściekle:

– Czyś ty zgłupiała, Willow De Beers?

Kiedy się na mnie gniewała, zawsze używała mojego imienia i nazwiska. Jak gdyby chciała mi uświadomić, że honor całej rodziny może ucierpieć na skutek mojego głupiego uporu. I przypomnieć, że

skoro otrzymałam ich nazwisko, powinnam je traktować jak cudowny dar – ja, która urodziłam się bez nazwiska, bez tożsamości, bez rodowej krwi w żyłach.

– Nie rozumiesz, co do ciebie mówię?! – wydzierała się. – Ona ma na imię Isabella. Isabella. Powtórz! No powtórz! – A ja płakałam i zaciskałam usta, bo z przerażeniem wyobrażałam sobie, że słowo *Isabella* wyleci z moich ust i zrani Amou, która stała obok, nerwowo wstrzymując oddech, przekonana, że cierpię przez nią, a jednocześnie zbyt przerażona, żeby stanąć w mojej obronie.

– Willow De Beers, powiedz do niej Isabella. No już! Chcę usłyszeć, jak to mówisz – nalegała matka. Pochyliła się nade mną, zbliżając swoją twarz do mojej, aż widziałam wyraźnie, jak cienkie żyłki pulsują jej w skroniach. Myślałam, że ma niebieską krew. Ja mam czerwoną, ale ona błękitną. Dlaczego jesteśmy inne? Czy rzeczywiście matka ma rację i coś jest ze mną nie tak?

Znów mną potrzęsnęła. Przerażonym wzrokiem patrzyłam na kobietę, w której coraz mniej widziałam matkę, nawet adopcyjną. Drżałam, nie mogąc uwierzyć, że może wpaść w taką furję i stracić nad sobą kontrolę. Co miałam zrobić? Tylko kulić się i zaciskać zęby, żeby nie powiedzieć słowa – zwłaszcza tego, którego żądała.

– Powiedz to, bo jeśli nie, zapakuję cię do kufra i wyślę do takiego kraju, gdzie adoptowane dziewczynki chodzą głodne i śpią na barłogu ze słomy. Isabella może ci o tym więcej opowiedzieć. Chcesz, żebym ciebie wysłała? Naprawdę?

Cicho płakałam. Moim ciałem wstrząsały dreszcze i miały mną tak, jakby mama znów mnie szarpała. Na szczęście pojawił się tata. Zawsze mogłam liczyć, że jeśli jest w domu, stanie w mojej obronie. Odezwał się tym swoim spokojnym, dobitnym głosem lekarza:

– Nie sądzę, abyś w taki sposób do niej trafiła, Alberto. Straszysz ją tylko, a dziecko przerażone nie jest w stanie zaakceptować twoich poleceń, a tym bardziej wdrukować ich sobie.

– Claude, zlituj się i oszczędź mi tego psychiatrycznego żargonu. Nie musisz się nami zajmować jak swoimi pacjentkami w klinice – odparowała matka, jakby odrzuciła mu w twarz prezent.

Do dziś mam w pamięci minę, jaką wtedy zrobił. Ten wyraz twarzy taty był zarezerwowany na specjalny użytek dla mojej mamy adopcyjnej. Teraz, kiedy jestem starsza i więcej już wiem o ludziach i świecie, rozumiem, że patrzył na nią wtedy – i przy wielu innych okazjach – jak na jedną ze swoich pacjentek z kliniki psychiatrycznej. Ona albo to ignorowała, albo nie zdawała sobie z tego sprawy.

Odwróciła się od ojca i spiorunowała mnie wzrokiem. Bałam się, że mnie uderzy, ale zawróciła do wyjścia i tylko gniewnie trzepnęła ręką swoją długą do kostek, powiewną spódnicę. Szybkim krokiem wypadła z salonu, zostawiając smugę intensywnej woni perfum, która długą chwilę wisiała w powietrzu, nie chcąc się rozwiać, tak jak jej gniew.

Często wspominałam swoje wczesne dzieciństwo, myśląc, że z kimś takim jak moja matka adopcyjna tata nie mógł być szczęśliwy w małżeństwie. I nieważne, że była piękną kobietą, a on zrobił karierę zawodową. Jego klinika słynęła w całych Stanach. Nazwał ją Willows i takie imię nadał też mnie. Matka adopcyjna twierdziła, że nie miała z tym nic wspólnego, co podkreślała, jeśli tylko ktoś wspomniał o moim imieniu. Bardzo się martwiłam, że z nim jest coś nie w porządku. Może dlatego nie potrafiłam wykrzusić słowa, kiedy ktoś zapytał, jak się nazywam. To oczywiście irytowało matkę adopcyjną, choć ona była przyczyną moich zahamowań. Bynajmniej nie miała z tego powodu wyrzutów sumienia.

– Kto normalny nazywa dziecko tak jak wariatkowo? – pomstowała pewnego poranka. – Nawet jeśli zostało tam poczęte i urodzone?

Gdzie zostałam poczęta i urodzona?

Musiałam czekać do ósmego roku życia, żeby poznać tę tajemnicę. Tata nalegał, żeby mama nigdy mi o tym nie mówiła, ale nieoceniona M.A. (skrót od Matka Adopcyjna, jak później nazywałam ją na użytek swój i Amou) przez lata podrzucała mi różne sugestie i aluzje. Aż pewnego popołudnia usiadła ze mną

w salonie i opowiedziała mi wszystko.

– Słuchaj uważnie! – poleciła. Zawsze tak rozpoczynała swoje przemowy, jakby się bała, że skupię na czymś wzrok i przestanę jej słuchać – tak właśnie, słuchając jej, często czynił mój tata. Nie zaczęła mówić, dopóki nie upewniła się, że patrzę na nią.

– Powinnaś się dowiedzieć, w jaki sposób trafiłaś do nas. Dlatego masz być grzeczna i słuchać, co mówię, bo chcę ci pomóc. Wierz mi – dodała już łagodniej, niemal czule. Od razu się spięłam, bo była podejrzenie miła i czułam, że za chwilę powie coś okropnego.

Matka nabrała powietrza i popatrzyła na mnie przeciągle. Na jej twarzy objawiło się napięcie i niezadowolenie, widoczne także w zimnym błysku pięknych niebieskich oczu. Szykowała mi jakąś straszną rzecz, choć tak bardzo chciałam wierzyć, że na swój sposób mnie kocha. Ona jedna w naszym domu mogła sobie marzyć i wierzyć w różne rzeczy. Moim lalkom nie wolno było mówić do mnie; moje filiżanki z lalkowego serwisu były zawsze puste.

Po krótkim wahaniu i wyraźnej walce ze sobą matka wreszcie utwierdziła się w decyzji o wyjawieniu tajemnicy, której własny ojciec nie chciał mi zdradzić. Pochyliła się nade mną i zapytała mrocznym, głębokim głosem:

– Wiesz, jak zostałaś zrobiona? Masz na ten temat jakieś pojęcie?

Pokręciłam głową. Skąd miałam wiedzieć takie rzeczy? Moje drobne ciało zeszywniało w oczekiwaniu. Czułam, jakbym miała błyskawicę w żołądku i grzmoty w kościach.

– Pewnego razu wyszło na jaw, że jeden z asystentów w klinice twojego ojca zgwałcił pacjentkę. Taką to ma profesjonalną ekipę! – powiedziała, krzywiąc się z niesmakiem. – Czy rozumiesz, o czym mówię, Willow De Beers? Jesteś dzieckiem z gwałtu!

Nie wiedziałam, co znaczy gwałt, lecz ona widać liczyła, że się domyślę.

– Jesteś dopiero w trzeciej klasie podstawówki, ale dzieci są nad wiek bystre w dzisiejszych czasach. Chyba nie wierzysz w bociany, w dzieci w kapuście czy inne bajki, prawda?

– Dzieci biorą się ze szpitala – odpowiedziałam.

– Zgoda, przeważnie kobiety rodzą dzieci w szpitalach, ale najpierw te dzieci zostały poczęte w domach czy w innych stosownych miejscach. W połowie dwudziestego wieku takimi stosownymi miejscami były na przykład tylne kanapy samochodów – mruknęła bardziej do siebie. Z reguły, kiedy mówiła o czymś, co ją zniesmaczyło, lekko przechylała głowę na prawe ramię.

Zupełnie nie wiedziałam, co myśleć. Dlaczego ona mi to wszystko mówi? Miałam nawet nadzieję, że jak dobra matka chce mi przekazać coś ważnego, ale szybko zorientowałam się, że jej cel jest inny.

– Mężczyzna wkłada tę swoją część, którą siusia, do tej części kobiety, którą ona siusia. W środku kobiety jest jajeczko, z którego wyrasta dziecko. Na razie wystarczy ci tyle, żebyś zrozumiała, o co chodzi.

Skrzywiłam się z niesmakiem. To brzmiało okropnie. Dlaczego mężczyzna ma siusiać w kobietę? I dlaczego ona ma mu na to pozwalać? Zdaje się, że moja mama adopcyjna znów chciała mnie nastraszyć!

– Kiedy kobieta nie chce, żeby mężczyzna jej to robił, a on nie posłucha i zmusi ją do urodzenia dziecka, nazywamy to gwałtem – wyjaśniała dalej. – Zrozumiałaś?

Kiwnęłam głową, obawiając się zaprzeczyć, choć nie wszystko było dla mnie jasne. Na przykład – dlaczego mężczyzna koniecznie chciałby mieć dziecko z kobietą, skoro ona wcale nie chce?

– Ta pacjentka była głęboko zaburzoną psychicznie młodą kobietą. Twój ojciec mówił, że nie zdawała sobie sprawy, co się wydarzyło, dopóki ciąża nie stała się wyraźnie widoczna. Nie rozumiem natomiast, jak mogło dojść do czegoś takiego i czemu nikt wcześniej niczego nie zauważył. Ale co zwykły człowiek może wiedzieć o tajemnicach nienormalnej kliniki pana doktora De Beers?

Dziwnie było słyszeć, jak mówi o swoim mężu i moim tacie jako o doktorze De Beers, jakby był kimś

obcym. Często tak robiła. Mówiła o nim w trzeciej osobie, choć siedział naprzeciwko przy stole i jedliśmy kolację. Nie rozumiałam, czemu szydzi z kliniki, z której tata był dumny. To kolejna z tajemnic, których nie potrafiłam rozwikłać.

– Panu doktorowi De Beers nie wolno mówić, co się dzieje w jego klinice – ciągnęła. – Wszystko jest tam tajne i ukrywane gadaniem o tajemnicy lekarskiej i dyskrecji. Pan doktor pewnie się wstydzi, że zbija grubą forszę na pacjentach, a oni wolą się nie przyznawać, że wpadli w takie bagno, bo też im wstyd. I tak to działa – perorowała głośno i z coraz większym ożywieniem, jakby salon był pełen gości. Nie wiedziałam wtedy, że Amou stała za drzwiami i ze zgrozą słuchała, co mówi do mnie matka.

– Nie wiem, jak mogłam okazać taką słabość i zgodzić się na adoptowanie ciebie, ale stało się, nie ma odwrotu. Dlatego muszę cię traktować tak surowo, Willow – dodała i znów powrócił spokojny, racjonalny ton. Ale tylko na moment, bo pochyliła się ku mnie i jej oczy rozszerzyły się nagle.

– Mogłaś odziedziczyć coś z tego obłądu – szepnęła i tak mnie tym przeraziła, że potem przez wiele nocy nie mogłam zasnąć. Czy ma rację? Stanę się taka, jak pacjentki taty? Może któregoś dnia ja też trafię do jego kliniki?

Mijały dni, a ja bałam się spojrzeć w lustro, a nuż ktoś zobaczy we mnie wariatkę? Stałam się jeszcze bardziej wycofana i znalazłam schronienie w maleńkim zakątku mojego mózgu – jedynym miejscu, gdzie czułam się spokojna i bezpieczna, choć więziło mnie jak klatka. Im bardziej uciekałam w głąb siebie, tym bardziej podejrzewano mnie o psychiczne problemy. Zwłaszcza M.A.

Tata wreszcie coś zauważył i zapytał Amou, czemu ostatnio jestem taka nieszczęśliwa. Kiedy niania opowiedziała mu, co zrobiła matka, strasznie się zdenerwował i próbował mnie przekonać, że jestem absolutnie normalna. W swoim gabinecie rozmawiał ze mną łagodnym głosem, dodawał otuchy i ocierał opuszką kciuka parę łezek, które uroniłam.

– Ja chyba wiem najlepiej, kto jest chory psychicznie, a kto nie, prawda, Willow? – zapytał z uśmiechem. – Ocena stanu umysłu ludzi, diagnozowanie ich, to moja specjalność.

Jego słowa brzmiały rozsądnie, ale podobne wsparcie od taty powinnam mieć częściej. Niestety, rzadko poświęcał mi aż tyle uwagi. Może nie zdawał sobie sprawy, co się naprawdę ze mną dzieje i jakie są moje stosunki z matką. Wierzyłam, że tak było.

A potem powiedział mi coś dziwnego.

– Masz swoją ukochaną lalkę, prawda? I pamiętasz chyba, jak ci mówiłem, że ktoś zrobił ją dla ciebie i przekazał przeze mnie? Otóż tę lalkę zrobiła twoja prawdziwa mama, Willow! Czyż nie jest śliczna? Uwierz mi, ktoś umyślowo chory nie mógłby zrobić czegoś takiego.

Poczułam się trochę lepiej. Niestety, choć tata był wściekły na M.A. za to, jak postąpiła ze mną, ani na moment nie przestała mnie strofować, dokuczała mi przy każdej okazji. Jakby przyjęła sobie za punkt honoru, iż udowodni wszystkim, że odziedziczyłam skłonność do zaburzeń umysłowych. Usiłowałam nie słuchać, co mówi, więc ignorowałam jej zarzuty, że jestem nadpobudliwa i nie potrafię skupić uwagi. Moje wyniki w szkole absolutnie temu przeczyły. Na to odpowiadała, że nauczyciele są zbyt zajęci, żeby cokolwiek zauważyć, albo po prostu niekompetentni.

Jeśli słyszała, że mówię do siebie, krzyczała, że mam schizofrenię. Próbowała temu zapobiec, zaklejając mi usta taśmą, gdy bawiłam się w swoim pokoju. Robiła tak zwłaszcza wtedy, kiedy przychodzili goście. Widocznie bała się, że przypadkiem mnie usłyszą. Jej niesmak pogłębiał fakt, że odgrywałam sceny ze swoimi zabawkami, mieszając słowa angielskie i portugalskie.

Gdy tata dowiedział się o kneblowaniu, ukrócił ten proceder. Mimo to matka adopcyjna nie ustawała w wysiłkach udowadniania mojej choroby psychicznej. I miała na nią dowody – wzdrygałam się na odgłos upadającej szpilki albo wlepiłam wzrok w podłogę, zamiast patrzeć na nią, kiedy do mnie mówiła. Ale co miałam robić, skoro tak strasznie się jej bałam? Nawet w rzadkich chwilach, gdy

zwracała się do mnie łagodnie, a nawet pogłaskała po głowie, czy chwaliła Amou, że dobrze się mną zajmuje, podświadomie oczekiwałam, że zaraz się wścieknie albo wypowie jakieś okrutne słowa. Czasami tylko nieznacznie pochylała głowę i wzdychała, ale to znaczyło, że uważa mnie za niereformowalny przypadek, i bolało tak samo jak głośne reprimendy. Po prostu była absolutnie przekonana, że lęgnię się we mnie odziedziczone ziarno szaleństwa.

Pewnego ranka zebrała moje rysunki oraz kolorowanki i zniosła je tacie, aby udowodnić mi, że zniekształcone, rozmyte twarze i postacie świadczą o ukrytych zaburzeniach. Ojciec musiał podejrzewać, że niektóre rysunki przedstawiają właśnie ją, lecz nie powiedział tego głośno. Nie uwierzyłyby, że ktoś – a zwłaszcza ja – zamiast urody może widzieć w niej szpetotę.

– Ponoć jesteś wielkim ekspertem. – Wpadła do jego gabinetu, podsuwając mu pod nos moje rysunki. – Dlatego nie rozumiem, jak możesz tego nie widzieć. Jak możesz nie widzieć, co sprowadziłeś do domu? Z nią jest coraz większy problem. Moi znajomi też patrzą na nią ze zdziwieniem. Byłam głupia, że zgodziłam się na to dziecko, choć Isabella wykonuje przy nim całą brudną robotę. Powinieneś umieścić ją w jakimś innym miejscu, gdzie fachowo by się nią zajęto, a nie nakładać na mnie taki ciężar!

– Nie ma takiej potrzeby, Alberto. W tych rysunkach nie pojawia się nic, co mogłoby świadczyć o zaburzeniach psychicznych – tłumaczył tata tym swoim spokojnym, lekarskim tonem. – Po prostu nie masz doświadczenia z małymi dziećmi. Bo gdybyś miała, wiedziałybyś.

– Ach, jasne, wykrzycz mi to w twarz! Wykrzycz mi w twarz, że nie mogłam mieć dzieci! – wrzasnęła, po czym wymaszerowała z gabinetu, zatraskując za sobą drzwi z takim hukiem, że nawet nasz duży dom zadrżał.

Amou i ja musiałybyśmy być głuche, żeby nie słyszeć tej awantury. Niania objęła mnie czule i szepnęła: – Nie płacz, *pequeninho*, moja malutka. Amou zawsze będzie przy tobie. Nikt ciebie nigdzie nie odeśle. Życie ze świadomością, że matka, nawet ta adopcyjna, tak naprawdę mnie nie chce, było jak życie w domku z kart albo kartonu. Wystarczy byle wiatr czy deszcz, i domek się rozpadnie, a ja, zostając samotna, bezbronna, wpadnę w jakiś czarny tunel bez wyjścia. Ciągłe śniły mi się takie koszmarne sny.

Trzeba jednak przyznać, że M.A. narzekała nie tylko na mnie. Była typem kogoś, kto nie może żyć bez problemów. Mogły one dotyczyć mnie, ale tak samo Amou, reszty służby czy innych ludzi i rzeczy z jej otoczenia. Często chodziła po domu, wyrzekając głośno i bez przerwy, a jej słowa brzęczały jak puszki uwiązane do zderzaka samochodu nowożeńców. Może dlatego tata spędzał tyle czasu poza domem, a zatem i z dala ode mnie.

Ileż to razy, gdy przechodziłam wieczorem obok jego gabinetu, zerkając przez uchylone drzwi, widziałam, jak stoi przy wielkim wykuszowym oknie z widokiem na zachód i naszą posiadłość w Karolinie Południowej, w pobliżu niewielkiego Spring City. Dostrzegałam smutny, zamyślony wyraz jego twarzy, kiedy spoglądał na księżyc, przeświecający przez chmury, które płynęły niczym srebrny dym i budziły przyczajone w kątach cienie.

Kiedy byłam starsza i podpatrywałam tatę, gdy siedział samotnie w tym swoim świętym gabinecie, niemal namacalnie widziałam ulotne cienie rzeczy, których żałował, i spraw, które powinien inaczej rozegrać. Przykro mi było, że także zaliczam się do jego problemów. Kto wie, czy nie myślał, że jego żona miała rację i nie powinien sprowadzać mnie do domu. Jednak później zapewniał, że nie miał najmniejszych wahań ani wątpliwości. Może tak było naprawdę, a może tylko chciał mnie pocieszyć.

Na jego twarzy odbijały się też inne żale – za niewykorzystanymi możliwościami, za straconymi marzeniami, za zbyt wieloma statkami, które odplynęły bez niego. Nie miałam pojęcia, na ile głębokie i usprawiedliwione są te żale – aż do momentu, gdy nagle musiałam przyjechać do domu; kiedy nastał ten straszny, mroczny czas, którym od dawna straszły mnie moje demony.

Rozdział pierwszy

POŻEGNANIE

Przy drzwiach sali zajęciowej zobaczyłam sekretarkę z dziekanatu, panią Schwartz. Stała obok wejścia, nerwowo przestępując z nogi na nogę, i zacierała dłonie. Witła promiennym uśmiechem studentów, co chwila zerkając w głąb korytarza. Dziwne, ale bez wyraźnego powodu nagle pomyślałam, że ona czeka na mnie. Jak zwykle miała na sobie granatowy kostium, białą bluzkę z koronkowym gorsem i szpilki, czyli swój zwykły strój roboczy.

– Och, kochanie. – Chwyciła mnie za rękę i przyciągnęła do siebie. – Otrzymaliśmy naprawdę dramatyczny telefon od twojej cioci Agnes Delroy. Najwidoczniej nie mogła się dodzwonić na twoją kwaterę ani wczoraj wieczorem, ani dzisiaj rano, i rozgrzała do czerwoności linie telefoniczne łączące nas z Charlestonem – klepała sekretarka, której jak widać, udzielił się histeryczny nastrój ciotki. Nic dziwnego, że ciotka nie mogła się dodzwonić, skoro spędziłam noc w mieszkaniu Allana, ale przecież nikomu nic do tego. Byłam jednak pewna, że Agnes nabierze podejrzeń – zwłaszcza że dzwoniła późno wieczorem i nazajutrz wcześniej rano. Z pewnością wzrosło w niej ciśnienie.

Pięćdziesięcioletnia siostra mojego taty była typem osoby, która oczekuje, że każdy, do kogo dzwoni lub się do niego zwraca, natychmiast poświęci jej całą uwagę. Nasze stosunki nigdy dobrze się nie układały. Choć nie mówiła tego głośno, uważała, że adoptowane dziecko jest w jakiś sposób gorsze – a już zwłaszcza takie jak ja, którego matka była pacjentką kliniki psychiatrycznej. I żadne moje osiągnięcia nie zdołały jej przekonać, że jest inaczej.

Podejrzewałam jednak, że nawet gdyby moja matka adopcyjna mnie urodziła, ciotka Agnes też by mnie krytykowała. Po prostu jej zdaniem tata popełnił mezalians. Matka adopcyjna pochodziła ze starego rodu z Południa, który czasy świetności ma już dawno za sobą, ale desperacko udaje, że coś jeszcze znaczy. Ciotka Agnes miała jeszcze większe ambicje. Majątek, pochodzenie, pozycja towarzyska i władza były filarami, na których zbudowała swój kościół. Wystarczyło, aby jeden filar się osłabił, a gmach mógł runąć.

Mój tata raczej tolerował, niż kochał Agnes jako siostrę. Kiedyś powiedział mi, że jej mąż, wujek Darwood, prawdopodobnie powitał kostuchę z otwartymi ramionami, gdyż śmierć stała się dla niego wybawieniem – nawet śmierć w męczarniach. Był skrytym alkoholikiem, który utopił swoją wątrobę w morzu własnego nieszczęścia.

Rozmowa o ciotce Agnes i wuju Darwoodzie odbyła się w czasie jednej z tych cudownych godzin, które spędzałam z tatą, kiedy mieliśmy czas, aby dzielić swój śmiech i cieszyć się swoją bliskością. Byliśmy tylko dla siebie i zawsze mieliśmy wrażenie, jakbyśmy poznawali się i odkrywali nawzajem po raz pierwszy. Minęło już parę miesięcy od śmierci mojej matki adopcyjnej. Ta śmierć paradoksalnie zbliżyła mnie i ojca do siebie. Tak jakby matka za życia rzucała na nas mroczny cień, w którym nie mogliśmy się odnaleźć.

– Co się stało, pani Schwartz? – spytałam i w oczekiwaniu na odpowiedź wstrzymałam oddech, aż

zaczął palić mi płuca.

Grupka studentów przystanęła za moimi plecami, z ciekawością nastawiając uszu.

– Ciocia powiedziała, że twojego tatę przewieziono do szpitala miejskiego w Spring City i musisz tam jak najszybciej przyjechać – wyrzuciła z siebie, przyciskając dłonie do piersi, jakby te słowa miały ją rozerwać.

– Ale co się stało? Tata miał wypadek?

Tak przed prawie dwoma laty zginęła moja matka adopcyjna. Spieszyła do domu w zimowej zamieci, która strącała z dachów sople, długie i ostre jak groźne sztylety, spadające z nieba. Matka cisnęła gaz, żeby zdążyć się wyszykować na bal charytatywny. Policja powiedziała, że na zakręcie straciła kontrolę nad kierownicą, wpadła w poślizg i jej mały mercedes zrobił młyńca na jezdni, zanim roztrzaskał się na barierze. Założę się, iż ginąc, martwiła się, że nie jest stosownie ubrana.

Ta koszmarna śmierć wstrząsnęła mną, ale nie płakałam na pogrzebie. Na myśl o jej odejściu nie ścisnęło mnie w gardle i później miałam nawet z tego powodu wyrzuty sumienia. Zastanawiałam się, czy ten brak emocji nie jest oznaką moich problemów psychicznych i czy jednak M.A. nie miała racji.

– Nie. O ile zrozumiałam, chodzi o kłopoty z sercem – odpowiedziała pani Schwartz z miną tak dramatyczną, jakby chodziło o jej własny pogrzeb. – Ciocia powiedziała, że masz jak najszybciej przyjechać. Strasznie mi przykro, kochanie. Usprawiedliwię cię na wszystkich dzisiejszych zajęciach.

Jest taki moment po usłyszeniu strasznej wieści, kiedy twoje ciało się buntuje. Słyszysz słowa i doznajesz szoku. Twój umysł usiłuje się z tym uporać, ale nie daje sobie rady i zachowuje się jak automat do wydawania reszty, który raz za razem wypluwa banknot, bo jest pognieciony, podarty albo włożony nie tą stroną co trzeba. Złe wieści muszą zostać przemielone w myślach tak dokładnie, aż będą mogły spłynąć wzdłuż kręgosłupa impulsami, uruchamiającymi twoje nogi i ręce, byś mogła się ruszyć i zacząć działać.

Miałam wrażenie, że płuca pali mi gorące powietrze, grożąc eksplozją. Jeszcze chwila, a rozpęknę się na oczach wszystkich. Z najwyższym trudem powstrzymywałam łzy, do bólu przygryzając dolną wargę.

Wreszcie ruszyłam do wyjścia. Za plecami słyszałam, jak obcasy szpilek pani Schwartz wystukują na posadzce szybki rytm, kiedy szła za mną, odprowadzając mnie na studencki parking. Tydzień przed moim wyjazdem na drugi rok studiów dostałam od taty samochód. Wybrałam psychologię, bo chciałam kiedyś zostać szkolnym psychologiem. Pragnęłam pracować z młodzieżą, gdyż uznałam, że mogę pomóc nastolatkom, dzięki moim własnym doświadczeniom z okresu dorastania. Wiedziałam, że pomoc udzielona w odpowiednim momencie może mieć zbawienny efekt.

Wpadłam do swojego mieszkania i odtworzyłam z automatycznej sekretarki coraz bardziej poirytowane pytania ciotki Agnes: „Czemu nie odbierasz? Gdzie jesteś? Dlaczego nie ma cię w domu, kiedy pilnie muszę się z tobą skontaktować? Zadzwoń do mnie natychmiast, obojętnie o jakiej godzinie!”. Słychać było, jak odkładając słuchawkę, mruczy do siebie: „Nie do pomyślenia, żeby o tej porze studentki nie było jeszcze w domu!”.

Zadzwoiłam do Allana, by przekazać mu wieści. Wiedziałam, że zastanę go jeszcze w domu. Zajęcia miał dopiero po południu, a po nich egzamin, do którego pilnie wkuwał.

– Wezwałam już taksówkę i zaraz jadę na lotnisko – oznajmiłam.

Jeszcze nie wezwałam, ale chciałam oszczędzić mu niepotrzebnych szczegółów, żeby nie rozpraszał się przy nauce. A jednak podświadomie oczekiwałam, że rzuci wszystko i przyjedzie, żeby odwieźć mnie na lotnisko. Nie chodziło mi oczywiście o podwózkę, tylko chciałam, żeby mnie przytulił i pocieszył przed odlotem.

Chodziłam z Allanem od prawie roku. Poznaliśmy się na kampusowej imprezie integracyjnej, kiedy zaczęłam pierwszy rok. Miałam wtedy osiemnaście lat i praktycznie zerowe doświadczenie.

W przeciwieństwie do moich koleżanek mogłam na palcach jednej ręki wyliczyć kontakty z chłopcami, które trudno by nawet nazwać randkami. Nawet się martwiłam, że nie jestem zdolna do bliskich związków, ale prawdziwy powód był inny. Po prostu uważałam, że większość chłopców nie osiągnęła jeszcze dojrzałości. Być może miałam zbyt duże wymagania i podświadomie spodziewałam się spotkać młodszą wersję swojego taty – człowieka poważnego, ale nie zasadniczego, pewnego siebie, lecz nie aroganckiego.

Allan od pierwszej chwili wydał mi się właśnie taki. Był przystojny – miał wyraziste usta i silną szczękę, idealny nos, kształtny i nie za duży, oraz niezwykle, ciemnoniebieskie oczy. Roztaczał wokół siebie aurę kogoś, kto wie, czego chce, jasno wytycza sobie cele i konsekwentnie do nich dąży. Wysoko noszona głowa i proste ramiona wyróżniały go z tłumu innych studentów, którzy udawaną przebojowością kryli swoją niepewność. Ich śmiech sączył się niemrawo jak woda wyciekająca z pękniętej rury. Ich odwaga brała się z piwa i whisky; pryskała rano, porażona blaskiem rzeczywistości. Na podobieństwo wampirów unikali przeglądania się w lustrze. Skoro sami są tak zniesmaczeni sobą, to co ja mam o nich sądzić? – myślałam.

– Jasne – powiedział Allan. – Zadzwoń, kiedy tylko będziesz coś wiedziała – dodał, wyraźnie pragnąc zakończyć rozmowę. Zrobiło mi się przykro, choć rozumiałam, że musi wracać do skryptów i notatek, bo studia są dla niego etapem dobrze zaplanowanej kariery. Czasami wolałabym konkurować z inną kobietą. Przynajmniej miałabym szansę powalczyć o niego.

– Dobrze. – Więcej nie potrafiłam z siebie wydusić. W środku wszystko mi się ścisnęło w ciasną kulę. Jakimś cudem zdołałam spakować torbę podróżną i zadzwonić po taksówkę.

Moim celem była Columbia w Karolinie Południowej. Lot nie trwał długo, ale samolot odlatywał dopiero za półtorej godziny i nie chciałam czekać. Nie byłam w stanie zabić czasu czytaniem czy oglądaniem telewizji. Złapałam się na tym, że kiedy raz zerknęłam na zegarek, musiałam spoglądać na niego jeszcze dwadzieścia razy. Siedziałam w poczekalni, nie zauważałam ludzi wokół siebie i nie słyszałam ich głosów. Wreszcie zapowiedziano mój lot, więc wstałam i podeszłam do bramki. Serce mi waliło.

Czy tata miał kłopoty z sercem? Jakim cudem? Przecież miał dopiero pięćdziesiąt dziewięć lat i dotąd na nic się nie skarżył. Z drugiej strony zdawałam sobie sprawę, że mógł ukrywać przede mną takie rzeczy. Czyżby ukrywał aż tyle?

Może to była dziecięca naiwność, ale nawet teraz postrzegałam tatę jako osobę niezłomną i odporną na wszystko; kogoś silnego i władczego, kogo nie dotyczyły przyziemne nieszczęścia i choroby. Chyba tylko jakiś wyższy byt, jakiś złośliwy mitologiczny bóg zdołałby strącić go z piedestału na ten nędzny padół, gdzie żyli zwykli śmiertelnicy. Nie pamiętałam, żeby kiedykolwiek był poważnie chory. Parę razy się przeziębiał, ale nawet na moment nie przerwał pracy.

Wszystko, co mój tata zrobił w życiu, było świetnie zorganizowane, metodyczne i dokładnie zaplanowane. Odkąd pamiętam, zwykle na śniadanie miał stały zestaw: sok z połówki grejpfruta, mieszanka płatków zbożowych z truskawkami, filiżanka kawy i od czasu do czasu kromka chleba z mąki z pełnego przemiału. W weekendy jadał domowy chleb z daktylami i orzechami, który wypiekała Amou, a na specjalne okazje zamawiał u niej omlet z grzybami i serem, pięknie zdobiony na krawędziach kawałkami owoców.

Wszystko, co w naszym domu należało do niego, znajdowało się w absolutnym porządku. Chyba już nigdy w życiu nie spotkam tak pedantycznego człowieka. Tata miał do siebie dystans i często żartował, że władają nim kompulsje. Jeśli ktoś niepomnie przesunąłby o centymetr stojak na pióra i ołówki na jego biurku, od razu by to zauważył. Amou ciężko przeżywała każde sprzątnięcie w jego gabinecie.

Ojciec codziennie, dla zdrowia, uprawiał długie spacerunki po naszej posiadłości – a była ona niemała,

gdyż mieliśmy sto pięćdziesiąt akrów terenu z lasem, dwoma dużymi stawami i strumieniem, który wił się pośród wzgórz i skał, a potem wpadał do rzeki Congaree. Takie spacery odbywał dwa razy w tygodniu i zajmowały mu dokładnie dwie godziny. Mogłabym regulować według niego zegarek.

Moja matka adopcyjna nigdy mu nie towarzyszyła. Wolał chodzić sam i kiedyś powiedział, że właśnie wtedy przychodzą mu do głowy najbardziej twórcze pomysły. Mnie sceneria natury raczej by rozpraszała, ale tata miał dar odcinania się od świata i skupiania umysłu na tym, co aktualnie było jego celem.

I niewątpliwie najlepiej z nas wszystkich wychodziło mu ignorowanie M.A. Kiedy potok wymowy przybierał na sile, bo piekliła się o coś, spoglądał na nią spokojnie, potakiwał w odpowiednich momentach, ani na chwilę nie zmieniając wyrazu twarzy, i co najwyżej lekko unosił brew, co dla niego stanowiło odpowiednik wykrzyknika. Na koniec obiecywał, że zrobi wszystko, aby rozwiązać jej problem. Czasami rzeczywiście coś robił, ale przeważnie problemy matki były tak błahe i wydumane, że same się rozwiązywały, albo zwyczajnie popadały w zapomnienie, niknąc pod nawałą nowych.

Tata nie imponował swoją postacią. Miał niecały metr siedemdziesiąt wzrostu i zawsze był szczupły. Wyglądał jak tenisista i rzeczywiście był to jedyny sport, jaki uprawiał na studiach. Jego moc była ukryta w spojrzeniu – kiedy popatrzył ci w oczy, miało się wrażenie, że jest wyższy i potężniejszy. Można sobie wyobrazić, że większość ludzi – zwłaszcza jego pacjenci – mogła się czuć przyszpilona tym wzrokiem, jak złoczyńca, który nie ma już szans na ucieczkę, złapany w krąg światła szperacza.

Oczy miał niezbyt głęboko osadzone i nieduże, za to patrzyły niezwykle żywo i wnikliwie. Śmiałam się z koleżanek, które odwiedzały mnie w domu, gdyż tata co najmniej onieśmiał je, jeśli nie przerażał. Uważały, że skoro jest słynnym psychiatrą, potrafi odczytać ich myśli.

Zawsze byłam bardzo dumna z taty, lecz fakt posiadania ojca, który jest szefem słynnej w całym świecie kliniki psychiatrycznej, powodował u mnie napięcia i problemy, jakich nie znały moje rówieśniczki.

Tata mógł imponować niezwykłym opanowaniem. Sporadycznie podnosił głos. W przeciwieństwie do innych rodziców rzadko mnie dyscyplinował. Teraz, studiując psychologię, zaczęłam rozumieć jego techniki. Moje dziecięce relacje z ojcem były oparte na pytaniach. Liczył, że poradzę sobie z nimi sama, szukając odpowiedzi w sobie. Było to niemałe wyzwanie dla dojrzałej, czteroletniej osóbk.

– Dlaczego mama jest na ciebie zła, Willow?

– Jak myślisz, czemu jesteśmy rozczarowani twoim postępkiem?

– Powiedz, Willow, dlaczego nie podoba mi się to, co powiedziałaś mamie?

Mogłabym wytapetować tymi pytaniami wszystkie ściany mojej pamięci.

Moje przyjaciółki martwił inny aspekt psychologicznej wszechwładzy ojca takiego jak mój.

– Czy ty w ogóle możesz kłamać? – dopytywały się. – Przecież twój ojciec pewnie od razu wie, że coś kombinujesz!

– Nie okłamuję go – zapewniłam, a one z powątpiewaniem kręciły głowami i spoglądały na mnie ze skrywanym współczuciem. – Za to – dodałam – często kłamię matce.

To oczywiście było dla nich zrozumiałe i godne poparcia. Okłamywanie rodziców uchodziło za rodzaj inicjacji, jaką trzeba przejść, żeby zostać pełnoprawnym nastolatkiem.

Z czasem doszłam do wniosku, że M.A. akceptowała kłamstwo, przynajmniej w sytuacjach, kiedy pomagało jej uniknąć jakiegoś konfliktu czy rozczarowania. Bała się nieszczęść i niepowodzeń, bo ktoś kiedyś jej wmówił, że ludzie smutni i nieszczęśliwi szybciej się starzeją. Jej wiarę umacniał widok twarzy niektórych pacjentów taty, a zwłaszcza kobiet. Wierzyła, że depresja postarzyła je nawet o dwadzieścia czy trzydzieści lat. Szczególnie było to widać po oczach – zaczerwienionych, zapadniętych w głąb czaszki i smutnych.

Na liście „postarzaczy” drugi znalazł się gniew, przy czym ulegała mu częściej, niżby sobie życzyła. Grymas złości tworzy zmarszczki tam, gdzie ich nie było, i pogłębia już istniejące. Dlatego mając do

wyboru przykrą prawdę czy kłamstwo, moja matka adopcyjna rzucała się na zbawcze kłamstwo niczym tonący na koło ratunkowe.

Była naprawdę piękną kobietą, elegancką i stylową. Często latała do Paryża, bez taty, żeby kupować sobie najnowsze fasony. Niewiele ustępowała mu wzrostem i miała figurę modelki. Jej zasady oczywiście wykluczały nadwagę, uważała bowiem, że to kolejny czynnik postarzający. Powiedziała mi kiedyś, że jeśli kobieta na przemian to chudnie, to tyje, skóra jej się rozciąga i potem marszczy – i to nie tylko na twarzy, ale i na udach czy biuście.

„Czy może być coś bardziej szpetnego niż kobieta z głębokim dekoltem, w którym widać zmarszczki wokół rowka między piersiami? Uch, nawet kropla potu spływająca jej z szyi powinna wyparować z niesmaku!” – perorowała, studiując swoją figurę pod kątem niepożądanych wad przed wielkim ściennym lustrem.

Wszystkie moje przyjaciółki były nią zachwycone. Nie dziwiłam się, bo przecież nie znały jej bliżej. Widziały tylko jej wersję oficjalną, przeznaczoną dla gości, więc jawiła się w ich oczach jako piękna celebrytka.

Martwiło mnie, że nigdy nie będę miała takiej figury jak ona. Miałam sto sześćdziesiąt pięć centymetrów wzrostu i włosy koloru jednocentowej monety, podczas gdy włosy M.A. lśniły w świetle jaśniej niż piryt, złoto głupców. Strzygła je dość krótko, ale w garderobie trzymała całą kolekcję peruk, dzięki którym w jednej chwili mogła zmienić styl.

Jedyną moją cechą, której nie miał ani tata, ani ona, były drobne piegi na policzkach. Miałam też jaśniejszą cerę niż oni. Oczywiście to nic nie znaczyło, skoro byli tylko rodzicami adopcyjnymi. Jednak M.A. zawsze zazdrościła mi kształtu nosa. Uważała, że jest idealny i tworzy proporcjonalną całość z ustami i oczami. Mówiła o tym takim tonem, jakby winiła naturę, że zmarnowała na mnie swoje dary.

Już kiedy byłam małą dziewczynką, ostrzegała mnie przed roztyciem się i prorokowała, że zawsze będę przy kości, bo nie mam jej genów. Wytykała mi tłuste policzki, sugerując, że to zapowiedź mojego przyszłego wyglądu.

– Twoja rodzona matka musi być korpulentną kobietą z podwójnym podbródkiem – stwierdziła. – Pewnie ma też duży, obwisły biust, a jej obwód w talii można porównać do hipopotama. Sądzę, że jest niska, przysadzista i ma małe oczy, kryjące się za fałdami tłuszczu. W dużym stopniu jest tak dlatego, że leki – a zwłaszcza te, które podaje się ludziom chorym psychicznie – zmieniają ciało człowieka, a jego potomstwo to dziedziczy, rozumiesz?

Przedstawiła mi tak odrażający wizerunek mojej prawdziwej matki, iż musiałam pogodzić się z myślą, że urodziłam się jako cyrkowe dziwadło. Doprowadziła do tego, że myślałam o niej z nienawiścią i skrycie żywiłam nadzieję, że zostałam stworzona w laboratorium. Któregoś dnia tata zdradzi mi prawdę, zamykając usta mojej matce adopcyjnej.

Amou powiedziała, że M.A. niesłusznie nazwała mnie tłąstą, bo dzieci zwykle są pulchne. Zawsze mnie pocieszała, kiedy matka mówiła mi takie niemiłe rzeczy.

– Twoja mama ciągle się martwi, że będzie *infeliz*, nieszczęśliwa, i będzie miała zmarszczki. Na pewno nie chce, żebyś ty była nieszczęśliwa, kiedy dorośniesz – mruknęła.

Amou często mamrotała pod nosem, gdy chciała powiedzieć coś, czego nie powinnam usłyszeć, a tym bardziej zrozumieć. Czasami wtrącała różne słowa po portugalsku, ale z wiekiem osłuchiłam się z tym językiem i wkrótce rozumiałam wszystko, nawet przekleństwa. Szkołą były dla mnie niedzielne obiady, kiedy przyjeżdżała siostra Amou, Marisa, i rozmawiały w swoim ojczyństym języku.

W ogóle już jako dziecko rozumiałam więcej, niż przypuszczali dorośli, zwłaszcza rzeczy dotyczących mnie osobiście.

Ale wciąż były sprawy, których zrozumieć nie potrafiłam. Jeszcze nie.

Wkrótce miałam zrozumieć.

Wyjaśnienie czekało na półce w gabinecie taty, jak sekret, wyszeptany do ucha zmarłego.

Kiedy wylądowałam w Columbi, poczułam się zaskoczona widokiem mojej kuzynki Margaret Selby Delroy, która czekała przy bramce. Ostatni raz widziałyśmy się przed trzema laty na pogrzebie wuja Darwooda. Oficjalna rodzinna wersja mówiła, że zmarł na atak serca. Kłopotliwy problem alkoholizmu ciotka Agnes wolała pominąć. Jak wielu przyjaciół i krewnych moich rodziców, Delroyowie jechali przez życie samochodem bez okien, przemieszczając się od jednego zmyślenia do drugiego i skwapliwie odwracając wzrok, jeśli tylko ktoś spojrzał im w oczy, z obawy, że rozwieje ich iluzje.

Margaret była pół roku młodsza ode mnie, toteż w sposób nieunikniony porównywałam się do niej. Przewyższała mnie o parę centymetrów, lecz wbrew krakaniu matki adopcyjnej to ja szybciej zgubiłam dziecięcą pulchność. Moja twarz w przyspieszonym tempie traciła pucołowatość, jakby jakiś magiczny rzeźbiarz co noc po trochu modelował mi rysy, kształtując wyraziste kości policzkowe, usta i szczękę, a potem smukłą szyję, wypukłości piersi i talię. Aż pewnego dnia spojrzałam na siebie w swoim owalnym lustrze w ramie z kości słoniowej i poczułam drgnienie serca na myśl, że chyba wreszcie staję się atrakcyjna.

Amou była jedyną osobą, z którą ośmieliłam się podzielić tą myślą. Zrobiłam to oczywiście w formie pytania.

– Czy myślisz, że jestem ładna, Amou? – zagadnęłam ją pewnego popołudnia w kuchni. Lubiłam pomagać jej w szykowaniu kolacji.

Przerwała swoją czynność i spojrzała na mnie z tym swoim łagodnym uśmiechem, który dla mnie był ukochanym promykiem słońca.

– To tak, jakbyś nosiła maskę dziecka, a potem z wolna, z wolna ta maska znikwała, aż wyłoniła się spod niej twoja prawdziwa twarz. Ale nie stój przed lustrem przez cały dzień – ostrzegła. – Najgorszą rzeczą, jaka może się zdarzyć kobiecie, to zakochanie się w sobie, zanim zdąży zakochać się w niej mężczyzna jej życia. Wiesz, co się wtedy dzieje? – dodała, pozostawiając odpowiedź unoszącą się gdzieś w eterze wokół nas, rozplywającą się jak szept duchów. Ale wiedziałam, że mówi o M.A.

I zapewne też o młodych kobietach, jak Margaret Selby Delroy, której okrągła twarz promieniała samouwielbieniem. Była pulchna, gdyż rozpieszczano ją i żyła jak pączek w maśle. Biodra miała trochę za szerokie, usta lekko odęte, a drogie pierścionki ciasno siedziały na parówkowatych paluszkach. Oczy, choć w ładnym orzechowym kolorze, zdawały się ginać na tle okrągłych policzków.

Nie było sumy, jakiej matka Margaret nie przeznaczyłaby na fryzury, garderobę i kosmetyki córki. Odkąd dziewczyna stała się nastolatką, wszystko zmierzało do jednego – wydania Margaret korzystnie za mąż, nawet jeśli trzeba było w tym celu posłać ją na kursy dobrych manier. Ta strategia najwidoczniej zadziałała, gdyż zaręczyła się z Ashleyem Standardem Robertsem, synem wydawcy „Charleston Times”. Nie miałam okazji go poznać, ale widziałam ich zdjęcia w rubrykach towarzyskich.

Moim zdaniem wyglądali bardziej jak brat i siostra niż para. Oboje z widoczną nadwagą; Ashley zapewne urodził się, jak to mówią, ze srebrną łyżeczką w buzi i można było się domyślać, że największym codziennym wysiłkiem jest dla niego wstanie z łoża królewskich rozmiarów i przejście do łazienki. Z pewnością musiał mieć służbę, która przygotowywała mu ubranie, sprzątała po nim czy wozila go na przyjęcia, żeby mógł dobrze zjeść i się zabawić.

– Willow! – zawołała Margaret Selby i zaczęła machać do mnie jak szalona, choć nawiązałyśmy już kontakt wzrokowy. Może obawiała się, że nie rozpoznam jej w czarnym pikowanym kostiumie Fendi i kapeluszu z aksamitu białego jak śnieg. Ten efektowny kapelusz z szerokim, opadającym rondem i satynową czarną wstążką wyróżniał ją z tłumu. Kiedy podeszłam bliżej, zauważyłam, że sporo przytyła.

Opinał ją żakiet za wąski w ramionach i wyobrażałam sobie, że trzeba Supermana, aby go z niej ściągnąć.

Czy ona nie widzi, jak idiotycznie wygląda? Margaret ubierała się w najdroższych salonach, ale nie miała za grosz wyczucia stylu.

Uściskałyśmy się na przywitanie.

– Nie spodziewałam się tu ciebie – powiedziałam. Nie chciałam być niemiła, ale nie przyszło mi do głowy, że mogłaby przyjechać po mnie.

– Wiesz, jaka jest moja mama – odparła. – Nie czuje się komfortowo, jeśli sama ma stawić czoło nieszczęściom, więc nalegała, żebym ją zastąpiła. A mam tyle roboty! Przecież muszę się szykować do ślubu! – Odeła z pretensją usta, jakby chciała wywołać u mnie wyrzuty sumienia.

– Jak się czuje mój tata? – spytałam sztywno.

– Och. Nic się nie zmieniło od czasu, kiedy wyszłam ze szpitala, żeby pojechać po ciebie.

– Co z nim jest?

Wzruszyła ramionami.

– Sama zobaczysz – rzuciła, kiedy ruszyliśmy do wyjścia. – Był w domu, a właściwie dochodził do niego, bo wracał z tego swojego zdrowotnego spacerku... Masz jakiś bagaż?

– Nie, tylko tę podręczną torbę. Wyszłam z domu w strasznym pośpiechu.

– No tak, jasne. Najwyżej damy ci coś od siebie.

– To dla mnie teraz najmniejsze zmartwienie, Margaret, ale dzięki. Co jeszcze wiesz o stanie mojego taty?

– Co jeszcze? No... był już prawie przy wejściu, kiedy upadł. Na szczęście Miles... tak się nazywa ta jego męska gosposia, prawda?

– Tak, tak.

Ile lat trzeba, żeby zapamiętała jego imię? Ludzie tacy jak moja kuzynka zapamiętywali tylko tych, których dyktował im snobizm, zapominali o innych, stojących niżej w hierarchii.

– Swoją drogą zabawne, że mężczyzna prowadzi mu dom. Mama mówi, że ten... ee... Miles gotuje, pierze i sprząta.

– Służy mojemu tacie od prawie dwudziestu lat – odpowiedziałam. – Nie tylko sprząta i gotuje. Jest też jego kierowcą i prowadzi dom; troszczy się o teren, remonty, naprawy i inne rzeczy. Nie widzę tu nic zabawnego.

– Jasne. Ale czy to nie jest były pacjent twojego ojca?

– Margaret, błagam, zadałam ci ważne pytanie. Możesz mi powiedzieć, co dalej działo się z moim tatą?

– Och, Miles wyjrzał przez okno, zobaczył, że ojciec leży na ziemi, i wybiegł do niego. Zawołał pogotowie, przywrócili tacie przytomność i zabrali go do szpitala. Potem Miles zadzwonił do mojej mamy. Rzuciłyśmy wszystko i pognałyśmy do szpitala. Musiałyśmy odwołać co najmniej pół tuzina spotkań – z dostawcami potraw, kwiatów i tak dalej, rozumiesz.

Zaczęła się śmiać, zbyt głośno i gdakająco jak na kogoś, kto aspiruje do miana eleganckiej damy.

– Kiedy narzekam, że tyle kosztują mnie przygotowania do ślubu, Ashley mówi, że powinniśmy uciec i pobrać się potajemnie. Wyobrażasz sobie? Ilu ludzi byłoby rozczarowanych? Setki! Oczywiście on tylko żartuje. Po prostu lubi się ze mną droczyć. Zdaniem mamy to znak, że naprawdę mnie kocha – ciągnęła. – Szczerze i głęboko – dodała, energicznym skinieniem głowy punktując prawdę tych słów.

Przystanęłam i obróciłam się ku niej.

– Jaka jest diagnoza mojego ojca i rokowania? Odpowiedz mi wreszcie!

– Wiem tylko, że miał atak serca. A o co chodzi z tymi rokowaniami? – zapytała i skrzywiła się, przewidując moją dezaprobatę. – Wiem, Willow, że medyczne sprawy znasz z domu i sama jesteś prawie lekarką chorych na głowę, ale nie możesz wymagać od innych, żeby znali encyklopedię na pamięć.

– Nie musisz znać encyklopedii, żeby się domyślić, o co chodzi z rokowaniami – stwierdziłam z hamowaną niecierpliwością. – Po prostu pytam o szanse jego wyzdrowienia.

– Aha. Niestety nic o tym nie wiem – przyznała. – Krótco byłam w szpitalu. Wybiegłyśmy z domu w pośpiechu, więc trudno mi było wysiedzieć w poczekalni, bo nie wzięłam nic do czytania, a tam było tylko parę starych magazynów. Mama chwilę rozmawiała z doktorem, a kiedy wyszła, powiedziała, żebym pojechała po ciebie, więc jestem. Specjalnie zamówiona taksówka czeka przed wejściem, ale kierowca nie jest zbyt miły. Ciągłe powtarzał, iż może tam stać tylko moment, bo zaraz go przegonią. Ostatnio dostali szau z tymi bombami, jakby zaraz ktoś miał wysadzić lotnisko. Trudno się z tym pogodzić ludziom takim jak ja, którzy są przyzwyczajeni do wygod i różnych ułatwień. Ale jakoś trzeba to znosić.

– Dobrze, w takim razie się pospieszmy. – Zrezygnowałam z wyciągnięcia od niej choćby skrawka informacji.

– Jak ci idzie na studiach? – zagadnęła. – Poznałeś tam kogoś?

Nie odpowiedziałam. Szłam w milczeniu, licząc, że zniechęcę kuzynkę Margaret. Ludzie jej pokroju rozmawiają głównie ze sobą. Niestety, nie zniechęciła się.

– Założę się, że trudno jest ci poznać kogoś. Nie rozumiem, czemu uparłaś się zostać tym psychologicznym lekarzem. Ludzie, a zwłaszcza mężczyźni, czują się nieswojo w gabinecie psychiatry. Są podejrzliwi, bo myślą, że taki lekarz ich obserwuje i osądza każdy ich gest, słowo czy minę. Nigdy nie będziesz miała prawdziwych przyjaciół, Willow, nie mówiąc już o prawdziwej miłości. Ludzie po prostu nie będą ci ufać.

– To dogmat twojej mamy? – spytałam kąśliwie już w drzwiach.

– Dog... co? – Oczywiście nie zrozumiała.

– Nieważne, Margaret – mruknęłam i stanęłam na chodniku. Coraz bardziej mi się spieszyło. – Gdzie ta taksówka?

– Ee... chyba to ten. – Pokazała na czarnego lincolna i pomachała do kierowcy, ale ten patrzył tylko tępo w naszą stronę. – Nie, chyba jednak nie on. Wszystkie samochody wyglądają jednakowo. Gdzie on stał? A może odjechał? Mówiłam ci, że facet był niemiły.

W paru krokach znalazłam się przy postoju.

– Co robisz?

– Jadę do szpitala! – odkrzyknęłam.

– Zaraz... Postarajmy się znaleźć naszego szofera. Przecież nie możesz jechać zwykłą taryfą, Willow!

Wsiadłam do pierwszej taksówki na postoju. Margaret gapiła się na mnie z chodnika.

– Jedziesz czy nie? – Przytrzymałam drzwi.

Pokręciła głową bezradnie.

– Może źle mnie zrozumiał i myślał, że już go nie potrzebuję.

– Wsiadaj! – warknęłam.

Skrzywiła się i wsiadła sztywno, jakby kazano jej usiąść na krześle elektrycznym. Sięgnęłam jej przed twarzą i zatrasnęłam drzwi.

– Szpital Główny, szybko – rzuciłam do kierowcy.

– Już się robi. – Ruszył energicznie.

– O rany – sapnęła Margaret. – Teraz już wiem, jak to jest, kiedy cię porywają.

Kto przy zdrowych zmysłach chciałby ciebie porwać? – pomyślałam zgryźliwie, a w duchu poganiałam inne samochody, tłoczące się przed nami na ulicy.

– Moja mama uważa, że w takiej napiętej sytuacji jak ta dobrze jest zająć myśli czymś innym – trajkotała Margaret, kiedy taksówka, klucząc w korkach, sunęła przez miasto.

Dobiegał mnie jej jednostajny głos, słów nie rozróżniałam, brzęczał monotonna niczym pszczoły na klombie. Staralam się go nie słyszeć. Jestem bardziej podobna do ojca, niż sądziłam, pomyślałam, uśmiechając się do siebie. Szybko się uczę, jak panować nad ludźmi i ich ustawiać.

– To nie jest fanaberia. – Na moment usłyszałam, co mówi Margaret. Krzyczała mi do ucha.

– Co nie jest fanaberią?

– Wygląd weselnego tortu ma wielkie znaczenie. Pomyśl, że mogłyby tam być figurki moja i Ashleya.

– Jasne, przecież to weselny tort. – Kiwnęłam głową z roztargnieniem.

– To dlaczego się uśmiechałaś, kiedy o tym mówiłam? – zapytała i z urazą zacisnęła usta w cienką linię.

– Nie, Margaret, akurat myślałam o czymś innym i nie dotarło do mnie, co mówisz.

– Tak? Dlaczego myślisz o czymś innym, kiedy ci mówię o takich ważnych sprawach?

– Po prostu robię to, co radziła twoja mama: usiłuję zająć czymś swój umysł – wyjaśniłam. Auto wjechało na szpitalny podjazd.

Zapłaciłam taksjarszowi i niemal biegiem pospieszyłam do wejścia. Margaret, sapiąc, usiłowała dotrzymać mi kroku.

– Gdzie on leży? – Odwróciłam się tak gwałtownie, że omal nie uderzyłam jej torbą. Spojrzała na mnie zmieszana. – Na jakim oddziale jest mój tata?

– Och... to się nazywa chyba intensywne opieką... kardiologiczną.

– No to prowadź!

Ruszyła do windy, uśmiechnęła się słodko do wychodzącego z niej młodego lekarza i nacisnęła przycisk pierwszego piętra.

– Zawsze czułam respekt przed twoim ojcem – wyznała. – Ma takie krytyczne spojrzenie.

– Widocznie jest co krytykować – mruknęłam pod nosem i podążyłam korytarzem ku widocznemu z daleka wejściu na oddział.

Zatrzymałam się nagle w poczekalni przed dyżurką, bo zobaczyłam ciotkę Agnes, siedziała na kanapie. Patrzyła na stojącą przed nią pielęgniarkę, przytakiwała i ocierała oczy jedwabną chusteczką. Rzadko widywałam ją zapłakaną, raczej potrafiła kontrolować łzy, pozwalała, by płynęły po kropelce, raz z jednego oka, raz z drugiego. Przyciskając rozek chusteczki do oka prawym palcem wskazującym, starannie wyłapywała każdą łzę i czekała w gotowości na następną.

Z oczu i ust przypominała nieco mojego ojca, ale podbródek miała szczątkowy, ledwie widoczny pod dolną wargą. Jej skóra była napięta i nieco tylko jaśniejsza niż odcień sepia na starych fotografiach. Na czole miała wątrobiane, starcze plamy, które usiłowała ukryć pod grzywką włosów w kolorze brudnoszarego, mokrego mopa.

W przeciwieństwie do mojej matki adopcyjnej ciotka Agnes nie chciała nosić peruki. Batalię z wiekiem uważała za niepotrzebną próżność i fanaberię. Uznawała tylko odrobinę szminki na wargach i trochę pudru na policzkach. Zasoby jej toaletki były porażająco skromne w porównaniu z całym arsenałem kremów przeciwmarszczkowych, cieni do powiek, pędzelków, ołówków, tuszów oraz zestawów kosmetycznych, które matka adopcyjna trzymała jako odwody w wojnie z upływem czasu.

Ciotka Agnes, odkąd ją pamiętam, była chuda jak szczapa. Amou mówiła o niej *Senhora do Passaro*, ptasia pani – bo miała cienkie, kruche kości, a czubek jej długiego nosa opadł z wiekiem, upodabniając się do ptasiego dzioba. Do tego zawsze mi się wydawało, że wchodząc do naszego salonu, wzdrygała się niedostrzegalnie, jakby obawiała się spotkania z moim ojcem.

Kiedy ciotka mnie zobaczyła, położyła dłoń na ręce pielęgniarki i kobieta obróciła się ku nam.

– O, to jest jego córka, moja bratanica. Nareszcie się zjawiała!

Mina pielęgniarki przeszła moje serce jak sztylet. Sztywnym krokiem podeszłam do nich. Ciotka pokręciła głową.

– Odszedł – powiedziała. – Dwadzieścia minut temu.

Patrzyłam na nią i uśmiechałam się z niedowierzaniem, jakby powiedziała coś niedorzecznego. Odszedł? Jak tata mógł odejść? Moja mina i milczenie skłoniły pielęgniarkę do dodania paru słów wyjaśnienia.

– Serce było zbyt poważnie uszkodzone. Bardzo mi przykro.

Margaret, która wreszcie zrównała się ze mną, rozpoczęła tyradę na temat odebrania mnie z lotniska i jazdy do szpitala.

– Mamo, musisz koniecznie porozmawiać z firmą, w której zamawiasz samochody! – paplała. – Kierowca nie zaczekał na mnie i musiałyśmy złapać zwykłą taksówkę. Wiedziałam, że Willow będzie się spieszyć, więc kazałam mu czekać przed wejściem, ale ten gbur nie...

– Zamknij się! – wrzasnęłam.

Spojrzała na mnie, jakbym dała jej w twarz. Przyłożyła dłoń do policzka i cofnęła się nerwowo.

– Ojciec Willow umarł dwadzieścia minut temu, Margaret Selby – napomniała ją ostro ciotka.

– Och... – Teraz dopiero Margaret zrozumiała i oczy jej się rozszerzyły. – O Boże.

Zwróciłam się do pielęgniarki.

– Chcę zobaczyć tatę – zażądałam. Nie wiem, jak udało mi się wymówić tyle słów. Gardło mi wyschło i zaczęło się zaciskać.

– Tak, oczywiście. – Wyciągnęła do mnie rękę. – Zaprowadzę panią.

Odstawiłam torbę i ruszyłyśmy korytarzem.

– Ja zacznę załatwiać formalności, kochanie! – zawołała za mną ciotka Agnes.

– Ojej – jęknęła Margaret. – Pogrzeb!

Czułam się jak lunaticzka. Wokół mnie wszystko było jak za mgłą. Tłumiłam krzyk, narastający mi w gardle. Mówi się, że człowiek chciałby wykrzyczeć swoje żale i nieszczęścia, aby opuściły go raz na zawsze i już nie wróciły. Moje serce biło cicho i słabo; miałam wrażenie, że zanika, zamyka się jak mały gdzieś w głębi mojej piersi. Czułam, jakbym sama się kurczyła i malała coraz bardziej, aż za chwilę znów stanę się małą dziewczynką, którą prowadzą za rączkę do tatusia.

Zatrzymałam się w progu sali, jakbym oczekiwała, że tata usiądzie na łóżku i mnie powita. Pielęgniarka stała obok i pewnie się zastanawiała, czemu się waham.

– Współczuję – powiedziała. – Straszną rzeczą jest tracić rodziców, obojętnie w jakim są wieku. Moja mama odeszła w zeszłym roku. Miała osiemdziesiąt sześć lat, ale ciągle mam poczucie, że mój świat się rozpadł.

Popatrzyłam na nią i kiwnęłam głową.

– Chciałabym побыć z nim chwilę sama – poprosiłam.

– Tak, naturalnie. Proszę zawołać, gdyby pani czegoś potrzebowała.

Czego mogę potrzebować? Jeśli los dałby mi drugą szansę, zdążyłabym jeszcze go pożegnać. Mogłaby pani mi to załatwić? – myślałam.

Patrzyłam na tatę, leżącego tak spokojnie. Rudawe brwi były proste i wyraziste, jak zwykle. Umarł niedawno i jego skóra nie nabrała jeszcze trupiej bladości. Zamknęli mu oczy. Szkoda, bo chciałam spojrzeć w nie po raz ostatni, choć ich spojrzenie było już puste. A może i lepiej, bo w ten sposób zapamiętam, jak patrzyły żywe.

Długo się wahałam, zanim podeszłam i wzięłam go za rękę. Trzymając dłoń taty, myślałam, że nigdy nie podniósł na mnie ręki, nigdy nawet nie dał mi klapsa. Jego gniew objawiał się w tonie głosu, w spojrzeniu, w całym zachowaniu i działał na mnie mocniej niż jakiegokolwiek klapsy.

Za to matka adopcyjna potrafiła się na mnie zamachnąć, choć zwykle kończyło się na geście przypominającym odganianie muchy. Bicie mogłoby zaszkodzić jej dłoniom, o które bardzo dbała.

Dobrze wiedziała, że skóra na dłoniach zdradza wiek, i usiłowała oszukać czas. Na szczęście miała w domu służbę, więc nigdy nie splamiła się myciem naczyń czy sprzątaniami. Jediną rzeczą, którą myślała, było jej własne ciało, traktowane jakby miała do czynienia z najcenniejszą chińską porcelaną.

– Wybacz, że nie zdążyłam do ciebie, tato – zaczęłam. Spazmatycznie zaczerpnęłam tchu. Łzy gromadziły mi się pod powiekami i obraz ojca rozmywał się w oczach. – Ale przecież nigdy nie żegnaliśmy się wylewnie, prawda? Odwiozłeś mnie na kampus, kiedy zaczęłam studia, ale w przeciwieństwie do innych nie zalewaliśmy się łzami i nie trwaliśmy w uścisku. Nie miałam wrażenia, że chciałbyś zatrzymać małą dziewczynkę, którą jeszcze niedawno byłam. Zachowaliśmy się oboje jak dorośli – dodałam i uśmiechnęłam się przez łzy. – Bo potrafiliśmy sobie radzić z przeżyciami, które dla innych są traumatyczne.

Mówiłeś: „Skup się, skup się na celu”, pamiętasz? Chyba nie zdawałeś sobie sprawy, jak pouczałeś mnie w czasie podróży! Rady płynęły strumieniem, bo pewnie bałeś się powiedzieć „żegnaj”. Ja w każdym razie się bałam. Choć nigdy nie uroniłam łzy w twojej obecności i nigdy nie powiedziałam czegoś, co mogłoby ci sprawić przykrość, bałam się powiedzieć „do widzenia”.

Matka już odeszła, ale nie towarzyszyła mi w najważniejszych momentach mojego życia, więc i teraz mi jej nie brakowało.

„No cóż – powtarzałeś wtedy, tato. – No cóż, no cóż... trzeba jechać. Dzwoni, jeśli tylko będziesz czegoś potrzebować” – powiedziałeś. Pewnie bardziej po to, żeby podtrzymać na duchu siebie, a nie mnie.

„Oczywiście, będę dzwoniła”, zapewniłam. Ile spraw załatwialiśmy słowem „oczywiście”...

Nie spuszczałam z niego oczu. Wyglądał coraz bardziej pomnikowo, jak własny nagrobek. Uświadomiłam sobie, że tylko parę razy widziałam tatę śpiącego. Ani on, ani moja matka adopcyjna nie zapraszali mnie do sypialni, nawet kiedy miałam koszmary. W takich momentach ojciec przychodził do mnie i zagadywał, aż zapomniałam o koszmarze. Pocieszał, ale potem wychodził i zostawiał mnie samą w pokoju.

– Wybacz, że nie zdążyłam do ciebie, tato – powtórzyłam. – A tyle mieliśmy tematów do przegadania. Dopiero zaczęliśmy ze sobą rozmawiać. Mieliśmy nadrobić całe lata ciszy. Co ja teraz zrobię bez ciebie?

Uśmiechnęłam się, bo choć jego usta zamknęły się na zawsze, mogłam sobie wyobrazić odpowiedź. Oczywiście w formie pytania.

„I co teraz zrobisz, Willow? Jak myślisz, co powinnaś zrobić?”

„Myślę, że powinnam skończyć studia i wyjść za Allana, albo kogoś w jego typie, i założyć rodzinę. Nie wiem, jaka będzie teraz moja sytuacja finansowa, ale mam nadzieję, że dam radę utrzymać nasz dom. Czy to dobra odpowiedź, tato?”

„A jak myślisz?”

„Myślę, że dobra”.

„Skoro tak myślisz, jest dobra” – odpowiedziałyby.

W tym momencie uznałam, że nie powinnam mieć wyrzutów sumienia, bo nie dotarłam na czas do szpitala i nie widziałam, jak wydaje ostatnie tchnienie. Przecież tata był ze mną zawsze i zawsze będzie. Nadal będę słyszała jego głos, pytania. I będę mogła liczyć na jego mądrość. To wszystko nie umarło wraz z ciałem. Zdążył zaszczerpić mi ziarna swojej mądrości i teraz zapuściły korzenie, aby wzrosnąć. Będą mnie wspierać i prowadzić przez życie tak, jakby zawsze mi towarzyszył.

Pochyliłam się i pocałowałam jego zimne czoło. Pocałunki w naszym domu były rzadkie niczym ptaki w zimie. Moja matka adopcyjna obawiała się, że rozmaże sobie szminkę. Pozdrowiała ludzi pocałunkiem zdmuchniętym z dłoni albo muskała wargami czyjeś ucho. Tak właśnie całowała mnie w czyjejs obecności.

Tata mnie całował, ale jego pocałunki były szybkie i krótkie, jakby ich się wstydził i bał, że ktoś go przyłapie na czułości. Dość dziwne, wzięwszy pod uwagę jego profesję. Czy psychiatrzy non stop się samoanalizują? – zastanawiałam się. Tata bał się okazać uczucia?

Odgarnęłam kosmyk włosów z martwej twarzy, czego nigdy nie zrobiłam za jego życia. Czasami spoglądaliśmy na siebie z różnych końców pokoju i miałam wrażenie, że on skrycie chciałby mnie przytulić. Nieraz dostrzegałam, że przygląda mi się z ciepłym uśmiechem. Czułam, że walczą w nim sprzeczne odczucia; że trwa rozgrywka pomiędzy pragnieniem przytulenia mnie i ucałowania, chęcią pokazania, że jest moim kochającym tatą – a żelazną zasadą dystansu, która kazała mu z westchnieniem odwracać wzrok albo odchodzić.

Dlaczego?

Dlaczego traktował mnie z takim samym dystansem jak swoich pacjentów? Co takiego zrobiłam, że nie zasłużyłam na jego bliskość – albo co on zrobił?

Nagle uświadomiłam sobie, że tata też miał lęki; że mój silny, wszechmogący ojciec czegoś się obawiał. I nie ochroniły go przed tym naukowa wiedza i psychologiczne techniki. Pod tym względem niewiele się różnił od swoich pacjentów. Tak jak ich, prześladowało go coś zbyt potężnego, aby mógł przed tym uciec czy to ignorować.

Ale co to było?

Co mogło go doprowadzić do takiego stanu?

Bezpownotnie straciłam okazję porozmawiania z nim o tym; do zadania mu pytań w taki sposób, w jaki on zadawał mnie. Szkoda.

Ale przecież niezadanie pytań nie wyklucza uzyskania odpowiedzi, prawda?

Odpowiedzi są i na mnie czekają. Muszę tylko dotrzeć do właściwych miejsc i rozświetlić mroki, przez lata skrywające tajemnice.

Rozdział drugi

LIST OD OJCA

– Czemu tak się dzieje – zapytał kiedyś tata przy kolacji – że ludzie bardziej skłonni są okłamywać siebie niż innych?

Moja matka adopcyjna uniosła wzrok do sufitu. Robiła to często, aż zastanawiałam się, czy widzi tam coś, czego nie widzi nikt inny. Albo kogoś – jakiegoś niewidzialnego przyjaciela, który współczuje jej, że musi żyć w takim domu.

– Claude, przecież dobrze wiesz, że nie cierpię, jeśli przenosisz do domu swoją pracę i traktujesz nas jak swoje audytorium, czy jeszcze gorzej – jak swoich pacjentów. Jestem pewna, że w głębi duszy uważasz nas wszystkich za wariatów – powiedziała z irytacją.

Spoglądałam to na nią, to na niego, jakbym śledziła mecz tenisowy, ale nie śmiałam się odezwać ani nawet zbyt długo patrzeć na M.A. Byłam wtedy nastolatką i nadal dotyczyła mnie święta zasada, którą ustanowiła matka: dziecko przy stole nie może się odezwać bez pozwolenia dorosłych. Zwłaszcza przy jej stole i bez jej pozwolenia.

– A ty dobrze wiesz, Alberto, że nienawidzę tego określenia. Ludzie nie są wariatami. Cierpią na różne zaburzenia, psychozy i neurozy. Wiem, iż trudno byłoby namówić ludzi, żeby wyrzucili je ze swojego słownika, ale przynajmniej ty, jako żona psychiatry, mogłabyś go unikać – rzekł tata tym swoim łagodnym, wyważonym tonem. Często miałam wrażenie, że nikt, nawet buddyjski mnich, nie potrafi zachować tak niewzruszonej równowagi jak mój ojciec.

M.A. odęła usta.

– Tak, panie doktorze – rzuciła cierpko. – Dobrze. – Z westchnieniem pochyliła się znów nad talerzem. – W takim razie racz nam wyjaśnić, co masz na myśli. Kto siebie okłamuje?

Uniosła wzrok i spiorunowała go spojrzeniem, podejrzewając, że to o niej właśnie mówi.

– Nie mam na myśli konkretnej osoby, Alberto. To tylko pewna impresja na temat kondycji ludzkiej i pytanie czysto retoryczne. Po prostu usiłuję zainicjować inteligentną rozmowę.

Uniosła brwi.

– Och, ty przecież rozmawiasz wyłącznie w ten sposób. Wczoraj, kiedy chciałam porozmawiać na temat przebudowy basenu, tylko coś mruknąłeś pod nosem.

– Nie o takich rozmowach myślałem, Alberto.

– Czyżby? Twoim zdaniem rozmawiamy za mało inteligentnie?

– Dobrze już, dobrze – powiedział ojciec ugodowo. – Wybacz, nie chciałem cię zdenerwować. – Umilkł i zajął się jedzeniem.

Nad stołem zapadła cisza niczym ołowiana kurtyna.

Tamto pytanie wróciło do mnie w nagłym przebłysku pamięci. Przypomniałam sobie, jak z ciotką Agnes i Margaret Selby wróciłam ze szpitala do swojego rodzinnego domu. Kiedy zobaczyłam z daleka kamienne kolumny, okłamałam siebie, myśląc, że potrafiłabym zamieszkać w tym miejscu bez taty. Szybko

przekonałam się, że byłoby to nie do zniesienia, bowiem mimo starań M.A., która bez przerwy przemeblowywała i dekorowała dom na nowo, w jego najważniejszych pomieszczeniach niezmiennie dominował duch mojego ojca.

Jego krzesło u szczytu stołu, dramatycznie puste, kłuło mnie w oczy i nie wyobrażałam sobie, że miałabym kiedykolwiek usiąść w tym miejscu. Ulubiony wielki klubowy fotel taty w salonie miał wgniecenia, które zachowały kształt jego ciała. Wiedziałam, że ile razy na niego spojrzę, będę widziała tatę ze stopami na podnóżku, czytającego gazetę czy książkę. Jego gabinet był bez wątpienia sercem całego domostwa. Ojciec rzadko przyjmował pacjentów w domu, ale przychodzili do niego różni ważni ludzie i od razu tam trafiali, przyprowadzani przez Milesa od wejścia. Stamtąd wydawał zamówienia lokajowi lub Amou, jeśli była w pobliżu. Na ścianach gabinetu pozostały dyplomy, nagrody i pamiątkowe fotografie. Czy kiedykolwiek ośmielę się urządzić tam inny pokój?

Na piętrze, w największej z sypialni, królowało małżeńskie łóżko. To miejsce też pozostanie kapliczką? Zapewne oddam jego ubrania, tak jak oddaliśmy stroje M.A. po jej śmierci, ale oprócz tego jest jeszcze mnóstwo osobistych rzeczy, które pozostaną dla mnie pamiątkami po tacie; z wieloma trudno będzie się rozstać. W tym pewnie i z łóżkiem z przerośniętym wezgiem, iście królewskich rozmiarów.

A co z trasami jego spacerów? Czy za każdym razem, kiedy spojrzę przez okno, będę widziała zgarbioną sylwetkę ojca, wracającego powoli ze zwyczajowego spaceru? Czy jeśli sama ośmielę się pospacerować jego ścieżkami, każda ławka po drodze będzie mi podsuwała wizję naukowca, który tutaj siedział, obmyślając swoje artykuły i uczone rozprawy?

Tata kochał nasz dom i posiadłość, choć jego żona bez przerwy wprowadzała tam swoje zmiany. Oczywiście nie wierzyła w to i ciągle powtarzała, że sprawy domu są mu obojętne. Jeśli kwestionował jej pomysły przebudowy czy zmiany wystroju, kręciła głową i mówiła: „Nie udawaj, że ciebie to obchodzi, Claude. Przecież większość czasu spędzasz w swojej ukochanej klinice. To ona jest dla ciebie domem. Aż dziwne, że jeszcze pamiętasz, gdzie masz skarpetki”.

Nie rozumiała go. Dom był dla niego bardzo ważny, choć nie mógł w nim przebywać tyle czasu, ile by pragnął. Był dla niego przystanią, azylem i źródłem natchnienia. Tak przynajmniej uważałam. Bez ojca te mury wydały mi się puste jak skorupa miejsca, które było kiedyś moim rodzinnym domem.

– Musisz pomyśleć, co chcesz zrobić z posiadłością – odezwała się ciotka Agnes, kiedy przejechaliśmy bramę. Zupełnie jakby czytała w moich myślach. – Z drugiej strony to zbyt wielka odpowiedzialność dla tak młodej osoby jak ty. Zwłaszcza że masz studia. Kto się tym wszystkim zajmie?

– A kto zajmuje się teraz? – odpowiedziałam pytaniem na pytanie. – Kto zajmował się przez całe lata?

– Ten wierny sługa twojego ojca? Doprawdy, Willow, nie rozumiem, jak można komuś tak ślepo zaufać! – stwierdziła z niesmakiem.

– To prawda, że on zabił swoje dziecko? – wtrąciła Margaret.

– Nie, nieprawda, nie zabił swojej córki. Zginęła w wypadku samochodowym – odparłam.

– Ale to on prowadził i był pijany, nie?

– Nie chciał przecież jej zabić. Alkoholizm to choroba – tłumaczyłam.

– Jak alkoholizm może być chorobą? Rozumiesz coś z tego, mamó?

– Ludzie, którzy nie są w stanie zapanować nad swoimi nałogami, nazywają to chorobą. To się często zdarza – wyjaśniła ciotka.

– Nieprawda – zaprotestowałam. – Są naukowe dowody, że...

– Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego twój ojciec wybrał psychiatrię – powiedziała. Nie pierwszy raz słyszałam to od niej. – Nasz tata widział go jako wziętego kardiochirurga, który zarabia krocie na operacjach serca, miał na myśli bajpasy. Fakt, w tym przypadku lekarskie sukcesy byłyby wymierne.

Najeżyłam się na te słowa. Nie mogłam ich spokojnie słuchać. Wybacz, tato, powiedziałam mu w myśli.

– Ciociu Agnes, twój brat, a mój ojciec był jednym z najbardziej wziętych psychiatrów w kraju. I uważam, że to nie pora, aby pomniejszać jego osiągnięcia – oznajmiłam, kiedy zatrzymała samochód przed wejściem.

Marzyłam, żeby jak najszybciej z niego wysiąść, bo czułam, że się duszę, jakby zamknięto mnie w celi.

Miles czekał na nas, stojąc w drzwiach z lekko pochyloną głową. Sam jego widok wystarczył, żeby potok łez znów naparł na moje powieki. Kiedy zobaczyłam, że i on musiał przed chwilą płakać, potok przerwał tamy i łyzy pociekły mi po policzkach. Nie próbowałam ich powstrzymać.

Miles miał już prawie sześćdziesiąt pięć lat i gdyby żyła jeszcze moja matka adopcyjna, uznałaby go za żywą ilustrację teorii, że zaburzenia umysłowe przyspieszają starzenie. Rzeczywiście, wyglądał na siedemdziesiąt pięć, nawet osiemdziesiąt lat. Pomimo wysokiego wzrostu teraz wydawał się niski, tak wygiął się jego kręgosłup, obwisły ramiona i zapadła się pierś. Tata poświęcił wiele czasu, żeby zbudować w nim poczucie własnej wartości. Z marnym wynikiem.

Moja kuzynka nie oskarżała go bezpodstawnie. Miles sam uważał, że jest odpowiedzialny za śmierć córki, co doprowadziło go do próby samobójczej, w wyniku której trafił do kliniki mojego taty. Żona go opuściła. Rodzina wydziedziczyła. I wtedy tata wyciągnął do niego pomocną dłoń. Pomógł mu przeżyć tę tragedię i trwać dalej. Przekonał Milesa, że jego nieszczęsne, zmarłe dziecko pragnęłoby, aby tata żył i radził sobie.

– Willow – wyszeptał Miles drżącymi wargami.

Padliśmy sobie w ramiona. Kątem oka widziałam, jak ciotka Agnes i Margaret Selby z tyłu kręcą głowami. Jak można się tak bratać ze służbą?

– Przybiegłem do niego najszybciej, jak mogłem – powiedział. – Gdy tylko zobaczyłem, jak upada.

– Wiem, Miles. – Posłałam mu najbardziej pocieszający uśmiech, na jaki mnie było stać. Odpowiedział mi nikłym, bladym uśmiechem.

– Zrobię paniom herbatę – zaproponował, kiedy weszliśmy. – Będzie trzeba zamówić jedzenie, skoro panie zamierzają nocować. – Zerknął na ciotkę Agnes i jej córkę. – Ja i mój pan ostatnio nie potrzebowaliśmy wiele.

– Pozwól, że ja się tym zajmę. – Ciotka wychylnęła zza moich pleców. – Ty sprawdź, czy w naszych sypialniach jest czysta pościel, a w łazienkach ręczniki – zarządziła i przemaszerowała obok niego jak dowódca przed szpalerem wojska.

– Na jak długo tu się zatrzymamy, mamó? – spytała Margaret Selby.

– Tak długo, jak będziemy potrzebne. A teraz idź do swojego pokoju, odśwież się i bądź gotowa, bo za chwilę zaczną napływać goście z kondolencjami. Trzeba zadbać, żeby było ich czym ugościć – dodała i spojrzała na mnie. – Najpierw muszę zobaczyć, co jest w domu.

Energicznym krokiem ruszyła do kuchni i spiżarni. Ja i Miles staliśmy biernie i nieruchomo jak obserwatorzy. Margaret Selby wydała z siebie cichy jęk frustracji i ścisnęła mnie za ramię.

– Willow, odpocznę sobie chwilę, a potem dołączę do was. Pamiętam, jaki to był trudny czas, kiedy umarł mój tata. Na szczęście mama – zerknęła w stronę ciotki Agnes – świetnie sobie radzi w takich sprawach. Możesz absolutnie na niej polegać, tak jak ja.

Szybko cmoknęła mnie w policzek i pobiegła na górę.

Popatrzyliśmy na siebie z Milesem, tłumiąc uśmiech rozbawienia. Margaret potrafiła być rozbrawająca w swojej głupocie.

– Będę w gabinecie taty, Miles.

– Bardzo dobrze, Willow. Przyniosę ci herbatę i biszkopty. Wiesz – te, które tak lubi twój tata – powiedział i w tym samym momencie oboje uświadomiliśmy sobie, że mówiąc o tacie, będziemy musieli odtąd używać czasu przeszłego. – Te, które lubił – poprawił się.

– Dzięki, Miles – powiedziałam.

Ruszyłam w stronę gabinetu, mijając wejście do kuchni, gdzie ciotka Agnes energicznie trzaskała drzwiczkami szafek. Pomyślałam, że należy do osób chętnie wykorzystujących okazje, żeby zarządzać sprawami innych ludzi. Są jak strażacy, tak podnieceni wyzwaniem i przypływem adrenaliny, iż w ogniu walki zapominają, że scena, gdzie grają rolę na użytek innych, jest sceną dramatu.

Usłyszałam, jak ciotka Agnes wykrzykuje w kuchni do Milesa:

– Nie do wiary! Można by pomyśleć, że mój brat żył z zasiłku. Ostatni raz takie puste półki widziałam, kiedy rozwoziłam posiłki dla starych ludzi, którzy nie wychodzili już z domu.

– Doktor miał wszystko, czego mu było potrzeba – stwierdził Miles urażonym tonem. – Niczego mu nie brakowało.

Odchrząknęła z dezaprobatą.

Uśmiechnęłam się pod nosem i przyspieszyłam kroku. Gabinet znajdował się w końcu korytarza, na tyłach domu.

Budynek był duży, utrzymany w stylu neogotyckim. Moja matka adopcyjna uważała, że jest zbyt ponury, i często mawiała: „Za każdym razem, kiedy do niego podjeżdżam, mam wrażenie, że gapi się na mnie spode łba, choćbym nie wiem jak udekorowała okna”.

Gdyby mogła, zburzyłaby ten dom do fundamentów i zbudowała nowy, lecz tata nie chciał nawet o tym słyszeć. Domostwo było siedzibą jego rodu od prawie stu pięćdziesięciu lat. Przynajmniej ten fakt matka mogła wykorzystać. Szczyciła się nim wobec przyjaciół i gości, ich domy nie miały aż takiej historii.

Dom był piętrowy i z dużym poddaszem, które zajmowało prawie całą jego powierzchnię. Prząd budynku zdobił duży, rzeźbiony szczyt, a po bokach znajdowały się dwa mniejsze. Łukowe zwieńczenia większości okien stanowiły dodatkowe zabezpieczenie dla szyb przed wodą spływającą po ścianie. Na froncie był portyk z ozdobnymi ceglanyimi kolumnami.

Drzwi wejściowe, łukowe, z ostrym wysokim zwieńczeniem, matka najchętniej wymieniłaby na zwykłe, gdyż te kojarzyły jej się z demonicznym wejściem do piekła, jak mówiła. Wiedziała jednak, że sprawa jest z góry przegrana, gdyż zmiana tak istotnego elementu zaburzyłaby historyczny styl domu.

Było tam pięć sypialni, pokój dla służby, w którym kiedyś mieszkała Amou, a teraz Miles, oraz pokój dzienny, salon i wielka jadalnia ze stołem, gdzie mogło usiąść dwanaście osób. I oczywiście gabinet taty.

Zatrzymałam się w progu. Choć zakazu nie wryto w kamieniu ani nawet go nie wypowiedziano, od dziecka wiedziałam, że nie można bawić się w gabinecie taty czy wchodzić tam pod jego nieobecność. Nawet moja matka adopcyjna rzadko tam zaglądała, kiedy ojciec nie siedział za biurkiem. Nigdy tego wyraźnie nie powiedziała, ale miałam prawie pewność, że jej zdaniem choroby psychiczne, które leczył, są zaraźliwe i pacjenci odwiedzający gabinet mogą je roznosić. Jakby paranoja czy nerwice natręctw rozprzestrzeniały się poprzez zarazki!

Tata, jeśli nawet domyślał się jej odczuć, nie próbował ich zmienić. Myślę, że lubił mieć swoje miejsce w domu, gdzie mógł się odosobnić. Oparta o framugę, patrzyłam na jego duże biurko z ciemnej czereśni, przy którym stał obity skórą, kręcony fotel z wysokim oparciem. Uśmiechałam się, przypominając sobie, jak M.A. stała w tym miejscu i pytała o coś tatę, albo mówiła do niego, nie śmiąc przekroczyć niewidzialnej linii. Byłam pewna, że tata specjalnie mówił wtedy ciszej, a ona musiała co chwila prosić, żeby powtórzył, co powiedział. Wreszcie, zniechęcona, rezygnowała. Kiedyś zajrzałam do gabinetu w takim momencie i dostrzegłam, jak tata uśmiecha się ze skrywaną satysfakcją. Mrugnął do mnie i poczułam się zaszczycona, jakby powierzył mi sekret, który muszę zagrzebać głęboko w najniższej szufladzie swojej komody.

Mniej więcej przed dziesięciu laty ojciec kazał zrobić regał na ścianie po lewej stronie od wejścia. Jego najwyższa część składała się z szeregu zamykanych szafek. Był wypełniony książkami, dokumentami,

wydawnictwami fachowymi i innymi papierami. Pośrodku jednej z półek stał miniaturowy antyczny zegar, który tata dostał w darze od pewnego Anglika w podziękowanie za wyleczenie jego córki. Zegar miał inskrypcję: „Choroba jest rzeczą ludzką, a wyzdrowienie – boską” – nawiązującą do słynnego cytatu ze sztuki Alexandra Pope’a: „Mylić się jest rzeczą ludzką, a wybaczać – boską”. Rzymskie cyfry na tarczy jarzyły się szlachetnymi kamieniami. Tata śmiał się, że zegar tyka z brytyjskim akcentem. Wsłuchałam się w to tykanie i przymknawszy oczy, stałam tak chwilę, wyobrażając sobie, że ojciec siedzi przy biurku.

Pamięć podsuwała mi szczegóły. Oto patrzę przez uchylone drzwi i widzę, że tata ma na sobie jedną z ulubionych tweedowych marynarek ze skórzanymi łatami na łokciach. Zawsze pachniał dobrą, męską wodą kolońską, która – choć nie palił – miała szlachetną tytoniową nutę. Kiedy zrobiłam krok i weszłam do pokoju, poczułam, że ta woń jeszcze wisi w powietrzu.

Z wolna obchodziłam gabinet, rozglądając się, jakbym widziała go po raz pierwszy. Przesuwałam wzrokiem po dyplomach, nagrodach i obrazach. Było tam wiele fotografii oprawnych w ramki, przedstawiających tatę w towarzystwie ważnych polityków, nawet gubernatora stanu i senatora. Jednak w centralnym miejscu umieścił dwa moje zdjęcia. Na pierwszym miałam pięć lat i pozowałam wystrojona na przyjęcie wydane przez M.A. w rocznicę ich ślubu. Drugie było pamiątką z ukończenia gimnazjum. Stałam pomiędzy tatą i M.A., która sprawiała wrażenie, jakby bardzo starała się przyciągnąć uwagę innych. Spojrzenie miała lekko znudzone, błędzące gdzieś w oddali. Natomiast tata patrzył na mnie i obiektyw uchwycił jego spojrzenie przepełnione miłością, jakiego jeszcze u niego nie widziałam. Zupełnie zapomniałam o tej fotografii.

Stałam obok fotela przy biurku. Dotąd nie śmiałam nawet pomyśleć, że mogłabym w nim usiąść. Przesunęłam wzrokiem po blacie i zobaczyłam otwarty żółty notes z zapisaną prawie do końca pierwszą stroną. Przyjrzałam się tekstowi i stwierdziłam, że tata zapisywał idee nowego artykułu o chorobie dwubiegunowej. Między innymi dotyczące dobroczynnego wpływu natury. Widać było, jak ważny jest dla niego medytacyjny potencjał kultowych spacerów. Szkoda, że nie dokończy już tego artykułu, pomyślałam. Tyle jeszcze mógłby zrobić dla ludzi.

Dzwonek telefonu wyrwał mnie z zamyślenia. Chwilę tępo spoglądałam na słuchawkę. Nigdy nie odbierałam tutaj telefonów, ale dzwonił uporczywie, i uległam. Okazało się, że to nasz rodzinny prawnik, pan Bassinger.

– Willow, przyjmij wyrazy mojego najgłębszego współczucia – zaczął.

Widziałam go tylko parę razy w życiu, zwykle na przyjęciach w naszym domu. Zbliżał się do siedemdziesiątki i był prawie o dziesięć lat starszy od taty, ale panowie przyjaźnili się, odkąd pamiętam.

– Dziękuję, panie Bassinger. To wszystko jest jeszcze tak świeże, że niemal nierealne dla mnie – przyznałam.

– Wiem, jak bardzo ci ciężko, i podzielam twój ból. Dzwonię, ponieważ twoja ciotka zdążyła już zawiadomić moją kancelarię i poprosić, żebyśmy zajął się stroną prawną tej sytuacji.

– Widzę, że ciocia nie zasypia gruszek w popiele – stwierdziłam.

– Istotnie – odparł służbowym tonem. Jak widać ciotka zmusiła go, aby wystąpił raczej we wcieleniu prawnika niż przyjaciela rodziny. – W każdym razie, Willow, możesz na mnie liczyć, zajmę się wszystkim. Ale już w tej chwili mogę cię zapewnić, że poza tym, co twój ojciec zostawił klinice, reszta majątku należy się tobie i jesteś jedyną spadkobierczynią.

– Dziękuję, panie Bassinger.

– I jeszcze jedno – dodał. – Mam w swoim sejfie kopertę z dokumentami, zdeponowaną przez twojego ojca z zaleceniem, abym dał ci to po jego śmierci. Dostarczę kopertę jeszcze dzisiaj, jeśli sobie życzysz.

– Tak, oczywiście. Co ona zawiera?

– Willow, uwierz mi, dostałem kopertę zaklejoną i zapieczętowaną. Nie otwierałem jej, a twój ojciec

nie udzielił mi więcej informacji na ten temat.

– Rozumiem. – Serce zaczęło mi walić, nie wiedziałam dlaczego.

– Jeszcze raz chcę powiedzieć, że jest mi niezmiernie przykro. Zawsze mu powtarzałem, że odejdę pierwszy. Jesteś o wiele za młoda, żeby stracić oboje rodziców, a on powinien jeszcze pożyć.

– No właśnie. Nie zdawałam sobie sprawy, że miał problemy z sercem.

– Był jak przysłowiowy szewc, który chodzi bez butów. Leczył innych i zaniedbywał własne zdrowie.

Wspaniały człowiek! Cóż, czekaj na mnie, niedługo się zjawię.

Podziękowałam mu jeszcze raz i odłożyłam słuchawkę.

Ciotka Agnes pojawiła się w drzwiach i zatrzymała w progu, zupełnie jak kiedyś moja matka adopcyjna.

– Pogrzeb jest pojutrze, Willow – poinformowała. – Spodziewam się tłumów, więc wynajęłam firmę, która dostarczy kelnerki i zajmie się zaopatrzeniem. Takich rzeczy Miles nie byłby w stanie załatwić. Kiedy zadzwoniłam do przedsiębiorstwa pogrzebowego, okazało się, że twój ojciec zostawił ściśle instrukcje do pochówku. Zawsze potrafił o wszystko zadbać. Już jako mały chłopiec był najlepiej zorganizowaną osobą w rodzinie. Mama nigdy nie musiała namawiać go do sprzątanía, a w jego pokoju panował pedantyczny porządek.

Urwała, przepuszczając Milesa, który przyniósł mi na tacy herbatę i biszkopty.

– Czemu kazałaś mu przynieść tutaj? – spytała, gdy postawił tacę na stoliczku przed kanapą.

– Dzięki, Miles – powiedziałam, ignorując jej pytanie.

Kiedy wyszedł, zamieszałam w filiżance i nie patrząc na ciotkę, oznajmiłam:

– Wybacz, ciociu Agnes, ale chciałabym zostać tu sama na pewien czas.

Wypuściła powietrze przez zaciśnięte wargi i zniknęła z drzwi.

Zerknęłam na fotel przy biurku, jakby tata tam siedział. Niemal widziałam, jak mruga do mnie. Uśmiechnęłam się, a potem łzy popłynęły strumieniem.

Złe wieści rozchodzą się z szybkością błyskawicy. Tak jakby każdy, do kogo dotarły, czuł się w obowiązku, aby podać je dalej. Albo chciał się jak najszybciej ich pozbyć, żeby nie zatrąły mu życia. Jak przysłowiowego gorącego kartofla. Wkładasz go komuś w rękę, żeby nie sparzył twojej.

Telefon dzwonił niemal bez przerwy. Na szczęście ciotka Agnes załatwiała wszystkie rozmowy. Byłam jej wdzięczna, że przyjęła na siebie impet tej wzbierającej fali współczucia, która groziła potopem. Tata miał mnóstwo przyjaciół i znajomych nie tylko z dziedziny psychiatrii, ale też innych gałęzi medycyny, nie mówiąc o personelu i pacjentach kliniki, z których wielu było zdruzgotanych jego śmiercią.

Pamiętałam, ilu żałobników zjawiało się w tym domu po śmierci mojej matki adopcyjnej. Teraz, słysząc, jak ciotka Agnes wisi na telefonie, miałam wrażenie, że będzie ich jeszcze więcej. Ciotka dwoiła się i troiła; wykrzykiwała rozkazy dla Milesa i usiłowała jak najszybciej ściągnąć ekipę sprzątającą, gdyż uznała, że dom jest zapuszczony.

– Nie wiem, co sobie myślał mój brat, kiedy niedługo po śmierci twojej matki zwolnił całą służbę, zostawiając tylko Milesa. Może uznał, że skoro żona odeszła, a ty wyjechałaś na studia, nie będzie miał już tylu potrzeb. Zupełnie jakby kobiety w tym domu najbardziej bałaganiły i brudziły – mruknęła. – Widziałas pokłady kurzu w salonie? Założę się, że ani twój ojciec, ani Miles nie wchodzili tam po śmierci twojej matki. Mogę sobie tylko wyobrazić, jak wyglądają pokoje gościnne!

– A ja nie sądzę, ciociu Agnes, że goście, którzy przyjadą złożyć kondolencje, będą sprawdzali, czy na meblach jest kurz – odparłam.

– Oczywiście, że będą – fuknęła. – Ludzie zawsze węszą w cudzych domach i sprawach. Ale nie martw się, wszystko będzie sprzątnięte – zapewniła. – A gdzie się podziała Margaret Selby? Ona też ma do

zrobienia parę rzeczy – dodała i oddaliła się szybko, żeby poszukać córki. Margaret zapewne paplała przez telefon ze swoimi kumpelkami z Charlestonu, skarżąc się, że musi tu tkwić aż do czasu pogrzebu.

Wreszcie postanowiłam zadzwonić do Allana i poszłam na górę do swojej sypialni. Odezwała się automatyczna sekretarka, więc zostawiłam smutną wiadomość. Potem usiłowałam trochę odpocząć, gdyż wiedziałam, że w tej sprawie ciotka Agnes ma rację – do naszego domu zaczyną niedługo napływać tłumy i moim obowiązkiem będzie przyjmowanie gości.

Po niecałych dwóch godzinach obudził mnie telefon. Miałam osobny numer, więc ciotka nie mogła odebrać na dole. Dzwonił Allan.

– Cześć – powiedział. – Współczuję z powodu taty. Z tego, co mówiłaś, nie wynikało, że jest aż tak fatalnie.

– Bo sama nie wiedziałam.

– Uhm. Szkoda. Nie był taki stary, prawda?

– Nie miał jeszcze sześćdziesiątki.

– No tak. A kiedy pogrzeb?

– Pojutrze.

– No tak. – W jego głosie wyczułam roztargnienie. – Wiesz, Willow, że gdybym tylko mógł, byłbym tam z tobą, ale mam egzamin z prawa konstytucyjnego, a sama wiesz, jaki ostry jest Heller. U niego nie ma zmiłuj i tylko śmierć mogłaby usprawiedliwić niepodejście do egzaminu. A gdyby ktoś przypadkiem wstał z grobu, powinien pędem lecieć i zdawać – dodał z cichym śmiechem. – Ale szanuję gościa i chciałbym mieć u niego dobre wyniki.

Dalej rozprawiał o swojej uczelnianej karierze, jakby temat śmierci mojego ojca uznał za zamknięty. A może po prostu próbował odciągnąć moje myśli od tragedii. Wielu tak robi w podobnych sytuacjach, prawda? Tak, Allan chciał złagodzić mój ból.

– Wrócisz po pogrzebie? – zapytał wreszcie.

– Tak, gdy tylko pozałatwiam najważniejsze formalności.

– À propos, mam cię usprawiedliwić na uczelni?

– Nie.

– Głowa do góry, Willow. Tęsknię za tobą, ale na szczęście mam mnóstwo pracy. Zadzwoni, gdybyś czegoś potrzebowała, dobrze?

– Dobrze. – Czekałam, aż usłyszę coś więcej; aż dowiem się, jak bardzo mu na mnie zależy, jak bardzo chciałby być tu ze mną i mnie wspierać. Chciałam usłyszeć „kocham cię”.

– Och – podjął po chwili milczenia, jakby w ostatniej chwili przypomniał sobie o ważnym szczególe. – Kocham cię, Willow.

– Ja też cię kocham, Allan.

Odłożyłam słuchawkę, czując w duszy nieznośną próżnię. Ten telefon powinien podnieść mnie na duchu, dać mi siłę przetrwania. Leżałam na łóżku, wpatrzona w sufit, kiedy ktoś zapukał do drzwi sypialni.

– Willow? – zawołała Margaret Selby. – Śpisz?

– Nie. – Wstałam. – Wejdz.

Uchyliła drzwi i zajrzała do pokoju.

– Wejdz, Margaret. Śmiało – zachęciłam.

– Oj, dobra – mruknęła, jakby coś wpychało ją tu na siłę z korytarza.

Przebrała się w czarny krótki żakiet z czarnej krepy i obcisłą czarną sukienkę. Normalnie bym pomyślała, że to bardzo ładny zestaw, ale niestety miało się wrażenie, że kupiła go, zanim przybrała na wadze, i wcisnęła się w niego na siłę.

– Mama stwierdziła, że ta kiecka będzie najlepsza na tę okazję – powiedziała. – A ty jak myślisz?

– Każdy, kto w takim momencie myśli o ciuchach, jest kandydatem do kliniki mojego taty – mruknięłam i wyszłam do łazienki.

– Elegancki strój świadczy o szacunku, Willow. Jeśli na taką okazję włożyłabym dzinsy, nawet markowe, nie wyglądałoby to fajnie, nie?

Rozległo się ciurkanie.

– Siusiasz? – zawołała przez drzwi.

– Opróżniam pęcherz – uściśliłam.

– Uf. Zamknij drzwi. Boże, pomyśleć, że należymy do tej samej rodziny!

Spuściłam wodę i zaczęłam się rozbierać, żeby wejść pod prysznic.

– Mama prosiła, abym ci przekazała, że przyjechał księgowy twojego taty z małżonką – poinformowała mnie głośno Margaret. – Uważa, że powinnaś zejść do nich. A, jeszcze coś – na pogrzebie będą bracia twojej mamy z żonami oraz twoje kuzynki i kuzyni: Lucille Ann, Merrilou, Branson i Lance. Przystojny jest ten Lance, nie uważasz?

Nie odpowiedziałam. Weszłam do kabiny i puściłam wodę. Przestałam ją słyszeć, choć nie przestała mówić. Kiedy skończyłam i wyłoniłam się z kabiny, Margaret była w połowie zdania – jak się zdaje opowieści o tym, jak kochała się kiedyś w moim kuzynie. Owinęłam się ręcznikiem i wyszłam z łazienki.

– Śluby i pogrzeby to okazje do rodzinnych spotkań – podsumowała. – Za trzy miesiące oni wszyscy pojawią się na moim ślubie. Zaprosimy ich, nawet krewnych twojej mamy.

– A ty... czy przyjedziesz z osobą towarzyszącą? – Jak widać pragnęła wy badać, czy mam kogoś.

– Margaret Selby – powiedziałam, obracając się ku niej – rozumiem, ile znaczy dla ciebie twój ślub i jak się nim ekscytujesz, ale uwierz mi, że na razie moje myśli nie sięgają dalej niż pojutrze. Do dnia, w którym pochowam tatę obok mamy w zimnym grobie na cmentarzu.

Wpatrywała się we mnie i po chwili zalała się łzami.

– Willow, próbowałam cię tylko zagadać, żebyś nie myślała o nieszczęściu. Nie chciałam robić wrażenia, że mój ślub jest ważniejszy niż pogrzeb twojego taty. Strasznie cię przepraszam...

– Margaret.

Odwrociła się na pięcie i wybiegła z mojej sypialni. Popatrzyłam za nią, po czym przeszłam do garderoby, żeby wybrać coś odpowiedniego. Tata pewnie by mi wytknął, że potraktowałam ją zbyt ostro. Posiadał zdumiewającą zdolność postrzegania spraw z perspektywy drugiego człowieka. Jeśli miałam nadzieję choć w części powtórzyć jego sukces, muszę bardziej przemyśleć swoje zachowania.

Ubrałam się i zeszłam na dół. Ciotka Agnes przyjmowała procesję gości, siedząc w salonie na wiktoriańskim fotelu z wysokim oparciem. Wyglądała jak królowa i za taką się uważała. Księgowy taty, Lester McRoe, który prowadził również rachunki kliniki, przybył z małżonką, tak jak powiedziała Margaret. Sprawiał raczej wrażenie, jakby został tu wezwany. Kiedy weszłam, rozmowa się urwała. Małżonka Lestera uścisnęła mnie, a on ujął moją dłoń w swoją i wygłosił stosowną formułkę.

– Wiadomość była dla mnie wielkim szokiem – powiedział. – Chcę cię zapewnić, że możesz na mnie liczyć, jeśli tylko będziesz czegoś potrzebować. Mam wszelkie informacje o posiadłości, kontaktach...

– Dzięki – odparłam szybko.

– Twój ojciec był bardzo systematycznym człowiekiem.

– Wiem. Ale proszę wybaczyć, nie jestem jeszcze gotowa na takie rozmowy.

Spojrzałam na ciotkę Agnes, która zdawała się gotowa na wszelkie rozmowy. Mnie jednak w takim momencie pragmatyzm raził. Każdy zmarły zasługuje, żeby być szczerze opłakany, przynajmniej przez ludzi, którzy kochali go czy szczerze lubili, pomyślałam.

– To są bardzo poważne sprawy, Willow – stwierdziła ciotka.

– Wiem, ale śmierć własnego ojca jest również sprawą poważną – rzuciłam ostro, ucinając dalszą dyskusję.

Pan McRoe zerknął na żonę, która stała z miną „a nie mówiłam?”, jakby od początku odradzała mu przyście. Jak widać przyznał jej rację. Cofnął się zawstydzony, że zbyt nachalnie naciskał na rozmowę o spadkowych konkretach. Szczęściem niezręczna cisza została przerwana przez przybycie następnych gości, pragnących złożyć kondolencje i bliższych mojemu tacie – jego przyjaciół i współpracowników.

Trzeba przyznać, że ciocia Agnes świetnie wszystko przygotowała. Byłam jej wdzięczna za sprawną organizację. Wróciła Margaret Selby, oczy ciągle miała czerwone od płaczu z powodu mojego wybuchu. Na szczęście obecni uznali ślady łez za widomą oznakę żalu po zmarłym, a Margaret chętnie wpisała się w tę ocenę, toteż na prawo i lewo rozpowiadała, jak jest jej smutno.

Po godzinie pojawił się pan Bassinger z żoną Thelmą. Przywitawszy się z ciotką i z Margaret, podszedł do mnie, uściskał mnie serdecznie, po czym zapytał, czy możemy chwilę porozmawiać na osobności. Odprowadzani podejrzliwym spojrzeniem ciotki Agnes, opuściliśmy towarzystwo i przeszliśmy do gabinetu taty. Adwokat trzymał dużą kopertę – tę, o której mówił przez telefon.

Weszliśmy i chwilę staliśmy przed biurkiem, patrząc na nie.

– Ciągle nie mogę się pogodzić z myślą, że go już nie ma, Willow. To była osobowość, wielka osobowość. Kiedy tu wszedłem, podświadomie oczekiwałem, że zobaczę go w tym fotelu, że uśmiechnie się do nas, zdziwiony zamieszaniem, i zapyta, skąd się wzięli ci wszyscy ludzie.

– Wiem – przytaknęłam z uśmiechem.

Patrzył jeszcze chwilę, a potem wziął głęboki oddech i odwrócił się do mnie.

– Nie chciałbym w takiej chwili obciążać ci głowy aspektami prawnymi, ale zostałem zobowiązany jak najszybciej dostarczyć ci to po jego śmierci. Rzadko się zdarzało, aby tak nalegał na wykonanie polecenia. Sama wiesz najlepiej, że był bardzo zdystansowaną osobą. W takim razie proszę. – Podał mi kopertę. – Miałem ci ją przekazać wraz z następującą instrukcją: przeczytaj list w spokoju i w skupieniu, a przede wszystkim bez świadków. Ojciec podkreślił, że list jest adresowany wyłącznie do ciebie.

Spojrzałam na kopertę. Była gruba.

– Kiedy ta koperta znalazła się w pańskim sejfie, panie Bassinger?

– Twój ojciec dał mi ją mniej więcej sześć miesięcy po tym, gdy zamieszkałaś z nimi w domu.

– Więc dziewiętnaście lat temu?

Skinął głową.

– I dołączyłem do koperty swoją notatkę, instruując mojego partnera w kancelarii, aby zwrócił ją twojemu ojcu w przypadku mojej śmierci; nie przyszło mi do głowy, że on mógłby umrzeć wcześniej. Często sobie z tego żartowaliśmy, ale jak widać, okazał się lepszym jasnowidzem niż ja – dodał i łzy zalśniły mu w oczach.

Uścisnęliśmy się, a potem włożyłam kopertę do szuflady biurka i wróciłam z adwokatem do salonu, gdzie zgromadzili się już wszyscy goście. Musiałam uzbroidać się w cierpliwość i czekać na okazję do otwarcia koperty. W ciągu następnych paru godzin nie przestawałam o niej myśleć ani na chwilę. I cały czas widziałam śledzący mnie, uważny wzrok ciotki, która kręciła szyją jak ptak, sprawdzając, czy aby znów nie konspiruję z panem Bassingerem.

Kiedy prawnik wraz z żoną szykował się do wyjścia, szepnął do mnie:

– Zadzwoń do mnie, jeśli będziesz chciała wiedzieć coś, co się wiąże z wiadomą sprawą.

Podziękowałam mu. W ciągu godziny wyszli ostatni goście. Zaledwie zostałyśmy same, ciotka Agnes nie wytrzymała.

– Jaką to pilną sprawę miał do ciebie pan Bassinger, że nie mógł poczekać paru dni? – zagadnęła.

– Mówiliśmy o najpilniejszych rzeczach, które trzeba załatwić – odparłam wymijająco.

– Myślałam, że cierpisz z żalu i nie jesteś jeszcze gotowa na rozmowy o przyziemnych sprawach. Czyż nie tak powiedziałaś panu McRoe? – zapytała podstępnie, mierząc mnie twardym, podejrzliwym spojrzeniem.

– Dziękuję za wszystko, ciociu Agnes. Bardzo mi pomogłaś – powiedziałam i uśmiechnęłam się do niej.
– A teraz powinniśmy odpocząć – dodałam, udając, że nie słyszałam jej pytania.

Margaret Selby już zamykały się oczy.

Odwróciłam się i wyszłam, zostawiając je w salonie. Kiedy znalazłam się w gabinecie taty, zamknęłam drzwi na zasuwkę. Podeszłam do biurka, usiadłam w fotelu ojca, otworzyłam szufladę, wyjęłam kopertę i położyłam ją na biurku. Długą chwilę wpatrywałam się w nią, nie robiąc żadnego ruchu. Te wszystkie sprawy i formalności prawne przerażały mnie. Co może być w środku?

Wreszcie sięgnęłam po nóż z kości słoniowej do papieru i powoli rozciąłam kopertę. W środku były kartki zapisane ręką taty.

Wzięłam kolejny głęboki oddech i zaczęłam czytać pierwszą stronę. To był list. Do mnie.

Kochana Willow!

Pozwól, że zacznę od błagania o wybaczenie. Prawdę, którą wkrótce poznasz, powinnaś znać od dawna, przez całe swoje życie. Taką prawdę powinno znać każde dziecko i zwykle tak jest. Ukrywanie tego sekretu przez całe życie było dla mnie nieznośnym ciężarem. Przy czym Twoja matka także go nie знаła. Bałam się, że zacznie coś podejrzewać, ale była zbyt zaślepiona miłością własną i skupiona na sobie, żeby cokolwiek zauważyć. Przyszło mi do głowy powiedzenie: „Nikt nie jest tak ślepy jak ci, którzy nie widzą”. Ona nawet nie próbowała zobaczyć. I nie widziałaby nic, nawet gdyby tę prawdę podsunąć jej pod same oczy. A może nie chciała nic widzieć. Czasami lepszym wyjściem jest ignorancja.

Nie przeczę, iż rozważałem pozostawienie Ciebie w niewiedzy, ale w głębi serca czułem, że postąpiłbym niegodnie. A jednak nie miałem odwagi wyjawić Ci tajemnicy za życia. Zapewne znalazłbym wiele przyczyn mojego tchórzostwa, lecz żadna z nich nie może być usprawiedliwieniem.

Mimo to śmiem błagać Cię o wybaczenie. Uwierz mi, Willow, że okropnie cierpiałem z tego powodu. I cokolwiek o mnie pomyślisz, zapewniam Cię, że zawsze chciałem, żebyś była szczęśliwa. Mam nadzieję, że nadal jesteś, i modlę się o to.

Wiem, że za mało powiedziałem i czujesz niedosyt, ale chciałbym, żebyś na początek wiedziała tylko to:

Kocham Cię, Willow.

Kocham Cię.

Tata

Łzy płynęły mi po twarzy i skapywały na papier. Odłożyłam list na bok i szybko otarłam mokre policzki. Długo siedziałam nieruchomo, łapałam oddech i walczyłam z uciskiem w piersi. Wreszcie ustąpił. Przełknęłam gulę w gardle i znów pochyliłam się nad biurkiem. Sięgnęłam po list i zaczęłam czytać następną stronę.

Zaczynała się tak:

Jeżeli ktoś powiedziałby mi kiedyś, że zakocham się w swojej pacjentce, zaleciłbym tej osobie leczenie w mojej klinice.

I oto muszę przyznać, że stało się nieprawdopodobne.

Rozdział trzeci

PRAWDA UJAWNIONA

Nie wiem, ile razy miniaturowy zegar taty wybijał godzinę. Odkąd zaczęłam czytać dziennik, przestałam go słyszeć. Byłam jak zahipnotyzowana, zupełnie straciłam kontakt z rzeczywistością. Zapomniałam o upływie czasu, o zmęczeniu, o całym świecie. Przerywałam czytanie tylko na krótkie momenty, żeby wziąć oddech, zapłakać czy zaśmiać się. Często unosiłam wzrok znad listu, by z niedowierzaniem zapytywać samą siebie, czy to na pewno jest list mojego taty? Naprawdę autorem tych słów, opisów i stwierdzeń jest człowiek, którego znałam?

Autor listu nie sprawiał wrażenia człowieka mającego naukowe, kliniczne spojrzenie na świat. To nie był człowiek, jakiego znałam – zorganizowany, trzymający swoje emocje w ryzach, który obawiał się mnie przytulić, trzymać za rękę, całować w policzki; mężczyzna, którego nigdy nie widziałam płaczącego, nawet na pogrzebie własnej żony.

Ze stron, jakie dotąd przeczytałam, wycierał zupełnie inny mężczyzna; nad wyraz wrażliwy, którego emocjonalna kolejka górską wynosiła z dołów melancholii ku najwyższej ekstazie; jego miłosne wyznania wywoływały rumieńce na moich policzkach, pisał bowiem w stylu godnym największych romansowych powieści.

Szybko przeszedł do bardzo czułego, ciepłego i zarazem szczegółowego opisu, jak zakochał się w Grace Montgomery i jak wyglądał ich pierwszy raz. Klinika, przeze mnie postrzegana jako zimny, sterylny świat, w jego liście to romantyczny azyl. Pisał: *Rano nie mogę się doczekać, kiedy znajdę się w klinice. Zupełnie jakbym odkrył drzwi do raju.*

Fragmety, gdzie tata opisywał widok rzeki, płynącej za oknami kliniki, popołudniową atmosferę w salach i na korytarzach oraz muzykę, mającą uspokajać pacjentów, świadczyły, ile było w nim ciepła i wrażliwości, czego nawet nie podejrzewałam.

Kiedy jesteś z kimś, kogo kochasz – notował – najbardziej przyziemne rzeczy nagle stają się piękne.

Czytając wzruszające miłosne słowa ojca, chłonełam jego szczęście i radość, jego cudownie przywróconą młodość i czułam, że kocham go od nowa.

Opisywał, że trzymał Grace Montgomery w klinice dużo dłużej, niż wymagała tego terapia, a ona była szczęśliwa, bo kochała go tak samo mocno jak on ją. Poza tym miała powody, żeby nie spieszyć się do swojego domu w Palm Beach na Florydzie. Tata nie pytał jakie.

Zaskoczyło mnie, że dopuścił, aby zaszła w ciążę, nie zadbał o antykoncepcję. Jednak intensywność tego romansu i żywiołowa spontaniczność ich spotkań miały cechy szaleństwa młodości, kiedy rozsądek zostaje wyłączony.

Rozmawiali o usunięciu ciąży, ale Grace Montgomery marzyła o urodzeniu dziecka, które byłoby owocem i symbolem ich wielkiej miłości. Początkowo tata protestował, ale szybko pogodził się z jej zdaniem i zaczął myśleć o adopcji dziecka – którym oczywiście byłam ja.

Ułożył plan i wersję tej historii na użytek swojej żony. Ujawnił, że zawarł z nią układ – w zamian za

zgody na adopcję obiecał jej hojne dofinansowanie i niezależność. Mogła wychodzić, dokąd chciała, robić, co chciała, i mieć wszystko, czego zapragnęła. Wszystkie te dyskusje o zmianach w domu czy w ich życiu były raczej na pokaz, gdyż podstawowe zasady ustalono na samym początku. Matka chętnie korzystała ze swoich przywilejów i tata rzadko kiedy usiłował ją przekonać, żeby zmieniła zdanie w jakiejś sprawie.

Teraz zrozumiałam w pełni, skąd brał się jej dystans do mnie i krytycyzm. Co prawda nie wiedziała, że jej mąż jest moim biologicznym ojcem, ale i bez tego była mi niechętna. Nie mogła zrozumieć jego determinacji w uczynieniu ze mnie pełnoprawnego członka rodziny, mimo że w ramach ich układu podjęła się wychować mnie na dobrze ułożone dziecko, a potem młodą kobietę. A przynajmniej spróbować.

Choć bez ustanku zapewniał moją matkę adopcyjną, że żaden gen szaleństwa nie ujawnił się we mnie, ona uparcie się obawiała, iż któregoś dnia pojawią się symptomy choroby psychicznej. Dlatego zaangażował Amou. Od początku wiedział, że portugalska niania będzie dla mnie lepszą matką niż ta adopcyjna.

Dalej wdał się w długie wyjaśnienia, jak poznał M.A. i dlaczego się z nią ożenił. Co prawda sama miałam z nią raczej przykre doświadczenia, skłonna byłam jednak mu uwierzyć, kiedy opisywał ją jako atrakcyjną, uroczą kobietę. Jak widać, w pierwszym okresie przeżyli razem piękny czas.

Niedługo po moim urodzeniu i zrealizowaniu adopcji moja rodzona matka opuściła klinikę. Opis ich rozstania wywołał u mnie kolejny potok łez. Oboje wiedzieli, że jego kariera, jego naukowy dorobek i wszystkie osiągnięcia byłyby zagrożone, gdyby kontynuowali swój związek.

Po przeczytaniu wszystkiego byłam kompletnie wyczerpana, fizycznie i emocjonalnie. Starannie włożyłam plik stron do koperty i ukryłam ją pod stosem folderów na biurku. Zmroziła mnie myśl, że mogłaby wpaść w ręce ciotki Agnes.

Wróciłam do siebie na górę z sercem miotanym burzą uczuć. Kiedy wreszcie złożyłam głowę na poduszce, poczułam, że tonę w morzu smutku, radości, lęków, szczęścia i innych doznań, które niosły mnie wartkim nurtem w czasie lektury. Przewracałam się z boku na bok, jakby łóżko było łódką, ciskaną przez fale. Kiedy się obudziłam, czułam się bardziej wyczerpana, niż kiedy się kładłam.

Ciotka Anges nie zamierzała zniżyć głosu w trosce o mój sen. Dom rozbrzmiewał echem rozkazów, wykrzykiwanych do wynajętej służby. Odgłosy świadczyły, że przesuвано meble na dole. Trzaskały drzwi i ciężkie kroki dudniły na schodach. Waga nadchodzących wydarzeń przykuwała mnie do łóżka, ale musiałam znaleźć w sobie siłę, żeby wstać i stawić im czoło.

Zaraz po śniadaniu zaczęli napływać goście i tak trwało aż do dwudziestej pierwszej. Z nich wszystkich najbardziej interesował mnie doktor Renaldo Price, dyrektor administracyjny w klinice taty. Zbliżał się do pięćdziesiątki, lecz był już całkiem siwy. Pracowali razem od początku i z pewnością znał wiele sekretów, które kryła koperta schowana przeze mnie w gabinecie taty.

Rzadko go widywałam. Moja matka adopcyjna nie przepadała za towarzystwem kolegów swojego męża, zwłaszcza tych z kliniki.

– Co może być gorsze niż siedzenie przy jednym stole z bandą psychiatrów? – zaatakowała kiedyś tatę. – Każdy analizuje każdego. Boję się powiedzieć słowo i muszę panować nad każdym gestem. Po prostu siedzę jak na rozżarzonych węglach. Już chyba wolę kolację z twoimi pacjentami – dodała zgryźliwie.

Zrazu myślałam, że to jest nawet dowcipne, ale z czasem przestała mi się podobać taka jej postawa. Tata cenił swoich współpracowników, lubił spędzać z nimi czas. I tak stopniowo, kawałek po kawałku, matka usuwała z naszego domu jego ulubiony świat. Może dlatego stał się tak wrażliwy na strzał Kupidyna, choć ryzykował renomę kliniki i sprzeniewierzał się zasadom podejścia psychiatry do swojego pacjenta.

Przy paru spotkaniach, kiedy miałam okazję porozmawiać z doktorem Price'em, uznałam go za dżentelmena o nienagannych manierach, roztaczającego ojcowską, opiekuńczą aurę. Kiedy napotykałam łagodne spojrzenie jego orzechowych oczu, czułam, że naprawdę mnie słucha – a nie jak większość dorosłych tylko uprzejmie udaje i przytakuje z roztargnieniem, bo przecież szkoda czasu na słuchanie dziecka. Lubiłam go też dlatego, że nie traktował mnie protekcjonalnie. Przeciwnie, zawsze rozmawiał ze mną poważnie, jak z innymi dorosłymi, i miałam poczucie, że to, co do niego mówię, jest ważne.

Teraz, kiedy spotkaliśmy się po latach, żadne z nas nie było rozmowne. Zamieniliśmy tylko parę słów w salonie. Wypełniał go coraz głośniejszy gwar rozmów. Tak zwykle bywa, że ludzie, którzy dawno się nie widzieli, spotykając się przy takich smutnych okazjach, odnawiają przyjaźnie i rozmawiają o innych sprawach, jakby uciekali od tematu tragedii. Są niczym konie z klapkami na oczach; boją się za bardzo rozglądać na boki, żeby nie zobaczyć czyichś łez lub drżących warg.

Margaret Selby starała się zadbać o samopoczucie młodzieży. Paplała coś do nich bez przerwy, opowiadając szczegółowo o swoich ślubnych planach, jakby szykowała wojenną kampanię. Kiedy w progu salonu pojawił się mój kuzyn Lance, od razu rzuciła się do niego, nie dając mu się przywitać ze mną czy z ciotką Agnes. Śmiałam się w duchu, patrząc, jak biedak usiłuje się jej wymknąć, ale Margaret była nieubłagana. Jej słowa wywoływały na jego twarzy rumieniec za rumieńcem.

Musiałam przyznać, że ciotka Agnes znakomicie wywiązała się z zadania. Choć okoliczności spotkania napawały smutkiem, wkrótce zgromadzenie żałobników nabrało cech towarzyskiego przyjęcia. Z jednej strony było mi przykro, lecz z drugiej rozumiałam, że nie można bez przerwy rozmawiać o trumnach.

Większości krewnych właściwie nie znałam. Byli to ludzie, których imiona, głosy i twarze szybko blakły, kiedy po spotkaniach chciałam ich odnaleźć w rodzinnych albumach. Tak samo mogłyby to być zdjęcia modeli z katalogów przysyłanych pocztą.

– Dobrze sobie radzisz, Willow – powiedział doktor Price. – Ojciec byłby z ciebie dumny. – Odwróciłam głowę do okna, żeby nie widział łez w moich oczach.

– Może się przejdziemy, doktorze? – spytałam. Zdziwił się lekko, ale kiwnął głową.

I tym razem czujne spojrzenie ciotki Agnes odprowadziło mnie niczym światło szperacza. Wyprowadziłam doktora Price'a przez kuchenne drzwi i ruszyliśmy spacerowym krokiem po jednej ze ścieżek, którymi tak lubił chodzić tata. Był wyjątkowo ciepły jesienny dzień; po niebie płynęły białe obłoczki, jak porcje bitej śmietany na niebieskim lukrze. Wiał łagodny wiaterek, od czasu do czasu mocniejszym podmuchem unosząc z ziemi suche liście. To nie jest dzień na rozpacz i żalobę, pomyślałam. To raczej dzień radości życia.

– Twój ojciec byłby dumny, widząc, jak dobrze radzisz sobie na studiach. – Doktor Price uśmiechnął się do mnie. – Pamiętam, jak mi mówił: „Ja na pierwszym roku nie miałem takich stopni. Na razie można powiedzieć, że daleko padło jabłko od jabłoni”.

– Nie wiem, jak mógł przywołać to przysłowie, skoro jestem jego adoptowanym dzieckiem. Bo przecież jestem, prawda, doktorze? – zagadnęłam podstępnie, patrząc mu w oczy.

Umknął spojrzeniem w bok, udając, że obserwuje wróbla.

– Prawda? – naciskałam.

– Gdybyś była rodzonym dzieckiem, powiedziałałby to samo.

– Och, wierzę panu, doktorze Price, ale może powiedział tak, bo w rzeczywistości nie jestem sierotą, kimś obcej krwi – zauważyłam niewinnie.

Popatrzył na mnie szeroko otwartymi oczami i rysy mu stężały.

– Usiądźmy na chwilę, dobrze? – zaproponował i skreślił w stronę kamiennej ławki.

Zerknął na dom, zanim usiadł obok mnie. Długą chwilę milczeliśmy. Wróbel, którego obserwował, skakał po obramowaniu fontanny przed nami, łypiąc na nas czarnym oczkiem.

– Jak się dowiedziałeś? – odezwał się wreszcie.

– Powiedział mi.

Odwrócił się ku mnie gwałtownie.

– On ci powiedział? Ale przysięgał mi, że tego nie zrobi!

– Za życia nie, ale wyznał mi prawdę po śmierci.

– Nie rozumiem. – Doktor pokręcił głową.

– Zostawił mi swój dziennik.

– Claude pisał pamiętnik? Niezwykłe.

– Wiedział pan od początku, prawda?

– Nie wiem, co tam pisał, ale z tego, co mi mówił, wynikało, że sprawa nie wybuchła nagle.

Oczywiście nikt nic nie wiedział i tylko jedna z pielęgniarek – Gordon, Nadine Gordon, musiała coś podejrzewać, bo miała zastrzeżenia co do jego terapii. Sądzę, że podkochiwała się w twoim ojcu. Zwolniła się z pracy na pięć miesięcy przed twoim urodzeniem. Nie podała powodu, tylko zostawiła wiadomość, że odchodzi, i zniknęła. O ile wiem, nikt w klinice więcej o niej nie słyszał. Posłuchaj, Willow – ciągnął. – Nie zamierzam zaprzeczać, że postępowanie twojego ojca naruszyło etykę naszego zawodu i było nieprofesjonalne. Gdyby chodziło o kogoś innego niż Claude, nie mówiłbym o „naruszeniu”, tylko postawił sprawę jasno – kogoś takiego trzeba natychmiast zwolnić. Jednak...

– Co, doktorze Price?

– Jednak wierzę, że twój ojciec usiłował walczyć z własną słabością na wszystkie sposoby. Próbował nawet przenieść Grace do mnie, ale nastąpił bardzo szybki regres i wspólnie uznaliśmy, że musi wrócić do niego. Zresztą oboje cierpieli z powodu tej sytuacji. Lekarz przejął symptomy pacjentki.

– Jakie to były symptomy?

Doktor uniósł brwi.

– Willow, wiesz chyba, co znaczy tajemnica lekarska?

– Wiem, ale to jest inna sytuacja. Rozmawiamy przecież o kobiecie, która jest moją prawdziwą matką – zaprotestowałam.

– Jedynie biologiczną. Nie znasz jej i nigdy nie zajmowała się tobą, a cała historia zdarzyła się już dawno temu. Ona ma teraz swoje życie, więc nie wypada grzebać w jej przeszłości, nie uważasz?

Popatrzyłam na niego przeciągle, po czym odwróciłam głowę.

– Nie wiem, czy pan wie, doktorze, jak wyglądało moje dzieciństwo w tym domu – mówiłam, spoglądając na rozległy trawnik, jaki ciągnął się ku lasom w oddali. – Moja matka adopcyjna nie wiedziała, że naprawdę jestem dzieckiem jej męża, ale wiedziała, że urodziłam się w klinice i że moją biologiczną matką, jak ją pan nazywa, była pacjentka z jego kliniki. Dorastałam pilnie przez matkę adopcyjną obserwowana. Czekala, aż ujawni się moje dziedzictwo i zacznę tańczyć nago na ulicy, czy coś w tym stylu. Każde dziecko ożywia swoje zabawki i rozmawia z nimi, ale ona interpretowała to jako początki schizofrenii. Kiedy płakałam, byłam paranoiczna; kiedy byłam cicha i wycofana, podejrzewała depresję, i tak dalej, aż...

– Aż co?

– Aż sama zaczęłam się nad tym zastanawiać. Wiem, że pewne choroby psychiczne mogą być dziedziczne, dlatego mam prawo wiedzieć, dlaczego moja biologiczna matka trafiła do kliniki. Jaka była jej diagnoza i jakie rokowania? Jak się ma teraz? Czy na przykład leczy się w innym szpitalu?

Doktor pochylił się i wpatrzył w ziemię pod swoimi nogami.

– Od lat nie widziałem jej kartoteki.

– Czy pojutrze uda się panu do niej dotrzeć? – spytałam. Nazajutrz wypadał pogrzeb taty.

Szybkim ruchem uniósł głowę i spojrzał na mnie.

– Od razu wracasz na uczelnię?

– Tak zamierzam.

– To dobrze. Kończymy spacer? – zasugerował, wstając szybko.

Ja też wstałam. Doktor Price podsunął mi ramię i powoli ruszyliśmy w stronę domu.

– I jak? – spytałam przed wejściem.

Kiwnął głową.

– Poszukam tych papierów pojutrze – obiecał.

– W takim razie wpadnę pojutrze do kliniki.

Pokręcił głową i uśmiezek zaigrał na jego wargach.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości, że jesteś nieodrodną córką Claude’a De Beers. Odziedziczyłaś jego twardość i determinację, to pewne.

– Już dawno podświadomie o tym wiedziałam. Wyczuwałam w sposobie, w jaki patrzył na mnie, kiedy myślał, że tego nie widzę; kiedy obserwował mnie przy pracy czy zabawie. Myślę, że bał się powiedzieć mi prawdę, dopóki żyła moja matka adopcyjna, a po jej śmierci bał się tego nadal – dokładnie z takich samych powodów, z jakich ja proszę pana o zajrzenie do kartoteki mojej prawdziwej matki. Obawiał się, że wiedząc, jakie były jej zaburzenia psychiczne, przez całe życie będę podświadomie czekać, czy nie pojawią się u mnie podobne symptomy. A to mogłoby źle wpłynąć na moje przyszłe związki.

– I może tak będzie lepiej, Willow.

– Nie, doktorze – powiedziałam stanowczo.

Kiwnął głową i znów się uśmiechnął.

– Dobrze – odparł. – Jak sobie życzysz.

To był dla mnie kolejny wyczerpujący dzień. Za to Margaret Selby tryskała energią. Twierdziła, że wszyscy ekscytują się jej nadchodzącym ślubem i są wdzięczni za zaproszenia. O tym tylko mogła rozprawiać, kiedy wyszedł ostatni gość. Nawet ciotka Agnes czuła się zakłopotana i wreszcie powiedziała jej, żeby szła do łóżka.

– Margaret Selby, jutro dla nas wszystkich będzie jeszcze cięższy dzień. Trzeba się wyspać, żeby mieć siłę.

– Tak. – I Margaret w podskokach pobiegła na górę, jak widać uskrzydłona myślą, że zaraz zadzwoni do Ashleya i opowie mu, kogo zaprosiła na ślub.

Pożegnałam się i ruszyłam w stronę gabinetu. Nie uszło to uwagi ciotki.

– Chwileczkę, Willow! – zawołała za mną. Zatrzymałam się, czekając, aż się ze mną zrówna.

– Tak, ciociu?

– Rozmawiałam krótko z panem Bassingerem i dłużej z panem McRoe. Twój ojciec z racji swojej funkcji i pozycji był zaangażowany w skomplikowane przedsięwzięcia finansowe, fundusze ubezpieczeniowe i strategie korporacyjne. To są sprawy niezwykle złożone, toteż gotowa jestem zostać jeszcze parę dni, żeby pomóc ci zorientować się w tym gąszczu.

– Nie zostanę tu na parę dni, ciociu Agnes.

– Słucham?

– Nazajutrz po pogrzebie, rano, mam parogodzinne spotkanie z panem Bassingerem, a potem wracam na uczelnię – wyjaśniłam, pomijając plan wizyty w klinice.

– Chyba żartujesz? – wykrzyknęła. – Przecież to jest ogrom spraw!

– Miles zajmie się domem, a niezbędne dokumenty zostaną przygotowane. Mam absolutne zaufanie do pana Bassingera i wiem, że wszystko świetnie załatwi, toteż nie musisz się martwić. Jeśli tylko tata zapisał coś tobie, na pewno dostaniesz wszystko, co ci się należy – stwierdziłam sucho.

Zesztywniała urażona.

– W żadnym razie nie proponuję ci pomocy ze względu na myśl o dziedziczeniu czegokolwiek i nie działałam z interesownych pobudek. Poza tym dobrze sobie radzę i nie potrzebuję niczego od nikogo – oświadczyła. – Jest natomiast parę pamiątek po naszych rodzicach, które chciałabym odzyskać, jeśli nie będziesz miała nic przeciwko temu. Jestem do nich przywiązana i chyba mi się należą, prawda? – dodała, na wypadek gdybym zapomniała, że zostałam adoptowana.

– Możesz wziąć, co zechcesz – odparłam, pokazując gestem ściany. – Tylko nie ruszaj rzeczy należących do mojego taty.

Usłyszałam, jak wciąga powietrze. Odwróciłam się i odeszłam do gabinetu, zostawiając ją stojącą w korytarzu niczym lodowy posąg. Weszłam do gabinetu i jak zwykle zamknęłam drzwi na zasuwkę, po czym zaczęłam wertować papiery w poszukiwaniu informacji o Grace Montgomery.

Przekopywałam się przez opasłe segregatory, pełne kart pacjentów, opisów przypadków, naukowych notatek taty, jego artykułów, wycinków prasowych i innych dokumentów, gromadzonych przez lata. Szukałam igły w stogu siana, ale wciąż żywiłam nadzieję, że coś tu się kryje, dobrze ukryte w morzu papierów.

Minęły prawie dwie godziny i już chciałam się poddać, kiedy spomiędzy artykułów o schizofrenii paranoidalnej i nowym antydepresancie wypadła pożółkła koperta. Nie miała adresu zwrotnego i została wysłana do taty pod adres kliniki. I tylko u dołu dopisano: „Do rąk własnych”.

Usiadłam na dywanie przed regałem i wpatrzyłam się w kopertę, czując, jak coraz mocniej bije mi serce. Już miałam ją otworzyć, kiedy usłyszałam na korytarzu zbliżające się kroki. Za moment ktoś zapukał do drzwi.

– Tak?

– Już idę spać – powiedziała ciotka Agnes. – Czy chciałabyś jeszcze coś wiedzieć na temat jutrzejszego dnia?

– Nie – odparłam krótko i ze zniecierpliwieniem, zbyt ostro. Ciotka zamilkła na chwilę.

– Jeśli coś ci przyjdzie do głowy, zapytaj mnie rano. Wstaję wcześniej.

– Dzięki.

A potem kroki z wolna się oddaliły i zapadła cisza.

Czułam się fatalnie, zmuszona do konspiracji we własnym domu, ale nie mogłam inaczej, gdyż boleśnie przekonałam się, że po kątach pokutują tu cienie skrywające sekrety i za wszelką cenę bronią dostępu do nich. Te ściany były jak gąbki, nasiąkały szeptami i chłoneły dramaty, które odkładały się głęboko w fundamentach. Miałam wrażenie, jakbym zdzieraała po kolei z tych ścian warstwy kłamstw niczym tapety, zbliżając się coraz bardziej do prawdy. Czy ta prawda mnie wyzwoli, czy przeciwnie, narzuci mi ciężar, przygniecie stosem problemów?

Drżącymi palcami otworzyłam kopertę i wyjęłam z niej list pisany na cienkiej lotniczej bibułce. Rozpostarłam go delikatnie, jakbym się obawiała, że zawiera klątwę, która sprawi, że zostanie z niego pył w moich palcach. Pismo było tak wyblakłe, że musiałam przybliżyć papier do światła.

Drogi Claude!

Wiem, ustaliliśmy, że nie będę pisała czy dzwoniła do Ciebie, ale muszę Ci podziękować za zdjęcia Willow i list, w którym opisałeś ją dla mnie.

Masz rację, ona jest piękna.

Przyznaję, martwiłam się o nią, nie wiedziałam, jaka będzie. Znasz moje lęki lepiej niż ktokolwiek, ale po przeczytaniu Twego listu zrozumiałam, że nie muszę się bać. Kobieta, o której piszesz, ta Isabella (czy Amou, jak ją nazywa Willow) jest prawdziwym darem losu. Cieszę się, że Willow ma taką

opiekę.

Zdjęcia oczywiście schowałam w miejscu tylko mnie wiadomym.

To chore, że muszę Ci napisać, jak brakuje mi Willows. Nam obojgu Twoja klinika jawiła się jako kraina fantazji, która chroniła nas przed rzeczywistością.

Pragnę Cię zapewnić, że mam się dobrze.

Mam swój ocean, który pociesza mnie i inspiruje.

Mam wspomnienia o nas.

Znów jestem prawdziwie bogatą kobietą.

*Zawsze kochająca
Grace*

Cztery razy przeczytałam ten list. Kiedy czytasz tekst napisany przez kogoś, kogo znasz, słyszysz jego głos i masz wrażenie, jakby ten ktoś mówił do ciebie. Niestety, nie znałam głosu mojej rodzonej matki. Pomyślałam, że jeśli przeczytam list wiele razy, wgłębiając się w każde słowo, jakaś wizja pojawi się w moim umyśle, jakiś punkt zaczepienia. Desperacko pożądałam jakichkolwiek informacji o niej.

Sfrustrowana, ale i zafascynowana, włożyłam list do dziennika taty i ukrywszy go tak jak wcześniej, poszłam na górę. Wchodząc po schodach, myślałam, że już tylko niewiele kroków dzieli mnie od jutrzejszego ranka i pogrzebu.

Pogrzeb odbył się z pompą, jakiej się nie spodziewałam. Obszerny nekrolog taty w prasie przyciągnął na uroczystość nie tylko tłumy jego współpracowników i ludzi biznesu, ale także byłych pacjentów i ich rodziny. Nie przypuszczałam, że był aż tak kochany i szanowany. Ogromne wyrażenie robiły niekończące się szeregi aut i morze ludzi przed kościołem. Musiano wystawić głośniki na zewnątrz, aby żałobnicy mogli wysłuchać pastora oraz mowy pogrzebowej, wygłoszonej przez doktora Price'a.

Kiedy ciało taty wreszcie spoczęło w grobie obok żony, całą rodziną wróciliśmy do domu, aby ostatecznie zamknąć ten dzień żałoby i się pożegnać. Bracia, siostry i inni krewni mojej matki adopcyjnej rozmawiali o pogrzebie jak o teatralnej premierze, recenzując wszystko – od kwiatów do nabożeństwa, wliczając w to także samochody i dyrygowanie ich ruchem w kolumnie.

Późnym popołudniem pożegnałam ostatnich z tych ludzi, których nie znałam. Następnie razem z panem Bassingerem, ciotką Agnes i Margaret Selby usiadłam w salonie, aby omówić najważniejsze punkty testamentu taty. Adwokat wytłumaczył nam, jak mądrze tata zarządzał kapitałem i sprawami posiadłości. Odziedziczyłam więcej pieniędzy i majątku rzeczowego, niż się spodziewałam. W miarę jak pan Bassinger wyczytywał pozycje z długiej listy, oczy ciotki robiły się coraz większe i wyglądało, że lada chwila wyskoczą z orbit. Z kolei Margaret Selby była śmiertelnie znudzona i w pewnym momencie wyszła, przepraszając, że musi pilnie zatelefonować.

Ucieszyłam się, że klinika ojca będzie kontynuowała pracę. Tata przygotował wszystko na swoje odejście i precyzyjnie ustalił sposób wybrania swojego następcy. Doktor Price powiedział mi, że z pewnością będzie to osoba kompetentna, i dodał, iż tata był postacią jedyną i niepowtarzalną.

Nie byłam zaskoczona, kiedy ciotka Agnes przedstawiła listę rzeczy, które jej zdaniem tata powinien przeznaczyć dla niej.

– To są bezcenne pamiątki po naszych rodzicach – podkreśliła.

Lista była długa i zawierała nawet meble. Ciotka skończyła czytać i popatrzyła na pana Bassingera. Adwokat odparł spokojnie, że wszystko zależy od mojej decyzji, gdyż prawnie nic się jej nie należy. Gwałtownie przerzuciła uwagę na mnie, gotowa do zajadłej walki, ale ja tylko uśmiechnęłam się do niej i powiedziałam:

– W porządku. Bierz sobie to wszystko.

Zaniemówiła i wyszła.

Pan Bassinger pożegnał się i obiecał, że na jutro przygotuje wszystkie papiery. Uścisnęliśmy się i odjechał. Pół godziny po nim ciotka Agnes i Margaret Selby zaczęły się zbierać, bo za chwilę miał przyjechać samochód, żeby zawieźć je na lotnisko.

– Przyślę bagażówkę po moje rzeczy – poinformowała mnie ciotka.

Dla zabawy postanowiłam pokazać jej, że ja również potrafię być chłodna i racjonalna jak ona. Kazałam jej zaczekać i skserowałam bezcenną listę.

– Miles będzie miał kopię – oznajmiłam, zwracając jej oryginał. – Zadba, żebyś wszystko dostała.

Złożyła kartkę i wcisnęła ją do torebki.

– Radzę ci wystawić dom na sprzedaż – warknęła.

– Wielkie dzięki, ciociu Agnes. Jeszcze raz dziękuję za wszystko, co dla mnie zrobiłaś – dodałam ze szczerą wdzięcznością.

Zamrugnęła wzruszona.

– Mamo, pospiesz się – ponagliła niecierpliwie Margaret Selby. – Czeka nas mnóstwo roboty.

– Tak, tak, już idziemy – powiedziała ciotka i pomachała mi w drzwiach.

Margaret już była na zewnątrz.

– Nie pożegnałaś się ze swoją kuzynką, Margaret Selby – skarciła ją ciotka. – Czy nie uczyłam cię dobrych manier?

– Och, przepraszam, mam tyle na głowie. – Zawróciła, cmoknęła mnie w policzek, uścisnęła szybko i wybiegła.

– Zadzwoń do mnie, jeśli tylko będziesz miała jakieś problemy, Willow – rzuciła ciotka Agnes.

– Dobrze. Dzięki.

Obejrzała się na dom i w tym momencie było mi jej szkoda. W oczach miała prawdziwe łzy.

– Nie jest łatwa świadomość, że zostałam ostatnia z rodziny. Wspomnienia są bolesne.

– Ale przecież są też piękne, cenne wspomnienia, prawda?

– Owszem, ale one tylko podkreślają, jak bardzo jest się samotnym – odparła smutno. – Do widzenia. – Uścisnęła mnie mocniej niż zwykle i dołączyła do swojej córki. W progu odprowadziłam wzrokiem oddalającą się limuzynę.

Nareszcie zostałam sama. Teraz mogłam bez przeszkód wyjąć z ukrycia dziennik ojca z listem mojej rodzonej mamy. Zniosłam go do swojego pokoju i dołożyłam do walizki. Potem zadzwonił Allan i opowiedziałam mu, co się wydarzyło od mojego przyjazdu, łącznie z pogrzebem, aż do obecnej chwili. Słuchał cierpliwie i zapewnił, że jutro odbierze mnie z lotniska.

Nie wspomniałam mu tylko o ukrytej miłości mojego taty i o swojej rodzonej matce. Najpierw chciałam się zobaczyć z doktorem Price'em i sprawdzić, czego mogę się dowiedzieć w klinice. Próbowałam zebrać jak najwięcej informacji, choć jeszcze nie wiedziałam, jak je spożytkuję.

Zanim poszłam na górę, usiedliśmy z Milesem w kuchni, żeby pożywić się resztkami po stypie. Miles od lat był jednym z najbardziej zaufanych towarzyszy mojego ojca. Zawsze mówił o nim z takim uwielbieniem, że teraz obawiałam się, jak da sobie radę bez niego.

– Niepotrzebnie się martwisz. – Doktor De Beers po prostu wyjechał na chwilę i jak zwykle mam zadbać, żeby w domu wszystko grało, kiedy wróci – dodał, wywołując uśmiech na mojej twarzy. – I nie musisz się mną przejmować. Jeśli chcesz sprzedać dom, zrób to i nie oglądaj się na mnie. Doktor zatroszczył się o moją przyszłość.

– Nie potrafię wyobrazić sobie tego domu bez ciebie, Miles, obojętnie, kto by w nim mieszkał.

– A ja nie wyobrażam sobie, że mógłby tutaj zamieszkać ktoś obcy i urzędować w jego gabinecie. Nie

zostałbym, żeby nawet ofiarował mi złote góry.

– Wiem, Miles. – Rozejrzałam się po jadalni. – Ciotka Agnes ma zapewne rację. Wracanie do domu, kiedy się wie, że jego w nim już nie ma, będzie trudnym przeżyciem.

Pokiwał głową.

– Rozumiem. Twój ojciec zrobił bardzo dużo dla mnie i dla pamięci mojego biednego dziecka.

– A ty zrobiłeś bardzo dużo dla niego, Miles.

– Mam nadzieję.

Zaskoczyła go i uszczęśliwiła moja serdeczność oraz mocny uścisk, zaserwowany mu na pożegnanie. Miałam poczucie, jakbym dotykając osób bliskich tacie, dotykała jego samego.

Kiedy szykowałam się do łóżka, zadzwonił telefon. Pomyślałam, że to Allan sprawdza, czy wszystko w porządku, a tymczasem spotkała mnie wielka niespodzianka.

Amou dzwoniła z Rio de Janeiro!

– Willow, przed chwilą zatelefonowała do mnie kuzynka Tina, bo przeczytała nekrolog w gazecie. Tak mi przykro. On był wspaniałym człowiekiem.

– Amou, mów, jak się czujesz!

– *Eu sou bem*, jak na taką *velha senhora* – powiedziała.

Roześmiałam się.

– Dla mnie nigdy nie będziesz starszą panią, Amou.

– Powiedz to moim sztywnym kościom – prychnęła. – A jak ty się trzymasz, Willow?

– Dobrze, Amou.

– Wracasz na uczelnię?

– Tak.

– Szkoda, że nie mogłam być przy tobie w tych chwilach. – Westchnęła.

– Byłaś przy mnie, Amou. *Você está sempre em meu coração* – odpowiedziałam jej zdaniem, które często mi powtarzała. Znaczyło: „Zawsze będziesz w moim sercu”.

Teraz ona się roześmiała.

– Może któregoś dnia, kiedy skończysz studia, odwiedzisz mnie w Brazylii. Całkiem nieźle znasz przecież język.

– Na pewno, Amou. Obiecuję.

– To będzie mój najszczęśliwszy dzień. Wiem, jak ciężko musi ci być teraz bez mamy i taty.

Zawahałam się, zanim odpowiedziałam:

– Tylko bez taty, Amou.

Milczała.

– Wiedziałaś od początku, prawda, Amou?

– Kto ci o tym powiedział? – spytała po chwili.

– Tata zostawił mi list i swój dziennik. Chciał, żebym dowiedziała się prawdy po jego śmierci. Musiał ci bardzo ufać.

– Martwił się o ciebie. Musisz na siebie uważać, Willow. Prawda zakrywana tak długo nie rozkwitnie jak piękny kwiat. Nie wszystkie nasiona powinny wzejść – ostrzegła.

– Może tak, Amou, a może nie.

– Martwię się o ciebie.

– A ja o ciebie – zripostowałam.

Roześmiała się.

– *Vá com deus*.

– Ty też idź z Bogiem, Amou.

Odłożyłam słuchawkę i wszystkie łzy, które wstrzymywałam, zerwały tamę. Myślałam, że zatopią łóżko.

Wreszcie wypłakałam się i zgasłam światło. I tak jak przewidziała ciotka Agnes, musiałam zmierzyć się z najbardziej samotną nocą w swoim życiu, w tym domu pełnym wspomnień.

Rozdział czwarty

ZGUBNA DECYZJA

Klinika Willows była ukochanym dzieckiem mojego taty. Przedtem przez pięć lat prowadził praktykę psychiatryczną, aż któregoś dnia dowiedział się o ekskluzywnym domu starości, który zbankrutował, znajdującym się o niecałe dwadzieścia cztery kilometry od naszego domu w Spring City. Szybko skrzyknął inwestorów i pojechali obejrzyć to miejsce.

Najbardziej spodobała się tacie sama lokalizacja posiadłości. Dom wzniesiono na wzgórzu nad brzegiem rzeki Congaree. Z drugiej strony wielka łąka kończyła się ścianą lasu złożonego z paru gatunków sosen, z poszyciem usianym paprociami i leśnymi kwiatami.

Ważnym punktem w terapeutycznym podejściu taty była rola natury i naturalnego otoczenia, wywierających jego zdaniem zbawienny wpływ na poprawę stanu psychicznego pacjentów. A w Willows był spokój i kojąca atmosfera.

Posiadłość wzięła swoją nazwę od sześciu pięknych, olbrzymich płaczących wierzb¹, które rosły przed budynkiem, na brzegu rzeki. Poprzedni właściciele uważali, że są niezmiernie romantyczne, bo z wdziękiem kłonią się nad wodą, gnąc długie gałęzie w powiewach wiatru. Porośnięte wąskimi, oliwkowoszarymi liśćmi, tworzyły giętkie festony, sięgające do ziemi.

Sam budynek miał eklektyczny styl z dominującymi elementami włoskiego renesansu i niezwykłym wnętrzem portykiem, który za każdym razem nasuwał mi myśl, że wchodzę do tunelu, prowadzącego do jakiegoś mrocznego, tajemniczego świata. Dom był piętrowy i w ciągu lat jeszcze się rozbudował.

Ponieważ moja matka adopcyjna ciągle powtarzała, że klinika taty to niezdrowe miejsce, zawsze bałam się tam pojechać. Serce mi waliło, kiedy zbliżałam się do budynku. Tata dbał, żebym nie stykała się z najbardziej zaburzonymi pacjentami. Wbrew temu, co mówiła M.A., widziałam tam zadowolonych ludzi, którzy w sali rekreacyjnej oglądali telewizję, grali w gry planszowe czy po prostu czytali. Nie różnili się wyglądem ani zachowaniem od zwykłych ludzi. A jednak bałam się patrzeć na nich zbyt długo. Pewnego razu zobaczyłam młodą dziewczynę, mającą nie więcej niż piętnaście lat, która zamasztyłym krokiem maszerowała korytarzem. Długie czarne włosy miała splecione i w strąkach, dłonie gniewnie zaciskała w pięści, a ręce trzymała rozpostarte na boki i zgięte w łokciach. Odwróciła ku mnie głowę, jakby czuła mój wzrok na sobie. Aż wstrzymałam oddech, bo z jej rozszerzonych oczu wyzierała furia. Prowadzona przez pielęgniarkę, szybko zniknęła za rogiem, ale zobaczyłam jeszcze, jak unosi ramiona, jakby cała jej górna połowa ciała miała za moment unieść się do sufitu.

Ta scena wróciła do mnie jako nocny koszmar i obudziłam się z płaczem. Matka zrobiła tacie awanturę; zarzuciła mu, że wzmacnia moje zaburzenia, cofając mnie do tego świata. Z lubością powtarzała sformułowanie „cofając mnie do tego świata”, jakby nawiązywała do faktu moich narodzin w klinice, z matki pacjentki.

Nawet teraz, po tylu latach, poczułam dreszcz, gdy wjeżdżałam na parking. Dusił mnie i po wyłączeniu silnika musiałam chwilę posiedzieć w samochodzie, żeby zebrać się do wyjścia. Wzięłam głęboki

oddech i wysiadłam. Szłam do wejścia ze spuszczoną głową, jak kiedyś, kiedy byłam nieśmiałą, zahamowaną dziewczynką.

Odkąd pamiętałam, recepcjonistką kliniki była Edith Hamilton. Urzędowała za biurkiem w kształcie podkowy. Zmieniło się o tyle, że teraz stał tam komputer. Sześćdziesięcioletnia kobieta uśmiechnęła się na mój widok. Miała piwne oczy i włosy, które obecnie przypominały barwą szary mundur wojsk Konfederacji. Były starannie obcięte i ufryzowane na kształt hełmu. Wczoraj na pogrzebie płakała jak nikt z żałobników. Przypomniałam sobie, iż moja matka adopcyjna mówiła, że Edith zawsze się w nim kochała, a tata nie starał się jej zniechęcić.

„Była tak zakochana, że musiała co noc marzyć o nim w łóżku” – twierdziła.

Oczywiście tata wszystkiemu zaprzeczał. Matka nawet nie zdawała sobie sprawy, jak jest bliska prawdy, choć myliła się co do osoby. Och, gdyby wiedziała!

– Jak się czujesz, kochanie? – zagadnęła pani Hamilton, kiedy podeszłam do biurka. Wstała i wyszła zza niego, żeby mnie uścisnąć. Łzy zalśniły jej w oczach na sam mój widok. Ja też poczułam wilgoć pod powiekami.

– Dobrze, Edith.

Już kiedy miałam sześć albo siedem lat, nalegała, żebym mówiła do niej po imieniu. Była rozwódką, która powróciła do panińskiego nazwiska. Jej małżeństwo trwało niecały rok i potem już nie związała się z nikim. Zastanawiałam się, czy wcześniej nie chodziła do taty na terapię. Może wtedy zakochała się w nim i fantazje na jego temat wypełniły kobiecie samotne życie. No proszę, już staję się psychologiem-amatorem, pomyślałam z rozbawieniem.

– Doktor Price czeka na ciebie – powiedziała. – Wiesz, gdzie jest teraz jego gabinet?

– Tak. – Parę lat temu doktor zajął gabinet obok gabinetu taty.

Ruszyłam przed siebie. Weszło mi w zwyczaj chodzenie korytarzami kliniki bez zbytniego rozglądania się na boki. Nie miałam ochoty zaglądać do pokoi rekreacyjnych czy do małego barku, gdyż obawiałam się widoku pacjentów. Dzisiaj jednak miałam w tyle głowy myśl, że kiedyś patrzyła na to wszystko moja rodzona matka; może siedziała przy stoliku i grała w karty albo malowała coś, czy lepiła na terapii zajęciowej. A może była jak ta kobieta siedząca przy oknie, wpatrzona w nie jak w ekran telewizora? Może widziała wyświetlające się na szybie swoje ulubione programy? Teraz, z moją nową wiedzą, postrzegałam klinikę zupełnie inaczej.

Zapukałam do drzwi gabinetu doktora Price'a i weszłam. Stał przy oknie z rękami splecionymi za plecami. Na mój widok odwrócił się z uśmiechem.

– Kiedy wysiadłaś z samochodu ojca, miałem szaloną myśl, że to wszystko było tylko sennym koszmarem i on zaraz wysiądzie za tobą.

– Też bym wolała, żeby to był sen.

Kiwnął głową.

– Wracasz dzisiaj na uczelnię?

– Tak, zamierzam.

– Bardzo dobrze. Powrót do strumienia rzeczywistości, zaangażowanie umysłu, praca i zajęcia. Ja też to robię, czy mi się podoba, czy nie. – Ruchem głowy pokazał na stertę papierów na biurku. – Działanie na pełnych obrotach, rozumiesz.

– Nie wiem, czy mam to oceniać jako dobre.

Roześmiał się.

– Masz rację, lekarz bez pacjentów umarłby z głodu. Policja potrzebuje przestępców, mechanicy potrzebują popsutych aut, a lekarze potrzebują chorych. Można by podzielić ludzkość na tych, którzy żyją z czyichś problemów i niedoli, oraz na tych, którzy żyją z ekstrawagancji i wybujałych potrzeb innych.

Powiniennem sprzedawać biżuterię – zażartował i teraz ja zaczęłam się śmiać.

Oboje byliśmy spięci.

– Dam ci to do przeczytania. – Doktor Price położył dłoń na teczce leżącej przed nim na biurku. – Pójdę zobaczyć paru pacjentów, a ty się z tym zapoznaj. Gdy wrócę, postaram się odpowiedzieć na pytania, które pewnie będziesz chciała mi zadać. Mam nadzieję, że kiedy ci wszystko wyjaśnię, zostawisz to za sobą. Od dzisiaj skup się na sobie i swoim nowym życiu, Willow. Lepszej rady dać ci nie mogę i jestem pewien, że twój ojciec powiedziałaby to samo.

– Dzięki, doktorze Price.

Patrzył na mnie chwilę, zanim wręczył mi teczkę mojej mamy. Serce łomotało mi jak ulewa w szyby. Usiadłam na obitej skórą kozetce. Doktor rzucił mi jeszcze jedno spojrzenie i wyszedł z gabinetu, zostawiając mnie samą z prawdą i faktami.

Przypomniałam sobie, jak w moim wczesnym okresie nastoletnim zobaczyłam zapomnianą na stoliku w pokoju relaksowym teczkę jednego z pacjentów taty. Orientowałam się już wtedy, że są to bardzo poufne materiały. Wyobrażałam sobie, że poznając je, zaglądam do czyjejś głowy, jakbym miała rentgenowski wzrok Supermana. Widziało się w nich nie tylko mózg, ale najbardziej osobiste myśli, sny, marzenia, wspomnienia i fantazje. Jakie trzeba mieć zaufanie do lekarza, a może desperacką potrzebę, aby tak szczerze je ujawnić! Aby opowiedzieć o wszystkim innej, obcej osobie, nawet jeśli podchodzi ona do sprawy zawodowo i nie będzie się z ciebie śmiać ani patrzeć na ciebie dziwnym wzrokiem. Nie można się bardziej obnażyć.

Bałam się, że ktoś nakryje mnie na zakazanej lekturze, ale pokusa była zbyt wielka. Matka adopcyjna powtarzała mi ciągle, że jestem kandydatką na pacjentkę taty. Tu są papiery kogoś z jego pacjentów. Jakie znajdę podobieństwa?

Rozejrzałam się odruchowo, czy nikt mnie nie widzi, otworzyłam teczkę i zaczęłam czytać. Szybko się rozczarowałam. Opis był tak suchy i naukowy, że prawie nic z niego nie zrozumiałam. W każdym razie dotyczył siedemnastoletniego chłopca, chorego na schizofrenię. Był przekonany, że jego rodzice zawiązali przeciwko niemu spisek z producentami telewizyjnymi, radiowymi i muzycznymi, aby go kontrolować. W rezultacie cierpiał na psychosomatyczne zaburzenia słuchu – innymi słowy, był głuchy.

Czytałam i strach narastał mi w sercu. Miałam wrażenie, że kartki palą mi palce, więc szybko skończyłam i zamknęłam teczkę. Czy taka straszna rzecz może spotkać i mnie? Czy M.A. ma rację? Co odziedziczyłam? Jaka straszna choroba psychiczna czai się za moimi drzwiami i tylko czeka na okazję, żeby mnie dopaść i zamienić w taką właśnie kartotekę z psychiatryka?

Bałam się zapytać tatę o te rzeczy. Nie chciałam, aby się domyślił, że zajrzałam do jego poufnych materiałów, ale potrzebowałam, by mnie zapewnił, że wszystko jest w porządku. Jednak musiał wyczuć tę potrzebę w innych moich pytaniach. Po latach, w czasie jednego z naszych spacerów, już po śmierci mojej matki adopcyjnej, przyznałam mu się do przeczytania kartoteki. Tata roześmiał się i powiedział:

– Podejrzewałem, że musiałaś na to trafić, bo tak obawiałaś się utraty słuchu czy wzroku; bałaś się, że któregoś dnia obudzisz się i nie będziesz zdolna powiedzieć słowa.

– Co było dalej z tym chłopcem, tato?

– Z radością muszę ci powiedzieć, że został przeniesiony do ośrodka i dokonuje się ciągły, choć powolny postęp w jego powrocie do normalnego życia. Chłopak okazał się niezwykle inteligentny i dobrze rokujący. Oczywiście musi brać leki, niektóre do końca swojego życia, ale cieszę się, że są środki pomocne w przypadkach takich jak on.

Chciałam zapytać go wtedy o moją rodzoną matkę, ale bałam się, co mogę usłyszeć w odpowiedzi. Oczywiście nie wiedziałam wtedy, że tata jest moim rodzonym ojcem. Gdybym wiedziała, zadałabym mu te pytania. Wtedy jednak nie chciałam wiedzieć, co może mi grozić w przyszłości, i zdawałam sobie

sprawę, że jeśli się dowiem, w każdej chwili podświadomie będę oczekiwać katastrofy. Lepiej pozostać w niewiedzy – jak wczoraj radziła mi Amou w rozmowie telefonicznej. Takie myśli przelatowały mi przez głowę, kiedy wpatrywałam się w teczkę leżącą przede mną.

A jednak w poszukiwaniu wiedzy dotarłam aż do tego momentu, kiedy trudno już było się cofnąć. Poza tym romans taty paradoksalnie dał mi poczucie bezpieczeństwa. Przecież nie zakochałby się w kimś tak zaburzonym, jak tamten chłopiec, prawda? Moja rodzona mama opuściła klinikę, to znaczy, że została wyleczona albo jej stan się bardzo poprawił. Z pewnością była zdolna do przeżycia wielkiej miłości. Czego więc miałabym się obawiać?

Otworzyłam teczkę i zaczęłam czytać historię depresji Grace Montgomery, z powodu której trafiła do kliniki taty w wieku dwudziestu pięciu lat. Skierował ją tu doktor Donald Anderson, który miał praktykę w Palm Beach na Florydzie. W trakcie terapii wyznała, że jej ojczym często zachowywał się niewłaściwie. Stało się tak, że wziął ją siłą i zaszła w ciążę.

Ukrywała ciążę, gdyż bała się napiętnowania i miała poczucie klęski. W ostatnich miesiącach matka założyła jej areszt domowy. Grace urodziła i wpadła w jeszcze większą depresję. Próbowano różnych leków, zanim podjęto decyzję o skierowaniu jej do kliniki.

Miała wszystkie objawy depresji: zaniżona samoocena, niezdolność do cieszenia się czymkolwiek, bezsenność i tendencje samobójcze. Czytałam, jak tata starał się dobrać jej leki i wreszcie mu się udało, gdyż zaobserwował poprawę. Grace została wypisana z kliniki niedługo po urodzeniu mnie. Nota wypisowa informowała krótko, że wróciła do rodziny w Palm Beach i jej dalszym leczeniem zajął się znów doktor Anderson.

Większość dokumentacji w tezcze zawierała rozmaite dane medyczne oraz listy leków i dawki. W sumie, poza krótkim streszczeniem jej historii, nie było tam informacji, które pozwoliłyby mi lepiej poznać prawdziwą mamę. Nie było zdjęć, a sprawozdania z sesji zawierały głównie streszczenia jej słów. Tak samo mogłabym czytać historię choroby każdej innej pacjentki.

Siedziałam, przetrawiając to wszystko w myśli, kiedy wrócił doktor Price.

– Co możesz mi o niej powiedzieć, doktorze Price? – zapytałam szybko.

– Nie za wiele. Pamiętaj, że ona była pacjentką twojego ojca, nie moją. – Wziął ode mnie teczkę i usiadł przy biurku. – A poza tym minęło już wiele lat, Willow.

– Wiem, przecież mam już dziewiętnaście lat.

Uśmiechnął się.

– W każdym razie ta lektura powinna cię upewnić, że nie nosisz w sobie załączków choroby psychicznej. Problemy twojej mamy spowodowało zachowanie jej najbliższych. Ty nie wyrastałaś w takiej atmosferze.

Uniosłam brwi.

– Moja adopcyjna matka była idealną kandydatką do tej kliniki, doktorze Price.

Roześmiał się.

– Zgoda, ale miałaś ojca i cudowną nianię, która była dla ciebie jak najczulsza matka. Przypomnij mi, jak ona miała na imię?

– Amou.

Pokiwał głową.

– Ty ją tak nazwałaś. Innymi słowy, miałaś w domu miłość, ten rodzaj miłości, którego – położył dłoń na tezcze – twoja matka z pewnością nie miała. A teraz wracaj na uczelnię, Willow. Żyj swoim życiem, ale proszę, bardzo proszę, pozostań ze mną w kontakcie.

Wstałam.

– Dziękuję, doktorze Price.

Uścisnęliśmy się na pożegnanie i odprowadził mnie do drzwi.

– Ten dzień, kiedy odjechała... – powiedział nagle.

– Tak?

– Twój ojciec obserwował ją spod zasłony wierzb. Podjechał po nią samochód. Widziałem to wszystko z okna gabinetu i czułem jego ból we własnym sercu; czuło się go niemal namacalnie, nawet z odległości. Samochód zniknął w oddali, a on odwrócił się i ruszył przed siebie. Wrócił do kliniki dopiero po paru godzinach.

– Cały tata... jego sławne spacerunki – skomentowałam.

– Wiem. Zawsze go podziwiałem, bo nawet kiedy wiele tracił, potrafił się od tego odbić i kontynuować swoją wspaniałą pracę, znaleźć sobie nowy cel w życiu. Ty musisz zrobić to samo, Willow.

– Obiecuję – powiedziałam.

– Bardzo dobrze.

Pocałował mnie na do widzenia i opuściłam klinikę, pożegnawszy się przy wyjściu z Edith. Wsiadłam do samochodu i odjechałam, wyobrażając sobie tatę, jak stoi pod osłoną wierzbowych gałęzi i patrzy za odjeżdżającą mamą, która opuściła go na zawsze. Mnie też opuściła.

Ale nie znalazłam się w pułapce, w jakiej utkwiał ojciec. Nigdy nie pozwolę, żeby mnie ktoś zostawił, pomyślałam z nagłą determinacją. Prawdę mówiąc, podjęłam decyzję już w chwili, kiedy otwierałam teczkę.

Dodałam gazu.

Przyjechałam do swojego mieszkania w Chapel Hill w Karolinie Północnej wczesnym wieczorem. Umyłam się, przebrałam i zadzwoniłam do Allana.

– Zaraz u ciebie będę – powiedział, gdy tylko usłyszał mój głos.

Serce wypełniła mi radość. Potrzebowałam go bardziej niż zwykle. Naprawdę musiał się pospieszyć, bo zjawił się po niecałym kwadransie. Kiedy go wpuściłam, chwycił mnie w objęcia i zaczęliśmy się całować. Tulił mnie, gładził po włosach i powtarzał, że tęsknił, że ciągle o mnie myślał i żałował, że nie mógł mi towarzyszyć.

– Moje biedactwo – szeptał czule, prowadząc mnie do mojego małego salonu.

Po pierwszym roku studiów zapragnęłam zamieszkać sama. Nie dlatego, że nie cierpiałam dormitorium. Po prostu traktowałam studiowanie o wiele bardziej poważnie niż większość dziewczyn na moim roku. Pod wieloma względami czułam się starsza. Nie myślałam o współlokatorce, z którą mogłabym dzielić koszty, tylko od razu wynajęłam skromne mieszkanie z dwiema sypialniami. Drugą przerobiłam na swój pokój do pracy. Po prostu wiedziałam, że małe są szanse znalezienia osoby, która też miałaby takie parcie na naukę i życiową karierę jak ja.

Zdaniem Allana to właśnie moje poważne podejście do nauki i życiowej kariery przyciągnęło go do mnie. Twierdził, że łączy nas determinacja w racjonalnym wykorzystaniu swojego czasu i wypełnianiu naszych ambitnych zamierzeń. Inne dziewczyny były dla niego marnym puchem. Twierdził, że mają w głowie watę cukrową i są niestałe jak bąbelki wody sodowej.

Przycisnął czoło do mojego czoła, trzymając mnie za rękę, co zawsze mnie śmieszyło.

– Wszystko w porządku? – zapytał.

– Tak – odpowiedziałam cienkim głosem, jakbym miała pięć czy sześć lat.

Usiedliśmy na kanapie.

– Straciłaś oboje rodziców jeszcze przed dwudziestką. – Westchnął. – To musi być straszne, nawet dla adoptowanego dziecka. – Wziął mnie za rękę.

Niedługo po tym, gdy zaczęliśmy ze sobą chodzić, przyznałam się Allanowi, że jestem adoptowana. Ale

nie mówiłam mu, że moja rodzona matka była pacjentką w klinice taty i że tam się urodziłam. Wtedy jeszcze sama bałam się prawdy i tego, co on sobie o mnie pomyśli.

Nie musiałam mu się nawet zwierzać, że jestem adoptowana. Zapewne postąpiłam niepolitycznie, ale zawsze starałam się być maksymalnie szczerą. Nie akceptowałam także półprawd i drobnych kłamstewek, bo powiększały jeszcze zakłamanie. Winiłam o to ojca, który zaraził mnie swoją niemal obsesyjną zasadą, żeby przyjmować rzeczywistość taką, jaka jest, i nie ulec pokusie iluzji. Uczył mnie tego bardzo skutecznie. Zwykle zadawał mi proste pytanie bardzo spokojnym głosem:

– To nie jest tak, jak myślisz, Willow, czyż nie? – Albo: – Niemożliwe, żeby tak się stało, prawda?

Ktoś tak jak on zanurzony w rzeczywistości nie mógł sobie pozwolić na żadne marzenia i dlatego pozwolił odejść swojej największej miłości. Nie chciał mamić siebie ani jej myślą, że mogliby być szczęśliwi razem, i w ten sposób zyskać jeszcze parę wspólnych chwil. Wolał to uciąć w imię prawdy, choćby najbardziej bolesnej.

– Bardzo wiele się zdarzyło w czasie tych paru smutnych dni – zaczęłam.

– Domyślam się – powiedział. – Chcesz coś zimnego do picia? – zapytał, jakby nie słyszał mojego poważnego tonu. – Gardło mam jak pustynia. – Zerwał się z kanapy, poszedł do kuchni i otworzył lodówkę. – Mam ochotę na piwo – zawołał do mnie. – A ty co chcesz, Willow?

– Nic.

Nalał piwa do szklanki i wrócił, uśmiechając się.

– Zdałem celująco egzamin u Hellera – pochwalił się. – Dzisiaj rano wystawił oceny... jako jeden z niewielu dostałem A++. Wiesz przecież, jaki on jest wymagający. Zalicza tylko paru osobom w semestrze – dodał z dumą.

Odgarnął niesforne kędziory płowych włosów i wyciągnął się na kanapie, kładąc nogi na moich kolanach. Pociągnął łyk piwa i zaśmiał się.

– Co?

– Podświadomie spodziewałem się, że powitasz mnie pochwałą swojej portugalskiej niani i słuszności jej teorii demonów.

– A nie jest słuszna?

Wzruszył ramionami.

– Przypadek. Moim zdaniem wszystko, co przypisujemy tak zwanym mocom duchowym, jest czystym zbiegiem okoliczności. Tak czy owak, już po wszystkim. Wróciłaś, a ja pomogę ci powrócić do nauki – powiedział i uniósł puszkę do ust.

– Na razie nie wrócę do nauki, Allan. – Zdjęłam jego nogi ze swoich kolan. Zaczęły mi ciążyć.

Usiadł wyprostowany, z nieco poirytowaną miną.

– Jasne, nic na siłę. – Kiwnął głową. – Nie martw się, będzie dobrze, już ja o to zadbam. Będę się uczył z tobą, przerabiał ćwiczenia, zbierał dla ciebie materiały. Powolutku się wdrożysz. Rozumiesz, co cię nie zabije, to cię wzmocni.

Dopił piwo.

– Potrzeba ci tylko czułości i pieśszcotek, kochanie. Zaraz postawię cię na nogi. – Objął mnie i przyciągnął do siebie. Wargami musnął moją szyję i poczułam jego dłoń na biuście.

Wparłam się rękami w pierś Allana i odsunęłam go od siebie.

– Nie rozumiesz, co do ciebie mówię.

– Dobra, co do mnie mówisz? – zapytał z rosnącym zniecierpliwieniem.

– Biorę urlop dziekański. Tak postanowiłam w drodze do domu.

– Co? – Uśmiechnął się zmieszany. – Tylko dlatego, że umarł ci ojciec? Słuchaj, Willow, powiem ci coś. Widziałem go tylko raz i prawie go nie znam, ale jestem pewien, że nie byłby zadowolony z twojej

decyzji. Zresztą co byś robiła? Jakiś czas byś rozpaczała, ale wreszcie łzy by wyschły. Rozejrzałaś się i zobaczyła, że nie masz nic ciekawego do roboty. Nie, nie, lepiej zostań na uczelni, słyszysz? Twój tata odszedł, więc ja postaram się go zastąpić i pokierować tobą, czego on nie robił.

– Nie potrzebuję figury ojca, Allanie. Potrafię sama decydować o sobie i swoim życiu.

– Jasne, że tak, ale nie w tym trudnym momencie. – Znów pochylił się ku mnie, patrząc poządlawie.

Odsunęłam go ręką.

– Nie biorę urlopu po to, żeby odbyć żałobę po ojcu, Allanie.

– Nie rozumiem. – Skonfundowany pokręcił głową. – Musisz się zwalniać teraz, w środku semestru?

I zostawić mnie samego? – pytał, podnosząc głos.

– Mówiłam ci, że wiele się wydarzyło w ciągu tych paru dni – zaczęłam, skupiwszy spojrzenie na podłodze pod moimi nogami. – Tata zostawił instrukcje naszemu rodzinnemu prawnikowi i ten przekazał mi dziennik, który tata pisał przed laty.

– Dziennik?

– Tak, zapis jego wielkiego romansu. Stąd dowiedziałam się, kim była moja rodzona matka.

– Serio?

– Jak najbardziej.

Uśmiech Allana zgasł jak zdmuchnięty.

– Niezbyt to profesjonalne, jak na znawcę ludzkiej psychiki. Mógł w inny sposób cię o tym poinformować, nie uważasz?

– Zrobił, jak uważał.

– A skąd wiedział, kim jest twoja rodzona matka? Czy dostał informację od urzędników?

– Nie. Moja matka była jedną z jego pacjentek.

– Co? – Spojrzał na mnie zaskoczony. – Chyba żartujesz. On ją leczył?

– Tak. O tym wiedziałam od początku.

– Ale mnie nie powiedziałaś.

– Byłam przewrażliwiona na tym punkcie, a nie chciałam ci kłamać. Zresztą nie potrafiłam rozmawiać o tych sprawach. Moja matka adopcyjna nigdy nie pozwoliła mi o tym zapomnieć i ciągle sugerowała, że coś jest ze mną nie w porządku.

– Rozumiem – mruknął, lecz dopiero za moment naprawdę pojął, co mówię. – Dobrze, ale dlaczego poświęcił temu cały swój dziennik?

– Bo chciał, abym wiedziała, że był moim rodzonym ojcem, i abym zrozumiała, czemu nie powiedział mi o tym.

Wpatrzył się we mnie, przetrawiając tę informację.

– Chcesz powiedzieć, że twój ojciec uprawiał seks ze swoją pacjentką?

– Nie chodziło tylko o seks. Oni się naprawdę kochali.

Pokręcił głową.

– W życiu bym się tego po nim nie spodziewał. Taki znany i poważany lekarz!

– To nie tak, jak myślisz – zaprotestowałam. – On nie wykorzystał swojej pacjentki. Po prostu się w sobie zakochali. Miłość, nie jakieś chwilowe zauroczenie.

Widziałam, że mi nie wierzy.

– Allanie, to prawda.

– Jego prawda – mruknął.

– Niemożliwe! – wykrzyknęłam. – Mój tata był organicznie niezdolny do kłamstwa.

– Czyżby? A przecież okłamywał swoją żonę. Bo chyba nie przyznał się do grzechu, prawda?

Poczułam, że twarz mi płonie.

– To co innego. Nie można tego nazwać kłamstwem.

– Nie? A jak to nazwać? Zapewne znalazł jakiś dobrze brzmiący naukowy termin?

– Nie rozumiesz. Oni nie byli dobrym małżeństwem.

Wzruszył ramionami.

– Ja nikogo nie osądzam. Po prostu zaskoczyły mnie twoje rewelacje. – Zamyślił się i dziwnie na mnie popatrzył.

– Co było nie tak z twoją rodzoną matką? – zapytał po chwili. – Miała schizofrenię czy coś w tym rodzaju?

– Nie, tylko głęboką depresję. Udało się podleczyć ją tak, że mogła wrócić do rodziny. I dlatego właśnie biorę dziekanę.

– Nie rozumiem.

– Postanowiłam ją odnaleźć, odwiedzić ją i wreszcie poznać.

– Och, przecież możesz to zrobić w weekend.

– Nie sposób jest poznać swojej prawdziwej matki i jej rodziny w weekend – odparowałam.

– Od tego można by zacząć.

– Po prostu czuję, że powinnam to zrobić. Mam nadzieję, że mnie zrozumiesz i będę mogła liczyć na twoje wsparcie.

Oczy mu pociemniały i zwięziły się.

– Nie powinnaś działać pod wpływem impulsu, Willow. To może być niezdrowe.

– Co masz na myśli?

– Choroby psychiczne mogą być dziedziczne, nie? Możesz mieć pewne skłonności, zaburzenia, jak twoja rodzona matka. Kto wie, może powinnaś teraz, na wszelki wypadek, iść do psychiatry?

Popatrzyłam na niego wielkimi oczami. Mówi poważnie?

– Czy ktoś normalny mógłby pod wpływem jednego impulsu zaniechać pracy nad własną karierą i zająć się szukaniem zaburzonej kobiety? – ciągnął z naganą.

– Nie szukam jakiejś tam zaburzonej kobiety, tylko mojej mamy; kobiety, którą mój ojciec kochał całym sercem. Człowiek, który pisał ten dziennik, wydał mi się zupełnie inny. Czytając, żałowałam, że nie mogłam poznać ojca w tym wcieleniu. I poznać swojej rodzonej mamy, bo wydaje mi się, że miałabym z nią dobry kontakt.

– On już nie żyje, więc co za różnica?

– Dla mnie ogromna – odparłam, łykając łzy.

– To jest chora sprawa. – Pokręcił głową. – A co ja mam robić w tym wszystkim? Czekać cierpliwie, aż objedziesz pół kraju, bawiąc się w psychologicznego detektywa? Myślałem, że jesteśmy razem. – Aż jęknął, kompletnie sfrustrowany. Wydał mi się nagle taki mały i słaby – on, który miał być figurą mojego ojca; mężczyzną silnym i inteligentnym, na którym można polegać.

– Nie wierzę, że nie rozumiesz – powiedziałam z goryczą, ocierając łzy wierzchem swej drobnej dłoni.

– Rozczarowałeś mnie.

– Ja ciebie rozczarowałem? To śmieszne. – Wstał i zaczął chodzić po pokoju. W pewnym momencie spojrzął na mnie i stanął. – Rano będziesz już myślała inaczej – stwierdził. – Dzisiaj jeszcze nie doszłaś do siebie.

– Mylisz się.

– Zobaczymy. – Znałam ten uśmiezek, który pojawiał się, kiedy myślał o seksie. Zbliżył się i próbował mnie przyciągnąć do siebie.

– Jestem bardzo zmęczona, naprawdę.

– Tak? Pomogę ci się zrelaksować.

– Muszę się po prostu wyspać.

– Będziesz lepiej spała, kiedy się pokochamy, Willow.

Zanim zdążyłam pokręcić głową, chwycił mnie w ramiona.

– Allanie, proszę... – Zdusił mi słowa pocałunkiem i mocno dławił mój opór wargami.

– Chodź – powiedział niskim głosem, ciągnąc mnie do sypialni. – Zaliczysz darmową terapię u doktora

Love Machine.

Taką sobie nadał miłosną ksywkę.

Nie chciałam się położyć.

– Głupio mi by było robić to teraz, Allan. Za wcześnie.

– Nonsens. Jedynym sposobem wrócenia do świata żywych jest żyć jak oni.

– Duchem będę daleko – tłumaczyłam.

– Nie szkodzi. Bylebyś była blisko ciałem – odparł z uśmiechem.

– Allanie, proszę, przestań. Nie lubię, kiedy tak się zachowujesz.

– Czyli jak? Kiedy cię pragnę? Kocham? Willow, co się z tobą dzieje?

Pokręcił głową. Wysunęłam dłoń z jego dłoni.

– Nic się nie dzieje. Po prostu straciłam ojca i przeżywam to bardzo. Musi minąć trochę czasu, zanim osłabnie rozpacz. Masz szczęście, że nic takiego nie spotkało ciebie. Masz pełną rodzinę.

– Już praktykujesz na mnie swoją domorosłą psychologię, co? – rzucił z chłodnym grymasem. – Lepiej popracuj nad sobą. Powiedz sobie, jak bardzo tego potrzebujesz, jak potrzebujesz mnie, jak mnie pragniesz, i wszystko będzie dobrze – cedził słowa.

Znów mnie objął i zaczął całować w szyję, jednocześnie wsuwając mi dłonie pod bluzkę. Jęknął cicho, kiedy dotknął moich piersi, po czym wsunął pode mnie ramię i podniósł mnie jak piórko.

– Allan, nie...

Opuścił mnie na łóżko i zanim zdążyłam zrobić ruch, już był na mnie. Całował mnie i szarpał zamek mojej spódnicy. Przytrzymałam go za przegub.

– Nie chcę tego robić teraz – powiedziałam dobitnie.

Zignorował mnie, znów chciał całować, ale gwałtownym ruchem odwróciłam głowę i Allan znieruchomiał.

– Dobrze. – Puścił mnie.

Wstał, poprawiając spodnie i koszulę.

– Jak wolisz. Pław się w tej swojej żałobie i toń w smutku, skoro to lubisz. I nie pozwalaj, żebym ci pomógł.

– Doceniam twoją chęć pomocy, Allanie, ale naprawdę wolałabym, żebyśmy usiedli i porozmawiali...

– Jasne. Usiądźmy i porozmawiajmy o matkach adopcyjnych, rodzonych oraz chorych psychicznie.

– Allan!

– Wiesz, Willow, ty chyba rzeczywiście odziedziczyłaś jakieś problemy po matce i panikujesz, bo twoje obawy się urzeczywistniają. A może lubisz być nieszczęśliwa? W każdym razie zaczynam się poważnie zastanawiać, czy powinienem mieć z tobą dzieci – dodał.

Odskoczyłam, jakby chlasnął mnie brzytwą. Czułam, jak krew podchodzi mi pod skórę, zwłaszcza na twarzy i szyi. Spiorunowałam go spojrzeniem.

– O to się nie musisz martwić, Allanie. Nie zrobię ci takiego kłopotu. Nie będziemy mieć dzieci.

Kiwnął głową.

– Jasne – powiedział. – Okay. W takim razie rób, co zechcesz. Rzuć studia i goń za swoim obłędem przez całe Stany.

Zawrócił na pięcie i jak burza wypadł z sypialni. Za moment usłyszałam odgłos otwieranych

i zatraskiwanych drzwi wejściowych. A potem zapadła głęboka, dręcząca cisza.

Ile drzwi zatrzaśnie się przede mną albo za mną w ciągu najbliższych dni, miesięcy i lat? – pomyślałam.

Rzuciłam się na łóżko i wbiłam spojrzenie w sufit. Allan omal mnie nie wykończył, ale wiedziałam, że muszę robić to, co sobie postanowiłam. Właściwie mi ulżyło, bo to, czego się tak obawiałam – czyli momentu, w którym on pozna prawdę – wreszcie nastąpiło. I nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. W samą porę dowiedziałam się, ile jest wart. I przestanę mieć złudzenia.

Brzmiało rozsądnie, ale nie poczułam się lepiej. Przeciwnie, płakałam, jakby umarła kolejna bliska mi osoba. Wreszcie uspokoiliam się i poszłam spać.

Niestety, prawie całą noc przewracałam się na łóżku, udręczona nawałem myśli. Rozważyłam jeszcze raz swoją decyzję i zastanawiałam się, jak zaplanować poszukiwania rodzonej matki. Wreszcie zasnęłam, a rano obudziłam się wymięta i zmęczona. Nie pomógł nawet prysznic. Wzięłam się jednak w garść i pojechałam na uczelnię. Nieoceniona pani Schwartz zdołała umówić mnie z dziekanem, Anthonyem Thorne'em.

Był wysokim, ciemnowłosym mężczyzną, pełnym uroku i charyzmy – z gatunku tych, którzy wydają się stworzeni do swojej pozycji: o gładkim obejściu, bystry, zorientowany w polityce i świecie, sprawiający wrażenie, jakby urodził się w garniturze i krawacie. Widać było, że komfortowo się czuje za biurkiem, jak w ciepłej kąpieli. Nie znałam nikogo, kto by potrafił tak się uśmiechać samymi oczami – i tak uroczo flirtować ze studentkami.

– Willow. – Wstał i wyciągnął rękę. – Przyjmij moje szczere kondolencje. Czytałem nekrolog twojego ojca w prasie. Musiał być niezwykłym człowiekiem! Nie tylko tobie będzie go brakować.

– Dziękuję.

– Jak mogę ci pomóc, Willow? – Wskazał mi gestem krzesło stojące przed jego biurkiem.

– Chciałabym prosić o urlop dziekański.

Kiwnął głową i wrócił na swój fotel. Dzień w dzień musiał spotykać się z tyloma problemami i narzekaniami, że sprawiał wrażenie, jakby oddzielał się od studentów tym biurkiem jak tarczą.

– Pod koniec semestru?

– Nie, od zaraz. Nie będę mogła na razie uczęszczać na zajęcia, a nie chcę stracić roku.

– Rozumiem. Nie minęła jeszcze połowa semestru, ale rozumiem, że masz mnóstwo spraw rodzinnych i urzędowych do załatwienia.

– Tak – potwierdziłam skwapliwie.

– Cóż, bardzo ci współczuję. Świetnie ci idzie i szkoda by było przerwać tę dobrą passę. Nie da się inaczej tego załatwić?

– Nie – odparłam twardo.

Przyglądał mi się dłuższą chwilę, po czym odchylił się na oparcie fotela i obdarzył mnie eleganckim uśmiechem, ozdobionym klawiaturą olśniewająco białych zębów. Mógłby z powodzeniem występować w reklamie pasty do zębów.

– Jeśli potrzebujesz wsparcia, Willow, mógłbym ci coś załatwić.

– Myślę, że nie miałabym kłopotów z załatwieniem sobie terapii wsparcia, panie dziekanie – odpowiedziałam nieco zbyt oschle. Thorne lekko zacisnął usta.

– Jasne. Rozumiem, że decyzja jest nieodwołalna, więc zawiadomię twoich wykładowców. Mam nadzieję, że zobaczymy się w następnym semestrze.

– Dziękuję panu – powiedziałam, wstając.

On również wstał i podał mi rękę ponad blatem biurka. Mocno uściśnął mi dłoń.

– Jeszcze raz zapytam, czy to ostateczna decyzja? Wybacz, ale muszę nalegać do ostatniej chwili – wyjaśnił z tym swoim słynnym uśmiechem – bo tego ode mnie wymagają.

– Jest ostateczna.

Spojrzałam na swoją dłoń spoczywającą w jego dłoni. Thorne cofnął rękę i stał, kiwając głową niczym jeden z tych piesków, wożonych za tylną szybą samochodów. Uśmiech tkwił na jego twarzy jak przyklejony, kiedy wychodziłam, zamykając za sobą drzwi.

Stało się.

Zrobiłam pierwszy krok na drodze do odnalezienia mojej prawdziwej matki i spotkania się z nią po raz pierwszy w życiu. Sama myśl o tym była dziwna.

I dość przerażająca.

Zastanawiałam się, czy też dziwna i przerażająca będzie dla niej.

[1](#) *Willows* – ang. wierzby (przyp. tłum.).

Rozdział piąty

WITAJ W PALM BEACH!

Wiedziałam tylko, że mama mieszkała w Palm Beach na Florydzie. Nie byłam pewna, czy mieszka tam nadal. Ale jeśli nawet mieszkała, nie wyobrażałam sobie, że tak po prostu miałabym zapukać do drzwi i oznajmić: „Oto jestem ja, twoja nigdy niewidziana córka”. Będę musiała działać powoli i rozważnie, gdyż zbyt nagłe spotkanie mogłoby być szokiem dla jednej i drugiej.

Nie znałam nikogo w Palm Beach i nie mogłam liczyć na niczyją pomoc. Wiedziałam tylko, że moją mamę skierował do taty doktor Anderson, i najpierw z nim zamierzałam się zobaczyć po przybyciu na miejsce. Wymyśliłam całą historyjkę na usprawiedliwienie mojej prośby do niego, ale nie byłam pewna, czy zdołam go przekonać. Przykrywką miał być mój projekt badawczy w ramach studiów. W ten sposób chciałam wykorzystać doktora bez konieczności wyznania mu prawdy. Wkrótce się przekonam, czy mam zadatki na dobrą aktorkę. Moja matka adopcyjna była dla mnie doskonałym wzorem.

Choć mieszkałam niedaleko od Palm Beach, nigdy tam nie byłam. M.A. jeździła do kurortu z przyjaciółkami. Często wyjeżdżała bez ojca, pomstując, że za dużo pracuje i zapomina o urlopie, ale ona nie zamierza przez to cierpieć. Poza kilkoma wypadami na szalone zakupy, nigdzie z nią nie bywałam.

Pamiętam z dzieciństwa, że parę razy wyjeżdżaliśmy razem, zwykle na jedną z karaibskich wysp i raz na Hawaje, ale rodzice zabierali Amou i to ona się mną zajmowała. Zupełnie jakbyśmy byli oddzielnie; nawet posiłki jadałam z nianią osobno i chodziłyśmy same na place zabaw dla dzieci.

Aby zabukować bilety na samolot i hotel, zadzwoniłam do agencji turystycznej w Karolinie Południowej – z niej korzystał kiedyś tata. Rozmawiałam z ludźmi, którzy musieli go znać i oczywiście wiedzieli, co się stało. W ich głosach słyszałam ukryty ton zaskoczenia i zainteresowania moimi poczynaniami. Ojciec niedawno zmarł, a ja tu załatwiam z agentką wyjazd do jednego z najbardziej luksusowych kurortów! Z jej pytań przebijała ukryta chęć wybadania, o co tu chodzi, i zaspokojenia ciekawości.

– Na jak długo pani chce się tam zatrzymać? Miejsce nie jest tanie. Czy chce pani mieszkać w samym Palm Beach? Bo mogę pani zaproponować bardzo przyjemną kwaterę w West Palm Beach – zasugerowała. – Chyba że woli pani mieć bliżej do osób czy miejsc, na których pani zależy.

– Nie, wolę zatrzymać się w Palm Beach.

Pomyślałam, że muszę znaleźć się w samym centrum wydarzeń, czy też świata mojej mamy. Tata często powtarzał, że zanim się pozna człowieka, można się wiele o nim dowiedzieć, obserwując jego środowisko. Jakie siły na niego działają? Wierzył we wpływ sfer socjalnej i fizycznej na charakter i osobowość pacjentów. Dlatego poświęcał tyle czasu na wywiad rodzinny. Jeśli mógł, wizytował nawet domy osób leczonych w klinice. Tymczasem wielu jego akademickich kolegów optowało za uwarunkowaniem genetycznym. On jednak obstawał przy swoim.

– Dobrze, jeśli pani woli, znajdę pani samodzielny apartament z kuchnią w pobliżu plaży i Worth

Avenue. To oszczędzi pani sporo wydatków. Bo jeśli pani pragnie naprawdę znaleźć się w świecie Palm Beach – kontynuowała – poszukałabym pani miejsca w The Breakers albo Four Seasons lub w Palm Beach Hilton. Rozumie pani? To jest ekskluzywny kurort – ostrzegła. – Dlatego musi mi pani powiedzieć, jak długo zechce się tam zatrzymać, jakie ma pani plany i tak dalej.

Te pytania skłoniły mnie do ponownego namysłu. Właśnie, co ja mam tam robić? Czy aby nie uległam hipnotycznej mocy marzeń, które podsuwały mi wizję jakiejś pięknej kobiety, zachwyconej moim pojawieniem się, która z mety mi zaproponuje, żebym zamieszkała razem z nią w rajskiej posiadłości w Palm Beach? Od tej pory spędzałybyśmy razem każdy wieczór na rozmowach i nadrabiały zaległości poznawcze. Jadłybyśmy śniadania, lunchy, a na kolacje chodziłybyśmy do lokali. Popołudnia spędzałybyśmy nad bajkowym basenem, prowadząc rozmowy bez końca, aż do wyczerpania.

Wieczorami chodziłybyśmy na długie spacery po plaży. Na tle oceanu, spokojnego o tej porze i srebrzącego się w świetle księżyca, mama snułaby opowieść o tacie, utkaną ze wspomnień. A ja na zmianę śmiałabym się i płakała. Piłybyśmy wino i słuchały muzyki, wspominając go razem w sposób, o jakim dotąd mogłam tylko marzyć. Aż wreszcie poczułybyśmy, że się kochamy jak matka i córka. Miałam nadzieję, że jakimś cudem udałoby mi się nadrobić stracony czas i zrekompensować lata koszmaru, w którym żyłam za sprawą matki adopcyjnej. Moja rodzona matka miałaby z tego powodu ogromne wyrzuty sumienia i przyznałaby, że ona i mój tata popełnili błąd.

– Nie powinniśmy ulegać – powiedziała. – Trzeba było nie zważać na innych i być dalej ze sobą. On by się rozwiódł i być może przeprowadził tutaj, do mnie, i zaczął nową karierę. Bylibyśmy rodziną, prawdziwą rodziną.

– Będziemy rodziną – zapewniłam ją, likwidując przeciek w tamie, oddzielającej nasze nowe, kruche jeszcze szczęście od naporu smutków przeszłości. Wtedy mama by się uśmiechnęła i znów poszłybyśmy na spacer, trzymając się za ręce, wreszcie z poczuciem szczęścia, spokoju i bezpieczeństwa. Taki był prawdziwy spadek, jaki otrzymałam od taty – możliwość nowego rodzinnego życia.

– Nie – powiedziałam do agentki. – Nie interesuje mnie byle jaki pokój. Proszę zarezerwować mi apartament w The Breakers na cały tydzień. – W moim głosie brzmiało zdecydowanie. Pamiętałam, że moja matka adopcyjna zatrzymywała się w tym hotelu za każdym razem, kiedy przylatywała do Palm Beach. Postanowiłam nie być gorsza od niej i zażyć luksusu. – Później zastanowię się, co dalej.

– Zrobię, co się da, ale zbliża się sezon i wszystkie hotele zaczynają się wypełniać.

– Jakoś udawało się wam zawsze załatwić rezerwację dla mojej matki czy ojca – przypomniałam jej. – Liczę, że dla mnie postaracie się tak samo jak kiedyś dla nich.

Zamilkła.

– Oczywiście – zapewniła po chwili. – Myślałam, że mam do czynienia ze studentką – dodała, zebrawszy się na odwagę. – Macie jakąś przerwę w trakcie semestru?

– Tu jest mój numer telefonu – powiedziałam zamiast odpowiedzi. – Chciałabym dostać odpowiedź w ciągu godziny.

Czy życie innych ludzi było aż tak nudne, że musieli wsadzać nos w moje sprawy, albo w ogóle w cudze sprawy? Ludzie są jak świnie, ryjące w błocie plotek, myślałam z irytacją.

– Zaraz zajmę się sprawą – obiecała urażona.

Oddzwoniła po dwudziestu minutach i wydawała się sama zdziwiona, że o tak późnej godzinie udało jej się załatwić rezerwację.

– Ktoś musiał zrezygnować w ostatnim momencie. Szczęście dopisało.

– Na to wygląda – stwierdziłam sucho. – Proszę jeszcze o załatwienie samochodu.

– Ma być kabriolet?

Teraz rozmyślnie oferowała mi same luksusy.

– Wszystko jedno.

Załatwiwszy sprawę hotelu, zadzwoniłam do gabinetu doktora Andersona i umówiłam się na wizytę. Oczywiście skojarzył, kim jestem, i jego sekretarka nie omieszkała zaznaczyć, że zmienił swój grafik wizyt, aby mnie przyjąć.

Kiedy odłożyłam słuchawkę, przyszło mi do głowy, że sądził, iż oczekuję od niego pociechy po śmierci taty. Bo przecież musiał wiedzieć, że ojciec umarł. I nie chciał odmówić jego córce. Kto wie, myślałam, może naprawdę potrzebuję fachowej pomocy? Może jednak Allan się nie mylił. Teraz, w miarę jak poznawałam ukrywaną przez lata prawdę, miałam prawo pytać o własne psychiczne zdrowie. Byłam jak rozbitek, którego łódką tak długo rzucały fale, że kiedy wpłynął wreszcie na spokojne wody, ciągle miał wrażenie choroby morskiej.

Nie wiedząc, ile czasu spędzę w Palm Beach, nie wiedziałam też, ile rzeczy spakować. Skończyło się na jednej walizce. W chwili, kiedy miałam opuścić swoje skromne studenckie mieszkanie, przygniótł mnie ogrom problemów, z którymi przyjdzie mi się zmierzyć. Czy się zblamuję i wrócę z podwiniętym ogonem, w dodatku za późno, i będę musiała powtarzać rok? Ludzie na uczelni pomyślą, że brakuje mi piątej klepki? Dziekan Thorne już teraz sprawiał wrażenie, jakby tak przypuszczał. A już Allan na pewno.

Ciągle była we mnie gorycz, kiedy myślałam, jak mnie rozczarował, ale ten ból był niczym wobec innych ran, których doznałam. Byłam zbyt obolała po stracie ojca, żeby odczuwać ból, jaki zadał mi Allan. Liczyłam na jego bliskość i wsparcie, a zamiast tego usłyszałam oszczerstwa i groźby. Do tego wpędził mnie w poczucie, że jestem emocjonalnie zaburzona i totalnie znerwicowaną młodą kobietą. Moja wiara w siebie została poważnie podkopana; straciłam poczucie bezpieczeństwa i odporność na ciosy właśnie w chwili, kiedy najbardziej tego potrzebowałam.

Lot trwał krótko i szybko wylądowaliśmy w West Palm Beach. Agentka z biura podróży miała rację – zaczął się sezon i najazd gości. W hali przylotów tłoczyli się turyści z zachodniej Europy oraz północnych i środkowo-zachodnich stanów USA. Pół godziny czekałam na bagaż i straciłam jeszcze drugie tyle czasu, zanim dotarłam do wynajętego samochodu. Kiedy wreszcie ruszyłam do Palm Beach, dochodziła dziewiętnasta.

Trzymałam się wskazówek agenta z wypożyczalni aut. Droga do hotelu nie była skomplikowana, ale kiedy zjechałam z Flagler Bridge – mostu noszącego imię jednego z założycieli tego miasta dla bogatych snobów, nie znalazłam wskazanego zjazdu. Zjechałam na bok i zawołałam do kobiety, która prowadziła na smyczy coś, co przypominało miniaturowego hipopotama. Zwierzak miał luźną skórę, całą w zmarszczkach i fałdach, zwłaszcza na pysku. Później dowiedziałam się, że ta rasa psów jest bardzo popularna w mieście. Pochodzą z Chin i nazywają się *shar pei*. Smycz i obroża wykonane z futra norek mogły robić wrażenie, zwłaszcza że sama obroża skrzyła się od drogich kamieni.

Kobieta zatrzymała się i odwróciła do mnie. Wieczór był ciepły i parny, ale ona miała na sobie wytworny dziergany spodniem, ramiona okrywał szal, a całości dopełniały szpilki na wysokich obcasach, niezbyt odpowiednie na spacer z psem. Dama cofnęła głowę, jakby mój samochód brzydtko pachniał.

– O co chodzi? – burknęła.

– Chciałam się upewnić, że jestem w Palm Beach – powiedziałam.

– Oczywiście, że jesteś w Palm Beach. Skoro tego nie wiesz, nie mieszkasz tutaj – stwierdziła, sznurując usta, po czym odwróciła się i ruszyła dalej, jakby szkoda było jej cennego czasu na coś takiego jak ja.

Z uśmiechem pokręciłam głową i pojechałam dalej. Na szczęście pojawiły się drogowskazy, kierujące do The Breakers. Jeszcze chwila, a jechałam szerokimi ulicami ze szpalerami wysokich palm kokosowych. Gdyby bogactwo mogło pachnieć, całe Palm Beach byłoby przesiąknięte nutą tej woni,

likwidującej wszystkie inne zapachy. Nie sposób było policzyć limuzyn z szoferami, zaparkowanych wzdłuż arterii czy sunących wokół mnie po jezdni. Aż zrobiło mi się głupio, że jadę niewielkim, skromnym autem z wypożyczalni. To tak, jakbym wybrała się na snobistyczne przyjęcie w dzinsach i zwykłej bluzce, a towarzystwo było w sukniach i w smokingach. Paru przechodniów spojrzało w moją stronę z wyraźnym lekceważeniem. Twoja wyobraźnia przesadza, powtarzałam sobie. To tylko wyobraźnia i napięte nerwy.

Wreszcie pojawił się hotel The Breakers. Palmy przy wejściu były obwieszane kolorowymi światełkami, a iluminowane bliźniacze wieżycy z flagami łopoczącymi na wietrze nadawały wielkiemu gmachowi wygląd zamku. Może to jednak sen, pomyślałam. Czułam się jak Alicja w Krainie Czarów, też zobaczyłam bajeczny świat.

Boje parkingowi i bagażowi rzucili się do mnie, kiedy podjechałam pod wejście. Za moment już stałam przy recepcji i rozglądałam się po ogromnym lobby, dziwiąc się, jak się tam znalazłam. Jak to się stało, że opuściłam swoje mieszkanko, pogrążona w głębokim smutku, i tak szybko przeniosłam się do tego olśniewającego miejsca? Malowane plafony, weneckie żyrandole i piętnastowieczne arraszy świadczyły o fascynacji twórców włoskim renesansem.

Co za przepych, myślałam oszołomiona. Hotel był luksusowy i w lobby widziałam wiele kobiet w wytwornych, drogich sukniach oraz mężczyzn w smokingach czy garniturach najdroższych firm. Ich śmiech brzmiał jak muzyka, ożywiając przestrzeń wokół mnie. Nic dziwnego, że agentka z biura podróży bardzo chciała wiedzieć, czemu koniecznie chcę tam zamieszkać zaraz po śmierci ojca. To nie było miejsce dla kogoś, kto pogrążony w żalu po stracie potrzebował spokoju i ukojenia.

Miałam pokój z widokiem na ocean. Kiedy portier wniósł mój bagaż, stanęłam przy oknie i zapatrzyłam się w przestrzeń, zafascynowana przestworem oceanu. Widok gości spacerujących wzdłuż plaży i dźwięki muzyki dochodzące z dołu czyniły mnie dziwnie wyobcowaną i niewidzialną. Nie mogłabym należeć do tego towarzystwa, a jednak tutaj się znalazłam.

Byłam głodna, ale nie chciałam wychodzić, i zamówiłam kolację do pokoju. Próbowałam zająć umysł telewizją, lecz on uparcie kazał mi wracać do moich lęków i pytań, na które nie znałam jeszcze odpowiedzi. Czy popełniłam poważny błąd? Niepotrzebnie posłuchałam impulsu i przerwałam studia? A może popełniłam błąd, ignorując zdanie Amou, doktora Price'a i Allana? Co ja tu właściwie robię?

Czułam się wewnętrznie splątana i napięta, jakby ktoś rozciągnął we mnie gumy. Naciągał je tak, aż wreszcie pękły mi w żołądku i pożałowałam, że cokolwiek zjadłam. Zwymiotowałam wszystko, a potem zwinęłam się na łóżku i płakałam, póki nie ogarnęło mnie wyczerpanie, które przyniosło parę godzin płytkiego, przerywanego snu.

Kiedy pierwsze promienie słońca przesączyły się przez zasłony, otworzyłam oczy po raz kolejny, ale czułam się tak podle, że zmusiłam się do ponownego zaśnięcia. Tym razem sen był głębszy i kiedy się obudziłam i zerknęłam na zegarek, zobaczyłam, że za niecałe pół godziny mam być w gabinecie doktora Andersona.

Zerwałam się w panice, na moment wskoczyłam pod prysznic, błyskawicznie włożyłam sukienkę i przeciągnęłam szczołką po włosach. O śniadaniu nie było mowy; zdołałam tylko wypić szklankę wody. Wypadłam z pokoju, zjechałam na dół windą i przebiegłam przez lobby. Dotarcie do samochodu zajęło mi więcej czasu, niż myślałam. Podstawiano mercedesy, bmw i rolls-royce'y zamiast mojego, jakby chcieli odprawić najpierw lepszy sort klientów, żeby nie widzieli nędzarki.

Wreszcie podjechał mój samochód i zapytałam o drogę, starając się zapamiętać, co do mnie mówiono. Ale i tak się zgubiłam. Na szczęście zauważyłam radiowóz zaparkowany przy ulicy i policjant tak dobrze wytłumaczył mi drogę, że zjechałam pod gabinet doktora Andersona spóźniona tylko pięć minut.

Zgasiłam silnik, wzięłam parę głębokich oddechów i przejrzałam się w lusterku. Wyglądałam jak jakaś

dzika, szalona kobieta – ale pewnie przychodziła tu niejedna taka osoba. Na moment zamknęłam oczy i przełknęłam gulę w gardle. Miałam tremę jak przed występem. Nie mogłam się ruszyć, ale po chwili się przemogłam i wysiadłam z samochodu.

Ten budynek stanowił podręcznikowy przykład ukrycia prawdziwego przeznaczenia jakiegoś miejsca. Przypominał rezydencję i nie było żadnej tabliczki, żadnego znaku informującego, jakie biura znajdują się w środku. Widziałam tylko tabliczki z tytułami i nazwiskami przy wejściu. Na pewno znajdowały się tam gabinet dentystyczny i biuro rachunkowe. Weszłam. Drzwi do gabinetu doktora były się po prawej stronie.

Recepcjonistka wyglądała, jakby wybierała się na proszoną kolację. Siedziała przy biurku z komputerem, ale miała na sobie elegancki kostiumik, a w jej uszach kołysały się brylantowe kolczyki w kształcie kropli. Była bardzo atrakcyjną, trzydziestoparoletnią kobietą o łagodnym spojrzeniu niebieskich oczu i prostych, jasnobrązowych włosach.

– Willow De Beers? – zapytała z uśmiechem, kiedy zobaczyła mnie w drzwiach.

– Tak. Przepraszam za spóźnienie, ale pomyliłam drogę – usprawiedliwiłam się.

– Spóźnienie? – Uśmiechnęła się jeszcze szerzej. – Większość pacjentów doktora Andersona spóźnia się od dwudziestu minut do pół godziny. Mamy to wliczone w grafik – wyjaśniła. – Zaraz mu powiem, że już jesteś. Zapewne będzie zaskoczony, że czekał na ciebie tak krótko. – Wstała, żeby zapukać do wewnętrznych drzwi. Uchyliła je, zajrzała do środka i zaanonsowała moje przybycie.

Serce mi waliło i bałam się, że nie zrobię kroku. Czy on będzie jak tata i przejrzy mój marny podstęp? Ale przecież nie mogłam mu powiedzieć tego, co ojciec zdradził tylko najbliższemu współpracownikom i mnie w swoim dzienniku! Kto wie, jak by to przyjął i co by sobie pomyślał? Jeśli moja mama nadal podlega jakiejś formie leczenia czy terapii, mógłby powiązać to z postępowaniem taty, które każdy psychiatra uznałby za naganne i nieprofesjonalne.

Nigdy bym sobie nie wybaczyła, gdyby jedynym rezultatem moich wysiłków było pograżenie taty, nawet pośmiertne. W sumie nawet gorzej, gdyż umarli nie mogą się bronić.

– Niech wejdzie – odezwał się doktor Anderson głębokim barytonem.

Recepcjonistka dała mi znak ruchem głowy i przepuściła mnie w progu.

Doktor Anderson wyszedł mi na spotkanie zza biurka z jasnego dębu. Amou powiedziałaaby o nim, że jest jak: *uma bebida longa de água* – „długi łyk wody”. Był bardzo wysoki i bardzo szczupły, o wydatnym jabłku Adama i wyraźnie zarysowanym podbródku. W kącikach brązowych oczu, osadzonych głęboko pod wypukłym czołem, rysowały się kurze łapki. Miał długi, cienki nos, a za to zmysłowe, wydatne wargi pod wystrzyżonym, raczej rzywym wąsikiem – całkiem w stylu taty. Wyciągnął ku mnie dłoń o długich palcach.

– Witam, jak się masz – rzekł. – Proszę, siadaj. – Niemal popchnął mnie w stronę wyściełanego, skórzanego fotela przed jego biurkiem. – Dowiedziałem się o twoim ojcu na parę godzin przed twoim telefonem – wyjaśnił. Stał przede mną, patrząc mi w oczy. – Tak mi przykro. Był dla mnie swojego rodzaju mentorem. Przeczytałem chyba wszystko, co wyszło spod jego pióra. Co za strata dla psychiatrii!

– Dziękuję – powiedziałam.

Dziwnie krzyżował ręce na piersi – przyciskał je mocno do ciała, jakby tylko w ten sposób mógł utrzymać wyprostowane plecy. Bardzo wysocy ludzie mają bowiem tendencję do garbienia się, jak gdyby podświadomie chcieli zmniejszyć dystans do innych, z reguły niższych od nich. Doktor Anderson przypominał swoją postacią indiańskiego wodza z dawnych reklam wyrobów tytoniowych.

– W czym mogę ci pomóc? – zapytał, lecz nie wrócił za biurko.

Zaczyna się, pomyślałam. Czułam się jak studentka szkoły aktorskiej przed pierwszym występem na scenie i dużą publicznością.

– Ojciec uczył mnie, że jedynym sposobem poradzenia sobie z rozczarowaniami, smutkiem, życiowymi dramatami i wyzwaniem jest jak najszybsze zanurzenie się w życiu, konkretna aktywność – mówiłam. – Na pewno nie chciałby, żebym siedziała w domu i całymi dniami go opłakiwała, odcinając się od życia towarzyskiego, studiów i innych rzeczy. Powiedziałaby, że gaszę ogień – dodałam. – I zostaje mi tylko żar własnego nieszczęścia.

– Tak. – Doktor Anderson uśmiechnął się ciepło, jakby wspominał tatę, mówiącego mu coś w tym samym stylu. Wreszcie wrócił za biurko, na którego blacie rzeczy leżały w równym, niemal geometrycznym porządku.

Rozejrzałam się po gabinecie. W przeciwieństwie do biura taty, wyglądał jak przytulny domowy salonik. Zastłony pasowały do wykładziny i mebli, a ozdoby – jak waza ze sztucznymi kwiatami – dobrano naprawdę gustownie.

Widać, że zadbano, aby pacjenci czuli się tutaj komfortowo i spokojnie. Gabinet taty był miejscem jego pracy; tu za najważniejsze uznano potrzeby i samopoczucie pacjentów.

– W jaki sposób dbasz o aktywność? – zapytał doktor Anderson.

– Studiuję na Uniwersytecie Karoliny Północnej. Tata odszedł, kiedy mój projekt naukowy wkroczył w najważniejszą fazę.

Kiwnął głową. Przyglądał mi się tak intensywnie, że oczy zdawały się wychodzić z czaszki. To „milczące” spojrzenie zwiększyło jeszcze moją nerwowość. Tata nigdy nie traktował pacjentów jak preparaty oglądane pod mikroskopem. Przypomniało mi się, że ojciec jednej z pacjentek wspomniał, że córka myślała, że prowadzi tylko niezobowiązującą rozmowę z panem doktorem. „Nawet nie wiesz, kiedy zwierzasz mu się z największych tajemnic” – powiedziała podobno.

– Podstawą moich badań są wywiady – ciągnęłam. – Projekt jest dla mnie bardzo ważny.

– A co studiujesz?

– Och, przepraszam. Psychologię.

– Powinienem się domyślić – odparł z uśmiechem. Oparł łokcie na biurku i przycisnął dłonie do piersi, jak poprzednio. – Czego dotyczy ten projekt?

– Chcę zbadać światopogląd ludzi bogatych; chcę się dowiedzieć, jak odróżniają realność od zmyśleń oraz to, co ważne i nieważne w ich życiu – wyjaśniłam i wstrzymałam oddech z obawy, że zaraz mnie przejrzy albo uzna za idiotkę.

Kiwnął głową i dalej się uśmiechał, ale postanowiłam jeszcze sprecyzować.

– Moje pytanie brzmi: czy pieniądze – duże pieniądze – kreują u ich posiadaczy większe złudzenia i ograniczają ich zdolność funkcjonowania w normalnym życiu?

– Stary koncept z wieżą z kości słoniowej, co?

– Właśnie.

– W takim razie słusznie wybrałaś Palm Beach jako teren badań. Trudno o bardziej reprezentatywne miejsce, jeśli chodzi o bogactwo. Jeśli jednak przybyłaś tu, moja droga Willow, żeby zbadać, czy pieniądze demoralizują, to mogę ci od razu powiedzieć, że tak.

– Nie wątpię, że pan wie, co mówi, ale pana zdanie nie wystarczy mojemu profesorowi jako dowód, choć padło z ust znanego psychiatry – odparłam i doktor Anderson roześmiał się.

– Cóż, cieszę się, że nie przyjechałaś do mnie po terapeutyczne pocieszenie – rzekł, odchylając się na oparcie fotela. – Jednocześnie byłbym szczęśliwy, mogąc ci w jakikolwiek sposób pomóc, lecz nie bardzo wiem, co mogę zrobić dla twojego projektu.

– Biorąc pod uwagę cel moich badań, sądzę, że pan – jeden z najbardziej wziętych psychiatrów w Palm Beach – jest tą właściwą osobą, która mogłaby zarekomendować mnie rozmówcom bądź napisać list polecający. Ludzie niechętnie rozmawiają z nieznanymi i rzadko udzielają im szczerych odpowiedzi,

a tylko takich przecież mi potrzeba.

Znów skinął głową. Zauważyłam, że stosuje króciutkie przerwy w rozmowie. Jak widać, należał do ludzi, którzy ważą słowa, gdyż wiedzą, ile mogą one znaczyć, nawet w niezobowiązującej z pozoru konwersacji.

– Dobrze. Z przyjemnością ci pomogę, Willow, jakkolwiek wszystko zależy od tego, z kim będziesz chciała porozmawiać. W kilku przypadkach wolałbym, aby nie wiązano mojego nazwiska z twoim projektem. Ciągłe są jeszcze ludzie, którzy uważają psychiatrię za rodzaj czarów wudu.

– Owszem, toteż i ja nie chciałabym ujawniać swojego nazwiska.

– Czemu?

– Mój tata był znany w całym kraju, wiele publikował i był przyjmowany przez gubernatorów, nawet przez prezydenta. Ktoś może skojarzyć moje nazwisko i tak jak pan powiedział, zadziała efekt wudu.

– Interesujące. Może tak się zdarzyć. – Jak zwykle kiwnął głową. – Z drugiej strony sędzę, że większość tych ludzi nie skojarzy, o kogo chodzi.

– Być może, ale lepiej bym się czuła, działając pod pseudonimem – powiedziałam uparcie.

– Cóż... – odparł w zamyśleniu. – Okay. Masz już jakiś pseudonim?

– Isabel Amou. – Liczyłam w duchu, że przyniesie mi szczęście.

– Isabel Amou? Oryginalne. A powiedz mi, czy ojciec pomógł ci stworzyć projekt?

– Tak. Dużo o nim rozmawialiśmy. Mówił, że od czasu do czasu miał pacjentów z Palm Beach, i zasugerował, że byłby to dla mnie dobry adres.

Doktor Anderson kiwnął głową, choć jego uśmiech nieco zbladł.

– W szczególności miał na myśli kobietę z jednej rodziny. Mówił, że pan skierował ją do jego kliniki. – Powiedziałam to w pośpiechu, jakbym się bała, że słowa ugrzęzną mi w gardle.

– Aha...

– Zastanawiam się, czy ona nadal tu mieszka i czy podlega terapii. Wydaje się odpowiednią kandydatką do moich badań.

Pokręcił głową.

– Muszę przyznać, że twoje podejście badawcze jest niekonwencjonalne. Prawdę powiedziawszy, nie wiem, co z tym zrobić. Sądziłem, że potrzebujesz po prostu listów polecających do prominentnych mieszkańców Palm Beach, lecz jeśli chodzi o aktualnych pacjentów czy ich rodziny...

– Nie proszę, żeby pan mi o niej opowiadał. Tata także zachował dyskrecję. Zdradził mi jedynie jej nazwisko rodowe – Montgomery. O ile pamiętam, dodał, że pochodzi ze „starego rodu”. Zgadza się?

– Owszem. – Uśmiechnął się. – Niemal tak starego, jak te założycielskie rodziny z *Mayflower*. Tutejsza elita elit, sama śmietanka, by tak rzec. Twój ojciec miał rację.

Od razu mi ulżyło.

– Tata na pewno zamierzał zadzwonić do pana w mojej sprawie, ale nie zdążył.

– Tak przypuszczam. Niestety. Mógł jeszcze pożyć. – Z powagą pokiwał głową.

– Niestety. A co do tej rodziny... zastanawiam się, czy jeszcze mieszkają w Palm Beach.

– Tak, mieszkają, lecz osoba, o której wspomniałaś, nie uczęszcza na terapię, a przynajmniej nie u mnie. Ale nawet gdyby chodziła do mnie, czułbym się niezręcznie, podsyłając studentkę do domu mojej pacjentki – odpowiedział, lekko sznurując usta. – Nawet pod pseudonimem. Mam nadzieję, że mnie rozumiesz?

– Och, naturalnie. Bardzo przepraszam, nie chciałam stawiać pana w niezręcznej sytuacji z powodu jakichś studenckich badań.

– Ależ nie, twój ojciec słusznie uważał, że mógłbym ci pomóc. – Doktor Anderson zastanawiał się.

– Jedyne, co mogę zrobić – powiedział po chwili – to wprowadzić cię jako... młodą dziennikarkę, która

pisze artykuł o socjocie Palm Beach. W miejscowych rubrykach towarzyskich znajdziesz ludzi, z którymi chciałabyś porozmawiać. Pierwsi dadzą ci kontakty do następnych.

– Tak, z pewnością – bąknęłam. Nie o to mi chodziło.

– Wiesz, rozumiem, czemu ojciec zasugerował ci właśnie tę rodzinę.

– Czemu?

Serce nagle mi załomotało. Przecież on nic nie wiedział. Skąd mógł wiedzieć? Oczywiście, że mógł. Możliwe, że ona chodziła do niego już po opuszczeniu kliniki ojca i w czasie sesji terapeutycznych opowiedziała mu wszystko.

– Tak, musiał brać pod uwagę kontekst twoich badań. Rodzina Montgomery straciła swoje bogactwo i status, a jednak udało im się tutaj pozostać.

– O! Jak?

– Wynajęli swoją rezydencję innej rodzinie. – Uśmiechnął się. – I ta rodzina jest wprost idealnym obiektem badań. Nie powinno być problemu ze zgodą na wywiad – dodał. – Zadzwońię do nich i zarekomenduję cię.

– Ale...

– Nie obiecuję ci gruszek na wierzbie. Jestem pewien, że się zgodzą współpracować. A ja będę szczęśliwy, że mogłem ci pomóc.

– Dziękuję.

– Czy chciałabyś jeszcze coś wiedzieć o Palm Beach? Mieszkam tu przez większość mojego zawodowego życia. Miałem wiele sytuacji, interesujących z punktu widzenia twoich badań – pacjentów w tak głębokiej depresji po śmierci ukochanych piesków, że targnęli się na swoje życie. Była też kobieta, żona znanego miliardera, która miała obsesję, że wszystkie ubrania, jakie można kupić, są podróbkami. Obsesja tak się nasiliła, że przestała wychodzić z domu i żyła niczym pustelniczka, ubierając się wyłącznie w stare balowe suknie swojej matki. To było dopiero wyzwanie! Składałem jej wizyty domowe. Chyba tylko w Palm Beach psychiatrzy składają wizyty domowe! – dodał ze śmiechem. – Normalnie powinna być hospitalizowana, ale rodzina nie chciała o tym słyszeć. Woleli już zamknąć ją w pokoju. Dlatego – podsumował – pytaj śmiało!

Odchylił się w fotelu, czekając na moje wnikliwe pytania. Poczułam panikę, zmieniającą się w histerię.

– Najpierw chciałabym trochę pokręcić się po mieście i wczuć w atmosferę tego świata – zaczęłam ostrożnie. – Nie chciałabym marnować pańskiego czasu na pytania wstępne.

Kiwnął głową, ale widać było, że jest rozczarowany.

– Byłabym wdzięczna, gdyby pan zechciał jeszcze ze mną porozmawiać, kiedy zacznę badania – dodałam szybko.

– Naturalnie, dla ciebie zawsze znajdę czas, Willow. Robię to także dla twojego ojca. On zrobił wiele dla mnie i zawsze służył mi radą, kiedy tego potrzebowałem.

– Dzięki.

Wstałam, a on podniósł się i wyszedł zza biurka.

– Rejestratorka napisze ci adres, a ja, tak jak obiecałem, zadzwonię do tych ludzi i uprzedzę, że się do nich zgłosisz. Poza tym pomyślę, kogo jeszcze mógłbym ci podsunąć. Tyle mogę dla ciebie zrobić. Co do reszty, musisz postarać się sama.

– Na tym to polega – odparłam.

Uśmiechnął się.

– Widzę, że doktor De Beers miał pozytywny wpływ na swoje dziecko. Jesteś szczęściarą, że trafił ci się taki ojciec.

– O, tak – odpowiedziałam z przekonaniem.

Otworzył drzwi i poprosił rejestratorkę, żeby wypisała adres Joya del Mar.

– Zaraz, panie doktorze, czy to jest hotel? – zapytała, zapisując nazwę.

Roześmiał się.

– Nie. Przecież jesteśmy w samym sercu Palm Beach, gdzie domy i posiadłości mają swoje nazwy. To tłumaczy się jako „Morski klejnot”. Dom stoi przy plaży i dla turystów może wyglądać jak pensjonat. Ale nie będę więcej zdradzał – powiedział, puszczając do mnie oko. – Za chwilę poznasz inny kraj, inny świat, który jak już mogłaś się zorientować, zapewnia mi mnóstwo pracy.

Rejestratorka roześmiała się.

Podziękowałam im obojgu i wyszłam.

Na zewnątrz z ulgą wypuściłam z płuc duszne powietrze, naładowane tłumionymi emocjami. Ścisnęłam w ręce kartkę z adresem.

Jedno już wiem.

Moja mama nadal tu mieszka. I nie uczęszcza na terapię. Jest gdzieś w tym mieście i czeka, aż coś wypełni puste miejsce w jej życiu, choć pewnie nie bardzo wie, na co czeka. Czy będzie rozczarowana, kiedy pojawię się w progu? Czy będzie zła, bo zagroziłam jej nowemu życiu, jej spokojowi, może nawet stanowi psychicznemu? Czy przyniosę jej zbyt wielki ból?

Poza tamtym jednym listem, gdzie pisała o zdjęciach, które przysłał jej tata, nie było żadnego dowodu, że usiłowała się jeszcze czegoś o mnie dowiedzieć. Być może pogodziła się z losem; przekroczyła granicę żalu i smutku. Czy miałam prawo cofać ją do poprzedniego stanu?

Rozdział szósty

JOYA DEL MAR

Postanowiłam wrócić do The Breakers na śniadanie. Nerwy odebrały mi apetyt, ale uznałam, że powinnam coś zjeść, zanim zacznę działać. Sączyłam kawę i jadłam ciastko. Przede mną na blacie leżała kartka z adresem – kiedyś był adresem mojej mamy – wypisanym przez rejestratorkę doktora Andersona. Co ludzie mieszkający tam obecnie powiedzą mi o niej? Czy w ogóle powinnam tam iść?

Być może marnuję tylko czas, niepotrzebnie udaję studentkę badającą życie elity Palm Beach? Może powinnam po prostu sprawdzić, gdzie mieszka mama, i od razu udać się pod ten adres, bez względu na konsekwencje? Czyżby to było klasyczne odwlekanie? W chwili, kiedy szykowałam się do zrobienia pierwszych kroków na drodze, którą wybrałam, ręce tak mi się trzęsły, że dwa razy omal nie wylałam kawy. Nie mogłam się zebrać, żeby wstać i zacząć działać. Walczyłam ze sobą, jakbym miała prawdziwe rozdwojenie jaźni.

Jedna część mnie nagliła, żeby jak najszybciej sprawdziła adres, załatwiła sprawę i wróciła na uczelnię.

Wracaj do domu, mówił mi głos. Dziekan na pewno cię przywróci. Twoi wykładowcy, przyjaciele, może nawet Allan – wszyscy usprawiedliwią twoją impulsywną decyzję ogromnym żalem i stresem po śmierci ukochanego ojca. Przecież kobieta, którą tak bardzo pragniesz poznać, jest ci w gruncie rzeczy obca. A ty chcesz postąpić wobec niej nie fair. Czy ośmielisz się tak po prostu pojawić się przed nią, jak bomba, która wybuchnie jej w twarz? A jeśli przez ciebie znów zaburzy się psychicznie? I jej rodzina znienawidzi cię za to? Czy warto ryzykować czyjeś zdrowie dla zaspokojenia własnej ciekawości?

Druga połowa mojej osoby odpowiadała z równą pasją: *Twoje obawy są egoistyczne. Oczywiście, że powinnas się z nią spotkać. Dlaczego nie miałyby cię zobaczyć, poznać, dowiedzieć się, co się z tobą działo przez te wszystkie lata? Więzy krwi nie mogą być jednostronne. Masz szansę dać jej tyle samo, albo nawet więcej, ile ona dała tobie. Możliwe, że nie mając ciebie, stała się samotną, zgorzkniałą osobą. Ty mogłabyś to zmienić, naprawić, przywrócić jej utracony sens życia. Czy tego nie chciałby twój tata? Przecież nie bez powodu zostawił ci swój dziennik!*

Za kogo ty się uważasz? – zaprotestowało moje pierwsze „ja”. Nie uda ci się przywrócić sensu czyjegoś życia. Sama masz trudności z sensem własnego życia, a martwisz się o cudze. Dźwigasz zbyt wielki bagaż psychologiczny. Jesteś jak kaleka, który skacze do wody, aby ratować tonącego.

Nonsens. Nie słuchaj tego. Jesteś nieodrodną córką swojego ojca. Jesteś twardą zawodniczką, tak jak on. Dasz radę.

– Przepraszam – powiedział cichy głos. Aż pomyślałam, że to kolejny głos w moim umyśle. – Przepraszam, że pytam, ale czy wszystko w porządku?

Spojrzałam w górę i zobaczyłam najbardziej ciemnoniebieskie oczy, jakie widziałam w życiu. Patrzyły bystro, z błyskiem inteligencji. Jednocześnie sposób, w jaki unióśł brwi i w jaki uniosły się kąci

wyrazistych ust, nadał jego opalonej, przystojnej twarzy wyraz skrywanego rozbawienia. Te piękne oczy i białe zęby, podkreślone opalenizną, nadawały mu magnetyczny wygląd gwiazdora filmowego. Ciemne włosy były świetnie ostrzyżone i cała fryzura interesująco oscylowała wokół cienkiej granicy, jaka dzieli zadbany korporacyjny styl z buntowniczym i młodzieżowym.

Nie miał wzrostu koszykarza, ale prążkowana marynarka leżała na nim dobrze, uwydatniając szerokie bary. Spod rękawa błysnęła złota spinka do mankietu, ozdobiona malutkim brylantem. Zalśniła w słońcu jak w blasku reflektorów, które uwięziły nas w kręgu światła, jakbyśmy stali na scenie.

Zobaczyłam, że zerknął na mężczyznę przy sąsiednim stoliku i mrugnął do niego. On też był w garniturze i pod krawatem. Mógł mieć najwyżej trzydzieści lat.

– Słucham? – bąknęłam.

Jego uśmiech poszerzył się.

– Przyciągnęłaś uwagę moją i mojego towarzysza, gdyż sprawiasz wrażenie bardzo nieszczęśliwej – wyjaśnił. – Powinienem dodać, że jestem adwokatem i potrafię czytać z twarzy ludzi – zwłaszcza tych, którzy stają na miejscu dla świadka czy zasiadają w ławie przysięgłych. Jestem w tym świetny. Czy mogę ci jakoś pomóc?

– Nie – rzuciłam ostro.

Fakt, że tak szybko mnie rozszyfrował, był irytujący. Nie podobało mi się, że byłam obserwowana, nic o tym nie wiedząc. Czułam się zakłopotana. Mówiłam do siebie? Albo bezgłośnie poruszałam ustami? Czy – nie daj Boże – pomyśleli, że mam źle w głowie? Od razu przypomniało mi się, jak matka adopcyjna rugała mnie, kiedy mówiłam do wyimaginowanych przyjaciół czy do lalek.

Ze złością spojrzałam na tego człowieka, a potem na jego kumpla. Co za bezczelność!

– Bardzo rzadko się myślę – stwierdził, kiedy zwlekałam z odpowiedzią.

– Nie jesteśmy na sali sądowej – warknęłam, nie kryjąc złości. – A do tego się mylisz.

Pogodny humor i ciepło w jednej sekundzie uleciały z jego oczu. Zastąpił je stalowy, zimny błysk, wywołany moją reprimendą. Szybkość, z jaką zmienił wyraz twarzy, przyspieszyła bicie mojego serca.

– Nie chciałem być namolny – wyjaśnił, pokorniejac. – Przepraszam.

Odwrócił się szybko i odszedł do swojego stolika. Znajomy zapytał go o coś, a ten pokręcił głową i wyjął kartę, żeby zapłacić rachunek. Usiłowałam na nich nie patrzeć, ale mnie intrygowali. Dałam znak kelnerce, zapłaciłam i zdążyłam wyjść jeszcze przed nimi.

Kiedy przed hotelem czekałam, aż podprowadzą mi samochód, kątem oka zauważyłam, jak nadchodzą. Nie musieli czekać. Wsiedli do kabrioletu rolls-royce corniche, zaparkowanego nieopodal, lśniącego w słońcu jak królewski rydwan wysadzany klejnotami. To, plus ich uśmiechy zadowolenia z siebie, wkurzyło mnie jeszcze bardziej.

Po paru minutach wsiadłam wreszcie do wynajętego auta i pojechałam do domu, który wynajmowała moja matka. Miałam cichą nadzieję, że inni nie zauważą wzburzenia i niepewności, które arogancki młody człowiek dostrzegł w mojej twarzy.

Rejestratorka doktora Andersona razem z adresem napisała mi wskazówki, jak mam dojechać. Posługując się nimi oraz mapą, którą dostałam w agencji wynajmującej samochody, szybko opracowałam trasę dojazdu na South Ocean Boulevard. Nie powinnam mieć trudności z trafieniem. Imponujące posiadłości, wiele było ukrytych za murami i wysokimi żywopłotami, potwierdzały to, co wyczytałam w miejscowych magazynach w moim pokoju hotelowym. Zbudowano je jako pomniki sławiące życie w luksusie i prywatność.

Kiedy zatrzymałam się przed Joya del Mar, wrażenie było jeszcze silniejsze. Potężna, zakryta brama odgradzała od świata mieszkańców tego raj. Chwilę zastanawiałam się, jak mam zaanonsować swoje przybycie, aż zauważyłam kamerę z boku nad bramą. Nie wiedziałam jednak, czy mam stać przed kamerą,

aż ktoś spojrzy na monitor i mnie zauważy, czy szukać dalej. Rozejrzałam się znów i tym razem dostrzegłam małą skrzyneczkę z mikrofonem, niemal całkowicie zasłoniętą przez rozrośnięty krzew bugenwilli. Musiałam wysiąść z auta, żeby nacisnąć guzik. Po chwili odezwał się zniecierpliwiony męski głos.

– Tak?

– Nazywam się Isabel Amou – przedstawiłam się. – Doktor Anderson powinien dzwonić w mojej sprawie.

– Tak, tak – potwierdził ktoś z tą samą irytacją.

Brama zazgrzytała i zaczęła się otwierać. Wskoczyłam za kierownicę i czekałam, aż skrzydła się rozsuną – ale robiły to bardzo powoli, wręcz niechętnie. Kiedy wreszcie brama stanęła otworem i mogłam zajrzeć w głąb posiadłości, pomyślałam, że zaraz wjadę do rajy, stworzonego przez człowieka na Ziemi. Elegancki podjazd wyglądał, jakby pucowano go po każdym przejeździe samochodu. Ujechałam jeszcze z pół kilometra, zanim zobaczyłam perłowobiałą rezydencję, utrzymaną w śródziemnomorskim stylu, rysującą się na tle lazurowego nieba. Z obu stron drogi kwitły bujne, wysokie oleandry, obsypane łososiowymi, różowymi, czerwonymi i białymi kwiatami. Starannie wypielęgnowany trawnik ścielił się niczym szmaragdowy dywan. Był tak wielki, że wyobraziłam sobie całą armię ogrodników, strzygących go na kłęczkach nożyczkami.

Z prawej strony znajdował się duży staw z fontanną, wytryskującą spomiędzy gładkich głazów. Na jednym z nich stała na jednej nodze czapla – tak nieruchoma, że wzięłam ją za posążek. Uśmiechnęłam się, kiedy spojrzała w moją stronę.

Bliżej domu okazały kokosowe palmy, niczym strażnicy, okalały kolisty podjazd.

Z boków głównego budynku wyrastały cztery skrzydła w formie pawilonów, podtrzymywanych przez wdzięczne łuki. Wejście do domu znajdowało się pod tarasem, wspartym na białych kolumnach. Z tyłu widać było linię oceanu oraz jeszcze jeden pawilon, zapewne plażowy.

Serce waliło mi tak mocno, że jeszcze zostałam w samochodzie, usiłując się uspokoić. Dopiero po chwili zgasiał silnik. Wdarłam się tu dzięki kłamstwu i teraz bałam się, że ci ludzie przejrzą mój podstęp. Co będzie, jeśli zrobią mi awanturę i wyrzucą stąd z hukiem, a następnie roztrąbią sprawę na całe Palm Beach? Wówczas nie dość, że nie poznam mojej prawdziwej matki, ani ona mnie, to jeszcze narobię jej wstydu. Czułam się tak, jakby za moment miała mnie porwać trąba powietrzna, którą sama wytworzyłam, napędzana lawiną moich kolejnych błędów. Jak wiele razy przedtem pomyślałam, że powinnam natychmiast zawrócić i pojechać do domu, zanim będzie za późno, bo potem będę żałować.

Podskoczyłam z cichym okrzykiem, kiedy ktoś zapukał w szybę od strony pasażera – tak byłam zagłębiona we własnych myślach. Pulchny niski mężczyzna o włosach jak Harpo Marx zaglądał do środka, osłaniając oczy dłonią o kielbaskowatych palcach. Wargi miał różowe, jak uszmińkowane.

Ubrany był w smoking z muchą. Dał mi znak, żebym opuściła okno. Przekreśliłam kluczyk i wcisnęłam przycisk.

– Dziękuję. – Mężczyzna otarł czoło wierzchem dłoni. – Przepraszam, ale musi pani się pośpieszyć z wizytą, gdyż pan i pani Eaton niedługo chcą się położyć.

– Słucham?

– Pani jest Isabel Amou, tak?

– Tak.

– W takim razie proszę wysiąść i wejść do domu albo odjechać – powiedział z ukrytym zniecierpliwieniem. Odwrócił się i skierował w stronę domu. Był krępy i kołysał się jak kaczką; poły smokingu kołysały się od ruchu szerokich bioder.

Wysiadłam i pośpieszyłam za nim. W drzwiach zatrzymał się i lekko zacisnąwszy usta, ruchem brody

dał mi znak, żebym szła pierwsza. Przystanąłam w obszernym holu wejściowym. Z prawej strony wisiał na ścianie wielki arras, przedstawiający lordów i damy adorujących Bachusa, grecko-rzymskiego boga wina. Arras był wyblakły i sprawiał wrażenie autentycznej tkaniny z piętnastego wieku.

– Tędy proszę. – Lokaj gestem skierował mnie do marmurowych schodów, które znajdowały się z prawej strony. Na ścianie wisiały połączone herby rodzinne. Zastanawiałam się, czy należą do rodziny mojej mamy, czy wynajmujących.

Przed nami usłyszałam głośny kobiecy śmiech, a potem męski głos mówiący:

– Naprawdę tak powiedziała? Nie wysiliła się.

Rozglądałam się bez przerwy, podziwiając dzieła sztuki, rzeźby, freski, marmurowe stoliki, gdzie stały porcelanowe figurynki Lladro i Lalique, kryształowe żyrandole z Bristolu oraz kinkiety ściennie z cherubinami – zdawały się z nich wyfruwać. Minęliśmy dwie niezwykle dekoracyjne drezdzeńskie wazy i weszliśmy do salonu z kasetonowym sufitem, który pokrywały kolejne freski, tkaniny i obrazy. Każdy wolny kawałek podłogi i ścian zajmowały cenne dzieła sztuki.

Przed sobą miałam duży kominek zdobiony kolorową mozaiką. Byłam tak zafascynowana wystrojem domu, że nie zauważyłam pary ludzi, wpółleżących na półokrągłej kanapie. Przy nich, na dużym stoliku z marmurowym blatem, stały dwie butelki szampana w kubekach z lodem i srebrna taca z kawiozem i krakersami.

Na mój widok mężczyzna usiadł prosto. Miał na sobie szary smoking w ciemnoszare prążki, z szarymi satynowymi wyłogami, a w miejscu, gdzie powinna być muszka, lśnił okrągły brylant. Był przystojnym mężczyzną około pięćdziesiątki. Tak można by sądzić po szpakowatych skroniach, choć początki siwizny nie tknęły reszty włosów, czarnych, gęstych i falujących. W lekko opalonej twarzy uwydatniały się orzechowe oczy. Twarz miał szczupłą, wyrazistą, a jednak widziało się już zaczątki drugiego podbródka. Nie był korpulentny, ale miał od pięciu do siedmiu kilogramów nadwagi. Wyraz zaciekawienia i pewnego rozbawienia uformował się wokół jego oczu, a potem spłynął uśmiechem na wargi.

– Miło cię widzieć – powiedział. – Witaj w Joya del Mar.

Kobieta obok niego zachichotała i dalej spoczywała na kanapie w swobodnej pozie. Była ubrana w jasnofioletową, jedwabną długą suknię na cienkich ramiączkach z głębokim rozcięciem z boku, odsłaniającym smukłą, zgrabną nogę. Stanik obszyty perłowymi cekinami i kwiatuśkami z perełek opalizował w świetle. Stopy miała białe, sandały leżały na dywanie. Patrzyła na mnie z głupawym uśmiechem.

Oceeniłam, że jest pod pięćdziesiątkę, ale robi wszystko, żeby młodo wyglądać, prawdopodobnie z magiczną pomocą chirurga plastycznego. Długie brązowe włosy o cynobrowych pasmach były gładko szesane z twarzy o kocich rysach. Nos miała mały, usta miękkie i ładnie wykrojone, a oczy intensywnie ciemnoniebieskie. W lewym policzku widniał mały dołeczek.

– Przepraszam. – Czułam się zażenowana. – Nie wiedziałam, że państwo coś planują. Może przyjdę innego...

Roześmiali się zgodnie.

– Czy coś planujemy? Skądże, niedawno wróciliśmy do domu.

– Och.

– Byliśmy na balu charytatywnym w Mar-a-Lago – wyjaśnił pan domu. – Musiałaś chyba przed chwilą przyjechać do Palm Beach, skoro nie wiesz, co tu się działo wczoraj.

– I dzisiaj rano – dodała jego żona.

Znów się zaśmiali.

– Tak, balowaliśmy do rana. Jak widzisz, mamy tu małe śniadanko. – Ruchem głowy wskazał na tacę z kawiozem i szampanem.

– Asher, może nas przedstawiś – zasugerowała kobieta. – I nalej młodej damie kieliszek szamponu.

– Szampana – poprawił ją. – Jestem Asher Eaton, a ta szalona kobieta obok to moja żona Hope.

– Och, proszę, nazywaj mnie Bunny – powiedziała i wreszcie usiadła.

Uśmiechnęłam się.

– Isabel Amou.

– Tak, wiemy. Tuż przed twoim przyjściem dzwonił doktor Anderson.

– Jeszcze raz przepraszam – sumitowałam się. – Nie chciałam państwu przeszkadzać.

– Nie szkodzi. Przynajmniej przez mniej więcej dziesięć minut możesz – zapewnił Asher Eaton. – Bo potem, jak wampiry, musimy iść do łóżka. Za dużo balowaliśmy tej nocy.

– I tego ranka – dorzuciła Bunny.

– I tego ranka. Napijesz się szampana? – Sięgnął po butelkę.

– Nie, dziękuję. Dla mnie nadal jest za wcześnie.

– Siadaj, proszę. – Pokazał mi gestem puf obok kanapy. – Jesteś dziennikarką czy pisarką?

– Nie, na razie studentką.

Wpatrywali się we mnie, a potem spojrzeli na siebie.

– Doktor Anderson mówił nam, że piszesz o elicie Palm Beach.

– Zgadza się, ale chodzi o studencki projekt, takie studium socjologiczne – uściśliłam.

Ekscytacja pani Eaton uleciała z jej twarzy jak powietrze z balonu. Z powrotem opadła na kanapę, widocznie zawiedziona tym, co usłyszała.

– A ja się dziwiłam, że nie masz ze sobą aparatu. – Spojrzała na mnie z wyrzutem. – W zeszły piątek napisano o nas w „Shiny Sheet”² – oznajmiła z dumą.

Pokręciłam głową.

– Niestety, nie kojarzę.

– Ależ oczywiście, że kojarzysz. To podtytuł „Palm Beach Daily News”. Wychodzi w takiej błyszczącej okładce – wyjaśniła z tłumioną irytacją.

– Aha. Rozumiem. A z jakiej okazji napisano o was?

– Och, odnieśliśmy mały sukces. Urządziliśmy charytatywny bal na rzecz maltretowanych kobiet i zebraliśmy dwieście siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Nie bardzo rozumiem, czemu wybrałaś akurat nas do tego swojego... jak to nazwałaś – studium socjety Palm Beach?

– Bunny, pozwól dziewczynie wytłumaczyć, o co jej chodzi – upomniał żonę Asher.

– Dobrze – odparła, lekko wydymając usta. Wtem jej brwi podjechały do góry i popatrzyła na mnie rozszerzonymi oczami. – Zaraz, to chyba nie nas chciał ci polecić doktor Anderson? Nigdy nie potrzebowaliśmy terapii, ani ja, ani Asher czy któreś z naszych dzieci. Chodzi chyba o to, że wynajęliśmy posiadłość od Grace Montgomery... Po prostu zbieg okoliczności, prawda, Asher?

– Nie dajesz dziewczynie szansy – powtórzył, nabierając kawior krakersem.

– A kto to jest Grace Montgomery? – zapytałam niewinnie.

– Właścicielka tej posiadłości – odpowiedział Asher Eaton i uśmiechnął się do żony. – Obu stronom opłaca się ten układ.

– Zdecydowanie – przytaknęła Bunny. – Gdyby nie my, mieszkałaby w Boca, albo jeszcze gorzej, w Delray Beach, w domu dla emerytów. Rozumiesz – ciągnęła, ożywiając się, jakby dostała zastrzyk energii – Floryda, wbrew temu, co myśli wielu, nie jest bożą poczekalnią. Mieszka tu wielu młodych, prężnych ludzi, a nasze życie towarzyskie można porównać z każdym innym na świecie, choćby z Monte Carlo. Zresztą połowa moich przyjaciół spędza lato w Monte Carlo.

– Znów to robisz, Bunny – odezwał się Asher, wychyliwszy kieliszek szampana. – Nie dopuszczasz dziewczyny do głosu.

– Jestem zmęczona – jęknęła. – Nie wiedziałam, że aż tak.

– Może w takim razie porozmawiam z panią Montgomery – powiedziałam szybko. – Czy wiecie, gdzie ona mieszka?

Na moment zamarli, a potem Bunny ryknęła śmiechem.

– Gdzie ona mieszka? Dobre pytanie! Otóż, moja droga, Grace mieszka w dawnej służbówce przy plaży. Gdzie zresztą miałyby mieszkać? W sumie powinniśmy pobierać od niej czynsz – dodała, zwracając się do Ashera.

– Daj spokój, Bunny, mamy z nią bardzo dobry układ. Przecież wiesz.

– Wiem, ale czasami bywa kłopotliwa, zwłaszcza kiedy urządzam przyjęcie w ogrodzie i boję się, żeby ona albo ten jej ponury synek nie pokazali się wśród moich gości.

– Syn?

Przypomniałam sobie zapis w kartotece, że zaszła w ciążę ze swoim ojczymem, ale wolałam udawać, że pierwszy raz słyszę o rodzinie Montgomerych.

– Tak. – Bunny pokiwała głową. – Miała syna ze swoim ojczymem, Kirbym Scottem. Taka jest prawda, żeby nie wiem jaką fikcyjną historię opowiadała tobie czy komukolwiek innemu.

– Jaką na przykład fikcyjną historię?

– Że Linden, czyli jej syn, naprawdę jest dzieckiem jej matki, Jackie Lee Houston Montgomery – wyjaśnił Asher.

– No właśnie, tej biednej Jackie Lee. Oczywiście z Winstonem dzieci nie miała. Był od niej starszy o dwadzieścia pięć lat, ale kobieta z szesnastoletnią córką z pierwszego małżeństwa nie miała wielkiego wyboru. Zresztą to były stare pieniądze, jeden z założycielskich rodów. A jej pierwszy mąż, oficer marynarki, nazywał się Roland Houston. Kiedy zginął w katastrofie helikoptera, Jackie z córką przeprowadziła się do Palm Beach, żeby zacząć nowe życie. I choć Winston był o dwadzieścia pięć lat od niej...

– Dwadzieścia siedem – poprawił ją Asher.

– Co?

– Winston Montgomery był o dwadzieścia siedem lat starszy od Jackie Lee Houston.

– Dwadzieścia siedem czy dwadzieścia pięć, co za różnica? Zmarł po pięciu czy sześciu latach małżeństwa, a wtedy pojawił się Kirby, który uwiódł Grace – notabene była ponurą, depresyjną dziewczyną. Potem zresztą na dobre parę lat trafiła do kliniki psychiatrycznej.

– Pozostawiwszy Jackie Lee Houston Montgomery Scott małego Lindena na wychowanie. I babcia wychowała go jak swojego syna, a nie wnuka – uzupełnił Asher. – A Kirby przepuścił wszystkie pieniądze i zostawił ją z dzieckiem. – Ziewnął głośno i przeciągle. – No nic, pora do łóżka. Dzisiaj wieczorem mamy bal alzheimera, pamiętasz? – zwrócił się do żony.

Zaśmiał się z własnego dowcipu.

– Pamiętasz? Dobre, nie?

– Dobre, dobre – przyznała Bunny i znów usiadła.

– A zatem Grace Montgomery i jej syn mieszkają w domku przy plaży? – upewniłam się.

– Tak. Lindena możesz przeważnie spotkać na plaży, gdzie maluje. Uważa się za artystę, ale trzeba być w głębokiej depresji, żeby kupować jego obrazy. Wyglądają jak koszmary – takie, które ci się śnią, kiedy się przejeżdżasz – powiedziała Bunny.

– Wyjaśnijmy sobie jeszcze coś – podjął Asher, zerkając na mnie z ożywieniem. – Przybyłaś tutaj, żeby badać elitę Palm Beach w ten sam sposób, w jaki socjolog badałby jakieś prymitywne plemię, czy coś w tym stylu, nie?

– Coś w tym stylu – odparłam z uśmiechem.

– Interesujące.

– Bardzo interesujące – rozległo się od drzwi i wszyscy odwróciliśmy się jak na komendę. W progu stał ten sam arogancki młody facet, którego spławiłam w The Breakers. Co on tu robi? Czyżby mnie śledził?

– Thatcher, przybyłeś w samą porę, żeby ocalić nas przed analizą pod socjologicznym mikroskopem – powitał go Asher Eaton.

– Naprawdę? Cóż, taki mam zawód, pomagam ludziom – odparł z olśniewającym uśmiechem mój prześladowca.

Wpatrywałam się w niego wybałuszonymi oczami.

– Bardzo dobrze. W takim razie pozwól, że cię przedstawię – rzekł Asher. – Isabel, poznaj naszego syna, Thatchera Eatona.

– My już się poznaliśmy – poinformował Thatcher, zanim zdążyłam otworzyć usta. – Mniej więcej – dodał.

– Serio? Jak? – spytała Bunny Eaton w nowym przypływie ożywienia i wróciła do pozycji siedzącej. – Zatem musiałaś być w sądzie – powiedziała do mnie. – On stamtąd nie wychodzi.

– Mamo, proszę.

– Takiego maniackiego pracoholika nie znajdziesz nigdzie, nawet w Nowym Jorku – ciągnęła Bunny.

– Mamo!

– Od lat go proszę, żeby zwolnił i choć chwilę pożył na luzie. Można by pomyśleć, że pochodzi z jednej z tych purytańskich rodzin, z zupełnie innego świata wartości i zasad religijnych. Powinien ożenić się z bibliotekarką, najlepiej pracującą w bibliotece prawniczej – perorowała z poważną miną i w jej głosie narastała irytacja.

Thatcher westchnął i pokręcił głową.

– Co jest z wami? Dopiero wróciliście do domu? Wpadłem, żeby zobaczyć, czy się dobrze prowadzicie, i niestety widzę, że nie. Kolejny raz.

Asher wstał.

– To wina twojej mamy. Nigdy nie wie, kiedy się pożegnać.

– O, jasne, zwalaj wszystko na mnie – obruszyła się Bunny. – Jestem silna, wszystko udźwignę – dodała dramatycznym tonem i ziewnęła tak przeciągle, że trwało to chyba dobrą minutę. – Chodźmy do łóżka, Asher. Panno... przepraszam, zapomniałam, jak się nazywasz.

– Isabel Amou.

– Amou? Amou? Jakie to nazwisko?

– Portugalskie.

Zmarszczyła czoło w namyśle.

– Czy my znamy jakichś Portugalczyków w Palm Beach, Asher?

– Tylko brazylijskiego ambasadora, Bunny.

– On jest Portugalczykiem?

– W każdym razie mówi po portugalsku i jego rodzina pochodzi z Portugalii – odpowiedział cierpliwie Asher.

– A skąd mam to pamiętać? Jeśli jesteś z Brazylii, to chyba powinieneś mówić po brazylijsku, nie? Przecież mamy tu Brazilian Court Hotel, a nie Portuguese Court Hotel!

Asher popatrzył na nią przeciągle.

– Jestem zmęczony. Chodź, Bunny.

– Dobranoc, Thatcher. – Podeszła do syna i pocałowała go w policzek, a potem odwróciła się do mnie.

– Mam nadzieję, że porozmawiamy, kiedy będę przytomniejsza, Isabel.

– Ja również – dorzucił Asher. – Wpadnij do nas jutro, na przykład w porze brunchu, dobrze?

– Dzięki, ale jeszcze nie wiem, jakie będę miała plany.

– Oczywiście, że wpadniesz – potwierdził za mnie Thatcher. – Już ja o to zadbam, tato.

– Będziemy mieli grillowanego homara – kusił Asher. – I porozmawiamy sobie o towarzyskich zwyrodnieniach socjety Palm Beach. Postaram się zaprosić kryminalistów.

Bunny Eaton ze śmiechem objęła go i oparła głowę na jego ramieniu.

Patrzyłam, jak wychodzą, a potem przeniosłam spojrzenie na Thatchera. Uśmiechnął się.

– Wiesz – zaczął – gdyby los nie chciał, żebyśmy się ponownie spotkali, nie zetknąłby nas ze sobą w ten sposób. Wybacz, dzisiaj rano trochę popisywałem się przed kumplem.

– A co, założyliście się, że mnie poderwiesz?

– Coś w tym stylu.

– Och, przykro mi, że nie dałam ci wygrać.

– Ależ ja wcale nie przegrałem. Przynajmniej na razie – powiedział, podchodząc bliżej.

– Ty tak uważasz. – Odwróciłam się do wyjścia.

– Poczekaj, nie idź jeszcze. Powiedz mi coś więcej o swojej pracy, dobrze? Może będę mógł ci pomóc. Znam tutejszych mieszkańców i wielu z nich reprezentuję. Słyszałem trochę z tego, co mówił tata. Pani Montgomery jest także moją klientką.

To mnie wstrzymało.

– Usiądź na chwilę – zachęcił. – Może napijesz się czegoś? Drinka, soku, wody z lodem?

– Może wody z lodem.

– Ja też się napiję. Jennings! – zawołał i lokaj, który wcześniej mnie tu wprowadził, pojawił się, jakby tylko czekał na wezwanie. – Bądź uprzejmy przynieść nam dwie wody z lodem.

– Tak jest, proszę pana.

Thatcher usiadł tam, gdzie wcześniej siedział jego ojciec, a ja znów zajęłam miejsce na pufie.

– Powiedz dokładnie, o co ci chodzi? – zaczął.

Zawahałam się. Miałam poczucie, że Thatchera trudniej będzie oszukać niż doktora Andersona czy państwa Eatonów. Już teraz wyczuwałam w nim sceptycyzm.

– Robię projekt badawczy w ramach studiów – analizę wybranego środowiska społecznego.

Postanowiłam skoncentrować się na Palm Beach, ponieważ, jak czytałam, różni się od reszty Ameryki.

Roześmiał się.

– Moja droga Isabel, to największe nieporozumienie, z jakim miałem do czynienia! Twoim zdaniem naprawdę tak się różni?

Poczułam, że się czerwienię.

– To tylko takie sformułowanie – odparłam.

– Nie, nie, masz rację. Nawet nie wiesz, jak bardzo. Tu jest... po prostu inny świat. Albo nawet inna planeta. W zeszłym tygodniu uczestniczyłem w rozprawie sądowej, na której reprezentowałem hotel z Palm Beach, pozwany przez jednego z gości. Kobieta zostawiła swojego shar peia w kamperze, zaparkowanym na hotelowym parkingu. Zostawiła silnik na chodzie na całą noc, żeby piesek miał klimatyzację, ale silnik w pewnym momencie zgasł i pies przez parę godzin siedział zamknięty w upale. Zawiozła go do weterynarza, który stwierdził, że zwierzak jest odwodniony, więc pozwała hotel.

– I co dalej?

– A jak myślisz? Hotel zaproponował, że zapłaci rachunek za weterynarza i jakąś śmieszłą sumę jako rekompensatę za ciężkie przeżycia. Ale wcześniej musiałem uzyskać zeznania weterynarza, parkingowych oraz ekspertów od silników kamperów i klimatyzacji samochodowej.

Znów się roześmiał.

– Nie tak wyobrażałem sobie swoją pracę, kiedy zdobyłem dyplom.

– Więc dlaczego ją wykonujesz?

Jennings przyniósł nam picie i podziękowałam mu. Skinął głową, po czym zebrał na tacę kubeczki do szampana i kieliszki. Thatcher sączył swoją wodę, czekając, aż wyjdzie.

– Dla zarobku – odpowiedział wreszcie.

– Papuga do wynajęcia?

Zachichotał.

– Nie mów mi, że należysz do ludzi, których zdaniem winę za całe społeczne zło ponoszą prawnicy!

Upiłam łyk wody.

– Może nie całą, ale w dużym stopniu. Siedemdziesiąt – osiemdziesiąt procent.

Zaśmiał się szczerze i głośno.

– Ile ty masz lat?

– A dlaczego pytasz?

– Bo jesteś zbyt pewna swoich sądów jak na studentkę. Nie pamiętam, na którym roku jesteś?

– Nie mówiłam, na którym.

– A na którym?

– Robię magisterkę. – Natychmiast pożałowałam tych słów. Do ilu jeszcze kłamstw zmusi mnie moje wielkie kłamstwo?

– Magisterka? – Pokiwał głową. – Od razu pomyślałem, że to zawansowany poziom. Co studiujesz?

– Psychologię.

– W takim razie znalazłaś się we właściwym miejscu. – Oczy lekko mu zaśniły. Odstawił szklanekę i podniósł się z kanapy. – Chcesz, żebym pokazał ci posiadłość?

Jeszcze się wahałam.

– Możesz mnie pytać o elitę Palm Beach, a ja odpowiem ci szczerze i wyczerpująco. Możesz nawet mnie nagrywać, jeśli chcesz. Masz magnetofon, prawda?

– Nie.

– Nie widzę też notesu. Wszystko zapamiętujesz?

– Traktuję to jako wstępne spotkanie.

– Rozumiem. Nawiązanie stosunków. Mądrze, panno Amou. Amou? Miłosne nazwisko. Czy przypadkiem nie pasuje do twojej osobowości?

– Nie chcę niepotrzebnie zabierać ci czasu.

– Nie zabierasz. Mam akurat wolną chwilę i muszę odpocząć po męczącej rozprawie, o której ci opowiadałem. Chodź, wyjdziemy z tyłu przez loggię i pokażę ci teren.

Wstałam i ruszyłam za nim.

– Większość tutejszych domów zbudowano w stylu neogotyckim, kolonialnym brytyjskim, georgiańskim, monterey i bermudzkiem. Ten, jak widzisz – należy go raczej nazywać rezydencją – został zaprojektowany tak, żeby w pełni korzystać z dobrodziejstw pogody – oceanicznej bryzy i słońca. Dlatego ma tyle okien i nieregularny kształt. Skrzydła mają różne wysokości dachów, przez co siedziba przypomina malutkie, malownicze miasteczko, nie sądzisz?

– Owszem. Widzę, że dużo wiesz o Palm Beach.

– Tu się urodziłem i wychowałem, podobnie jak moja siostra, Whitney. Wyszła za Hansa Shugara, dziedzica detergentowej fortuny Shugarów. Koncern jest niemiecki, ale jego produkty są sprzedawane w całej Europie i na Dalekim Wschodzie. Mieszkają w El Vedado, jednej z Three Ells, czyli trzech ulic, które biegną równolegle do siebie od South Ocean Boulevard do jeziora Worth. To rejon, gdzie skupia się sama śmietanka, najbardziej błękitna krew. Hans kupił rezydencję za cztery miliony i zrównał ją

z ziemią, żeby zbudować ich georgiański pałac. – Thatcher opowiadał o tym wszystkim z lekkim przekąsem.

– Czy mi się zdaje, czy słyszę dezaprobatę w twoim głosie? – spytałam.

– Siostra jest zepsuta do ostatnich granic. Po prostu klasa sama w sobie. Chciała tu zamieszkać, ale żaden z domów jej nie odpowiadał. Szybko spostrzeżesz, że tutaj ludzie inaczej traktują pieniądze. Nikomu się nie chce iść do banku czy wyjąć je z portfela i płacić. Woleliby, żeby wystarczył jeden ruch ręką, niczym machnięcie magiczną różdżką, i na zawołanie dostać, co się chce.

– Cofam, co powiedziałam. Tu nie chodzi o dezaprobatę, tylko gorycz. Skąd się wzięła?

Spojrzał na mnie, jakby zamierzał powiedzieć coś okropnego, ale za moment się uśmiechnął.

– Nie, raczej mnie to bawi. Popatrz – stojąc na tarasie, szeroko rozpostarł ręce – jaki widok na ocean. Mamy kawał prywatnej plaży, ale tam po prawej ciągną się całe połacie, na których nie spotkasz człowieka, więc właściwie mamy jeszcze więcej.

Popatrzyłam na zamglony horyzont, po czym wróciłam spojrzeniem na brzeg, gdzie znajdował się basen z loggią i zacienioną częścią, gdzie można było zjeść i zrelaksować się. Pomyślałam, że niejedni władcy tego świata nie powstydziliby się takiej posiadłości.

Thatcher, jakby czytał w moich myślach, dodał:

– Zanim ród Montgomerych kupił tę posiadłość, należała do francuskiego księcia, który zbudował ją na wzór swojego domu na Lazurowym Wybrzeżu. Potem Winston Montgomery dobudował jeszcze ten przerośnięty pawilon plażowy jako dom dla służby.

Spojrzałam na lewo, na miejsce, gdzie mieszkała moja rodzona matka ze swoim synem. W każdym innym miejscu Ameryki ten dom zostałby uznany za ładny i reprezentacyjny, ale na tle tego luksusowego pałacu wyglądał niemal jak barak.

– Co ona robi?

– Kto?

– Grace Montgomery.

– Zatrzymała ten domek dla siebie i dla syna, więc mieszka tam. To miła kobieta, spokojna, raczej zamknięta w sobie. Nie miała łatwego życia.

– Powiedziałeś, że ją reprezentujesz, tak?

– A tak, w sprawach rezydencji, gdyż część rodziny usiłuje przejąć kontrolę nad majątkiem, argumentując, że Grace jest niezdolna do podejmowania decyzji... Wiesz, typowe rodzinne walki o majątek. Moim zadaniem jest trzymać wilki z dala – dodał nie bez dumy.

– Chciałabym ją poznać – powiedziałam na jednym oddechu.

– O, to nie będzie takie łatwe. Ona jest zbyt wycofana i skryta, żeby mogła być ankietowana. Mogę ci natomiast polecić sporo innych osób, idealnych dla ciebie, bo mogłyby mówić o sobie bez końca, przy okazji zdradzając różne rodzinne i życiowe sekrety.

Wpatrywałam się w dom przy plaży.

Thatcher podążył za moim spojrzeniem.

– Rzadko wychodzi z domu. Linden robi zakupy.

– Kogoś takiego właśnie potrzebuję.

Popatrzył na mnie uważnie spod oka.

– Jaki jest dokładnie tytuł twojej pracy?

– „Psychologiczne i moralne implikacje ponadprzeciętnej zamożności”.

– W takim razie Grace nie pasuje do tej kategorii. Posiada jedynie dom i ziemię, w dodatku mocno zadłużone. Nie urządza przyjęć ani nie chodzi na nie. Wypadła z listy pożądanых nazwisk i jest zapraszana tylko tutaj, do moich rodziców. Nie spędza sezonów letnich w Europie; nie zobaczysz jej

w najdroższych butikach i lokalach na Worth Avenue w Palm Beach. Żyje jak pustelniczka. Jak na tutejsze stosunki jest nędzarką. Nie posiada drogiej biżuterii, a jej garderoba, jeśli w ogóle takową ma, nadaje się do lamusa. Za każdym razem, kiedy ją widzę, jest ubrana w podomkę i sandały. Szkoda, bo ciągle nosi ślady dawnej urody. Dla tutejszych elit jest jak umarła – ale nie dlatego, że była w klinice psychiatrycznej, bo mnóstwo ludzi tutaj ma kłopoty z psychiką i chodzi na terapię. Uważają ją za persona non grata, gdyż jest biedna.

– Tym bardziej chciałabym ją poznać.

– Nie będzie chciała z tobą rozmawiać.

– Może jednak ją przekonam.

– Rany, ale ty jesteś uparta! No dobrze – powiedział, zanim zdążyłam zareagować. – Już wiem, co zrobimy. Proponuję układ.

– Słucham?

– Przedstawię cię, jeśli dasz się dzisiaj zaprosić na kolację.

– To nie układ, tylko szantaż – prychnęłam.

– W miłości i na wojnie wszystko jest dozwolone – oświadczył z tym swoim olśniewającym uśmiechem.

– Widzę, że koniecznie chcesz wygrać zakład ze swoim przyjacielem!

– Nie. Zakład ze sobą. Bo kiedy cię zobaczyłem, stwierdziłem, że naprawdę tego chcę. Więc jak, zgadzasz się?

– Dobrze – powiedziałam, skrycie nabrawszy powietrza. – Przedstaw mnie.

Z uśmiechem skinął głową w stronę domu przy plaży.

– Idziemy?

Nagle poczułam słabość w nogach, aż się obawiałam, że nie zrobię kroku. Stłumiłam jęk i Thatcher obejrzał się z niepokojem na moją pobladłą twarz.

– Hej, dobrze się czujesz? Może usiądziesz? – Gestem wskazał krzesło na tarasie.

– Nie, nic mi nie jest.

– Jakoś blado wyglądasz. Widziałem, że niewiele zjadłaś na śniadanie. Co się dzieje?

– Nic się nie dzieje. Po prostu podróż i brak snu, wiesz jak to bywa.

– Czekał, przyniosę ci coś do picia. Może sok pomarańczowy. Musisz podnieść poziom cukru we krwi. Nie kręć głową. Mam już całkiem niezłą lekarską wiedzę po dziesiątkach spraw z oskarżenia o błędy medyczne. Nie tylko weterynaryjne – dodał z uśmiechem. – Usiądź na chwilę. Zaraz przyjdę. – W pośpiechu wrócił w głąb domu.

Przymknęłam oczy, usiłując znów wziąć się w garść. Ależ wybrałam sobie moment, żeby pokazać słabość! Odetchnęłam głęboko, a kiedy znów otworzyłam oczy i spojrzałam na plażę, zobaczyłam młodego człowieka w białej koszuli i w dżinsach, idącego ze spuszczoną głową, bosy. Niósł pod pachą sztalugi, a w drugiej ręce miał czarną skórzaną kasetę.

Jasne włosy były tak spłowiałe od słońca, że wydawały się białe. Sięgały ramion i zwisały niechlujnie, zasłaniając twarz. Nie mogłam jej zobaczyć, bo głowę miał stale opuszczoną. Szedł przy samej krawędzi plaży i fale obmywały mu stopy.

– Ach. – Thatcher wrócił i zobaczył, gdzie patrzę. – Linden już wraca do domu. Zwykle znajduje sobie miejsce do malowania i tkwi tam przez większość dnia. Może zgłodniał. – Postawił przede mną szklanekę z sokiem. – Świeżo wyciśnięty – zachęcił. – Sam dopilnowałem.

– Dzięki. – Z przyjemnością pociągnęłam łyk.

– Linden! – krzyknął Thatcher. – Hej, Linden!

Młody człowiek nie uniósł głowy.

– On mnie słyszy, ale jestem mu obojętny – wyjaśnił Thatcher. – Nadal chcesz, żebym przedstawił cię tej szalonej rodzinie?

– Tak. – Dopiłam sok. – Proszę.

Wstałam.

– Dobrze, w takim razie chodźmy. – Dał mi znak i zaczął schodzić z tarasu.

Przechodziliśmy obok basenu. Woda wlewała się do niego przez krawędź, połyskując zapraszająco oceanicznym błękitem. Thatcher znów zdawał się czytać w moich myślach.

– To słona woda. Lepsza dla skóry. Jeśli masz ochotę...

– Nie, dzięki.

– Nie ma sprawy. Bogacze chętnie popisują się swoimi posiadłościami i majątkiem. Wkrótce się o tym przekonasz. Oczywiście liczą, że w zamian wyrazisz zachwyt.

– Czemu tu siedzisz, skoro uważasz ten świat za sztuczny?

Zatrzymał się i spojrzał na mnie, a potem na ocean.

– Nie wiem, czy gdzieś istnieje inny świat dla mnie – wyznał. – A może po prostu jestem tchórzem. I dlatego rano coś ciągnęło mnie do ciebie – dodał.

– Co takiego?

– Wyglądałaś jak ktoś z innego świata. – Ruchem brody wskazał na zamglony horyzont.

– Z innego świata?

– Tak. Z prawdziwego świata – powiedział w zamyśleniu. I dodał coś, co uruchomiło alarm w moim sercu. – Pod pewnym względem przypominasz mi Grace Montgomery. Ona już przestała należeć do tego świata. Może zechce z tobą porozmawiać – podsumował.

Szliśmy w stronę domu przy plaży i alarm w moim sercu dzwonił coraz głośniejsze.

[2](#) „Shiny Sheet” (ang.) – dosłownie „Błyszcząca Okładka” (przyp. tłum.).

Rozdział siódmy

THATCHER

Alejką obsadzoną z dwóch stron żywopłotem wiodła do niewielkiego tarasu i wejścia do plażowego pawilonu. Budynek musiał mieć kiedyś jasny perłowy kolor, ale widać morskie wiatry zrobiły swoje i ściany wyblakły. Na piętrze były dwa balkony, patrzące na ocean, a na każdym stały palmy w donicach i oplatał je bluszcz, który pokrywał ścianę domu, sięgając dachówek.

– Służba ma dobre warunki – powiedział Thatcher. – W budynku jest dwadzieścia pokoi, nie licząc jadalni i dwóch salonów. Mieszka tutaj cała służba moich rodziców. To również czyni Montgomerych pariasami. Kto mieszka ze służącymi? – zakończył z gorzkim uśmiechem.

– Dobra, wchodzimy. – Nacisnął dzwonek. Nikt się nie zjawił, więc zadzwonił jeszcze raz. – Nie zdziwiłbym się, gdyby nie zareagowali. Ale zobowiązania dotrzymałem – dodał.

Uśmiechnęłam się i w tym momencie drzwi się otworzyły. W progu stał Linden i uważnie mierzył nas wzrokiem. Był młodym człowiekiem o delikatnej budowie ciała i zdumiewająco wrogim wyrazie twarzy. Zmierzwione włosy już nie wydawały się białe i w cieniu miały kolor jasnoblond. Wyraz jego ciemnych oczu, grymas ust, sztywność ciała i dłonie zaciskające się w pięści nadawały mu wojowniczy wygląd.

– Co jest? – burknął.

– Mamy niezwykle interesującego gościa, który bardzo chciałby porozmawiać z twoją matką, jeśli to możliwe – odpowiedział spokojnie Thatcher.

– Po co? – zapytał podejrzliwie Linden. Zrobił krok ku nam, nie spuszczać oczu z Thatchera, lecz za moment przeniósł spojrzenie na mnie. Zauważyłam w nim błysk skrywanego zaciekawienia. To mnie ośmieliło i uśmiechnęłam się do niego.

– Poznaj pannę Isabel Amou. Jest na studiach magisterskich i realizuje projekt badawczy, do którego między innymi wytypowała twoją matkę. Bardzo jej zależy na przeprowadzeniu z nią wywiadu. Nie ma się czego obawiać, Linden. Przecież dobrze wiesz, że nie zrobiłbym niczego, co mogłoby zaszkodzić w jakikolwiek sposób twojej matce, prawda?

Mówił do niego tak, jakby przemawiał do młodego, krnąbrnego chłopaka, usiłując wyperswadować mu coś. Miałam wrażenie, iż słyszę mojego tatę. Jednak uparty Linden zagradzał nam wstęp do domu, nieporuszony i nieufny, z zaciętą twarzą.

– Zobaczyłem, że idziesz po plażę, i zawołałem cię – ciągnął Thatcher, przerywając kłopotliwą ciszę – ale pewnie szum fal zagłuszył mój głos.

Linden odpowiedział spojrzeniem mówiącym jasno, że słyszał, ale nie miał ochoty z nim rozmawiać.

– Co cię sprowadziło na brzeg tak wcześnie? – zapytał Thatcher, aby nie dopuścić do kolejnej kłopotliwej przerwy w rozmowie. – Potrzeba artystyczna?

Odwrócił się ku mnie, żeby wyjaśnić:

– Linden powiedział mi kiedyś, że jest jak rybak, zarzuca swoje artystyczne spojrzenie niczym wędkę, aby łowić w oceanie inspiracje. Czy i tym razem tak było, Linden?

– Wymyśliłeś to sobie i opowiadasz innym jako anegdotę – odburknął.

– Nie. Byłem pod wrażeniem słów, które wypowiedziałeś, i sądząc z wyrazu twarzy panny Amou, ona też jest. Prawda, panno Amou?

– Tak. – Przeniosłam spojrzenie z niego na Lindena. Przypatrywał mi się wnikliwie, jakby sondował mi duszę do głębi. I chyba nie dopatrywał się niczego złego, gdyż napięte ramiona rozluźniły się i zarys ust złagodniał.

– O jakim projekcie on mówi? – spytał mnie.

– Tak jak mnie przedstawił, jestem studentką, która zamierza przeprowadzić badanie socjologiczne elity Palm Beach – zaczęłam.

– Nie należymy do elity Palm Beach – warknął Linden i znów zeszytniał.

– Och, Linden, należycie, czy tego chcecie, czy nie. Nie można tu mieszkać i nie należeć – powiedział Thatcher.

– Owszem, można. – Spojrzenie Lindena znów stało się niechętne. – Nie ma sensu wciągać w to mojej mamy. Nie udziela się towarzysko, nie ma też żadnych kontaktów z tymi arystokratami – dodał i zacisnął usta.

– Twoja mama nie jest zwykłą postacią, prawda? – Thatcher nie ustępował. – Linden, dlaczego nie pozwolisz, żeby sama zdecydowała? Panna Amou nie chce nikomu sprawiać kłopotu. Nie pisze do „Shiny” ani innych magazynów. Tu chodzi tylko o studenckie badanie naukowe, potrzebne jej do dyplomu. Rozmowa z nią na pewno nie zaszkodzi twojej matce; przeciwnie, może ją ucieszyć.

– Wątpię – mruknął Linden.

– Może jednak pozwólmy jej zdecydować?

Nie byłam pewna, czy Thatcher nie zwykł był ulegać w żadnej sprawie, czy po prostu chciał się popisać przede mną – w każdym razie jego determinacja skruszyła wreszcie opór Lindena.

– Traciecie czas – rzucił, odwracając się w progę. – Ale zaczekajcie.

Zniknął w głębi domu. Thatcher uśmiechnął się do mnie.

– Trudny młody człowiek. Przeraza większość ludzi, nie tylko swoją sztuką. Od czasu do czasu zdarza mu się sprzedać jakiś obraz, ale nie na tyle często, żeby mógł się z tego utrzymać. Mogę ci pokazać parę jego dzieł w galerii przy Worth Avenue, jeśli zechcesz.

– Oczywiście, chętnie zobaczę.

– Tak myślałem. Typy mroczne, zbuntowane i niebezpieczne są o wiele bardziej pociągające niż normalne i racjonalne, prawda? Czyż Jago z *Otella* Szekspira nie jest bardziej interesującym bohaterem niż sam Otello? Nie uważasz? – zapytał z prowokującym uśmiechem.

Musiałam przyznać, że jest seksowny. Czułam to w swoim ciele – ciepłe, ekscytujące mrowienie, podsycające pierwsze płomyki pożądania, jakiego dotąd nie doświadczałam. Wrażenie było tak silne, że na minutę czy dwie zajęło mi myśli, odwracając uwagę od dramatycznego spotkania, które miało za chwilę nastąpić. Istny kalejdoskop emocji, pomyślałam; jestem przerażona, podekscytowana i podniecona – wszystko naraz.

– Z drugiej strony Linden ma rację – powiedział Thatcher. – Oni naprawdę są na marginesie życia towarzyskiego Palm Beach. Stąd obawiam się, że rozmowa z nią będzie dla ciebie niewiele warta.

Gdybyś tylko wiedział, ile jest dla mnie warta! – pomyślałam.

Odgłos kroków w holu zdławił mi serce, jakby ścisnęła je wielka dłoń, i zamiast bić, drgało tylko bezsilnie. Wyłoniła się zza rogu. Jej włosy, związane w gruby koński ogon, były tego samego koloru co moje, choć przetykane pasmami siwizny. Miała jasną cerę, smukłą szyję, a kiedy podeszła bliżej, wiedziałam, że piegi odziedziczyłam po niej, także kształt nosa i turkusowe oczy; tylko owal twarzy przejęłam po tacie.

Pomimo prostego uczesania i braku makijażu oraz spranej niebieskiej podomki, którą nosiła, emanowała iście anielską urodą. W twarzy o regularnych rysach była dziecięca łagodność. Uderzył mnie zwłaszcza wyraz jej oczu, bezbronny i niewinny.

Matka adopcyjna czułaby się niemiłe rozczarowana. Pomimo ciężkich przeżyć i trudnego życia moja prawdziwa matka zdumiewająco opierała się wpływowi czasu. Owszem, widziało się kurze łapki w kącikach oczu, lecz poza tym jej skóra pozostała gładka. Zachowała dobrą figurę ze smukłą talią. Dłonie były drobne. Nie nosiła żadnej biżuterii, kolczyków, nawet zegarka.

– Cześć, Grace – powiedział Thatcher. – Jak się masz?

Jej uśmiech tworzyły jedynie lekko uniesione kąciki ust i błysk, rozjaśniający spojrzenie. Jakby bała się ukazać pogodną twarz z obawy, że za chwilę po raz kolejny się rozczaruje lub spotka ją coś niemiłego. Linden stanął obok matki, taksując nas wrogim spojrzeniem.

– Wszystko dobrze, Thatcher – odpowiedziała głosem łagodnym i ledwie słyszalnym. – Czym mogę ci służyć?

– Jest tu ktoś, kto chciałby cię poznać. – Odwrócił się do mnie.

Teraz dopiero popatrzyła na mnie i na moment jej oczy rozszerzyły się, nie tylko z ciekawości. Głębokie, intensywne spojrzenie sondowało moją twarz, jakby Grace czekała na tę chwilę od lat, jakby wiedziała, kim jestem. Powietrze uszło mi z płuc. Byłam prawie pewna, że za chwilę zapyta, czy jestem tą, o której myśli. Skrycie miałam nadzieję, że tak będzie, a wtedy ujawnię prawdę i skończy się to żałosne udawanie.

– Poznaj Isabel Amou – kontynuował Thatcher. – W ramach swoich studiów przeprowadza badanie socjologiczne elity Palm Beach.

– Amou? – Uniosła brwi, nie spuszczając ze mnie wzroku. Musiałam wreszcie coś powiedzieć.

– Tak – wykrztusiłam z wysiłkiem.

Podejrzliwie zmrużyła oczy i moje serce znów przyspieszyło.

– Czego byś chciała ode mnie?

Thatcher uśmiechnął się porozumiewawczo, jakby chciał powiedzieć: Cóż, zrobiłem swoje, teraz kolej na ciebie.

– Chciałabym tylko zadać pani parę pytań na temat życia w Palm Beach. Jakie są pani doświadczenia...

– Doświadczenia? – przerwała mi.

– Pani historia jest wyjątkowa, toteż pomyślałam, że pani poglądy na Palm Beach mogą być cennym materiałem do mojej pracy. – Sama nie wiem, jak udało mi się wygłosić całe długie zdanie. – Nie jest łatwo znaleźć osobę, mogącą oceniać fakty z perspektywy lat – dodałam.

Popatrzyła na mnie jeszcze uważniej. Serce mi waliło. Jej spojrzenie penetrowało moją twarz. Wstrzymałam oddech. Kąciki warg zaczęły się lekko unosić w uśmiechu. Przełamie się i zapyta, czy jestem córką Claude'a De Beers? Jej córką?

Ale w tym momencie Linden gwałtownie postąpił krok w przód.

– To jakiś ponury żart! – wrzasnęła i stanął przed nami, odsuwając matkę na bok. – Czy jesteśmy jakimiś robakami, które chcesz oglądać pod mikroskopem? Wytypowałeś nas z powodu naszej finansowej sytuacji? Kto za tobą stoi? – atakował.

– Nikt! Po prostu pomyślałam... To znaczy... Kiedy powiedziano mi o was...

– No właśnie, powiedziano ci o nas. Więc ludzie o nas mówią? Obmawiają nas, plotkują, a ty myślisz, że przyjdiesz i jeszcze coś z nas wyciągniesz!

– Linden, wyluzuj – upomniał go łagodnie Thatcher.

– Nie! Ile jeszcze razy mamy być obsmarowywani w prasie czy na salonach? Jak długo jeszcze mamy się czuć jak pariasi, bo nikt nie zaprasza nas na herbatę czy na przyjęcie, co?

– Nie miałam o tym pojęcia – powiedziałam. – Przyjechałam tutaj, żeby porozmawiać z państwem Eaton, i wtedy dowiedziałam się o was, więc...

– No tak! – Linden oskarżycielsko wycelował w nas palec. – Twoi rodzice napuścili ją na nas, Thatcher. Pokazali nas, żeby zobaczyła jakieś dziwaczne stwory, trzymane w klatce w posiadłości, bo tym dla nich jesteśmy.

– Linden, daj spokój – mówił pojednawczym tonem Thatcher. – Przecież wiesz, że tak nie było, a moi rodzice nie chcą szkodzić tobie ani twojej matce.

– W takim razie wynoście się stąd. Zostawcie nas w spokoju!

Twarz Lindena stała się purpurowa, oczy wychodziły z orbit, a żyły pulsowały w napiętej szyi.

– Linden, nie denerwuj się tak – odezwała się Grace.

– Więc im powiedz, żeby sobie poszli! – wrzasnął.

– Dobra, Linden, jak sobie życzysz – powiedział Thatcher i wziął mnie pod rękę. – Przepraszamy, że cię niepokoił, Grace. Jak sama słyszałaś, ta młoda dama pragnie tylko poznać różne poglądy na elitę Palm Beach i postawy wobec niej. I nic ponadto, wierz mi. Sam pamiętam, że robiłem podobne projekty na studiach. Nie jest łatwo zyskać zrozumienie obcych ludzi.

– Dziwne, że nie oferowano nam zapłaty za informacje – mruknął zgryźliwie Linden.

– A więc o to ci naprawdę chodzi, Linden? – odparował Thatcher.

Krew odpłynęła Lindenowi z twarzy.

– Co ty sobie myślisz? – wybuchnął. – Że jestem jak te prawnicze pijawki, które ściągają z ludzi kasę za każdą minutę rozmowy?

Thatcher roześmiał się.

– Dobra, wyluzuj. Wybacz, Grace. – Ujął mnie mocniej pod ramię i szybko poprowadził z powrotem.

Mama przez cały czas nie spuszczała ze mnie wzroku, podobnie jak ja. Wyraz bólu przemknął po jej twarzy i zrobiła ruch, jakby chciała nas zatrzymać, ale Linden odgrodził ją od nas i z hukiem zatrzaskał drzwi, odcinając mnie od mojej matki bez możliwości pożegnania.

– Ostrzegłem cię przed tym – odezwał się Thatcher z gniewem, gdy już nie musiał go hamować. – To on powinien trafić do psychiatryka, a nie matka. Współczuję jej, że musi go znosić.

Powiedział to głośno w stronę zamkniętych drzwi, po czym odwrócił się do mnie.

– Hej, dobrze się czujesz? – zapytał z niepokojem. – Ty drżysz!

– Tak – bąknęłam, przyspieszając kroku, żeby jak najszybciej oddalić się od tego domu. Thatcher w paru krokach zrównał się ze mną.

– Spokojnie, nie przejmuj się tak. – Chwycił mnie za ramię. – Zapomnij o nich, a ja przedstawię cię innym, z którymi można normalnie porozmawiać. Będą ci opowiadać aż za dużo i szczerze aż do bólu. Tutaj ludzie bez zahamowań opowiadają innym o swoich dysfunkcyjnych rodzinach, jakby to było wielkie osiągnięcie.

Szłam u jego boku ze spuszczoną głową.

– Na przykład taka Helen Krescan – perorował. – Wie, że jej mąż trzyma kochankę na swoim jachcie na przystani w Palm Beach. Żali się na to bez przerwy przy każdej wizycie w salonie piękności, ale czy myśli o rozwodzie? Skądże. Woli robić z siebie ofiarę i nieść swoje męczeństwo jak sztandar. Będzie ci się świetnie z nią rozmawiać. Opowie ci nie tylko o swoim mężu, ale i oplotkuje wszystkich innych w okolicy. Jeśli chcesz, zadzwonię do niej jutro. Hej – zagadnął, gdyż milczałam uparcie. – Na pewno dobrze się czujesz?

– Tak, w porządku. Sama nie wiem... może to badanie jest bez sensu – powiedziałam.

– Ależ dlaczego, ja uważam, że to świetny pomysł. Nie możesz zrezygnować z ich powodu. – Ruchem głowy pokazał w stronę plaży.

– Powinłam stąd wyjechać – mruknęłam, bardziej do siebie niż do niego. Popatrzyłam na ocean. Pływały po nim żaglówki i czyjś wielki, piękny jacht. Wszystko to wyglądało nierealnie, jak gigantyczna filmowa dekoracja.

Zbyt łatwo jest w tym miejscu popaść w złudzenia, dać się zwodzić iluzji, pomyślałam. Tu jest zbyt niebezpiecznie dla mnie, zwłaszcza teraz, kiedy jestem tak przewrażliwiona i bezbronna.

– Nie ma mowy – stwierdził stanowczo Thatcher. – Nie możesz teraz wyjechać. Musisz realizować swój projekt i ja tego dopilnuję. Przyjadę po ciebie o siódmej wieczorem. Daj sobie jeszcze szansę. Jeden udany wywiad i wszystkie problemy znikną, uwierz mi. A jutro jesteś zaproszona na brunch u moich rodziców. Najbardziej reprezentatywna para z Palm Beach, jaką można sobie wyobrazić – zapewnił mnie. – Są zepsuci do szpiku kości, hedonistyczni, próżni, pełni uprzedzeń, ale zupełnie nieszkodliwi.

Zerknęłam na niego spod oka.

– Co jest?

– Nie szanujesz swoich rodziców, prawda?

Zastanawiał się moment.

– Chyba chodzi o to, że nie traktuję ich poważnie, więc nie mógłbym ich szanować – odparł, przenosząc spojrzenie na ogromną rezydencję. – Kiedy tu mieszkasz, kiedy się tu wychowałeś, stajesz się bardzo powierzchowna i tracisz umiejętność budowania głębszych relacji. Wyjaśniłbym to tak – dodał jeszcze poważniejszym tonem – w większości innych miejsc miłość jest tym, co poznajesz z wiekiem, bo ona po prostu tam jest. Tutaj natomiast musisz jej szukać, odkryć ją pod stosem bogactwa i luksusów. Czasami tam jest, a czasami jej nie ma. Kiedy nie znajdziesz miłości, kupujesz sobie kolejnego rolls-royce’a albo lecisz na zakupy do Paryża.

Patrzyłam na niego, zdumiona tym wylewem szczerości. Widać było, że czuje się nieswojo pod moim spojrzeniem.

– Przepraszam, trochę żółci się ze mnie wylało – przyznał.

– Nie przepraszaj. Być może to ty jesteś najlepszym materiałem do moich studiów – stwierdziłam, wywołując uśmiech na jego twarzy.

– Miałem nadzieję, że tak pomyślisz. Jestem do twojej dyspozycji.

– Taki wzięty, zapracowany prawnik? – zapytałam ze śmiechem. – A co z twoimi klientami?

– Zaraz zobaczymy – odrzekł, w zamyśleniu gładząc palcami podbródek. – W tej chwili najważniejsza jest obrona Harry’ego Stevensa, miliardera, producenta paneli podłogowych, którego jacht uszkodził nabrzeże w porcie. Miasto chce, żeby naprawił szkodę na własny koszt, a Harry grozi, że je pozwie. Będzie z tym trochę roboty, ale znajdę dla ciebie czas.

Roześmiałam się. Zmierzaliśmy do mojego samochodu.

– Jedź do hotelu i odpocznij sobie – poradził. – Bo wieczorem pokażę ci nocne życie Palm Beach.

Zamknął za mną drzwi, kiedy usiadłam za kierownicą, i stał, patrząc, jak odjeżdżam. Brama otworzyła się przede mną magicznie jak w bajce i zamknęła tuż za mną. Znow jestem w realnym świecie, pomyślałam. A moja mama została tam, za tymi kratami, które symbolicznie były zarazem murem jej własnego smutku i rozczarowania światem, odgradzającym ją od rzeczywistości.

Popełniłam błąd, stwierdziłam. Powinłam od początku być szczerą. Powinłam powiedzieć jej prawdę, zamiast brnąć w ten głupi podstęp, który zepsuł wszystko. Sprawiała wrażenie, jakby ucieszył ją mój widok, jakby od dawna na mnie czekała. Czułam to w jej spojrzeniu.

Do tego doszedł jeszcze Linden, tak drażliwy i nieufny, że dotarcie do niego wydawało się niemożliwe. Gdybym nawet powiedziała prawdę, mógłby mi nie uwierzyć, węsząc w tym kolejny podstęp. Czy kiedykolwiek będzie zdolny uznać mnie za swoją przyrodnią siostrę? Jeszcze nigdy nie widziałam tyle

bólu i udręki w oczach młodego człowieka, nawet wśród pacjentów kliniki taty. Czemu był aż tak zaburzony? Czyżby odziedziczył coś po swojej matce? Czego jeszcze się dowiem? Czy oprócz tajemnic, które już znam, istnieją inne, jeszcze bardziej mroczne?

Jakkolwiek Thatcher kpił z zapału, z jakim ci ludzie zdradzali swoje osobiste i rodzinne problemy, być może wiedzieli, że mogą robić to bezkarnie. Może ściany, odgradzające ten świat są na tyle wysokie, aby nie dopuścić, by pewne rzeczy przedostały się na zewnątrz – choć jednocześnie są na tyle niskie, żeby wpuszczać wieści z reszty świata. Przecież im bardziej ktoś jest bogaty, tym potężniejsze zamki i alarmy zakłada, tym grubsze ściany ma jego sejf i tym mroczniejsze tajemnice kryją się w kątach jego posiadłości.

Głód i potrzeba odpoczynku po intensywnych przeżyciach gnały mnie do hotelu. W pokoju przebrałam się i zeszłam nad basen na lunch. Potem kupiłam kostium kąpielowy, bo nie pomyślałam, żeby zabrać swój z domu. Wreszcie znalazłam sobie spokojny kąt w cieniu, gdzie położyłam się na leżaku, żeby nie tylko odpocząć, ale i spokojnie pomyśleć o wszystkim. Gwar gości, śmiechy dzieci, dźwięk muzyki zlały się w jednostajny szum wokół mnie. Zasnęłam. Ocknęłam się gwałtownie, gdyż wyczułam czyjąś obecność. Uniosłam powieki i zobaczyłam mężczyznę po sześćdziesiątce, jeśli nie siedemdziesięcioletniego, który stał obok leżaka i patrzył na mnie. W ręce miał wysoką szklankę z małą, żółtą papierową parasolką. Widząc, że się obudziłam, uśmiechnął się szeroko, jakby był moim krewnym, który odnalazł mnie po latach.

– Tak? – odezwałam się. – Czym mogę panu służyć?

– Miałem nadzieję, że to ja mógłbym ci służyć – odparł. – Siedziałem sobie tutaj – ruchem głowy wskazał na sąsiedni leżak – i widziałem, jak morzy cię sen. – Zerknął na rolexa. – Spałaś całe półtorej godziny, mimo tego gwaru. Musiałaś być zmęczona, prawda?

– Rzeczywiście – przyznałam. Usiadłam i poprawiłam włosy.

– Balowało się w nocy?

– Nie – ucięłam, poirytowana tonem jego głosu.

Roześmiał się, jakby mi nie wierzył.

– Kiedy zobaczyłem, że drgają ci powieki, szybko zamówiłem dla ciebie piña coladę. Proszę. – Podsunął mi szklankę z parasolką.

– Nie, dziękuję.

– Och, powinnaś spróbować. Przekonasz się, prawdziwa rozkosz w płynie – namawiał, nie cofając ręki.

Co to za gość i czego chce? Był mniej więcej mojego wzrostu i miał sporą nadwagę. Spod siwiejących przeredzonych włosów przezierała skóra czaszki z brunatnymi starczymi plamami. Linia kędzierzawych siwych włosów przecinała jego zapadniętą pierś usianą ciemnymi piegami i wydatny brzuch, opływający z dwóch stron pępek. Za gumką kąpielowych bokserów miał zatknięte dwa cygara, a chude, krzywe nogi poznaczone wybrzuszeniami fioletowych żyłaków. Nosił skórzane klapki, a na szyi gruby złoty łańcuch.

– Nie przepadam za słodkimi drinkami – powiedziałam i dopiero teraz cofnął rękę.

– Nic dziwnego, że masz taką idealną figurę – skomentował. Popatrzył na drinka i po chwili wahania sam pociągnął łyk. – A ja uwielbiam takie rzeczy.

Kiwnęłam głową. W tej kwestii mu wierzyłam.

– Domyślam się, że jesteś sama. A może się mylę?

– Nie, nie mylisz się.

– Czemu taka śliczna młoda kobieta siedzi tutaj samotnie? – Z uśmiechem zerknął na mnie z ukosa, jakby już znał odpowiedź i tylko czekał na potwierdzenie.

Nie miałam ochoty na rozmowę z jakimś starym piernikiem, ale nie chciałam być nieuprzejma.

– Przyjechałam tu na krótko. Mam pewne badania do wykonania.

– Badania? Hm, to coś nowego, ale nie szkodzi.

– Nie rozumiem...

– Posłuchaj – rzekł, przysuwając sobie leżak. – Nigdy nie wymagam od kobiety, żeby była ze mną szczerą, zarówno w kwestii wieku, jak i wagi czy poprzednich związków – ciągnął ze śmiechem, popijając piña coladę.

Przyglądałam mu się w milczeniu. Czy ten staruch ze mną flirtuje? Na samą myśl zrobiło mi się niedobrze.

– Przepraszam – powiedziałam, składając ręcznik i sięgając po sandały – ale muszę już iść.

– Spokojnie, nie spiesz się tak. Masz dzisiaj wolny wieczór?

– Słucham?

– Jeśli nie masz żadnych planów, może dałabyś się zaprosić na kolację? Dzisiaj jest przyjęcie na jachcie mojego przyjaciela. Może słyszałaś o Michaelu Thomasie?

– Nie – odparłam, uśmiechając się z niedowierzaniem, które on wziął chyba za rozbawienie.

– Jest wnukiem tego Thomasa od sprężyn drzwiowych – wyjaśnił. – Poznasz tam wielu ludzi; interesujących, bogatych ludzi. Nie bez tego, że sam jestem interesującym, mającym mężczyznę – dodał i znów się roześmiał. Pociągnął spory łyk ze szklanki. – Nazywam się Gordon Lauer – przedstawił się i czekał na moją reakcję. – Wiesz, Breston-Lauer, ta firma perfumeryjna.

– Och.

– Tak. – Uśmiechnął się szeroko. – Będziesz miała do końca życia darmowe dostawy moich najlepszych produktów.

– Dziękuję, ale pomyliłeś się co do mnie – odpowiedziałam z tak samo szerokim uśmiechem. – Nie przyjechałam tutaj, żeby się bawić. Tym niemniej dzięki za zaproszenie.

Siedział z ogłupiałą miną i patrzył za mną, gdy odchodziłam. Jakim cudem facet w jego wieku i z taką aparycją uważa, że mogłabym iść z nim na randkę? Wystarczy, że jest bogaty? Nie wiedziałam, czy mam śmiać się, czy płakać, takie to było głupie i żalosne. Z ulgą wróciłam do swojego pokoju.

Tam czekała na mnie wiadomość od doktora Andersona. Pytał, czy ma mnie zarekomendować kolejnym dwóm rodzinom. Zostawił ich nazwiska i numery telefonów. Zdusiłam w sobie poczucie winy i złość, że przekombinowałam z kłamstwami. Pomyślałam, iż muszę znaleźć sposób, żeby jak najszybciej wszystko odkręcić i powiedzieć prawdę. Zwłaszcza mojej mamie.

A na razie miałam się szykować do kolacji z Thatcherem Eatonem. Część mnie trwała w poczuciu winy, gdyż nie byłam w stanie wykrzesać z siebie nawet grama entuzjazmu i chęci, żeby wyglądać atrakcyjnie. Śmierć taty była zbyt świeża. Czy w tej sytuacji mam prawo gonić za przyjemnościami? I co one mają wspólnego z prawdziwym celem mojego przyjazdu tutaj?

Po raz kolejny wdałam się w spór sama ze sobą. I znów jedna część mnie była skłonna racjonalizować i usprawiedliwiać moje postępowanie: *Thatcher pomógł ci dotrzeć do twojej mamy. Gdyby nie on, nie przedarłabyś się przez wrogość i opór Lindena. Powinnaś być wdzięczna.*

Nie okłamuj siebie, Willow De Beers, kontrował drugi wewnętrzny głos, podobny do głosu mojej matki adopcyjnej. *Bądź wreszcie ze sobą szczerą. Podoba ci się ten facet. Zafascynował cię i teraz chciałabyś więcej. Twoja matka zeszła na razie na dalszy plan.*

– Nie, nieprawda! – prawie krzyknęłam do swojego odbicia w lustrze.

W uszach zabrzmiał mi wysoki, szydyczny śmiech matki adopcyjnej. Odwróciłam się od lustra i usiadłam z rozpędu na łóżku. Powinnam zadzwonić do Thatchera i odwołać spotkanie, pomyślałam.

I co dalej? Pojechać tam i stać pod zamkniętymi drzwiami domu przy plaży? Mogę sobie wyobrazić

reakcję Lindena. Jednym posunięciem mogę na zawsze odciąć sobie możliwość kontaktu z mamą. A potem co? Wrócę do domu, do Allana, który będzie na mnie wściekły, żeby od nowa podjąć zawalone studia? Jeśli tak się stanie, Willow De Beers, wciągnie cię wir obłędu, którego tak zawsze się bałaś.

– Och, nie bądź śmieszna – warknęłam i zerwałam się z łóżka. Za moment byłam już pod prysznicem. Z furją rozczesywałam wilgotne włosy, jakbym chciała je wyrwać. Umalowałam tylko usta szminką i włożyłam najbardziej elegancką z sukienek, które zabrałam. Chyba żadna kobieta dotąd nie stroiła się w takiej furii, pomyślałam. Ciągle byłam na siebie zła, że musiałam liczyć się z Thatcherem.

Kiedy zastanawiałam się, czy nie za bardzo wypindrzyłam się na tę kolację, zadzwonił telefon.

– Mogę po ciebie podjechać – zaproponował Thatcher. – Nie byłem pewien, czy będziesz gotowa na czas, więc postanowiłem zadzwonić. Większość kobiet z Palm Beach nie dotrzymuje jakichkolwiek terminów – a przynajmniej te, które znam.

– Powinieneś częściej wyjeżdżać z miasta – skomentowałam. Roześmiał się, wyraźnie niezniechęcony moim chłodnym tonem. – Jestem gotowa. Zaraz będę.

– Niesamowite.

Czemu on mnie tak irytuje? Może się obawiam, że ten bystry młody prawnik mnie przejrzy? Albo wściekam się na siebie, bo zachowuję się jak licealistka na swojej pierwszej prawdziwej randce?

Tylko staraj się nie mówić za dużo, ostrzegłam się w myśli. Im mniej, tym lepiej. Łatwo mówić, kiedy ma się do czynienia z Thatcherem Eatonem!

Kiedy zesłam do lobby, stał przy recepcji, gawędząc z urzędującą tam kobietą, niewątpliwie nim zafascynowaną. Wcale się jej nie dziwiłam, bo nie sposób było oderwać od niego oczu. Miał na sobie oliwkowy garnitur i perłowobiałą koszulę ze stójką, podkreślającą jego wspaniałą opaleniznę i blask niebieskich oczu. Na mój widok odwrócił się i ruszył ku mnie z uśmiechem.

– Wybacz – powiedziałam, tłumacząc się z mojej czarnej, prostej sukienki. Nie miałam też żadnej biżuterii, nawet kolczyków. – Nie zabrałam niczego wystrzałowego, bo nie przyjechałam tu, żeby się bawić.

– Nie przepraszaj. Wyglądasz cudownie. Co za ulga widzieć wreszcie kobietę, która potrafi zachować umiar, zwłaszcza tutaj.

– Zachować umiar? Widać, że masz opanowaną prawniczą, dyplomatyczną mowę!

Ze śmiechem ujął mnie pod ramię. Miałam wrażenie, że wszystkie oczy patrzą na nas. Kiedy szliśmy przez hol do wyjścia, pojawił się wyliniały playboy, który usiłował mnie podrywać nad basenem, ubrany w szorty i koszulkę polo. Skinął mi głową.

– Widzę, że złowiłaś swoją złotą rybkę – skomentował.

Thatcher aż przystanął ze zdumienia.

– Co on powiedział?

– Nie wiem. To jakiś straszny dziadunio. Zagadywał mnie nad basenem i koniecznie chciał zaprosić na party na jachcie. Nie wiem, co mu strzeliło do głowy.

W oczach Thatchera błysnęło rozbawienie. Skinął na portiera, żeby sprowadził jego rollsa.

– Co cię tak śmieszy? – mruknęłam wrogo.

– Po prostu stary uznał, że skoro ładna i młoda dziewczyna nie ma towarzystwa, z pewnością przyjechała tu, żeby wygrać los na loterii w Palm Beach. – Uprzedził portiera, gdy ten chciał otworzyć dla mnie drzwi auta. Szybko wsiałam.

– Na jakiej loterii? – spytałam.

Ruszyliśmy. Thatcher uśmiechnął się.

– Byłabyś zaskoczona, gdybyś wiedziała, ile młodych, atrakcyjnych dziewczyn i kobiet przybywa tutaj w nadziei, że staną się kochankami, a jeszcze lepiej żonami miejscowych nadzianych staruchów. Wiele

zatrzymuje się właśnie w tym hotelu, bo tutaj jest dobry teren łowiecki.

– Zapewniam cię, że nie należę do nich – stwierdziłam sucho.

Roześmiał się, zerknął na mnie i pokręcił głową.

– Co znowu?

– Jeszcze nie wiem. Muszę się wstrzymać z całościową oceną. Na razie pasujesz do pierwszej połowy definicji.

– Jak ona brzmi? – warknęłam, nie kryjąc irytacji.

– Jesteś ewidentnie młoda i atrakcyjna.

– Według której każdy bogaty, arogancki facet myśli, że jeśli kobieta jest młoda i atrakcyjna, musi polecieć na jego pieniądze, tak?

Roześmiał się jeszcze głośniej.

– I co, nie mam racji? – drażyłam.

– Możliwe – przytaknął skinieniem głowy. – Nie wiem, jaką masz teorię co do najbogatszych kręgów całej Ameryki, ale śmiem przypuszczać, że w paru przypadkach życie może cię zaskoczyć. – Zabrzmiało to niemal jak ostrzeżenie.

Już parę razy życie mnie zaskoczyło, pomyślałam. Dzięki za ostrzeżenie.

– To jest Worth Avenue – powiedział, kiedy skręciliśmy w elegancką aleję wysadzaną palmami. – Jedno z najdroższych centrów sklepowych na świecie – dodał. – Jak Rodeo Drive w Beverly Hills czy El Paseo w Palm Desert w Kalifornii.

– Trudno to nazwać sklepami – stwierdziłam, przyglądając się przerośniętym butikom, domom towarowym i restauracjom. Wszystko lśniło nowością, skrzyło się blaskiem złota i drogich kamieni, które były ozdobą wystaw i przechodniów.

– Nie orientuję się, ile wiesz o Palm Beach – ciągnął Thatcher. – Gości zawsze dziwi, że to tylko pas o długości niecałych dwudziestu czterech kilometrów. Stworzył go Henry Morrison Flagler, kiedy otworzył swój Royal Poinciana Hotel w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym czwartym roku. W jego pałacu przy Cocoanut Row mieści się obecnie Muzeum Flaglera. Warto je zobaczyć.

– Spróbuję – obiecałam.

– Kiedyś była tu baza wojenna, mająca bronić wybrzeża przed niemieckimi U-Bootami. Teraz wybrzeża broni elita – zażartował. – I nie dopuszcza do desantu obcych pieniędzy. Sezon trwa u nas tylko dziesięć tygodni, zwykle do końca kwietnia – kontynuował tonem przewodnika wycieczek. – Wiele z tych budynków, sklepów i domów zostało zaprojektowanych przez najsłynniejszego architekta w tej okolicy, Addisona Miznera. On też zaprojektował dom Montgomery’ego. A przynajmniej zapoczątkował jego kształt.

– Tak?

– W ogóle wymyślił ten mauretańsko-śródziemnomorski styl. Najbardziej znanym jego dziełem jest zapewne Mar-a-Lago, obecnie własność Donalda Trumpa. Rezydencję zbudował Edward F. Hutton dla swojej żony Marjorie Merriweather Post, dziedziczki imperium płatków śniadaniowych. Jest to prawie siedemnastoakrowa posiadłość z domem o stu jeden pokojach. Są tam: dziewięćdziesięciodłokowe pole golfowe, wieża wysoka na dwadzieścia trzy metry, rozmaite domki i pawilony, sady cytrusowe, oranżerie oraz tunel prowadzący na plażę. Trump zrobił z tego prywatny klub. Zabiorę cię tam, jeśli zechcesz.

– To zależy – odparłam.

– Od czego?

– Od tego, jak dobrze się będę bawić oraz ile zdołam zrobić – wyjaśniłam i znów go rozbawiłam.

Zajechaliliśmy pod restaurację nazwaną Ta-Boo. Maître poznał Thatchera i wyszedł nas powitać. Popatrzyłam na mężczyzn i kobiety – przy długim barze popijali drinki, rozmawiali i śmiali się

rozbawieni. Kobiety w większości były bardzo atrakcyjne i ubrane w seksowne ciuchy bardzo drogich marek.

– A kim jest ta piękna młoda dama? – zapytał Thatchera maître.

– Uważaj, ona robi badanie socjologiczne Palm Beach – ostrzegł Thatcher.

Mężczyzna ze śmiechem poprowadził nas do stolika na patio.

– Każdy, kto jest kimś w tym mieście, musi tutaj trafić w tygodniu choć na jeden wieczór, nie ma innej opcji – mówił Thatcher. – Sumy, jakie nasi nababowie wydają tu na jedzenie i picie, są pewnie porównywalne do produktu narodowego brutto wielu krajów Trzeciego Świata.

Rozejrzałam się i w myśli przyznałam mu rację.

– A jednak, pomimo takiej lokalizacji, ceny tu nie są niebotyczne – dodał, kiedy kelner przyniósł nam menu i zapytał, czego się napijemy.

Thatcher spojrział na mnie pytająco.

– Sama nie wiem – przyznałam.

Zamówił Cosmopolitan, a ja, udając, że wiem, o co chodzi, zamówiłam to samo.

– Czy pomimo podrywu podstarzałego Don Juana zdołałaś trochę odpocząć? – zagadnął.

– Tak, ale nie przyjechałam tu odpoczywać – przypomniałam mu.

– Nadal przeżywasz tę historię z Montgomerymi?

Spojrzałam na niego.

– Dużo o nich myślę i nie mogę się nadziwić, że tak wylądowali w życiu.

Wzruszył ramionami.

– Powiedziałem ci, co wiem o ich przeszłości, ale to może nie być wszystko. Znam ją tylko z opowiadań. Byłem małym chłopcem, kiedy Grace Montgomery wróciła z kliniki psychiatrycznej w Karolinie Południowej, o czym wszyscy tu wiedzieli. Matka Grace, Jackie Lee, usiłowała zamydlić oczy socjocie z Palm Beach historyjką, że Grace miała guza mózgu i przeszła skomplikowaną operację, jednak z upływem czasu rzeczywistość zatarła fikcję i Jackie Lee wypadła z towarzyskiej toplisty.

– Co to dokładnie znaczy?

– W Palm Beach jest to równoważne zachorowaniu na trąd. Przestała być zapraszana na ważne bale, kolacje i inne imprezy. Była już wtedy z Kirbym, którego wszyscy podejrzewali o to, że wykorzystał Grace i zrobił jej dziecko, co pogorszyło jej stan psychiczny. Gdy majątek Jackie Lee został roztrwoniony, a jej pozycja – zrujnowana, Kirby postanowił poszukać sobie lepszej przystani.

– Kiedy urodził się Linden?

– Mniej więcej rok przed wyjazdem Grace do kliniki. Moi rodzice mówili, że Jackie Lee długi czas mogła utrzymywać swoją fikcję, gdyż Grace była kompletnie wycofana i stroniła od ludzi. Nie kontaktowała się z rówieśnikami. Tak rzadko ją widywano, że prawie zapomniano o niej, więc mogła donosić ciążę bez niczyjej wiedzy.

– Dlaczego matka pozwoliła Grace mieć to dziecko?

– Bunny mówiła, że sama Grace utrzymywała ciążę w tajemnicy i ścisła się gorsetami. Zdaniem mojej mamy był to wynik jej szaleństwa czy poczucia hańby. Zdarza się, że kobieta wini siebie za gwałt. Wiem, bo miałem takie klientki.

– I dlatego Jackie Lee zaczęła sama udawać, że jest w ciąży, i przypinać sobie poduszki?

– Otóż to.

– Trudno w to wszystko uwierzyć.

– Nie tak bardzo. U nas, w Palm Beach, imperium plotkarstwa, ciągle krążą fantastyczne historie, które wymyślają nasi rezydenci na temat swój bądź innych osób. Nawet jeśli wszyscy wiedzą, że to czysty wymysł, nikt temu nie przeczy. Takie są reguły gry.

– A co robi Linden? – spytałam. – Tylko maluje, czy chodzi do szkoły, albo gdzieś jeszcze pracuje?

Thatcher zaczął się śmiać.

– Co cię tak śmieszy? Mówiłeś, że rzadko udaje mu się sprzedać jakiś obraz.

– Zawsze potrafimy poznać, kiedy ktoś nie jest z Palm Beach. Tu się nic nie robi. Żyje się po to, żeby wydawać, a nie zarabiać. Jeśli nie znasz tej prawdy, nie jesteś z Palm Beach.

– Ale mówiłeś, że ród Montgomerych podupadł.

– W skali Palm Beach tak, ale to nie znaczy, że grozi mu nędza. Mają niezły dochód z wynajmu, trochę pieniędzy ulokowanych w funduszach i wykupione polisy zdrowotne. Do tego Linden jest artystą, a przynajmniej za takiego się uważa. I jak powiedziałem, od czasu do czasu ktoś kupuje jego obrazy, głównie dla rozrywki. Są niezwykle mroczne i depresyjne, ale potrafią wzbudzić dyskusję na cocktail party, a to już coś. Jeśli chciałabyś je zobaczyć, zabiorę cię do galerii Richarda Hansona przy Worth Avenue. Jest tam ich parę.

– Powiedziałeś, że ludzie tu wydają, a sam harujesz – wytknęłam. Roześmiał się.

– Lubię uważać się za innego niż wszyscy. – Popatrzył mi w oczy. – Mam nadzieję, że ty też.

– Nie znam cię na tyle dobrze, żeby tak powiedzieć – odparłam ostrożnie.

Zjawił się kelner z drinkami, więc zamilkliśmy.

– Cóż, w takim razie wypijmy za to, żebyś lepiej mnie poznała. – Wzniósł toast.

Stuknęliśmy się lekko kieliszkami. Wypił, spoglądając na mnie znad krawędzi kieliszka tymi skrzącymi się, bystrymi oczami.

Co ty wyprawiasz, Willow De Beers? – zapytywałam samą siebie. Skończ z tym i skup się na swoim celu, zanim...

Zanim... no właśnie, co?

Nietrudno było zgadnąć. Odpowiedź kryła się w każdym uśmiechu Thatchera i mościła sobie wygodne gniazdko w moim sercu. Uważaj, żebyś nie wpadła w coś, z czego już nie będziesz mogła albo chciała się wycofać – tak brzmiała.

Rozdział ósmy

DEKONSPIRACJA

Zamówiliśmy lekką kolację, do której Thatcher wybrał białe wino. Lista win nic mi nie mówiła, choć udawałam, że przynajmniej niektóre znam. Moja matka adopcyjna i tata rzadko pili wino w domu. M.A. lubiła szampana, ale kupowała go tylko na przyjęcia.

Słabe wyrobienie towarzyskie zaraz mnie zdradzi, pomyślałam w popłochu. Wkrótce Thatcher się zorientuje, że jestem młodsza, niż powiedziałam, i jeszcze dużo mi brakuje do magisterki.

– Pogadajmy trochę o tobie – rzekł. – Skąd jesteś?

Miałam już dosyć piętzenia kolejnych kłamstw, i postanowiłam, że ujawnię tyle prawdy, ile się da.

– Pochodzę z małego Spring City, leżącego niedaleko Columbi w Karolinie Południowej.

– Nie widzę na twoim palcu pierścionka zaręczynowego. Nie ma nikogo ważnego, kto będzie czekał na twój powrót?

– Już nie – odpowiedziałam krótko.

– Aha! Świeżo po zerwaniu, tak?

– Czyżbyś także pracował dla... jak to nazywacie? „Shiny”?

Zaczął się śmiać.

– Skądże. Miałaś więcej poważnych związków?

– Nie.

– Za dużo roboty na studiach?

– Coś w tym stylu – odparłam wymijająco. – Nie poszłam na studia, żeby szukać tam męża, i nie boję się samotności – stwierdziłam buntowniczo.

– Nie bądź taka harda – powiedział ze śmiechem.

– Na pewno nie!

– Niezależna kobieta. Pięknie. Dużo podróżujesz?

– Raczej niewiele. Moja mama nie lubiła się nigdzie ruszać, zwłaszcza z dzieckiem, zaś mój tata był pracoholikiem.

– Mama nie lubiła?

– Zginęła w wypadku samochodowym niecałe trzy lata temu.

– Och, tak mi przykro. A co robi twój ojciec?

– Jest lekarzem.

Thatcher uśmiechnął się.

– Co takiego? – zapytałam z drżeniem.

– Założę się, że chodzi o psychiatrię. Mam rację?

– Na jakiej podstawie tak sądzisz?

– Interesuje cię ludzka psychika. To normalne, że dzieci chcą robić w życiu to samo, co ich rodzice.

– Czy twój ojciec jest adwokatem? – odparowałam.

– Skądże. Mój dziadek założył sieć handlową Eaton w Nowej Anglii. Mój ojciec został dyrektorem w dniu, kiedy ukończył Uniwersytet Pensylwanii z dyplomem magistra sztuk pięknych, bez żadnego biznesowego wykształcenia. W pierwszym posunięciu zatrudnił kogoś, kto się znał na biznesie, jako swojego zastępcę i wrócił na swoje pole golfowe.

– Nie ma akcentu z Nowej Anglii – zauważyłam.

– Cały czas uczęszczał do prywatnych szkół w Stanach i w Europie. Niedługo po tym, gdy poślubił moją mamę, zmarł dziadek. Babcia odeszła rok wcześniej i w ten sposób ojciec został jedynym dziedzicem fortuny. Wyprzedził większość udziałów w sklepach, po czym przeprowadził się z moją mamą do Palm Beach. Zimy spędzają na Lazurowym Wybrzeżu. Ja i siostra chodziliśmy do prywatnych szkół z internatami. Dorastałam, myśląc, że rodzice to ludzie, których widuje się w święta i w wakacje.

– A ja miałam nianię, i ona zajmowała się mną aż do liceum – wyznałam. Zachęciły mnie jego szczere opowieści. – Matka prawie się mną nie zajmowała.

– Widzisz, a jednak mamy ze sobą dużo wspólnego – stwierdził.

– Często zastanawiałam się, czy ja też będę takim rodzicem – przyznałam i spojrzałam na niego. – Ty chyba też, prawda? I dlatego nie wiążesz się z nikim.

– Oho. Zdaje się, że jestem analizowany. Cudownie. Skąd pewność, że nie jestem z nikim związany?

– Można się tego domyślić ze słów twoich rodziców, a poza tym nie zapraszałybyś mnie na kolację w sercu swojego rodzinnego miasta, gdzie wszyscy ciebie znają. Mam rację?

Tym razem jego firmowy uśmiech bardziej przypominał maskę, mającą ukryć prawdziwe uczucia.

– Czy nie sądzisz, że kobiety i mężczyźni stają się bardziej interesujący, jeśli zostawią sobie jakieś tajemnice, pytania bez odpowiedzi, wiszące pomiędzy nimi? Jeśli zacniemy analizować i odpytywać siebie nawzajem zbyt dogłębnie, możemy dotknąć starych blizn, rozdrapać rany. Sekrety są takie romantyczne – dodał i przewrotny błysk w jego oku powrócił.

– Okay – powiedziałam, gdyż zwęszyłam okazję. – Koniec sensacji. Koniec zbyt osobistych pytań. Kropka.

– Proponuję, żebyśmy wypili za to. – Rozlał pozostałe wino do naszych kieliszków.

Był zbyt zgodny, zbyt gładki. Tak myślałam, ale przystałam na to, gdyż – jak to się mówi – darowanemu koniowi nie zagłada się w zęby.

Wypiliśmy i młodzieńczy urok w spojrzeniu Thatchera zastąpiło czysto męskie zainteresowanie moją osobą. Ten wzrok wywołał we mnie stłumione dotąd uczucia. Moja zmęczona psychika łatwo poddawała się czarowi wina. Zaczęłam się nawet bać tych ciepłych uczuć, jakich doznawałam, patrząc na tego nazbyt bystrego przystojniaka. Fala radosnego podniecenia zagarnęła moje serce, zalała piersi i spłynęła w dół.

Naprawdę uważałam, że kocham Allana, lecz być może wmawiałam tylko sobie, że tak powinno być. Był doskonały, solidny i spolegliwy – słowem ideał mężczyzny. A jednak po paru godzinach z Thatcherem poczułam coś, czego nigdy dotąd nie czułam. Zupełnie jakby jego uśmiechy, spojrzenia, dotyk palców muskających moją dłoń obudziły we mnie uśpioną kobietę pierwotną. Miałam ochotę potrząsnąć włosami jak grzywą. Przepalić go wzrokiem pełnym pożądania. Miałam ochotę płonąć i smakować seks. Czy on to widzi? Czułam, że się czerwienię.

– Dobrze się czujesz? – zapytał, kiedy nagle spuściłam wzrok.

– Wiesz... rzadko piję więcej alkoholu... nawet wina do kolacji – bąknęłam.

– Dobrze, oszczędzę na rachunku – pochwalił.

– Chyba powinnam wrócić do hotelu – zasugerowałam.

– Nie żartuj! – wykrzyknął. – Przecież obiecałem pokazać ci nocne życie Palm Beach. Zaraz przeniesiemy się do Leopard Lounge w Chesterfield Hotel. Do tej pory atmosfera powinna się tam

rozkręcić. I nie martw się o picie. Wystarczy, że wlejesz piwo imbirowe do szampanki, jak czyni wiele tutejszych kobiet, i nikt nie zauważy różnicy.

Dał znak kelnerowi i zanim zdążyłam zaprotestować, już szliśmy do Chesterfield przez Cocoanut Row. Wydawało się, że każdy w tym mieście zna Thatchera Eatona. Co chwila ktoś zagadywał i ścisnął mi dłoń, a młoda kobieta próbowała objąć go i pocałować w policzek. Zewsząd buchała muzyka i wszyscy usiłowali ją przekrzyczeć.

Kiedy doszliśmy do celu, stało się jasne, skąd lokal wziął swoją nazwę. Wszystko było tu w cętki – obrusy, kotary, dywany, tapety, krzesła i nawet stroje kelnerów. Plafon na suficie przedstawiał satyrów, napastujących bujne nagie kobiety. Przy barze mignęła mi słynna piosenkarka, a potem zobaczyłam aktora, który zagrał w kasowym filmie. Forsa, sława, blichtr i podekscytowanie przenikały falami tę przestrzeń, a Thatcher czuł się w tej atmosferze jak ryba w wodzie.

Pokazał mi saudyjskiego milionera, dwie wzięte autorki bestsellerów oraz angielskiego lorda. Ludzie wokół mnie zdawali się konkurować na designerskie stroje i biżuterię. Kiedy powiedziałam o tym Thatcherowi, odciągnął mnie na bok, żebyśmy mogli swobodnie porozmawiać.

– Nie chciałbym pisać tej pracy za ciebie, ale jeśli spojrzysz na to wszystko obiektywnym okiem, zobaczysz, że ci ludzie, pomimo ich statusu finansowego, czują się niepewnie.

– Czemu tak sądzisz?

Wzruszył ramionami.

– Starsze kobiety, nawet bardzo bogate, żyją w bezustannym zagrożeniu ze strony tych młodszych i bardziej atrakcyjnych, które przyciągają wzrok ich mężów. Każdy dba o swoją pozycję w towarzyskiej hierarchii i liczy się nawet, który stolik dostanie w restauracji albo na którym miejscu siedzi w czasie pokazów czy imprez. Zawód w takich sprawach może prowadzić do załamania i depresji. Naprawdę miałas świetny pomysł, żeby tu robić swoje badania. Ale teraz baw się dobrze – zakończył i pociągnął mnie na parkiet.

Czy grzeszyłam, bawiąc się w lokalu w czasie żałoby? Kiedy poszliśmy do baru na kolejnego drinka, zaszalałam i zażądałam wódki z tonikiem. Thatcher lekko unióśł brwi, ale złożył zamówienie. Po chwili znów tańczyliśmy. Miałam wrażenie, jakbym była na jakimś wielkim balu, nawet noworocznym.

– Czy co wieczór jest tu taka zabawa? – zawołałam, przekrzykując muzykę.

– W sezonie tak – odkrzyknął. – Ale nie bywam tu co wieczór. Słyszałaś, co mówili moi rodzice. Dla nich jestem maniakem pracy i uważają, że nie umiem się bawić.

– Nie mam takiego wrażenia.

Przyciągnął mnie mocniej do siebie.

– Im wystarczy dziewięćdziesiąt procent zabawy i dziesięć procent pracy. Ludzie tutaj ciągle powtarzają, że życie jest za krótkie, żeby je marnować na poważne sprawy. W ten sposób usprawiedliwiają hedonizm i balowanie. Słyszysz to w muzyce i widzisz w ich twarzach – życie jest za krótkie!

– I tak jest?

– Im częściej to powtarzają, tym krótsze się staje – rzekł sentencjonalnie i oboje się roześmialiśmy.

Na chwilę zatraciłam się w tańcu i muzyce, a potem wypiliśmy jeszcze jednego drinka i opadłam na krzesło. Oczy mi się zamykały.

– Chyba odwiozę cię do hotelu. – Thatcher przyglądał mi się z troską. – Znam ten objaw. Nieraz go widziałem.

– Jaki objaw?

– Zaufaj mi. – Wziął mnie za rękę i pomógł wstać. Zapłacił barmanowi i poprowadził mnie do wyjścia.

Kiedy znaleźliśmy się na zewnątrz, miałam wrażenie, jakbym wyskoczyła z łona szaleństwa. Muzyka

ciągle dzwoniła mi w uszach, a świat zdawał się stawać na głowie. Thatcher pomógł mi wsiąść do rollsa i ruszyliśmy. Ciepłe nocne powietrze rozwiewało mi włosy, pieszcząc twarz.

– I jak ci się podoba nocne życie Palm Beach? – zagadnął.

– Teraz już rozumiem, dlaczego wszyscy chcą być bogaci i dalecy od rzeczywistości.

– Naprawdę? Po krótkiej wizycie już doszłaś do takiego wniosku?

– Och, nie wiem. Jestem zbyt zmęczona, by myśleć.

Roześmiał się. Kiedy zajechaliśmy pod hotel, uparł się, że odprowadzi mnie do pokoju.

– Nie chcę, żeby jakiś geriatryczny Don Juan znów cię emablował, zwłaszcza teraz, kiedy jesteś bezbronna.

– Nie jestem bezbronna – mruknęłam i potknęłam się o własne nogi.

Ujął mnie pod łokieć i przeprowadził przez hol do windy. Po chwili staliśmy pod moimi drzwiami.

– Pozwól, że otworzę. – Wyjął mi z ręki klucz.

Kiedy drzwi stanęły otworem, spojrzeliśmy w głąb pokoju, a potem na siebie. Czy Thatcher będzie chciał wejść? Czy mam mu pozwolić? Znów zaczęła się tak mi znana, wewnętrzna dysputa. Część mnie wyczekiwała z nadzieją, a druga rugała mnie za tę nadzieję, przypominając, po co tu przyjechałam.

– Połóż się lepiej – powiedział, kończąc moje rozterki. – Ja też muszę zaraz iść spać, bo rano mam zeznanie. To potrwa najwyżej półtorej godziny, a potem przyjadę po ciebie i zabiorę cię na brunch do moich rodziców, dobrze?

– Dobrze. Dzięki za wszystko. Świetnie się bawiłam.

– Cieszę się. Świetnie się można z tobą bawić.

Wywołał tym zdaniem uśmiech na mojej twarzy. Za chwilę dołożył do tego leciutki, lecz czuły pocałunek ma moich wargach.

– Dobranoc – szepnął.

Zwlekłam z wejściem, patrząc, jak idzie do windy. Po chwili zamknęłam za sobą drzwi.

Zasnęłam, zaledwie przyłożyłam głowę do poduszki.

Zaspałam.

Obudził mnie Thatcher. Dzwonił z samochodu, aby zawiadomić mnie, że jest już wolny i jedzie do hotelu.

– Co? – krzyknęłam, patrząc na zegarek. – O nie!

– Obudziłem cię?

– Tak, ale zaraz będę gotowa – obiecałam.

Błyskawicznie wzięłam prysznic i ubrałam się, wściekła na siebie. Chciałam jak najszybciej znaleźć się w Joya del Mar, gdyż skrycie liczyłam, że uda mi się znów zobaczyć mamę. Uczesałam włosy i jak ona związałam je w koński ogon. Kiedy spojrzałam na siebie w lustrze, pomyślałam, że ktoś może dostrzec nasze podobieństwo. Czyżbym i tego sobie życzyła?

Włożyłam cienki niebieski trykot bez rękawów i długą spódnicę. Do tego zarzuciłam na ramiona sweterek w tym samym kolorze. Na nogach miałam sandaalki, które na szczęście zabrałam. Pomyślałam z nadzieją, że jestem wystarczająco elegancka, ale nie było czasu, aby dłużej zastanawiać się nad strojem, gdyż Thatcher zapukał do drzwi.

– Zdumiewające – powitał mnie.

Miał na sobie granatowy blezer, białe spodnie i czarne pantofle.

– Co?

– Spodziewałem się, że będziesz się miotać, ciągle niegotowa.

– Przykro mi, że cię rozczarowałam.

– Wierz mi, Isabel, ani razu mnie jeszcze nie rozczarowałaś.

Wpatrywał się we mnie, jakby śledził każdą moją reakcję, usiłując odczytać jej znaczenie – wyraz oczu, ruch warg, ruchy ramion.

– Możemy już iść? – spytałam, przerywając krępującą ciszę.

Kiwnął głową. Wyszłam z pokoju i zamknęłam drzwi. Sposób, w jaki Thatcher przyglądał mi się, kiedy myślał, że tego nie widzę, przyspieszał mi puls. Szedł obok mnie w milczeniu i nie odezwał się, nawet kiedy wsiedliśmy do samochodu i odjechaliśmy.

– Czy coś się stało? – spytałam wreszcie. – Może w czymś ci przeszkodziłam?

– Nie, skąd, nic się nie stało. Moi rodzice uwielbiają robić wrażenie na nieznanym i poznawać nowych ludzi. To dodaje smaku ich życiu. Różni ludzie są jak różne smaki lodów czy różne przepisy kulinarne. Eksperymentowanie to pasja moich staruszków. Nawet tutaj pary nudzą się ze sobą po pewnym czasie, rozumiesz?

– Muszę powiedzieć, że zadziwiasz mnie, Thatcher. Jak możesz żyć i pracować w świecie, który tak mało szanujesz?

– Czy to naprawdę takie niezwykle? Gdzieś czytałem, że osiemdziesiąt procent pracujących ludzi nienawidzi swojej pracy i nudzi ich własne życie towarzyskie. – Uśmiechnął się. – Nie musisz być bogata, żeby być nieszczęśliwa.

Roześmiałam się.

– Ładnie to ująłeś.

– Przynajmniej jestem z tobą szczery, przyznasz, Isabel? – W jego głosie pojawił się chłodny, twardszy ton.

– Tak. Doceniam to.

– Cieszę się. I oczekuję wzajemności.

– Słucham?

Dłuższą chwilę prowadził w milczeniu, zanim zjechał z drogi na parking, skąd roztaczał się widok na ocean.

– Znam dużo ludzi z The Breakers, zarówno pracujących tam, jak i gości – zaczął. – Możesz się domyślać, że często bywam tam na służbowych lunchach. Poza tym parę razy prowadziłem sprawy dla hotelu oraz paru jego wpływowych gości.

– Do czego zmierzasz, Thatcher?

– Znam też ludzi z recepcji. Jedna z kobiet, domyślałam się, z jakich powodów, wypytywała mnie dzisiaj rano o ciebie – wiesz, jak cię poznałem i tak dalej.

– Aha...

– Nie mówiła o tobie jako o Isabel Amou, tylko używała imienia i nazwiska z twojej karty kredytowej.

– Och. – Miałam uczucie, że ołów wypełnił mi żołądek. Odwróciłam głowę i wpatrzyłam się w łagodnie falujący ocean. Dlaczego o tym nie pomyślałam?

– Kim jesteś? Przybyłaś tu pod przykrywką? – indagował. – Wybacz te pytania, ale przecież zapraszam cię do swojego domu, masz okazję poznać lepiej moich rodziców. Dlatego muszę wiedzieć. Nie sądzę, że robisz jakąś szpiegowską robotę czy przysłało cię plotkarskie pismo, ale... w każdym razie rozumiesz moje zaskoczenie i zaciekawienie, prawda?

Kiwnęłam głową.

– A zatem?

Za wcześnie, pomyślałam. Za wcześnie muszę ujawnić prawdę, którą pierwsza powinna poznać moja prawdziwa matka.

– Miałaś rację wczoraj, kiedy podejrzewałaś, że jestem córką psychiatry – zaczęłam. – Nie wiesz

natomiast, że należał do najślynniejszych specjalistów w Stanach.

– Należał? Czy on też odszedł?

Miałam ochotę odgryźć sobie język. Prawda, tyle czasu ukrywana, sama pchała mi się na usta. Och, czemu nie nauczyłam się od swojej matki adopcyjnej sztuki mistrzowskiego kłamania oraz innych technik ukrywania prawdy?

– Tak. Obawiałam się jednak – i doktor Anderson zgodził się ze mną – że jeśli przedstawię się jako Willow De Beers, ludzie nie zechcą ze mną szczerze rozmawiać.

Skrzywił się.

– Naciągana argumentacja, Willow.

– Wcale nie – zaprotestowałam. – Zastanawiałeś się, czemu miałam tak mało poważniejszych związków z mężczyznami w swoim życiu. Otóż właśnie dlatego, że większość chłopców, z którymi chodziłam albo z którymi się przyjaźniłam, wiedziała, kim jest mój ojciec, i obawiała się, że będę ich bezustannie analizować, także krytycznie. Wszyscy bali się mojego ojca. Na palcach jednej ręki mogłam policzyć tych, którzy ośmielili się przyjść do mnie do domu i poznać go – ale kiedy ich mu przedstawiałam, robili się strasznie spięci i nerwowi, jakby wstydzili się swoich myśli.

Thatcher słuchał mnie bardzo uważnie.

– Podobnie jest na studiach – ciągnęłam. – I dotyczy to nie tylko studentów, ale i niektórych wykładowców, w tym zwłaszcza pewnego profesora socjologii i profesora psychologii. To jest tak, jakby córka Marii Curie poszła na studia medyczne. Na jednych z zajęć lekturą obowiązkową jest książka taty.

Nadal miał sceptyczną minę. Nie było wyjścia, musiałam dorzucić do tej opowieści jeszcze więcej prawdy.

– Mój tata założył i prowadził słynną klinikę Willows – wyjaśniłam.

Oczy Thatchera rozszerzyły się na ułamek sekundy.

– Aha.

– Słyszałeś o niej, prawda?

– Tak, oczywiście.

– Niektórzy jego pacjenci byli z Palm Beach – dodałam.

Oczy mu rozbłyły.

– Grace Montgomery!

– Zgadza się. Grace Montgomery. Gdyby Linden wiedział, kim naprawdę jestem...

– Dokonałby spontanicznego zapłonu i spłonąłby na twoich oczach. Zatem Grace miała być twoją główną rozmówczynią?

– Tak. – Tu przynajmniej nie musiałam kłamać.

– Rozumiem. Cóż, to zmienia postać rzeczy.

– Nie chciałam cię okłamywać. Źle się z tym czułam.

Z wolna skinął głową.

– Cóż, Palm Beach nie jest stolicą prawdy i szczerości – rzekł. – Ludzie okłamują tutaj siebie tak samo często jak innych.

– Mylisz się, Thatcher, jeśli sądzisz, że gdzie indziej jest inaczej.

Odwrócił się i spojrzał na mnie, już bez nieufności i pretensji.

– Może i tak. – Zamyślił się na moment. – Okay, wszystko w porządku. – Uruchomił silnik i wyjechał na jezdnię. – Jest tylko jeden problem – kiedy Linden Montgomery dowie się, kim naprawdę jesteś, mocno się zaburzy – ostrzegł. – Już wczoraj zachowywał się paranooidalnie.

Zastanawiałam się, na ile ma rację.

Eatonowie zaprosili na swój brunch dwie inne pary – lorda i lady Thomasów, oboje po siedemdziesiątce, oraz George’a McClustera z małżonką, która przedstawiła mi się jako Dolly. Lord Thomas był sędzią brytyjskiego Sądu Najwyższego. George McCluster został mi przedstawiony jako jeden z najlepszych agentów nieruchomości w Palm Beach. Wyglądał na pięćdziesiątkę, ale wiek jego żony trudno było odgadnąć, gdyż zatarła go kompletnie chirurgia plastyczna. Ku mojemu zdumieniu chwaliła się tym.

– Skóra na twarzy mojej żony była tyle razy naciągana, że nie może do końca domknąć powiek, nawet we śnie. Nieprawdaż, Dolly? – zwrócił się do niej.

– Och, nie jest aż tak źle – odparła pogodnie. – Poza tym warto znosić pewne niedogodności, bo rezultat jest wspaniały. Nie powinno się tolerować zmarszczek – dodała z dezaprobatą.

– Nie każdego stać na takie zabiegi – zauważył Thatcher i mrugnął do mnie.

– Nonsens – powiedział George. – To kwestia priorytetów. Można oszczędzić pieniądze, mniej wydając na przyjemności. Powinien istnieć fundusz operacji plastycznych, zasilany składkami, na podobieństwo ubezpieczeniowego. Pieniądze byłyby ściągane automatycznie z zarobków.

– Bardzo nośny temat wyborczy dla prezydenckiego kandydata – podchwycił Asher Eaton. – Głosujcie na mnie, a nie na zmarszczki!

Wszyscy się roześmiali.

Siedzieliśmy na tylnym tarasie, z widokiem na basen. Kucharz Eatonów, Mario, piekł na grillu homara. Na stole stała już duża salaterka z sałatką Cezar oraz tosty i pieczywo. Obok, na osobnym stoliku zgromadzono wybór deserów. Bunny zachwalała zwłaszcza trufle w sosie *demi-glace* i coś, co określiła jako czekoladowe ciasto z malinami zwane Giandika – „takie, jakie serwowano na ostatnim balu w Ritzu-Carltonie”, dodała.

Piliśmy mimosas, czyli sok pomarańczowy z szampanem. Kiedy już zostałam przedstawiona, chętnie dzielili się ze mną swoimi opiniami na temat bogactwa i moralności.

– Ja na przykład sądzę, że im więcej ktoś ma pieniędzy, tym większa szansa, że będzie dobrym człowiekiem – stwierdziła Dolly McCluster. – Zobacz, ile dajemy na cele dobroczynne! Czy zbieralibyśmy takie sumy, gdybyśmy byli biedni?

– Niestety, jest też wielu majątnych ludzi, którzy skąpią nawet centa – odpowiedziała cicho lady Thomas. Mówiła ledwie słyszalnie i trzeba było nastawiać uszu, podczas gdy Dolly McCluster wręcz ryczała.

– Majętność wyklucza predylekcję do przestępstw – odezwał się ojciec Thatchera. Zerknął na syna, ale ten nie potwierdził ani nie zaprzeczył. – Chodzi mi o to, że ludzie nie muszą kraść, jeśli mają pieniądze, prawda?

– Nie byłbym taki pewien, Asher – odpowiedział mu lord Thomas. – Oczywiście bogaci nie kradną po to, żeby jeść czy mieć drogie samochody, ale znałem wielu przedstawicieli elit finansowych i niektórzy z nich stawali przede mną na sali sądowej, oskarżeni o oszustwa, wyłudzenia oraz inne przestępstwa, popełniane być może po to, żeby mieć jeszcze większe majątki i wpływy.

– No właśnie, czy wrogie przejęcie konkurencyjnej firmy nie jest rodzajem kradzieży? – zapytała lady Thomas i popatrzyli na nią, choć nie wszyscy, jakby wypowiedziała bluźnierstwo.

– Nie, moim zdaniem to tylko dobry interes – stwierdził George McCluster. – A co ty o tym myślisz, Thatcher?

– Myślę... że jestem głodny. – Rozładował tym sytuację, goście się roześmiali.

– Bardzo dyplomatyczna odpowiedź – powiedziałam, kiedy podano nam porcje. Dwie pokojówki – moim zdaniem to gruba przesada, nie było przecież dużego przyjęcia – dyżurowały przy stołach, obsługując nas.

– Nie chciałem ingerować w twój materiał badawczy – odparł z uśmiechem.

Rozmowa przy stole zeszała z najnowszych wiadomości ekonomicznych na najświeższe plotki z Palm Beach. Panie wdały się w żywą dyskusję na temat modowych trendów na ostatnim balu charytatywnym. Ponoć jedna przyszała w spodniemie z bluzką odsłaniającą pępek.

– Pępek nie jest zbyt dekoracyjny – stwierdziła Dolly.

– To zależy – zaprotestował Asher, ściągając na siebie spojrzenia kobiet. Widziałam na jego ustach uśmieszek Thatchera – albo raczej Thatcher odziedziczył go po ojcu. – Zależy, czy jest wklęsły, czy wypukły – sprecyzował.

Mężczyźni ryknęli śmiechem.

Przez cały czas czułam na sobie wzrok Thatchera, analizującego moje reakcje. Uśmieszek rozbawienia na stałe przyłgnął do jego twarzy. Ponieważ zdradziłam mu część prawdy, czuliśmy się teraz jak para konspiratorów.

Kiedy mieliśmy przystąpić do deserów, zjawił się lokaj Jennings.

– Telefon do pana, panie Eaton – powiedział do Thatchera.

– Tak?

Przeprosił nas i się oddalił. W tym momencie zebrani, jakby zabrakło im pretekstu do pomijania mnie, nagle zwrócili się ku mnie i zarzucili pytaniami o moją pracę, dom, rodzinę i oczywiście wrażenia z Palm Beach. Usiłowałam być dyplomatyczna, jak Thatcher. Zjawił się po chwili i oznajmił, że musi natychmiast jechać do sądu.

– Co takiego? – wykrzyknęła jego matka. – Teraz masz nas opuścić?

– To jest tydzień pracy, mam, gdybyś nie wiedziała. Zaszły niespodziewane okoliczności, więc muszę jechać do kancelarii. To nie potrwa długo.

– Nie macie przerwy na lunch?

– Tak, mam, ale zwykle jest krótka – odparł z uśmiechem.

– A co z tą biedną dziewczyną, którą zaprosiłeś? Czy musi być niewolnicą twojego rozkładu pracy?

– Niech zostanie z wami. Ja niedługo wrócę.

– Dobrze – powiedziała jego matka, po czym zwróciła się do mnie: – Gdyby długo nie wracał, nasz szofer odwiezie cię do hotelu. – Zgromiła wzrokiem syna. – Na zawsze pozostanie dla mnie tajemnicą, jak można wzgardzić świeżo upieczonym ciastem Giandika!

Thatcher roześmiał się, odciągnął mnie na bok i spytał po cichu, czy chcę zostać.

– Tak – powiedziałam i moje spojrzenie powędrowało ku domowi przy plaży.

– Wrócę jak najszybciej. Wybacz.

– Nic się nie stało. Dobrze się bawię – zapewniłam go.

– Tak myślałem. – Pocałował mnie szybko i wyszedł.

Zauważyłam, że matka Thatchera nas obserwuje. Kiedy napotkałam jej wzrok, uśmiechnęła się i podeszła do mnie.

– Może się przejdziemy – zaproponowała. – Lubię się przejść, kiedy tak się najem. Zresztą oni się teraz spierają, jak odnowić jachtklub, i są strasznie nudni.

Ruszyliśmy alejką w stronę plaży.

– Thatcher jest tobą zafascynowany – zaczęła. – Czy wiesz, że jesteś pierwszą od dwóch lat młodą kobietą, którą przyprowadził do domu?

Pokręciłam głową.

– Nie wspominał ci o Mai Stone?

– Nie, a kto to jest?

– Może dobrze, że nie wspominał. Właściwie nie powinnam wymieniać jej nazwiska.

– Ale to już się stało.

– Zmyłby mi głowę, gdyby się dowiedział.

Skreśliłyśmy na ścieżkę równoległą do plaży. Bunny zamilkła, jakby chciała zdyscyplinować swoje gadatliwe usta.

– Och, pewnie ktoś by ci wreszcie powiedział – odezwała się. – Thatcher był już zaręczony z Mai, kiedy ona i jej rodzice zostali zaproszeni na tydzień na jacht greckiego miliardera. Jak się okazało, był też tam jego syn, który emablował dziewczynę. Plotkowano potem, że Grek kupił Mai dla syna. Niedługo po tym rejsie Stone'owie niespodziewanie kupili ziemię na południowym krańcu wyspy i zbudowali tam jedną z najbardziej okazałych rezydencji w okolicy.

– Czemu Mai się zgodziła?

– Bo teraz mieszka jak księżniczka w pałacu na własnej wyspie.

– Wobec tego niezbyt kochała Thatchera, skoro dała się tak prehandlować – zauważyłam zgryźliwie.

– Dokładnie to samo powtarzałam Thatcherowi, ale nie chciał tego przyjąć do wiadomości. Przykro mi było patrzeć, jak cierpiał. Potem rzucił się w wir pracy i pewnie dlatego został pracoholikiem, mimo młodego wieku. Na Boga, przecież nie potrzebuje zarabiać. Jak już powiedziałam – kontynuowała po chwili – jesteś pierwszą od lat młodą kobietą, którą przyprowadził do domu. Co nie znaczy, że nie chodzi na randki. Oczywiście poznaje różne kobiety, lecz o ile wiem, kończy się na jednym spotkaniu.

– Przykro mi – powiedziałam. – Jednak, pani Eaton...

– Bunny – upomniała mnie.

– Bunny, nie przyjechałam tu w poszukiwaniu romansów – przypomniałam.

– Ależ kochanie, najlepsze romanse są te, których się nie spodziewasz. Kiedy poznałam ojca Thatchera, pomyślałam, że jest najbardziej zepsutym młodym człowiekiem w świecie. Do głowy mi nie przyszło, że mogłabym być jego żoną, ale okazał się uparty i obstawiał mnie na tysiące sposobów. Aż pewnego dnia obudziłam się i stwierdziłam, że jestem zakochana. Co za zaskoczenie! I nie żałuję.

– Tak myślałam.

– Jak długo zamierzasz gościć w Palm Beach?

– Może jeszcze tydzień.

– Och, The Breakers jest bardzo drogi. Gdybyś zamierzała zostać dłużej, musiałybyś się wykosztować. Mam myśl – dodała zbyt pośpiesznie, żeby myśl mogła być spontaniczna. – A może zatrzymasz się u nas? Mamy tyle pokoi w domu i na razie nie spodziewamy się żadnych gości.

– Nie wiem, czy...

– Pomyśl, jak będzie fajnie! Każdego dnia postaramy się zapraszać różnych ciekawych ludzi, których mogłabyś badać i odpytywać do woli. To oszczędziłoby ci jeżdżenia po mieście. Nie musiałybyś nawet wyjaśniać, o co ci chodzi. Wystarczy pozwolić im mówić.

– Ale pani prawie mnie nie zna, pani...

– Bunny!

– Bunny. Nie rozumiem, czemu...

– Och, już cię znam. Widzę cię, rozmawiam z tobą i wiem, z jaką osobą mam do czynienia. Asher też byłby zachwycony.

W zakłopotaniu pokręciłam głową.

– Mogłabyś wprowadzić się już jutro. Po co tracić pieniądze?

– Naprawdę nie zamierzałam zostać tutaj na dłużej. Wzięłam niewiele rzeczy i...

– To nie problem, kupisz sobie. Czego potrzebujesz?

Nie wiedziałam, co odpowiedzieć. Była taka zdeterminowana. Czyżby chciała mnie przekupić, na podobieństwo owego Greka?

– W takim razie mamy ustalone – rozstrzygnęła, zanim zdążyłam coś powiedzieć.

Postanowiłam odmówić i uczynić to stanowczo. Alejka skręciła w stronę plaży. Z wysokiej wydmowej trawy wystawała sztaluga, ale w pobliżu nikogo nie było widać.

– Co to jest? – zapytałam Bunny.

– Och, pewnie kolejny obraz Lindena.

– Ale gdzie jest Linden?

– Kto go tam wie? Może pełza po plaży, szukając muszli. Nie zwracaj na niego uwagi. Chodź, wracajmy już.

– Dobrze, zaraz przyjdę – powiedziałam, spoglądając na sztalugę.

– Tylko się pospiesz – poprosiła Bunny i ruszyła w stronę domu.

Podeszłam do sztalugi, żeby przyjrzeć się obrazowi.

Był to właściwie szkic do obrazu.

Przedstawiał mężczyznę, stojącego w drzwiach domu przy plaży. Patrzył na młodą dziewczynę, która przypominała mnie. Za nią w oceanie tonęła kobieta.

Poczułam lodowate ukłucie w sercu.

– Hej! – usłyszałam.

Linden schodził z wydmy, wznoszącej się przede mną. Odwróciłam się i z sercem telepiącym się jak przebita opona pobiegłam do alejki. Zatrzymałam się dopiero na tarasie, gdzie towarzystwo raczyło się deserami. Popatrzyli na mnie zaskoczeni.

– Wszystko w porządku, kochanie? – zapytała Bunny.

– Ja... muszę pilnie do łazienki – wydyszałam i wbiegłam do środka domu, ścigana zdziwionymi spojrzeniami.

W łazience wpatrzyłam się w swoją twarz w lustrze.

– Wracaj do domu, Willow De Beers – powiedziałam do niej. – Chcesz przywrócić coś, co nigdy nie istniało i pewnie nie zaistnieje.

– Nie mogę – odpowiedziało oblicze. – Muszę chociaż spróbować.

– Dlaczego?

No właśnie, dlaczego? – pomyślałam.

Pierwsze słowo prawie wszystkich dzieci brzmi „mama”.

Miałam dziewiętnaście lat i musiałam je jeszcze raz wypowiedzieć.

Oto dlaczego.

Rozdział dziewiąty

GORĄCA NOC

– Nie wiem, czy powinnam – powiedziałam, kiedy wrócił Thatcher i Bunny zerwała się, żeby oznajmić mu nowinę.

– Oczywiście, że powinnaś – ucięła, jakby wiedziała lepiej od mnie.

Lordostwo Thomas i McClusterowie już wyszli, a ojciec Thatcherera poszedł do swojego gabinetu, aby umówić się telefonicznie na jutrzejszego przedpołudniowego golfa. Bunny postanowiła oprowadzić mnie po domu, w którym za moment miałam zamieszkać.

– Popatrz, jakie wielkie są te wszystkie pokoje! – wykrzyknęła. – Do tego sypialnie gości znajdują się daleko od naszych. Nie będziemy sobie przeszkadzać i zachowasz pełną prywatność.

Nie przesadzała ani trochę. Rozległy budynek rozrastał się we wszystkie strony, a pokoje były wielkości salonów. Sypialnię, którą przeznaczyła dla mnie, projektował podobno sam Addison Mizner.

– Każdy dom, który zaprojektował, musi mieć tę jego pieczęć, styl, czy to z zewnątrz, czy od wewnątrz – wyjaśniła Bunny.

Pokój był większy niż całe moje mieszkanie, z aneksem rekreacyjnym, gdzie znajdował się panoramiczny telewizor, wieża stereo i stało małe biurczko. Nie mogłam uwierzyć, że patrzę na zwykły pokój gościnny. Kolory były stonowane, ciepłe – łososiowy, beż oraz jasnooliwkowy.

Bunny pokazała mi piękną wazę, pokrytą turkusową glazurą.

– To jego autorski kolor, zwany Mizner Blue. Jak odcisk palca mistrza – powiedziała z dumą i dodała szeptem: – Takie rzeczy zwiększają wartość domu. Kiedyś go kupimy. Mamy opcję kupna w umowie i wynajmie.

Skinęłam głową i rozglądałam się dalej. Wysokie do sufitu okna miały drapowane zasłony z łososiowego jedwabiu, a przeszklone drzwi wychodziły na balkon z widokiem na ocean.

W pomieszczeniu dominowało królewskich rozmiarów łóżko z imponującym, łukowym, rzeźbionym wezłowiec. Bunny poinformowała mnie, że meble są w stylu hiszpańskim, ukochanym przez Miznera. Na parkiecie leżał piękny dywan, a duży żyrandol kazał wspomnieć epokę, kiedy nie myślano jeszcze o elektryczności i używano świec.

Widok na plażę urzekł i co ważne dla mnie, widać było również dom Grace i Lindena. Wysłam na balkon i spojrzałam przed siebie. Bunny Eaton zorientowała się, na co patrzę.

– To była kiedyś sypialnia Grace Montgomery – oznajmiła.

– Tak? – Obróciłam się ku niej.

– Ta biedna młoda kobieta została prawdopodobnie uwiedziona w tym pokoju – wyjaśniła dramatycznym tonem i podeszła do łóżka. Wpatrywała się w nie tak, jakby cała scena wyświetliła się przed jej oczami. – Tutaj leżała, młoda, niewinna i ufna. Kirby Scott był bardzo przystojnym mężczyzną i do tego czarującym kobieciarzem. Wiesz, taki typ, który wsunie ci rękę za dekolt, zanim spostrzeżesz, że jest obok ciebie. Jak mogła mu się oprzeć? Musiała po tym mieć ogromne poczucie winy, jakby ukradła

kochanka matce. Dlatego tak długo trzymała to w sekrecie. Niczego tu nie zmieniłam, serio. Nadal jest ta sama pościel, co wtedy – dodała Bunny.

Z podekscytowania przebijającego z jej wzroku i głosu wynikało, że w ten sposób pragnęła zachować sensacyjny, romansowy element, jak scenę z ulubionego telewizyjnego serialu.

We mnie ta scena wywoływała dreszcze. Psychiczne problemy mamy mogły mieć swój początek w tym pokoju.

– Jesteś pewna, że wszystko wydarzyło się tutaj? – zapytałam, schodząc z balkonu.

– Jak najbardziej. Agent nieruchomości, który w tamtym czasie reprezentował Montgomerych, ręczył, że tak było. Tego typu historie zwykle wychodzą na jaw. Zwłaszcza w Palm Beach, gdzie każdy jest na nie łasy.

Mówiąc, patrzyła na mnie, i musiała zauważyć odrazę na mojej twarzy. Zupełnie jakbym sama została zgwałcona.

– Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza? – zapytała. – Oczywiście możesz bez problemu zająć inny pokój. Pomyślałam jednak, że ten jest najładniejszy i ma też najładniejszy widok. Do tego najlepszą łazienkę, bo nowoczesną – z bidetem, prysznicem, powiększającymi lustrami. Zresztą sama zobacz. – Otworzyła drzwi do łazienki. Tak zachwalała dom, jakby chciała mi go sprzedać.

Popatrzyłam na biało-beżowe kafelki, elegancką kabinę prysznicową i duże owalne lustro nad umywalką. Podłoga wyglądała jak turkusowa majolika. Pod prysznicem znajdowało się marmurowe siedzisko.

– I jak? Porównywalna z łazienką w The Breakers, prawda?

– Bunny, takie rzeczy nie są dla mnie najważniejsze. Jak już mówiłam, przyleciałam tutaj, żeby...

– Och, proszę. – Uniosła ręce i zamachała nimi, jakby rozganiała dym. – Przestań gadać jak stara maleńka i nudzić mnie tą swoją pracą.

Roześmiałam się.

– Chodźmy dalej – zaprosiła. – Teraz pokażę ci naszą sypialnię. Niedawno kazaliśmy ją przerobić temu nowemu dekoratorowi wewnątrz, za takimi szaleje całe Palm Beach. A pokój Thatchera jest tam. – Pokazała na prawo. – On ma osobne wyjście z domu. Zdarza się, że nie widzimy go przez cały tydzień. Przysięgłabym, że czasami po prostu nas unika.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Może to się wkrótce zmieni. Przynajmniej dopóki tu będziesz.

Kręcąc głową, poszłam dalej za Bunny, która paplała bez jednej przerwy, komentując każdą zasłonę, ozdobę czy mebel, które znalazły się na naszej drodze, nie zapominając dodać, ile kosztowały. Wreszcie zwiedzanie zakończyło się i wróciliśmy na taras od strony oceanu. W tym momencie pojawił się Thatcher.

– I co? – napadła go Bunny. – Warto tak było pędzić do tego ponurego sądu, rujnując rodzicom cudowny brunch?

– Tak, mam, było warto. Załatwiłem sprawę w niecałe pół godziny.

– Założę się, że mogłeś to załatwić przez telefon – skomentowała nadąsanym tonem.

Ze śmiechem pokręcił głową.

– Co robiłyście po moim wyjściu? – zapytał z lekką obawą.

– Plotkowałyśmy – odpowiedziała za mnie Bunny. – I dobrze się bawiłyśmy – zapewniła.

– O, nie wątpię.

– Chyba już wrócę do hotelu – powiedziałam. – Czekam na parę telefonów – skłamałam.

– Lepiej od razu się spakuj – poradziła Bunny. – Po co masz tam dzisiaj nocować?

– Zobaczymy – odparłam.

– Nie masz się co zastanawiać. Tutaj będzie ci o wiele wygodniej i szybciej załatwisz swoje sprawy – kusiała.

– Mamo, pozwól tej kobiecie zadecydować według własnego uznania – upomniął ją syn.

– Po prostu pokazuję jej ewidentne korzyści, Thatcher.

– Skoro są ewidentne, nie trzeba ich pokazywać – odparował.

Chwilę zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Czasami nie widzimy rzeczy oczywistych – rzekła, jakby z trudem wyciągnęła tę sentencję z pamięci.

Pokręcił głową.

– Proszę. – Bunny podsunęła mi różową wizytówkę ze złotym wzorkiem. – Tu jest nasz numer telefonu.

Zadzwoń, jeśli będziesz czegokolwiek potrzebować. Czegokolwiek!

– Przecież ona nie planuje sprowadzenia tu mebli, mamo.

– Nigdy nie wiadomo, co może być potrzebne – powiedziała z przekonaniem Bunny.

– Moja matka jest niemożliwa – skomentował Thatcher, kiedy odwróciliśmy się do wyjścia.

– Dzięki za zaproszenie, Bunny. I przekaż panu Eatonowi, że jemu też dziękuję.

– Lepiej zacznij mówić mu po imieniu. Bo jeśli nie, Asher poczuje się staro i będzie mu przykro – ostrzegła.

Obiecałam, że będę o tym pamiętać.

– Uważaj, bo Asher poczuje się staro – kpił Thatcher, kiedy szliśmy do samochodu. – Każdy tutaj kurczowo trzyma się iluzji, za wszelką cenę.

– Oczywiście poza tobą?

Uśmiechnął się i otworzył przede mną drzwi auta.

– Mam nieodparte wrażenie, że byłem głównym tematem waszych rozmów – rzekł, siadając za kierownicą.

– Matka martwi się o ciebie, Thatcher.

Sceptycznie uniósł brwi.

– Bunny? Martwi się? Ludzie z Palm Beach nigdy się nie martwią. Oni po prostu dowiadują się, ile będzie kosztować rozwiązanie problemu, i kupują je. Widziałaś, co jest napisane na tablicy ustawionej przy wjeździe na wyspę?

– Nie zwróciłam uwagi. Co?

– „Zostaw zmartwienia przy bramie. Uśmiechnij się albo zawróć i odjedź”. Czy wiesz, że w Palm Beach nie ma cmentarza ani szpitala? Śmierć i choroby nie są tu tolerowane.

Roześmialiśmy się.

Przyglądałam mu się spod oka. Jasne, że chciałam zamieszkać w ich domu. Co za wspaniała okazja! Mogłabym jeszcze raz zrobić podejście do swojej mamy, ale tym razem spokojnie, stopniowo i delikatnie. Nie chciałam jednak, by źle zrozumiano moje motywy. Na pewno nie przyjechałam tutaj, żeby romansować w stylu Palm Beach.

– Chcesz opowiedzieć mi coś o Mai Stone? – zagadnęłam niewinnie.

– Wiedziałem! Wiedziałem, że to wyciągnie! Mówiła ci, że rodzice Mai sprzedali ją arabskiemu miliarderowi jako żonę dla jego syna?

– A nie było tak?

– Oczywiście, że nie. Mai zawsze była nieprzewidywalna. Lubiłem to w niej i zarazem nie lubiłem.

– Nie rozumiem, jak można mieć tak dwoiste uczucia wobec kogoś, kogo się kocha?

Popatrzył na mnie i jego piękne oczy pociemniały, a mina stała się poważna.

– W każdym romansie tkwi jakaś sprzeczność, a tym bardziej w małżeństwie. Zawsze trzeba zrezygnować z jakichś marzeń. Musi być kompromis. Dla Mai ten kompromis oznaczał ograniczenie

spontaniczności i wolności. Nie znosiła podporządkowywania się zasadom i uwielbiała iść pod prąd – nie tylko zasad i nakazów, ale i oczekiwań swojego kochanka.

Roześmiał się.

– Szalała, jeżdżąc swoim nowym sportowym wozem bez tablic rejestracyjnych tak długo, jak tylko się dało. Trzy razy zatrzymywała ją policja z Palm Beach. Zbierała mandaty, a ja je płaciłem. Za czwartym razem patrol był już przygotowany i policjant przykręcił jej te tablice. Uwielbiałem to jej pierwotne, dzięki poczucie wolności, a jednocześnie irytowało mnie ono i męczyło.

– Ale podarowałaś jej pierścionełk zaręczynowy?

– Tak, lecz go nie nosiła, choć obiecała, że będzie. Czasami wkładała go, kiedy wychodziliśmy gdzieś razem, ale potem znów zdejmowała.

– Drażniła się z tobą.

– Chyba raczej z sobą. Może rzucała sobie wyzwanie. Niekiedy czułem się jak obserwator – przyglądałem się i stałem z boku. – Spojrzał na mnie. – Istne rozdwojenie jaźni. Nigdy nie wiedziałem, jaka Mai Stone objawi mi się danego wieczoru i czasami dowiadywałem się dopiero przy końcu. Ona z zaskoczeń zrobiła sobie sposób na życie.

– Musiałeś ją bardzo kochać, skoro znosiłeś to wszystko.

– Też tak sądzę, choć teraz się zastanawiam, czy po prostu nie miałem zapędów masochistycznych.

– Dlaczego miałbyś je mieć?

– Choćby żeby oczyścić swoją duszę z dawnych, romantycznych grzechów – odpowiedział bez chwili wahania, z szelmowskim błyskiem w oku.

– Jasne. To pierwsze twoje słowa, w które wierzę.

Thatcher westchnął i ruszył.

– Powinnaś przyjąć ofertę Bunny – powiedział po chwili. – Mogłabyś używać komputera, stoi w moim gabinecie. Ja rzadko z niego korzystam. Gabinet przylega do mojej sypialni, która znajduje się w skrzydle domu nazywanym przeze mnie Dalekim Wschodem. Zresztą wszystkie meble są tam w stylu orientalnym.

– Ten dom jest pełen niespodzianek – stwierdziłam.

– Nie rozumiem?

– Bunny powiedziała, że Grace Montgomery została uwiedziona w pokoju, gdzie mam zamieszkać.

– Tak mówi legenda.

– Nie wierzysz w nią?

– Sam nie wiem. – Pokręcił głową. – Takie fantazje szerzą się w Palm Beach niczym chwasty. Ludzie coś zasłyszą i podają dalej, jak w tej zabawie, popularnej przy ogniskach... Nazywa się ona...? Wiesz, ktoś zaczyna, szepcząc sąsiadowi w sekrecie na ucho jakieś zdanie, ten przekazuje je następnemu i tak dalej. Kiedy zdanie obiegnie cały krąg, dociera do końca w formie zupełnie przeinaczonej, pozmienianej po drodze.

– Nie znam takiej zabawy.

Uniósł brwi.

– Serio? Przecież każdy ją zna.

– Tata uczył mnie, jak mam trzymać się prawdy – powiedziałam cicho.

Zerknął na mnie i rzekł łagodnym głosem:

– Zanim stąd odjedziesz, naucz mnie, jak to się robi.

Przez resztę drogi do The Breakers byliśmy dziwnie małomówni.

Nie powinnam uważać, że moje życie i sytuacja są wyjątkowe, myślałam. Nawet bogaci ludzie sukcesu muszą dźwigać ciężar jakiegoś mrocznego sekretu czy sekretów.

Każdy ma swoje lęki. W każdym z nas są duchy; prawdy, które w nas buzują, domagając się ujścia, lecz

łuminy je w sobie z obawy, że wykipią i zatrują nas świadomością spraw, którym nie mamy ochoty stawić czoła i z którymi nie chcemy żyć.

Zaczęłam wreszcie rozumieć, dlaczego ci bogacze z Palm Beach wolą żyć iluzją. Thatcher miał rację, mówiąc, że swoich pieniędzy używają po to, żeby uciec przed samymi sobą. Moja mama i mój brat przyrodni Linden stracili majątek, więc nie mieli czym płacić za iluzje. Mogli tylko wpatrywać się w lustro i widzieć siebie takimi, jakimi są, razem ze swoją przeszłością, sekretami, wspomnieniami, cierpieniami i klęskami.

Może uda mi się to zmienić. Może jakimś cudem zdołam przywrócić im radość życia.

A robiąc to, zmienię także swoje życie.

– Jakie masz plany na wieczór? – zapytał Thatcher, kiedy zbliżaliśmy się do The Breakers.

– Nie mam planów.

– Mam zaproszenie na wernisaż... Ten artysta tworzy niesamowite dzieła, podmalowując ręcznie cyfrowe obrazy. Dałabyś się zaprosić? Zresztą wernisaż jest w galerii, gdzie są wystawione prace Lindena.

– O?

– Będzie wino i przekąski, ale potem możemy się udać na miłą kolację w kameralnej knajpce, nie tak jak wczoraj. Takiej na plaży, tam nastrój tworzą nocne niebo i ocean.

– Bardzo chętnie.

– Wernisaż zaczyna się o siódmej. Przed siódmą mógłbym po ciebie przyjechać. Galeria jest tylko o dziesięć minut piechotą od hotelu.

– Dobrze – powiedziałam, kiedy zajechaliśmy pod hotel i portier pospieszył, żeby otworzyć mi drzwi.

Thatcher musnął mnie dłonią.

– Pomyśl o zmianie adresu, Willow. Poważnie. Pomyśl chociażby, ile oszczędzę paliwa.

– Serio?

– Jestem eko i oszczędzam energię – wyjaśnił ze śmiechem.

– Okay. – Wsiadłam i weszłam do hotelu. Zastanawiałam się, co mam robić do czasu, aż Thatcher znów przyjedzie po mnie. Pomyślałam, że kupię sobie coś bardziej eleganckiego do noszenia. Nie robię tego dla romantycznego flirtu w scenerii Palm Beach, mówiłam sobie. Robię to po to, żeby zaistnieć w świecie mojej mamy i nawiązać z nią kontakt.

To miejsce jest jak choroba, ostrzegła świadomość. Choroba, która cię uodparnia, ale tylko na prawdę.

Przecież się nie okłamuję, myślałam. A może jednak?

Pospieszyłam do hotelowego butiku. Musiałam wyglądać jak jedna z pacjentek taty, gadająca do siebie na korytarzach Willows. Wybrałam dopasowaną czarną sukienkę bez rękawów z wycięciem pod szyją i z kontrafałdami. Wyglądała idealnie. Do tego sandałki na wysokim obcasie. Postanowiłam jeszcze kupić biżuterię, ale prostą i klasyczną, bo na taki styl postawiłam. Potem wróciłam do swojego pokoju, żeby umyć głowę. Czułam się wymięta i miałam podpuchnięte oczy. Zadzwoiłam do serwisu i poprosiłam o plastry zimnego, świeżego ogórka, żeby położyć je sobie na powieki. Nieraz widziałam, jak robiła to moja matka adopcyjna. Położyłam się i zamknęłam oczy. Zimny ogórek chłodził mi powieki.

Czy zacznam być próżna?

Bez przesady, pomyślałam, trzeba zawsze dbać o swój wygląd.

Nienawidziłam tych sprzecznych uczuć! Kiedy wreszcie przestaną mnie dręczyć? A może zawsze będą? Thatcher, jak się zdaje, uważał, że są nieodłącznym elementem życia i składnikiem każdego związku. Być może mam szansę nauczyć się tutaj więcej o sobie, niż przypuszczałam.

Ułożyłam włosy i umalowałam się, kiedy Thatcher zapukał do drzwi.

– Cześć! – Wszedł i aż gwizdnął z podziwu. – Cudownie wyglądasz!

– Dzięki.

Miał na sobie czarną koszulę rozpiętą pod szyją, czarne spodnie i blezer w odcieniu oceanicznego błękitu. Miękkie skórzane pantofle włożył na bose stopy. Wyglądał elegancko i zarazem luzacko.

Rozejrzał się po pokoju.

– Nie widzę, żebyś zaczęła się pakować – stwierdził z rozczarowaniem.

– Bo jeszcze się nie zdecydowałam. Nie wiem nawet, czy zostanę na dłużej w Palm Beach.

– Poważnie? Hm, muszę się zastanowić, co mogę zrobić, żeby pomóc ci w decyzji o pozostaniu. –

Uśmiechnął się nieznacznie i uroczo jak zwykle. – Madame? – Podał mi ramię.

Przyjęłam je ze śmiechem. Jakaś starsza para była już w windzie – mężczyzna w smokingu z żoną skrzącą się od biżuterii. Zastanawiałam się, czy nie ugnie się pod ciężarem złota i szlachetnych kamieni. Spojrzeli na nas podejrzliwie, a nawet z lekką dezaprobatą. Zapewnie uznali nas za zbyt swobodnych. Thatcher mrugnął do mnie, kiedy weszliśmy do kabiny.

– Jeśli można, chciałbym cię dzisiaj nazywać twoim prawdziwym imieniem – powiedział.

Starsi państwo wymienili spojrzenia tak szybko i jednocześnie, że omal nie parsknęłam śmiechem.

– Wszystko w porządku? – zapytał Thatcher.

– Tak – mruknęłam i zgromiłam go spojrzeniem, które tylko pogłębiło jego uśmiech.

Para znów wymieniła spojrzenia. Zgodnie odsunęli się od nas i stanęli jeszcze bliżej siebie. Kiedy drzwi się rozsunęły, Thatcher ich przepuścił. Prawie wybiegli do lobby.

– Ładnie się popisałeś.

– Lubię się czasem wygłupić, zwłaszcza przed takimi snobami, którzy traktują siebie śmiertelnie poważnie.

– Czemu w takim razie krytykowałeś Mai Stone? – zripostowałam, jakbym była jego przeciwnikiem na sali sądowej.

Nie dał się tak łatwo zbić z pantałyku. Miał zbyt duże doświadczenie w takich polemikach. Bez zastanowienia pokręcił głową.

– Mai lubiła prowokować wszystkich, nie tylko snobów. Grała na swojej własnej scenie. Proponuję – dodał, prowadząc mnie do wyjścia – żebyśmy trzymali się obietnicy, którą złożyliśmy sobie wczoraj wieczorem.

– To znaczy?

– Żadnych wspomnień. Ani osobistych pytań. Bawmy się po prostu i żyjmy chwilą. Przeszłość, podobnie jak przyszłość, same o siebie zadbają.

Wczoraj ta zasada powinna być dla mnie święta, pomyślałam. Dzisiaj nie byłabym tego taka pewna.

Kiedy weszliśmy do galerii, był już tam tłum. Niemal wszyscy znali Thatchera. Przedstawił mnie jako Isabel Amou i po prostu powiedział ludziom, że przyjechałam zwiedzić Palm Beach. Tylko nieliczni próbowali się dowiedzieć o mnie czegoś więcej, kiedy usłyszeli, że pochodzę z Karoliny Północnej, z rodziny niezbyt zamożnej jak na ich standardy. Thatcher dodawał, że jestem jego dawną znajomą ze studiów.

– Widzisz, jak łatwo jest wymyślić fikcję, którą inni zaakceptują bez zastrzeżeń? – szepnął do mnie.

Przechodziliśmy od obrazu do obrazu, popijając wino. W pewnym momencie Thatcher pociągnął mnie do bocznego pokoju, żeby pokazać mi dzieła Lindena.

Wisiały tam tylko trzy obrazy, każdy bardziej niesamowity i mroczny od poprzedniego. Na pierwszym młody mężczyzna, może sam autor, leży na plaży odwrócony bokiem i wsparty na łokciu, jakby zwracał się do kogoś obok. A ten ktoś jest szkieletem, leżącym na plecach, w pozie plażowicza. Obraz realistyczny do bólu, niemal fotograficznie odtwarzający szczegóły rzeczywistości – poza kolorami,

przeraźliwie jaskrawymi, jak z psychodelicznego koszmaru.

– Bardzo interesujące są te obrazy – przyznał Thatcher. – Wprowadzają do rzeczywistości elementy surrealistyczne, albo rodem z horroru, nie uważasz?

– Owszem – powiedziałam z rozdrażnieniem, przesuając się do następnego. Na tym kobieta na plaży trzymała za rękę małego chłopca, który tonie w piasku. Choć piasek wessał go już do pasa, kobieta zdaje się tego nie zauważać. Zachodzące słońce zabarwiło ocean na karmazynowy, niemal krwawy kolor.

Na trzecim obrazie Linden namalował niewielką grupkę radosnych młodych ludzi, oczywiście na plaży. Niektórzy jedzą, niektórzy piją, wszyscy są radośni i uśmiechnięci. A przed nimi, w oceanie, starsza kobieta (którą mogła być moja mama) tonie, zagarnięta przez falę, desperacko wyciągając ku nim ręce.

– Nietrudno odczytać przesłanie tego obrazu, prawda? – zagadnął Thatcher.

– Dużo jest w jego malarstwie gniewu i goryczy – powiedziałam. – To sprawia, że mu się współczuje.

– Współczucie jest tutaj uważane za stratę czasu i nie wypada go ujawniać – rzekł. – Nie poprawi sprzedaży obrazów. – Spojrzał na mnie uważniej i dodał: – Chodźmy stąd. Niepotrzebnie ci to pokazywałem. Nie chciałem popsuć ci humoru. Za pięknie wyglądasz na smutki.

Odpowiedziałam mu uśmiechem i odwróciłam się, żeby nie zobaczył smutku w moich oczach. Czy moja mama dzieli z nim ten koszmar? Jak wygląda ich świat i jak żyli w tym domu przy plaży? Czy naprawdę chcę tam wejść?

Prawie dwadzieścia minut przepychaliśmy się wśród tłumu do wyjścia. Mnóstwo ludzi zaczęło Thatcherą, pytając go o sprawy, które aktualnie miał na tapecie albo które już zakończył. Parę młodszych kobiet niewątpliwie miało ochotę zagadać do niego na osobności. Rozmawiał z każdym uprzejmie, ale nie puszczał mojej ręki i konsekwentnie parł do wyjścia.

Kiedy wreszcie znaleźliśmy się na ulicy, przeprosił mnie.

– Pewnie wolałabyś zostać i porozmawiać sobie z nimi, żeby zebrać kolejny materiał do swojego projektu, a ja okazałem się egoistyczny. Ale niestety, nie mam ochoty z nikim się tobą dzielić.

– Nic się nie stało, naprawdę. Dłużej nie miałam ochoty tam zostać. Za duży tłum i sądzę, że ludzie nie chcieliby szczerze ze mną rozmawiać.

– Może w takim razie moja matka miała rację, proponując, że będzie zapraszała twoich rozmówców do Joya del Mar. Tam mogłabyś bez trudności wyciągać z nich prawdę swoimi podstępными pytaniami.

– Możliwe – przyznałam ze śmiechem.

Wyjechaliśmy z Palm Beach do miejsca zwanego Singer Island, gdzie była restauracja z tarasem wychodzącym na ocean. Na horyzoncie lśniły gwiazdy i wydawało się, że spadają w fale.

– Pięknie tutaj. Dzięki, że mnie zabrałeś.

– Wiedziałem, że ci się spodoba to miejsce. Dawno tu nie przyjeżdżałem.

– Czemu?

– Pięknymi rzeczami można się cieszyć tylko wtedy, kiedy możesz je dzielić z kimś wyjątkowym – odpowiedział. – Ty też tak uważasz?

– Musiałabym się zastanowić – odparłam ostrożnie. Przebywanie z nim w tak romantycznym miejscu było tak samo ekscytujące, jak balansowanie na krawędzi przepaści. Czułam, że jeśli ulegnę temu czarowi, wpadnę w czeluść, której końca nie widać. Pociągało mnie to i przerażało zarazem.

Już sama jego uroda, uwodzicielski czar i fascynująca osobowość mogły zawrócić w głowie, a do tego doszła jeszcze bajkowa sceneria. Był ciepły wieczór, siedzieliśmy na tarasie w migoczącym blasku płomienia świec, ukołysani hipnotycznym szumem oceanicznych fal pod niebem usianym gwiazdami, takimi, jakie świeciły w początkach naszego świata. Miałam wrażenie, jakbyśmy znaleźli się w krainie, gdzie magia jest na porządku dziennym, gdzie każde wypowiedziane przez nas słowo brzmi jak poezja, a odgłosy wokół komponują się w symfonię, w muzykę grającą wyłącznie dla nas, jakby cały świat nagle

poświęcił się wyłącznie jednemu celowi – stworzeniu szczęśliwego bąbla, w którym moglibyśmy trwać, oddzieleni od rzeczywistości.

– Co to znaczy „zastanowić się”? – zapytał Thatcher, zaniepokojony moją rezerwą. – „Piękno bez ukochanej jest jak miecz przeszywający serce” – zacytował. – Kiedyś przeczytałem te słowa Christiny Rossetti i nie mogę ich zapomnieć.

Szybkim ruchem odwróciłam głowę. Oczywiście miał rację. Tak przez lata cierpieli moi rodzice, kiedy musieli zrezygnować z wielkiego uczucia, zaledwie się narodziło. Na myśli o tym chciało mi się płakać. Serce ścisnęło mi się boleśnie.

– Wybacz. – Thatcher wyciągnął rękę i przykrył dłonią moją dłoń. – Nie chciałem, żeby to zabrzmiało tak poważnie, zwłaszcza w czasie tego pięknego wieczoru.

– Nie musisz przeproszać. – Pokręciłam głową, z trudem powstrzymując łzy. – Jest pięknie i jak najbardziej masz rację.

Nabrałam powietrza, żeby wziąć się w garść.

– A jednak twoja mama mówiła, że nie starałeś się zbytnio znaleźć bratnią duszę, z którą mógłbyś przeżywać piękno i szczęście.

– Matka nie wie o mnie wielu rzeczy – odparł niemal ze złością. – Twoja zapewne też.

– Owszem – przytaknęłam ze śmiechem. – Bardzo wielu rzeczy.

– Dobra. – Sięgnął po listę win. – Zamówmy dzisiaj coś specjalnego. Musimy uczcić pomyślne zakończenie mojej sprawy, i nie tylko to.

– A co jeszcze?

– Naszą szczerą, Willow. Notabene dużo bardziej wolę to imię. Pasuje do ciebie bardziej niż tamto.

Ostrożnie, Willow De Beers, powiedziała sobie. Pochylasz się nad przepaścią.

Uważaj, bo spadniesz.

Po wspaniałej kolacji i spacerze po plaży wróciliśmy do hotelu. Kolacja, wino, spokojna rozmowa, trzymanie się za ręce, kiedy szliśmy boso po piasku, śmiech, przekomarzanie się... Wszystko to napełniło mnie błogim uczuciem spokoju. Thatcher musiał czuć się tak samo. Nie rozmawialiśmy w trakcie jazdy, tylko od czasu do czasu wymienialiśmy uśmiechy i spojrzenia. Dwa razy pocałował mnie na plaży i smak tego pocałunku ciągle trwał na moich wargach. Rozsądek i ostrożność rozluźniały się coraz bardziej jak wstążka we włosach, aż uleciały w ciemność, umykając do tyłu.

Nawet kiedy zajechaliśmy pod hotel i trzymając się za ręce, weszliśmy do lobby, zamieniliśmy tylko parę słów. Nie zwracaliśmy uwagi na nic ani na nikogo. W windzie niecierpliwie spoglądaliśmy na drzwi. Kiedy się rozsunęły, moje serce zatrzymało się na ułamek sekundy, a potem ruszyło galopem z jeszcze większą niecierpliwością. Gdy otwierałam drzwi, Thatcher objął mnie w talii. Przekroczyłam próg i chciałam namacać włącznik światła, lecz on delikatnie ujął moją rękę i cofnął ją.

Zamknął za nami drzwi i w ciemności znów się pocałowaliśmy. To był długi, wilgotny i ciepły pocałunek, od którego prąd przeszedł mi po krzyżu i błogo załaskotał w sutki.

– Willow, Willow – wyszeptał.

Porwał mnie z ziemi jak piórko i zaniósł na łóżko. Leżałam i patrzyłam, jak się rozbiera. Nie ruszałam się. Zupełnie jakbym oglądała scenę w filmie, jakbym obserwowała coś, co wydarza się komuś innemu.

Już bez koszuli, przykląkł przy łóżku, pocałował mnie lekko, a potem obrócił, żeby rozsunąć suwak sukienki. Delikatnie zsunął ją z moich ramion. Wystarczająco dużo światła przenikało przez zasłony, żeby zabłysły mu oczy.

– Piękna jesteś, Willow.

Po kolei ujmował moje piersi w dłonie i całował je. Jęczałam, z głową odrzuconą do tyłu, prężyłam się

pod jego wargami, sunącymi w dół brzucha. Za minutę byliśmy już oboje nadzy.

Usłyszałam, że odpakuje prezerwatywę.

– Jesteśmy zabezpieczeni – szepnął.

Wiedziałam, że to ważne, ale zabrzmiało jak kwestia z reklamy. Wyczuł, że zaraz nastrój pryśnie, więc uwinął się błyskawicznie i znalazł się na mnie, całując mnie i pieszcząc. Pachniał cudownie. Zachłannie wczepiłam palce w jego włosy i poczułam, jak obejmują mnie silne ramiona.

Kochaliśmy się zrazu niespiesznie, budując napięcie, aż wezbrało tak, że wyzwoliłam się z ciała i poczułam, że fale mojego pożądania rozbijają się rytmicznie o jego ciało, jak ocean bijący o brzeg. Moje krzyki narastały i cichły z każdym przypiływem przenikającej mnie błogości. Nie miałam łózkowego doświadczenia. Blisko byłam tylko z Allanem, ale wydawało mi się, że Thatcher, w przeciwieństwie do niego, nie jest egoistyczny. Starał się, żeby było mi tak samo dobrze jak jemu, podczas gdy przy Allanie miałam wrażenie, że jestem tylko po to, by zaspokajać jego potrzeby i tylko przy okazji mieć z tego przyjemność, jeśli się uda.

Nie skończyliśmy z Thatcherem gwałtownie, tak jak to zwykle działo się z Allanem. Końcówka była niespieszną celebracją kochania, pełną pieszczot i pocałunków; chłonał mnie całym sobą i trzymał, jakby nigdy nie zamierzał puścić. Łagodnie się wycofywał, a nie porzucał gwałtownie, zrobiwszy swoje, nie patrząc, czy nadążyłam za nim.

Kiedy było po wszystkim, legliśmy obok siebie, łapiąc oddech; nic nie mówiliśmy, tylko trzymaliśmy się za ręce.

Odezwał się pierwszy.

– Coś w tym jest, kiedy się mówi, że dwoje ludzi łączy magiczna więź – powiedział i zaniepokoił go brak odpowiedzi. – Prawda? – dodał.

Wierzyłam w magiczną więź, ale targały mną sprzeczne doznania – zarówno obawy, jak i poczucie winy.

W głowie dźwięczały mi pytania taty:

Lubisz go, Willow?

Tak, tato.

I nie jest to chwilowe zauroczenie?

Myślę, że nie, tato.

Czujesz, że jesteś dla niego wyjątkowa?

O tak, tato.

Czy myślisz, że on czuje tak samo?

Tak, tak, na pewno.

Czasami trzeba zaryzykować i zaufać komuś. Zgadzasz się ze mną, Willow?

Tak, tato.

W takim razie zostaw za drzwiami poczucie winy. Nie ma tu dla niego miejsca, prawda?

Prawda, tato. Tak.

– Co jest? – zapytał Thatcher.

Czyżbym mówiła do siebie?

– Nic – odpowiedziałam.

Oparł się na łokciu i pochylił nade mną, po czym czule przesunął palcem po moim nosie, wargach i dalej, przez szyję do rowka pomiędzy piersiami.

– Wydawało mi się, że powiedziałaś „tak”. Mam nadzieję, że to najkrótsza recenzja naszego kochania się – zażartował.

– Nie tylko, to także recenzja całego wieczoru – wyjaśniłam ze śmiechem.

– I co, udało mi się?

– Co miało się udać?

– Nakłonienie cię, żebyś się zdecydowała, czy wyjeżdżasz, czy zostajesz?

– Może dlatego powiedziałam „tak”.

Uśmiechnął się i znów mnie pocałował.

Został jeszcze godzinę. Zapewniłam go, że rano gdy tylko wstanę, spakuję się, wymelduję z hotelu i pojadę do Joya del Mar. On miał spędzić cały dzień w sądzie, ale obiecał, że zjawi się w domu na kolację.

– Znając moją mamę – powiedział – założę się, że przygotuje coś specjalnego. Zadzwońię do niej w wolnej chwili i zawiadomię ją o twoim przybyciu. Będę przy tym błagał, żeby wyluzowała i nie zadrezczała cię gadaniem.

– Fajnie. – Pokiwałam głową. Chociaż chciałam być jak najbliżej niego i okazja była cudowna, ciągle czułam się spięta. A to może spowodować kolejne błędy, pomyślałam z obawą. Obiecałam sobie, że jeśli coś takiego się stanie, jeśli pojawi się jakiś problem, natychmiast wyjadę.

A może powinnam od razu wrócić do domu, napisać długi list do mamy, wysłać go jej i uważać całą sprawę za zakończoną. Zapewne takie wyjście byłoby sensowniejsze, ale chyba już jest na nie za późno.

Miałam zamiar wyspać się porządnie, zjeść śniadanie w pokoju, a potem ubrać się i spokojnie pojechać do domu Thatcher. Niestety, spokój zakłócił mi telefon o siódmej trzydzieści. Dzwoniła ciocia Agnes. Dźwięk jej głosu był dla mnie jeszcze większym wstrząsem niż sam dzwonek telefonu. Zupełnie jakby nagle przeniknęła do mnie przez ścianę – ten mur, który sama wzniosłam, aby oddzielić się od racjonalnego myślenia i odpowiedzialności.

– Co ty robisz w tym hotelu? – wrzasnęła.

Potrzebowałam chwili, żeby zebrać myśli. Tak mi się słodko spało, jakbym unosiła się na różowej chmurce, szczęśliwa i bezpieczna.

– Ciocia Agnes?

– Tak, tak, a kogo się spodziewałaś? Kiedy przez parę dni z rzędu nie mogłam dodzwonić się do ciebie, zadzwoniłam do sekretariatu uczelni i tam powiedziano, że wzięłaś urlop dziekański. Ty chyba wzięłaś urlop od rozumu!

– Jak mnie znalazłaś? – zapytałam z narastającą irytacją.

– Zmusiłam typa, który jest w twoim mieszkaniu, żeby mi powiedział. Musiałam mu zagrozić policją, bo nie chciał.

– Nie miałaś prawa tego robić, ciociu!

– Nie miałam prawa? Jak śmiesz tak twierdzić? Pamięć mojego biednego zmarłego brata zobowiązuje mnie do dbania o ciebie, Willow.

Rzeczywiście, niezwykle się o mnie troszczy! Czego naprawdę chce?

– O co chodzi? Czemu dzwonicz?

– O stan domu, między innymi.

– A konkretnie?

– Wysłałam tam ekipę po swoje rzeczy i ich raport mnie zmroził. Twój tak zwany zarządca wrócił do picia.

– Niemożliwe.

– Niestety tak. A ty co robisz w Palm Beach? I do tego w The Breakers? Dlaczego przerwałaś studia? Jeśli miałaś jakieś problemy, czemu nie przyszłaś do mnie? Co się dzieje, Willow?

– Mam pewne sprawy osobiste do załatwienia, ciociu Agnes. I chciałam być sama.

– Akurat w Palm Beach? W The Breakers? Ładna mi samotnia! Jesteś tam z kimś?

– Nie mam ochoty opowiadać o tym przez telefon, ciociu. Zwłaszcza że to moje sprawy, nie twoje. Tym niemniej dziękuję za troskę.

– Tylko tyle? A co z domem? On go jeszcze spali!

– Zadzwoń do niego. Myślę, że twoi informatorzy mocno przesadzili. Pewnie Miles ciągle przeżywa śmierć taty i potrzebuje pocieszenia.

– I szuka go w alkoholu? Co to za pocieszenie?

– Ciociu, błagam, jest wcześnie rano.

– Wcześnie? Już prawie ósma. Co ty wyprawiasz, Willow? Powinnaś wiedzieć, że młoda kobieta z takim posagiem jak twój staje się łatwym celem dla podstępnych żigolaków, zwłaszcza w takim miejscu jak Palm Beach. Jesteś jeszcze zbyt młoda i niedoświadczona, by wiedzieć, jak radzić sobie w takich sytuacjach. W każdym razie błagam cię, nie podpisuj żadnych papierów, a co najważniejsze, nie wychodź za mąż. Powinnam do ciebie przyjechać, żeby nauczyć cię rozumu.

A więc o to jej chodzi, pomyślałam. Martwi się, że dam komuś w wianie klejnoty rodzinne.

– Nikt mnie nie wykorzystuje, ciociu Agnes. I nie dlatego tu jestem.

– A dlaczego? Nie możesz powiedzieć cioci?

– Na razie nie jestem gotowa, żeby powiedzieć o tym komukolwiek. Musisz mi po prostu zaufać.

– Twój ojciec byłby bardzo z ciebie niezadowolony, Willow – rzuciła.

Czy tak by było? Potępiłby moje postępowanie, a zwłaszcza próbę kontaktu z mamą?

– Lepiej wracaj i opowiedz mi o wszystkim.

– Nie, ciociu Agnes. I dzięki za telefon.

– Willow...

Odłożyłam słuchawkę.

Zaraz stąd wyjadę i już mnie nie znajdzie, pomyślałam.

Nikt mnie nie odnajdzie, dopóki nie odnajdę sama siebie.

Rozdział dziesiąty

MIŁOŚĆ CZY SZALEŃSTWO?

Ciotka Agnes niczym wiedźma rzucająca swoje zaklęcia przez telefon zamieszała w kotle, który i tak wrzał we mnie. Senność całkiem odeszła. Nie byłam w stanie wyleżeć w łóżku. Zamówiłam śniadanie i zaczęłam się pakować. Jednak rewelacje ciotki nie dawały mi spokoju, więc postanowiłam zadzwonić do Milesa i sprawdzić, co się naprawdę dzieje. Długo nie odbierał, aż się zaniepokoiłam, czy rzeczywiście nie zapił. A może ciotka Agnes go wyeksmitowała? Kiedy już straciłam nadzieję, podniosłam słuchawkę.

– Rezydencja De Beersów – powiedział zduszonym głosem i odchrząknął. Jakby płakał.

– Miles, czy wszystko w porządku? – zapytałam bez wstępów.

– Willow? To ty?

– Tak, Miles.

– Posłuchaj – rzekł schrypniętym szeptem, zanim zdążyłam o cokolwiek zapytać. – Mam dla ciebie osobliwe i niepokojące wieści.

– Jakże?

– Od paru nocy z gabinetu twojego ojca dobiegają dziwne odgłosy. Myślałem, że z pół przyszły myszy, więc zastawiłem parę pułapek, ale nic się nie złapało. Rano wstałem przed świtem i po cichu zbliżyłem się do gabinetu. Nie wyobrażasz sobie, co zobaczyłem!

– Co? – Wstrzymałam oddech. Czy ktoś się włamał? Może ciotka Agnes, którą wcześniej intrygowało, czemu tak długo tam siedzę, przyszła przeszukać gabinet?

– Komputer ojca był włączony! I zobaczyłem słowa na ekranie.

– Zaraz, Miles, nie rozumiem. Chcesz powiedzieć, że ktoś przeszukiwał zawartość komputera?

– Nie, nie. Nikt nie może się pokazać w domu nieproszony.

– W takim razie... co sugerujesz?

– Nie rozumiesz, Willow? Twój ojciec kończy swoją zaczęta wcześniej pracę naukową. Kiedy napisze ostatnie zdanie, wystarczy tylko ją wydrukować i posłać do wydawcy. Wtedy dopiero będzie mógł spocząć w spokoju. Wierz mi, jestem tego pewien.

Zaniemówiłam na długą chwilę. Nigdy nie słyszałam Milesa mówiącego w ten sposób.

– Miles, czy komputer na pewno był włączony?

– Ależ tak, tak. Zobaczyłem poświatę na biurku i podszedłem blisko.

– Wyłączyłeś komputer?

– Nie, niczego nie ruszałem. Nie dotknąłem ani jednej rzeczy w gabinecie od czasu... od czasu, kiedy odszedł twój ojciec. Gdy po pewnym czasie zajrzałem tam znowu, przybył kolejny tekst na ekranie.

– Miles, bądź ze mną szczery, proszę. Pijesz? Bo ciotka Agnes uważa, że tak.

– Nie, nie, absolutnie nie. Ze mną wszystko w porządku.

– Dobrze. Zadzwonię do ciebie za dzień czy dwa i powiem ci, jak będziesz mógł się ze mną

skontaktować.

– Świetnie, świetnie.

– Miles, jeszcze jedno. Niedługo zjawi się w domu ktoś z agencji nieruchomości Bella. Pokaż im dom i posiadłość, bo wkrótce zaczną przyprowadzać klientów, zgodnie z umową – powiedziałam, w porę przypomniawszy sobie o umowie, którą podpisałam przed wyjazdem.

– Już dzwonił, Willow, i umówiliśmy się na poniedziałek. Może dlatego twój ojciec tak się spieszy z robotą – dodał i w jego głosie zabrzmiało podekscytowanie. – Tak, teraz wszystko się zgadza. On przecież musi skończyć pracę, zanim dom zostanie sprzedany.

Nie wiedziałam, co mam mu na to odpowiedzieć.

– Zadzwoń do ciebie. Na razie. – Tyle tylko zdołałam wydukać i odłożyłam słuchawkę. Bez względu na uczucia wobec ciotki Agnes, musiałam przyznać, że rozmowa z Milesem bardzo mnie zaniepokoiła. Pomyślałam, że powinnam tam jak najszybciej wrócić. Opowieść o komputerze taty przyprawiła mnie o dreszcze. Była naprawdę niepokojąca, gdyż tata rzeczywiście nie dokończył pracy i znając go, wiedziałam, jak musiało go to dręczyć. Kto wie, może nawet tego dotyczyła jego ostatnia myśl?

Zastanawiając się, co powinnam teraz zrobić, doszłam do wniosku, że rozsądnie będzie zadzwonić do pana Bassingera. Na szczęście zastałam go w biurze. Poprosiłam, żeby zechciał znaleźć chwilę czasu i sprawdzić, jaka jest sytuacja w domu. Nie kryłam, że się niepokoję, lecz nie wspomniałam o podejrzeniu, iż Miles znów pije. Powiedziałam natomiast o komputerze.

– Rozumiem. – Pan Bassinger nie zadawał pytań. – Sprawdzę to – obiecał.

– Dziękuję. Będę dostępna pod tym numerem. – Przewidywałam mu numer z wizytówki Bunny.

– Zadzwoń, gdy tylko będę coś wiedział.

Przyniesiono śniadanie. Zjadłam, ubrałam się i zeszłam na dół, żeby się wymeldować. Bagaż zaniecono mi do samochodu i wkrótce byłam już w drodze do Joya del Mar. Wyraźnie roztrzęsiony głos Milesa i jego szalona opowieść uparcie trzymały się moich myśli jak wspomnienie nocnego koszmaru. Wbrew własnej woli wyobraziłam sobie ducha taty, siedzącego przy komputerze. Ten obraz trwał na ekranie mojej wyobraźni przez całą drogę do rodzinnej posiadłości mojej matki.

Głos Jenningsa w domofonie znów miał ten sztywny, poirytowany ton. Wyłączył się w pół słowa i zaczął otwierać bramę, zanim zdążyłam wypowiedzieć nazwisko.

A jednak czekał na mnie na podjeździe.

– Zaniosę bagaże do pani pokoju.

– Dziękuję, Jennings. Czy jest pani Eaton?

– Pani jeszcze nie wstała, ale pan Eaton zostawił mi dyspozycje. Czy ma pani ochotę napić się czegoś zimnego na tarasie, kiedy już rozgości się w pokoju? Może podam mrożoną herbatę? – zaproponował.

Niezbyt miły, lecz z pewnością profesjonalista, pomyślałam.

– Tak, chętnie.

– W takim razie zapraszam. – Weszłam za Jenningsem na górę. W pokoju stanęłam przy barierce balkonu i wpatrzyłam się w ocean. Dzień był wyjątkowo piękny; pierzaste obłoczki unosiły się na błękitnym niebie. Luksusowy, wielki wycieczkowiec sunął po oceanie jak po lodowej tafli. Dziesiątki jachtów żaglowych i motorowych roiły się na tym wielkim wodnym deptaku dla szczęśliwych i bogatych.

Dom wychodzący na ocean to wspaniała rzecz, gdyż widok zmienia się nieustannie. Zawsze jest na co popatrzeć, gdyż natura nigdy nie jest nudna ani monotonna. Kiedyś chciałabym tak mieszkać, pomyślałam.

Jennings zapytał, czy ma wypakować moją walizkę.

– Nie, nie trzeba. Później sama to zrobię.

– Naturalnie. Mrożona herbata zaraz zostanie podana – powiedział i się oddalił.

I tak zostałam sam na sam z pokojem, który prawdopodobnie należał do mojej mamy, gdzie spotkały ją

te wszystkie straszne rzeczy. Miałam dziwne, niepokojące wrażenie, że wkroczyłam w zakazaną przeszłość. Coraz lepiej rozumiałam, dlaczego tata tak długo pragnął chronić mnie przed nią. Być może przyjeżdżając tutaj, wyzywałam los, gdyż za wszelką cenę pragnęłam odczarować ponure fatum, które połączyło moich rodziców bolesnym węzłem i zamknęło ich w więzieniu nieszczęśliwej miłości i niespełnionych obietnic. Bo przecież każdy pocałunek, każde dotknięcie jest swojego rodzaju obietnicą. Miłość, wielka i szalona, odmieniła im życie w stopniu, który zdumiał ich samych. Nawet ktoś tak inteligentny i racjonalny jak mój tata musiał ulec pragnieniom serca. Inaczej nie zacząłby przecież tej podróży, która jego i mamę zaprowadziła do punktu, w którym czekały ich już tylko rozczarowanie, rozpacz i ból. A przecież wiem, że nie chciał jej skrzywdzić.

Wracaj do domu, Willow, przekonywałam siebie. Nie pozwól, żeby twoja głowa spoczęła dzisiaj na tej poduszce. Kto wie, jakie koszmary zachowała w sobie; jakie wizje będą ciże przesładowały we śnie.

Wracaj do domu, Willow. Wracaj do domu, powtarzałam sobie. Tu jest tyle duchów, które mogą się wdrzeć w twój i tak już mroczny świat. Wystarczą ci twoje demony.

W zamyśleniu wyszłam z pokoju i zanim się obejrzałam, znalazłam się na tylnym tarasie. Drgnęłam, kiedy Jennings odchrząknął za moimi plecami. Przyniósł mi mrożoną herbatę na srebrnej tacy.

– Dziękuję, Jennings. Kiedy wstaje pani Eaton?

– To zależy – odpowiedział, lekko zaciskając usta. – Od tego, czy poprzedni wieczór przeciągnął się na następny dzień, czy nie.

– Rozumiem.

– Albo jeszcze pani zrozumie – dodał beznamiętnie. – Czy mam jeszcze coś przynieść? Może krakersy i ser?

– Nie, dzięki.

– Doskonale. Gdyby pani czegoś potrzebowała, będę w pobliżu – powiedział i wycofał się do korytarza, gdzie stanął nieruchomo, jakby był posągiem, który ożywa tylko na dźwięk swojego imienia.

Służba nie szanuje tych, dla których pracuje, pomyślałam. Ale wątpię, czy ktoś taki jak Bunny i Asher w ogóle się tym przejmuje. Zupełnie jakby umiejscowili siebie na wyżynnych wzniesieniach, niedostępnych reszcie świata, gdzie nie dosięgają ich krytyki i kpiny, więc tym bardziej nie mogą ich zranić. I trzeba przyznać, że ta ich wieża z kości słoniowej jest wyjątkowa. Kto wie, czy moja przykrywka, te wymyślane ankiety nie powinny zostać jednak przeprowadzone. Uśmiechnęłam się do siebie, usiadłam wygodniej w fotelu i pociągając mrożoną herbatę, wpatrywałam się w ocean.

Po niecałej minucie zobaczyłam, że Linden wychodzi z domu; niesie kasetę z farbami w jednej ręce i sztalugę przerzuconą przez drugie ramię. Skierował się w stronę plaży i po chwili zniknął za zakrętem. Moje serce przyspieszyło, gdyż uświadomiłam sobie, że jeśli nie wykorzystam okazji, może więcej się nie zdarzyć.

Wstałam i szybko ruszyłam alejką ku plaży. Kiedy wyłoniłam się zza zakrętu, zobaczyłam, że rozstawia sztalugę. Nie zauważył mojego nadejścia. Zatrzymałam się i zawołałam do niego z daleka.

– Cześć, Linden.

Przerwał swoje czynności i spojrzał na mnie. Tym razem w jego twarzy nie było złości, tylko zaskoczenie i ciekawość.

– Widzę, że nie zdołam się ciebie pozbyć, dopóki Eatonowie będą naszymi lokatorami – skomentował i wrócił do ustawiania sztalugi.

– Nie jestem wielkim, złym demonem – zaprotestowałam. – Mylisz się co do moich motywów i celu.

– Jasne – mruknął z irytacją. – Zawsze musi być moja wina albo mój błąd.

– Podobają mi się twoje obrazy – powiedziałam, ignorując jego sarkazm.

Odwrócił się do mnie i uniósł prawą brew.

– Poważnie? A gdzie właściwie je widziałaś? – zapytał z gniewnym niedowierzaniem. – Eatonowie nie mają ich w domu. Jeszcze przed wprowadzeniem się zażądali, aby usunięto moje prace. Bunny, czy jak jej tam, powiedziała, że są zbyt depresyjne i będą źle wpływać na gości. Tymczasem to ich goście działają depresyjnie!

– Och.

Zerknął na mnie z ukosa.

– Teraz ty u nich gościsz, tak?

– Nie da się ukryć.

Prawie się uśmiechnął. Kiwnął głową i otworzył kasetkę z farbami oraz przyborami malarskimi.

– Rzeczywiście, nie da się ukryć. Powiedz mi wreszcie, skąd znasz moje obrazy? A może tylko tak mówisz, żeby mnie ugłaskać?

– Mylisz się. Nie wiem jak ty, ale ja szanuję swoje słowa – warknęłam, czerwieniąc się z upokorzenia.

Tym razem linia jego ust zmiękła, układając się w coś zbliżonego do uśmiechu.

– Proszę, proszę, oto jedyna szczerą osobą w tym świecie nieszczerości, udawania i chirurgii plastycznej.

– Jeśli już chcesz wiedzieć, wczoraj widziałam trzy twoje obrazy w galerii.

– Aha. – Odwrócił się do mnie. – I co?

– Twoja twórczość jest bardzo interesująca, zwłaszcza sposób, w jaki wprowadzasz do rzeczywistości elementy surrealistyczne.

Z przejęcia użyłam sformułowania Thatchera. Miałam nadzieję, czułam, że pasuje.

Teraz obie brwi Lindena podjechały do góry.

– Tak sądzisz? Zajmujesz się sztuką?

– W liceum byłam w klasie artystycznej.

– Jacy są twoi ulubieni artyści? – dopytywał się, nie ukrywając, że mnie sprawdza.

– Nie jestem fanką abstrakcji, ale podoba mi się na przykład *Broadway Boogie Woogie* Mondriana. Lubię też *Moon Woman* Jacksona Pollocka i w domu mam w pokoju jego reprodukcję. Mój tata uwielbiał Salvadora Dali i miał w gabinecie dużą reprodukcję *Three Sphinxes of Bikini*. Coś w twojej twórczości przypomina mi właśnie Dalego. Może kolorystyka.

Wpatrywał się we mnie z rosnącym zdumieniem.

– O co chodzi? – zapytałam.

– Nic.

– Myślałeś, że chcę ci tylko pochlebić i nie mam zielonego pojęcia o sztuce, tak?

– Większość tutejszych ludzi, których znam, jest pusta i bezmyślna. Nazywam ich Pustakami. Są tak przezroczyści, że nie rzucają cienia – dodał gorzko.

– Zauważyłam.

– Co zauważyłaś? – podchwycił natychmiast.

– Na twoich obrazach ludzie, poza chłopcem i kobietą, nie rzucają cienia.

Teraz wreszcie się uśmiechnął.

– Zdziwiasz mnie... Jak masz na imię?

Korciło mnie, żeby powiedzieć mu prawdę, i chwilę zmagalam się ze sobą.

– Nie usłyszałem...

– Isabel. – Wybrałam tchórzostwo.

– A, tak. Muszę przyznać, Isabel, że jestem pod wrażeniem.

– Dzięki. Co dzisiaj będziesz malował?

– Nie pamiętasz, co powiedział Thatcher?

Pokręciłam głową.

– Rozkładałam sztalugę i zarzucam przynętę. Jeśli złowię natchnienie, mogę uznać dzień za udany.

– Mam nadzieję, że ten będzie udany.

Skinął głową.

– Jak długo zamierzasz gościć u Eatonów?

– Parę dni, najwyżej tydzień. Mogę sobie usiąść? – spytałam.

Nie odpowiedział i dalej wyjmował przybory. Niespodziewanie odwrócił się do mnie i na jego twarz powrócił gniewny wyraz.

– Nie rozumiem, co ty właściwie tutaj robisz. Czego od nas chcesz?

Nieraz widziałam, jak mój tata „rozbraja” – jak to określał – zbyt agresywnych pacjentów.

Z uśmiechem wzruszyłam ramionami, starając się zachować spokój.

– Tak naprawdę, Linden, sama nie wiem. Wymyśliłam sobie badanie, a teraz usiłuję je realizować.

Moja szczerość wyraźnie go zaskoczyła. Wściekłość zaczęła blednąć.

– Według mojej teorii wszyscy mamy trudności z rozróżnieniem, co w naszym życiu jest realne, a co nie. Jednak u ludzi jeszcze bardziej odizolowanych od rzeczywistości za sprawą swojego bogactwa i pozycji to rozróżnienie czasami zupełnie się zaciera. Oni oczywiście się tym nie martwią. Nie muszą – dodałam.

Znów popatrzył na mnie i pokręcił głową.

– Dobra. Przyznam, że męczy mnie ciekawość. Co ci mówiono o mnie i o mojej mamie?

– Och, niewiele.

– Nie powiedziano ci, że została zgwałcona przez przybranego ojca, w wyniku czego zaburzyła się psychicznie i trafiła do kliniki? – zapytał tonem przepełnionym goryczą.

Serce mi łomotało, ale trzymałam nerwy na wodzy. Intensywnie wpatrywałam się w przestwór oceanu, jakbym szukała otuchy w jego niezmiernym pięknie.

– Tak – przyznałam. – Mówiono mi, ale nie o taką informację mi chodzi.

– Rozumiem. Nie o taką informację ci chodzi, więc jest nieważna.

– Źle mnie zrozumiałeś. Po prostu usiłuję...

– Czy masz pojęcie, co się czuje, kiedy inni na ciebie patrzą i myślą sobie – a, to ten, dziecko z gwałtu? Pewnie nie wiesz, więc ci powiem, żebyś nie musiała się domyślać ani dociekać. Nie masz poczucia tożsamości, niemal jakbyś nie istniała. Kiedy byłem młodszy, lecz na tyle duży, żeby rozumieć, często spoglądałem w lustro, jakbym upewniał się, że mam jeszcze swoje odbicie. Oczywiście moja babcia robiła, co tylko mogła, żebym czuł się normalnie. Przez większość życia uważałem ją za swoją mamę. Jestem pewien, że i o tym ci mówiono. – Mierzył mnie stalowym spojrzeniem. – Ja i mama stanowimy dyżurny temat rozmówek przy kawie i deserach. Przyjąłem nazwisko Montgomery’ego i chwalała mu, że na to pozwolił, ale brakowało mi więzów krwi. Tak samo mogłem się uważać za dziecko adopcyjne, które przypadkiem mieszka z rodzoną matką.

Milczałam długą chwilę. Jacy jesteśmy podobni, myślałam. Przez większość mojego życia matka adopcyjna wmawiała mi, że jestem dzieckiem z gwałtu. Czy powinnam mu o tym opowiedzieć?

– Nie chciałam poruszać takich tematów, Linden.

– A jakie byś chciała?

– Ród Montgomerych był kiedyś bardzo bogaty, prawda?

– Tak, i co z tego?

– Twoja mama żyła w dobrobycie, a teraz żyje w relatywnej biedzie. Dlatego z mojego punktu widzenia jest znakomitym materiałem badawczym. Ty pewnie też. Można powiedzieć, że znacie życie po obu stronach barykady.

Spojrzenie Lindena się uspokoiło, jakby cofał się przysłuw.

– Mówiłem ci, co sędzę o tych nababach. – Machnięciem ręki wskazał na rezydencję. – Oni się uważają za ludzi ważnych, znaczących i godnych szacunku, bo stać ich na luksusowe jachty, domy, bale i ekskluzywne ciuchy. Ale moja mama ma więcej inteligencji w małym palcu niż oni wszyscy w swoich głowach!

– I dlatego chciałabym z nią porozmawiać.

Znów spojrzał na mnie uważniej.

– Kim ty jesteś? – zapytał. – Nie chodzi o imię i nazwisko, tylko skąd pochodzisz? Z jakiej rodziny?

– Pochodzę z Karoliny Południowej. Jestem jedynaczką. Oboje rodzice nie żyją.

– Jesteś zaręczona czy coś w tym rodzaju?

– Nie. A ty?

Odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się jak szaleniec, aż się przestraszyłam.

– Ja? Chyba żartujesz? Przecież w tym mieście jestem jak trędowaty! Która dziewczyna potraktuje mnie poważnie? Owszem, chodzę w różne miejsca, mam nawet paru przyjaciół, ale jestem dla nich raczej dziwadłem. Do tego zgorzkniałym. Bo jestem zgorzkniały – przyznał.

– Moja niania mawiała, że zgorzknienie jest jak zwierzę, które samo się zjada; jak kruk, który pożera własne serce. *Um corvo que coma seu próprio coração.*

– Co takiego? – Uśmiechnął się.

– Niania była z Portugalii. Bardzo ją kochałam i właściwie to ona mnie wychowała – wyjaśniłam. Im więcej prawdy zdradzę, tym mniejsze będę miała wyrzuty sumienia z powodu moich kłamstw i podstępów.

– No widzisz, a mnie ta gorycz trzyma przy życiu.

– Czasami jesteśmy tak nieszczęśliwi, że nie wyobrażamy sobie innego życia.

– To kolejna mądrość życiowa twojej niani?

– W pewnym sensie tak.

Znów poczułam jego badawcze spojrzenie. Skinął głową, jakby przytakiwał własnym myślom.

– Dobrze. Zawrę z tobą układ.

– Jaki?

– Postaram się odpowiedzieć wyczerpująco na wszystkie twoje pytania. I namówię mamę, żeby z tobą porozmawiała.

– A co ja mam zrobić w zamian?

– Pozować mi.

– Słucham?

– Pozować mi do obrazu.

– Ja mam pozować?

– Przecież nie nago – choć przyznam, że z czysto artystycznego punktu widzenia jesteś piękna i byłabyś wymarzoną modelką. W każdym razie widzę cię na wydmie w powiewnej długiej spódnicy, odsłaniającej kawałek nogi. Musiałabyś być bosa, z rozpuszczonymi włosami i mieć do tej spódnicy ludową bluzkę, zsuniętą lekko z ramion. I żadnej biżuterii, nawet kół w uszach. Nieumalowana. Po prostu masz siedzieć, wpatrzona w ocean.

– Nie mam takich ubrań.

– Nie szkodzi, moja mama je ma i na pewno zgodzi się pożyczyć. Jestem pewien, że będą na ciebie pasować. Więc jak? – zapytał szybko.

– To chyba wymaga czasu? Mam nadzieję, że nie pozowania godzinami?

Roześmiał się i po raz pierwszy jego śmiech był ciepły i swobodny, bez nut goryczy. I od razu wyglądał

młódziej.

– Nie więcej niż dwie godziny dziennie, przez trzy dni. Może być?

– Dobrze, umowa stoi.

Oczy mu się rozjaśniły. Popatrzył w oceaniczną dal.

– A teraz, jeżeli pozwolisz, chciałbym zostać sam. – W jego głosie powróciły twardsze, chłodne, poirytowane tony. Tak jakby miał drugie ja; swoją ciemną stronę, która znów wychynęła z mroku i wzięła go we władanie.

– Jasne. – Wstałam z piasku. – Kiedy będę mogła porozmawiać z twoją mamą? – Wstrzymałam oddech w oczekiwaniu na odpowiedź.

– Jutro, po naszej pierwszej sesji na plaży. Będę tutaj o dziesiątej. Powinnaś zdążyć się wyspać i zjeść śniadanie.

– A ubranie?

– Wezmę ze sobą. Przebierzesz się tam, za wzgórzem.

– I co dalej?

– Około wpół do drugiej pójdziemy do nas. O tej porze zwykle siedzimy z mamą na patio. Popijamy sobie lemoniadę i gawędzimy albo po prostu milczymy. Tylko nie wspominaj jej o naszym układzie – upomniał mnie ostrzejszym tonem.

– Dobrze.

– Nie chcę, żeby pomyślała... Mogłaby nie zrozumieć.

– Jasne, ale jak w takim razie namówisz ją, żeby pożyczyła spódnicę i bluzkę?

– Nie twierdziłem, że ją namówię. Powiedziałem, że nam pożyczy. Ale nie musi o tym wiedzieć.

Chciałam zapytać, dlaczego powinniśmy trzymać tę sprawę w sekrecie, ale pomyślałam, że teraz tata radziłby mi zrezygnować i zadowolić się tym, co dotąd uzyskałam, gdyż dalszy nacisk mógłby zniweczyć mój sukces. Powiedziałyby pewnie, że każdy ma swój punkt krytyczny.

– Okay, w takim razie widzimy się jutro. – Ruszyłam w stronę domu. Kiedy po kilkudziesięciu metrach zerknęłam za siebie, Linden zszedł do wody. Stał pośród fal, objajających mu się o nogi i wpatrywał się w dal, jakby coś tam zobaczył. Ja nic nie widziałam, ale on zdawał się patrzeć na świat innymi oczami.

Już miałam iść dalej, kiedy usłyszałam sygnał klaksonu – długa, wielka motorówka skacząc na falach, podpływała do brzegu. Zawróciłam, żeby lepiej się jej przyjrzeć, i zobaczyłam, że za kierownicą siedzi Thatcher. Zamachał energicznie, dając mi znak, żebym zeszła na pomost, który znajdował się dokładnie pod domem przy plaży. Zaskoczona i rozbawiona zarazem, pobiegłam i za moment byłam na pomoście, gdzie cumował już Thatcher.

– Co ty tu robisz? – zawołałam. – Myślałam, że jesteś w pracy.

– Sędzia odwołał rozprawę, więc wykorzystałem wolny czas, żeby się spotkać z klientem, który jest właścicielem tej łodzi. Zaoferowałem mu cztery godziny moich usług ekstra w zamian za jej wypożyczenie. Zapraszam na pokład!

– Mam wejść? Ale... – Obejrzałam się na dom. – Nie zdążyłam się jeszcze przywitać z twoją mamą, a przecież zaprosiła mnie, więc...

– Pewnie jeszcze śpi. No chodź. Mamy tylko cztery godziny.

– Ale...

Wyciągnął rękę i pomógł mi wejść na pokład.

– Co to za rakietka? – zapytałam. – Wygląda jak wielki pocisk.

Roześmiał się.

– I pędzi jak pocisk. To Magnum 80, osiąga szybkość prawie pięćdziesięciu kilometrów na godzinę

dzięki bliźniaczym silnikom, razem sto osiemdziesiąt koni. Może zabrać dziesięciu pasażerów – wyjaśnił i ruszyliśmy. Łódź wystrzeliła w ocean jak szalony koń, skacząc po falach, aż krzyknęłam. Spadł na mnie deszcz kropielek.

– Nie jestem ubrana na takie wyczyny! – zawołałam.

– Nie szkodzi. Trzymaj się tylko!

Nie mogłam zaprzeczyć, że jazda była ekscytująca. Pęd zapierał mi dech.

– Łódka została wykonana na specjalne zamówienie. Ulepszenia kosztowały milion osiemset dolarów – poinformował Thatcher. – Nieźle, co?

– Czuję się jak w wodnym odrzutowcu.

– Owszem. Masz, spróbuj. – Zwolnił i dał znak, żebym zajęła miejsce za kierownicą.

– Ja?

– A czemu nie? Spróbuj, to fajne – namawiał. Pokręciłam głową. – Śmiało, Willow, odważ się. Igranie z losem to świetna zabawa.

Sposób, w jaki na mnie spojrział, jego oczy intensywnie wpatrzone w moje kazały mi myśleć, że Thatcher wie więcej, niż się spodziewam.

Z wahaniem zajęłam jego miejsce i starałam się w skupieniu słuchać instrukcji. Za moment usłyszałam potężny pomruk silników z tyłu i wielka bestia ruszyła przed siebie. To było jak ujeżdżanie wieloryba! Ekscytowałam się jazdą jako pasażerka, ale możliwość kontrolowania takiej mocy była dwa razy bardziej ekscytująca.

– Dobrze ci idzie – pochwalił. – Daj teraz czadu.

Pokręciłam głową, więc szybko otworzył przepustnicę za mnie i łódź wystrzeliła jak pocisk. Fale waliły w dno, a moje serce skakało jak jo-jo. Po chwili zwolnił i znów płynęliśmy w tempie spacerowym.

– Znam świetne miejsce na lunch – powiedział, wracając za kierownicą.

Siedziałam, a wiatr igrał z moimi włosami, lecz nie dbałam o fryzurę. Deszcz słonych kropielek, słońce i ciepłe powietrze były rozkoszne. Naprawdę czułam się, jakbym usiadła na czarodziejskim dywanie.

– Często tak pływasz? – zapytałam.

– Lubię żeglować, ale coraz rzadziej bywam na wodzie. Nie pamiętam już, kiedy ostatnio tak mogłem poszaleć – wyznał, patrząc na mnie z błyskiem w oku.

– Zdaje się, że mam na ciebie zły wpływ.

– Przeciwnie, masz na mnie dobry wpływ. Słyszałaś Bunny. Naprawdę za dużo pracuję.

– Gdzie jest to twoje świetne miejsce na lunch? – spytałam, bo kierowaliśmy się na pełne morze i brzeg zaczął niknąć w oczach. – Na Kubie?

– Zobaczysz.

Po kilkunastu minutach wyłączył silniki i zarzucił kotwicę.

– Czemu się zatrzymaliśmy?

– Bo jesteśmy na miejscu. – Szerokim ruchem rozłożył ramiona. – Czy możesz sobie wyobrazić piękniejsze, spokojniejsze i bardziej odosobnione miejsce? Takie lubię najbardziej. – Gestem pokazał mi luk i schodki. – Chodź, zapraszam na lunch.

Zeszliśmy do kambuza i za moment na stół wjechały wędliny, sery, pieczywo, butelka wina i owoce.

– I jak? – zapytał z uśmiechem.

– Prawdziwy bankiet!

Zaczęliśmy jeść. Thatcher otworzył wino. Posiłek jedzony pośród przestworu oceanu był niezwykłym przeżyciem. Od czasu do czasu w dali przesuwały się żagle, ale miałam wrażenie, jakby od reszty świata oddzielały nas niewidzialne ściany. Nikt nie podpłynął bliżej.

Thatcher rozlał wino i wypiliśmy toast.

– Ach, wino, kobieta i śpiew – westchnął z rozmarzeniem.

– Wiesz, jak uwodzić kobiety – przyznałam.

– Naprawdę cię uwiodłem, Willow? – Nagle spowaźniał.

– Inaczej by mnie tu nie było, czyż nie?

Uśmiechnął się.

– Nie kręć. Przyznaj, że obawiasz się zaangażowania w związek z kimś takim jak ja. I właśnie to w tobie lubię – dodał, zanim zdążyłam zaprotestować.

– Czemu?

– Kobiety stąd są za łatwe. To żadne wyzwanie.

– Nie uważam siebie za twoje trofeum, Thatcher.

– Ja też nie. W myśl moich bardzo staroświeckich poglądów nie jest łatwo osiągnąć czy zdobyć coś, co jest naprawdę dobre. A tutaj zbyt wiele rzeczy dostaje się za nic. Chociażby ze sposobu, w jaki żyją moi rodzice, możesz wnioskować, że natychmiastowa gratyfikacja jest w Palm Beach regułą, a nie wyjątkiem. Dorastałem, mając wszystko, co mi się tylko zamarzyło, podobnie jak moja siostra. Z tym że ona nadal tak ma.

– Skąd się więc wzięło u ciebie to nowe, mądrzejsze podejście do życia?

Wzruszył ramionami.

– Nie wiem, pewnie miałem trochę szczęścia.

Wstał, szybkim ruchem ściągnął koszulkę i rozpostarł ją na pokładzie, pokazując zęby w szerokim, rozkosznym uśmiechu. Kołysanie łodzi, wino szumiące mi we krwi i ciepłe morskie powietrze działały na mnie jak czary. Usiadłam obok Thatchera. Powietrze pomiędzy nami było naładowane elektrycznością. Nasze usta ciążyły ku sobie, aż pochyliłam się i pocałowałam go. Nie objął mnie, tylko pociągnął lekko do siebie, jakby chciał, żebym ja pierwsza oddała mu swoje ciało i pożądanie. Nawet się nie zastanawiałam, czy potrafiłabym i powinnam się oprzeć pragnieniu, które narastało we mnie. Znow go pocałowałam, a on objął mnie w pasie i ułożył obok siebie.

– Wiesz, że przeszkadzasz mi w pracy – mruknęłam, pieszcząc go ustami. Całowałam czubek jego nosa, policzki i brodę.

– Naprawdę? Myślałem, że pracujesz nade mną – odpowiedział ze śmiechem, a potem pocałował mnie długo i namiętnie. – Kochałaś się kiedyś na łodzi? – szepnął.

– A jak myślisz?

Roześmiał się i chwycił mnie w ramiona.

– Nie wyobrażam sobie, jak masz napisać pracę o elicie Palm Beach, nie kochając się na łodzi.

Nie polemizowałam z nim. Wziął mnie na rękę i ostrożnie zniósł na dół do prywatnej kabiny właściciela łodzi. Za moment byliśmy już nadzy i kochaliśmy się jeszcze bardziej namiętnie i szaleńczo niż poprzednio. A jednak nawet w takich chwilach słyszałam głos rozwagi – przepytывał mnie, żądając wyjaśnienia, dlaczego to robię i jak mogłam tak szybko zaangażować się w kolejny związek. To jest miłość czy szaleństwo? Czy raczej realizacja potrzeby związania się z kimś, żeby nie być sama? A może po prostu dobry los uśmiechnął się do mnie i postawił na mojej drodze kogoś wyjątkowego, kto szczerze mnie kocha i którego ja pokocham z taką samą, jeśli nie większą siłą?

Potem zasnęliśmy na prawie pół godziny, zaspokojeni, wtuleni w siebie. Thatcher obudził mnie pocałunkiem.

– Musimy wracać. Nie chciałbym oferować klientowi dalszych bonusów, choć on by się ucieszył.

Ubrałam się szybko, ale do Joya del Mar wracaliśmy w spokojnym, spacerowym tempie. Kiedy stanęłam na pomoście, czułam się, jakbym wróciła na ziemię po bajkowej podróży.

– Będę w domu o szóstej – powiedział Thatcher. – Nie daj się namówić Bunny na jakieś wieczorne szaleństwo, dobrze?

– Dobrze – odparłam ze śmiechem.

Patrzyłam, jak odpływa, pędząc po falach niczym księżę, który w pośpiechu wraca do swojej bajki, a ja zostaję, sama już nie wiedząc, czy śniłam, czy nie.

Kiedy odwróciłam się, żeby wrócić do rezydencji, zobaczyłam, że Linden stoi w progu domu przy plaży i patrzy na mnie. Kiedy mu pomachałam, odwrócił się gwałtownie i zniknął we wnętrzu. Poczułam się, jakby lodowata ręka dała mi po twarzy.

Będzie ciężko, pomyślałam. Będzie bardzo ciężko.

Rozdział jedenasty

DAMY Z PALM BEACH

– Kochanie, jak się cieszę, że podjęłaś dobrą decyzję! – zawołała Bunny, kiedy schodząc na dół, zobaczyła mnie w salonie. – Jadłaś już lunch?

– Tak.

Jest prawie czwarta, a ona pyta o lunch?

– Och, wybacz, że nie zeszłam wcześniej i musiałam jeść samotnie. Ja tego nie cierpię.

Już miałam jej odpowiedzieć, że nie jadłam samotnie, ale ugryzłam się w język. Pomyślałam, iż lepiej będzie dla Thatchera, aby jego matka wiedziała jak najmniej o naszym związku.

– Ostatnio jestem golfową wdową – kontynuowała. – Wiesz, zawsze się mówiło, że w czasie pucharów są wdowy futbolowe, nie? Kiedy Asher gra, już wiem, że muszę sobie znaleźć inne zajęcie i uruchomić swoich przyjaciół, bo nie chcę patrzeć w ścianę i czekać na niego. Całe szczęście, że nie jest Michaelem Strentchildem. Wiesz, kto to jest Michael Strentchild?

– Nie.

– Ależ z całą pewnością wiesz! To wnuk założyciela Strentchild Cutlery, największej wytwórni sztućców w Ameryce Północnej. Niedawno się rozwiódł. Rozwód był bardzo krwawy i wiesz, co Michael potem zrobił?

– Co?

– Kazał umieścić wizerunek twarzy swojej byłej na piłeczkach golfowych, żeby mógł w nią walić. Asher mówi, że teraz gra jak szatan. – Roześmiała się. – Możesz włączyć tę historię do swojej książki.

– Ja nie piszę książki, Bunny.

– Och, wiesz, co miałam na myśli. – Zbyła moją odpowiedź machnięciem ręki. – Czy Jennings zajął się tobą, kiedy usiłowałam wygramolić się z łóżka? Zainstalowałaś się już w swoim pokoju? Masz wszystko, czego ci potrzeba?

– Tak, wszystko mam i niczego mi nie potrzeba. Dzięki.

– Dzwonił Thatcher i nakazał mi stanowczo, żebym nie zapraszała dzisiaj na kolację żadnych gości. Powiedziałam mu, że w ten sposób utrudnia ci pracę, bo przecież przyjechałaś tutaj, żeby rozmawiać z ludźmi, ale on był nieugięty.

Z uśmiechem puściła do mnie oko.

– Myślę, że po prostu chce cię mieć wyłącznie dla siebie. I nie mogę go za to winić. Przy okazji, idę dzisiaj z Asherem do Carlsonów. Kiedyś my gościliśmy ich u siebie. Ojciec Brodericka Carlsona jest prezesem Packard-Willis, bodajże największej firmy przewozowej w Ameryce Północnej. Zawsze mówiłam „w Ameryce”, ale Dolly zwróciła mi uwagę, że pomijam Kanadę, a tak nie wypada.

Kiwnęłam głową, udając zainteresowanie.

– Co się stało z twoją twarzą? – wykrzyknęła nagle. – Leżałaś na plaży? Spiekłaś się na czerwono!

– Ojej, serio?

– Nie wiesz, jak niebezpieczne są promienie słoneczne, zwłaszcza dla kobiety? Muszę cię natychmiast zaprowadzić do swojej toaletki i wklepać ci specjalny krem, niwelujący skutki porażenia promieniami ultrafioletowymi. Chodźmy. – Chwyciła mnie za rękę i pociągnęła w stronę schodów.

– Czekaj, przecież nie dokończyłaś lunchu – zaprotestowałam.

– Och, kto by tam myślał o jedzeniu – odparła z lekceważeniem i przez resztę drogi na górę nie odpuściła tematu kosmetyków i dbania o cerę. Szłam za nią, myśląc, że Linden niewiele się mylił w ocenie tutejszego świata i ludzi. Wszędzie aż dźwięczała pustka.

– Popatrz na moją twarz. – Bunny już sadowiła się przed toaletką. – Gdybyś nie wiedziała, że jestem matką dorosłego syna, ile byś mi dała lat? Powiedz szczerze. No? – zapytała z naciskiem.

– W każdym razie nie tyle, ile naprawdę masz – przyznałam.

– No właśnie. I nie dlatego, że dwa lata temu miałam drobną korektę, jedynie zmarszczek wokół oczu. Młody wygląd zawdzięczam swojej skórze i cerze. Patrz – dodała i odkręciła słoiczek z kremem do twarzy. – Francuski, specjalna formuła, zrobiony na bazie ziół, lecz pełny skład został utajniony. Warto wydać pięćset dolarów na słoiczek. Ten krem naprawdę działa!

– Pięćset dolarów?

– A tu – ciągnęła – mam mleczko z tej samej serii, do wcierania codziennie przed snem.

– Ile kosztuje mleczko?

– Też pięćset, albo sześćset, nie pamiętam. Wiek to nie tylko wygląd, ale również postawa. Musisz mieć młode myśli, czuć się młodo.

– Tak, moja mama miała podobne poglądy.

– Serio? No widzisz. A na ile ona wygląda?

– Zginęła parę lat temu w wypadku samochodowym.

– Och, tak mi przykro. W każdym razie – podjęła, odganiając smutną myśl – twoja mama miała rację i założę się, że w chwili śmierci wyglądała młodo. A teraz siadaj tutaj i wklep sobie natychmiast ten krem – nakazała tonem nieznoszącym sprzeciwu, ustąpiwszy mi miejsca. – Żyjemy w słonecznym stanie, ale musimy unikać słońca. Dlatego mam całą kolekcję pięknych kapeluszy z szerokim rondem i chętnie pożyczę ci parę.

Otworzyła drzwi garderoby, którą demonstrowała mi już wcześniej. Pomieszczenie, większe od większości sypialni, wypełniały po sufit buty, ubrania i kapelusze. Był tam też kącik wypoczynkowy z telewizorem i lustrami.

– Proszę, możesz pożyczyć sobie, co chcesz, kochana. W ogóle czuj się tak, jakby ten cały dom był także twój, dopóki tu jesteś, dobrze?

– Dobrze, dziękuję.

– A teraz wklep sobie ten krem, równo i starannie.

Usłyszałyśmy ciche „ding-dong” i głos Jenningsa.

– Proszę pani?

Bunny podeszła do domofonu i wcisnęła guzik.

– Pani goście przybyli – poinformował.

– Och, cudownie. Ponieważ Isabel już jadła, bałam się, że będę musiała samotnie siedzieć przy stole. Powiedz im, że zaraz do nich zejdziemy. – Zwróciła się do mnie. – Chcę, żebyś poznała niektórych ludzi. Thatcher zabronił mi zapraszania kogokolwiek na kolację, ale nic nie powiedział o popołudniowej herbatce. – Z uciechy aż klasnęła w rękę.

– Herbatka?

– No, niezupełnie taka jak angielski *five o'clock*. Raczej w stylu podwieczorków, jakie wydają w Empress Hotel w Vancouverze, czyli minikanapki i kruche ciasteczka. Regularnie urządzam raz na

tydzień takie herbatki z siostrami Carriage. Z nikim mi się nie plotkuje tak dobrze jak z nimi! Mają niesamowitego nosa do wynajdywania cudzych brudów. Nieźle to wykombinowałam, prawda? Będziesz zachwycona. One są solą Palm Beach. Ich mężowie, bracia, są znanymi deweloperami. Dwaj bracia poślubili dwie siostry, wyobrażasz sobie? Niestety, dwa lata temu obaj umarli – ciągnęła. – I zaręczam ci, że jeśli Thelma i Brenda Carriage wyjdą ponownie za mąż, to tylko za kolejnych braci. Chodźmy na dół. Za chwilę otrzymasz informacje bezcenne dla twojej pracy.

Niemal wyfrunęła z sypialni, a ja patrzyłam za nią z otwartymi ustami, mając nieodparte wrażenie, że to miejsce jest jednym wielkim domem wariatów.

Odwróciłam się do lustra i niespiesznie wklepałam krem Bunny. Pięćset dolarów za słoiczek? Oby zadziałał, choć tak samo mógł to być tylko pic dla bogatych. Każda klasa społeczna ma oszustów, którzy na niej żerują. Co najwyżej ci, którzy doją elitę Palm Beach, są lepiej wyedukowani, bardziej salonowi i lepiej ubrani. Możliwe też, że mówią z akcentem francuskim lub innym europejskim.

Wreszcie musiałam zejść na dół, żeby pogadać z tymi babami i odegrać rolę, którą sama dla siebie napisałam. Wkrótce jednak, zapewniłam swojego nieszczęśliwego ducha, zejdę z tej sceny i wreszcie wrócę do realnego świata, gdzie króluje prawda. A na razie włożę maskę, kostium i stanę w światłach rampy.

Bunny urządziła herbatkę w salonie, gdzie pierwszy raz zobaczyłam ją i Ashera. Kiedy tam weszłam, jedna z sióstr Carriage prezentowała swoją kreację, obracając się jak modelka na wybiegu. Miała krótkie platynowe włosy z kędzierzawą grzywką. Jej siostra, ciemna brunetka, też krótko ostrzyżona, nosiła włosy proste i tak wystylizowane, że wyglądały jak kask. Choć trudno było rozsądzić, która jest starsza, oceniałam je na sześćdziesiątkę.

– Och, Isabel, przyszłaś w samą porę, żeby podziwiać pokaz mody w wykonaniu Brendy – powiedziała ze śmiechem Bunny.

Obie siostry o pełnych kobiecych figurach obróciły się ku mnie. Oczy Brendy, bardziej niebieskie, miały łagodniejsze spojrzenie niż szare oczy Thelmy, w których lśniła stal. Brenda miała też bardziej miłą, życzliwą twarz, choć rysy jednej i drugiej były ostre; długie nosy nie dodawały im urody, tak samo wargi przypominające szramę i cienka jak pergamin skóra napięta na kościach policzkowych. Thelma miała tylko okrągłszy podbródek i nieco dłuższą szyję niż siostra.

– Thelmo, Brendo, poznajcie naszego gościa, Isabel Amou – przedstawiła mnie Bunny.

– Witaj, jak się masz. – Thelma odpowiedziała pierwsza, tak wyraźnie cedząc słowa, jakby trzęsła nią złość. Brenda ze śmiechem wyciągnęła do mnie rękę.

– Hej – rzuciła, po czym powróciła do przerwanej rozmowy, jakby moje pojawienie się i moja obecność nie miały dla niej najmniejszego znaczenia. – Bez względu na zdanie Thelmy uważam, że ciuch jest super – stwierdziła.

– Może i super, ale dla nastolatki – skomentowała siostra.

– Musi być wygodny – powiedziałam.

Miała na sobie długą, cienką białą koszulę w stylu tuniki, wyłożoną na czarne spodnie typu capri, do tego czarne skórzane klapki. Paznokcie u nóg błyszczały srebrem. Thelma była ubrana bardziej konserwatywnie w wyszczuplający kostium z długą spódnicą i wyglądała bardziej na swój wiek.

– Och, jest bardzo wygodny. To najnowszy krzyk mody – Maharani, nowoczesna wersja indyjskiego stylu. Nie rozumiem, czemu moja siostra jest tak krytyczna. Eksperymentowanie ze stylem, przynajmniej od czasu do czasu, to świetna zabawa. Zwłaszcza że wyrosłyśmy już z wieku seksualnych eksperymentów – dodała ze śmiechem.

– Brenda! – upomniała ją ostro Thelma.

– A co, zaprzeczysz? Dobra, ja na pewno wyrosłam, ale mogę mówić tylko za siebie. Jak rozumiem, są

starsze panie, które nadal rozglądają się za zwierzyną, że tak powiem.

– Sama to powiedziałaś – zripostowała Thelma i zwróciła się do Bunny. – Wiem, co mówię, bo nie dalej jak wczoraj powiedziałam jej, co słyszałam na temat Casey Freyman i jej ogrodnika. A raczej ogrodników.

Brenda parsknęła śmiechem.

– Cóż, tylko pozazdrościć. Ponoć viagra działa też na kobiety.

– Och, zamknij się, stara wariatko – zgasiła ją Thelma. – Przysięgam ci, Bunny, głównie jestem zajęta naprawianiem szkód, które moja siostrzyczka wyrządza temu miastu swoimi plotkami i dziecinnym zachowaniem.

– Taka jest rola starszej siostry – powiedziała Brenda i pokornie usiadła.

– Chodź do nas, Isabel – zachęciła Bunny, pokazując mi wolne krzesło.

Usiadłam.

– Proszę, częstuj się.

– Och, nie jestem głodna, dzięki.

– A może się czegoś napijesz, na przykład Krwawej Mary? Brenda zamówiła Mai Tai.

– Nie, dzięki. Wystarczy mi mrożona herbata. Mam nadzieję, że jest? – spytałam, ruchem głowy pokazując na dzbanek.

– Tak, naturalnie.

Nie zadała sobie trudu, żeby mi nalać, więc sięgnęłam po dzbanek i w tym momencie zniecka zmaterializowała się pokojówka, napełniła moją szklankę, po czym tak szybko, jak się pojawiła, znikła z salonu.

– Twoja służba pojawia się i znika jak duchy – powiedziałam.

Bunny się roześmiała. Thelma uniosła brwi, a Brenda przytaknęła z uśmiechem.

– Bo tak ma być – podsumowała Bunny.

Thelma obróciła się ku mnie.

– Słyszałam, że badasz naukowo elitę Palm Beach – powiedziała. – Analizujesz nas jak preparat pod mikroskopem.

– Bez przesady – odparłam z nerwowym uśmiechem. – Robię badania do pracy magisterskiej.

– Na temat bogatych ludzi – dodała szybko Bunny.

– Tak – potwierdziłam skwapliwie.

– To musi być strasznie nudne – stwierdziła z przekonaniem Thelma. – Tutejsze młodsze pokolenie jest zepsute do szpiku kości. Istna banda zdegenerowanych egocentryków. Z kolei starsze jest głównie zajęte odmładzaniem się, czego przykładem jest choćby zachowanie mojej siostry. Każdy klub, jaki odwiedzisz, będzie podobny do poprzedniego, a każda intryga będzie kopią innych intryg.

– Skoro tak tym gardzicie, czemu nie wyniesiecie się stąd? – zapytałam z nieskrywaną ciekawością.

Brenda się roześmiała.

– A niby gdzie miałabym mieszkać? – odparowała Thelma. – Reszta Ameryki jest pełna przestępstw i brudu.

– Poza tym gdyby się wyprowadziła, nie miałabym kogo zapraszać na herbatki – zawołała przejęta Bunny.

– Och, szybko byś kogoś znalazła – pocieszyła ją Thelma.

Bunny roześmiała się, pochyliła ku mnie i przyznała, że tak.

Thelma pokiwała głową, po czym przeniosła spojrzenie na mnie.

– Skąd pochodzisz? – zapytała.

– Z Karoliny Południowej.

- A konkretnie?
- Ze Spring City. To niewielka miejscowość na obrzeżach Columbii. I studiuje na Uniwersytecie Karoliny Północnej.
- A jak trafiłaś do tego domu? – indagowała.
- Thelma, przesłuchujesz ją jak prywatny detektyw – przerwała jej Bunny, widząc moją minę.
- Przyjacieli... mojego taty... polecił mnie – wydukałam.
- Aha. Można wiedzieć, kto to?
- Thelma!
- Bunny, ja prowadzę tylko uprzejmą konwersację – odparła Thelma, ale ucichła i sięgnęła po kanapkę.
- Czy ten nowoczesny indyjski styl dotarł już do Karoliny? – spytała Brenda.
- Tak, zauważyłam parę dziewczyn na kampusie tak ubranych.
- No widzisz? – podchwyciła Thelma, zwracając się do siostry. – Założę się, że nie ma tam nikogo w twoim wieku, siostrzyczko.
- Nieprawda, ten styl nie jest tylko dla młódek – zaprotestowała Brenda. – Tak mówi Madeline.
- Madeline wmawia klientkom różne bzdury, żeby zwiększyć sprzedaż – odpowiedziała jej ostro Thelma, po czym zwróciła się do mnie. – Czym się zajmuje twoja rodzina?
- Mój tata był lekarzem.
- Ach tak. Czy przeszedł na emeryturę?
- Niedawno zmarł.
- Och, współczuję – powiedziała Brenda.
- A matka? – dopytywała się Thelma.
- Zginęła dwa lata temu w wypadku samochodowym.
- O Boże, Boże – jęknęła Brenda. – Thelma, czy musiałaś wyciągnąć z tej biedaczki takie straszne informacje?
- Fakt, czy zadaję pytania, czy nie, nie zmienia tego, co się stało, Brenda. Moja siostra jest jak struś – dodała Thelma na mój użytek. – Najchętniej trzymałaby głowę w piasku.
- Nieprawda!
- Przypuszczam, że prędzej czy później usłyszałybyś to od innych – powiedziała do mnie Thelma – więc ci zdradzę, że kiedy mąż mojej siostry, Marshall Carriage, zmarł we śnie, Brenda utrzymywała tę śmierć w tajemnicy przez całe trzy dni. Nawet mnie nie powiadomiła!
- Brenda zrobiła płaczliwą minę.
- Moim zdaniem liczyła na zmartwychwstanie. Nie wypada tak po prostu umrzeć na atak serca – ciągnęła bezlitośnie Thelma, przewiercając siostrę spojrzeniem, zdolnym przedziurawić pancerz czołgu.
- Po prostu uważam, że im mniej się mówi o stracie i nieszczęściu, tym szybciej przeminą – wyjaśniła spokojnie Brenda, próbując się bronić. – Widziałaś kiedyś martwego ptaka? Lata sobie, śpiewa, a potem pewnego dnia po prostu go nie ma.
- Bo pewnie coś go zjadło. – Thelma była coraz bardziej sfrustrowana.
- Wszystko jedno. Ważne, że był i go nie ma, prawda?
- Boże, daj mi siłę. – Thelma westchnęła. – Czy twoim zdaniem ta dziewczyna przemilcza niemiłe fakty ze swojego życia? Zapytałam ją o rodziców i wyznała mi prawdę, zamiast opowiedzieć jakąś bajeczkę, która miałaby to ukryć.
- No widzisz, Isabel, dokładnie takie rzeczy miałaś usłyszeć – wtrąciła się z entuzjazmem Bunny. – Iluzja życia, czyli opowieść o Palm Beach – taki powinien być tytuł twojej pracy.
- Zaiste – stwierdziła sucho Thelma i znów zmierzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem. – Słyszałam o ludziach, którzy przyjeżdżają tu, udając kogoś innego, podczas gdy naprawdę szpiegują na rzecz

któregoś z członków rodziny. Mają za zadanie oszacować majątek, aby ten ktoś mógł potem go uszczknąć, posługując się nieczystymi chwytami.

– Isabel absolutnie nie wygląda na taką osobę – stwierdziła Bunny, przychodząc mi w sukurs.

– Możliwe. – Thelma kiwnęła głową. – Zamożni ludzie powinni być bardziej sceptyczni i czujni.

Pamiętacie, co odpowiedział Willie Sutton, kiedy zapytano go, czemu rabuje banki?

– No, co odpowiedział? – spytała Bunny.

– „Bo tam są pieniądze”. Po prostu. To samo dotyczy nas, Bunny. Tacy ludzie zjawiają się, bo tu są pieniądze. Wierz mi, ja i moja siostra jesteśmy dwiema stronami tej samej monety.

– Mam nadzieję, że to jest rzadka moneta – skomentowała ze śmiechem Bunny.

– Niestety nie. – Thelma znów obrzuciła mnie spojrzeniem.

– Jestem studentką – zapewniłam. – Nie mam ukrytych planów.

Wpatrywała się we mnie intensywnie, bez drgnienia powieki. Zapadła męcząca cisza.

– Wiecie co? – wyskoczyła nagle Bunny. – Zrobię przyjęcie.

– Kiedy? – spytała szybko Brenda.

– W sobotę wieczorem. Isabel będzie mogła porozmawiać z wieloma ludźmi, zamiast łąpać ich pojedynczo.

– Nie wiem, czy impreza jest miejscem, gdzie ludzie naprawdę mówią i myślą to, w co wierzą – powiedziałam łagodnie. Bunny ogromnie się zapaliła do swojego pomysłu i głupio mi było tłumić jej entuzjazm.

– Być może w innych miejscach kraju tak jest, ale na pewno nie tu – stwierdziła Thelma. – Po paru kieliszkach szampana ludzie powiedzą ci wszystko.

– Uwielbiam imprezy! – zawołała rozpromieniona Brenda.

– Dla ciebie każdy dzień jest jedną wielką imprezą – skomentowała Thelma.

– A czemu nie? – odgryzła się Brenda i trudno było jej zaprzeczyć. Nawet Thelmie, która tak zacisnęła usta, że wyglądały jak sine rozcięcie w jej twarzy.

– Świetnie. – Bunny klasnęła w ręce. – W takim razie zrobmy zaraz listę gości. Skromną, taką na sto, sto dwudzieścia osób.

– To ma być mało? – Nie wierzyłam własnym uszom.

Nawet Thelma się roześmiała.

– W Palm Beach bije imprezowe serce kraju – powiedziała i zerknęła na Bunny. – Jest niedużo czasu, żeby dobrze przygotować przyjęcie.

– Damy radę – zapewniła Bunny.

– Jedną z najtrudniejszych rzeczy tutaj jest wywarcie wrażenia na innych – wyjaśniła mi Thelma. – To, co tobie i twoim przyjaciółom ze Spring City wydaje się fajerwerkiem, tutaj uchodzi za nudne.

– Nasza impreza nie będzie nudna. Rozstawimy namiot i wszystko odbędzie się nad basenem. Sprowadzę firmę, która zmontuje parkiet do tańca – taki sam, jak był u Cooksów, pamiętasz? I chciałabym, żeby wszystkie krzesła zostały udekorowane kwiatami.

– I pamiętaj o lampkach – dorzuciła Brenda. – Muszą być wszędzie rozwieszane.

– Dobrze, będę pamiętać. Rozstawi się cztery barki, a cateringiem zajmie się Maxim. Pojadę tam jutro rano i zaplanuję menu. Chciałabym, żebyście wszystkie trzy mi towarzyszyły.

– Ja jeszcze nie wiem – powiedziała Thelma.

– Niech tylko wymyślą dania, których nie dostanie się w żadnej restauracji w Palm Beach – zaznaczyła Brenda. – Uwielbiam takie atrakcje.

Bunny kiwnęła głową.

– A co do muzyki... zamówię tę dwudziestoosobową orkiestrę, która grała u Graftersów.

– Nie da rady zamówić orkiestry w tak krótkim czasie. – Thelma pokręciła głową.

– Asher podwoi stawkę, albo Thatcher coś wymyśli, jak zawsze. A jeśli się nie uda, zatrudnimy tego czarnego piosenkarza, jest ostatnio bardzo modny – wiecie, ten, który przygrywa sobie na pianinie. Sprowadzę go z Nowego Jorku.

– Ach, cudownie! – wykrzyknęła z zachwytem Brenda. – I na czasie, bo ten tydzień zapowiadał się bardzo nudno, nic ekscytującego, nieprawdaż, Thelmo?

– W żadnym tygodniu nie ma nic ekscytującego.

Urwała, spojrzała na Bunny, potem na mnie i znowu na nią.

– Co się stało? – zapytała z uśmiechem Bunny.

– Tutaj pewnie chodzi o coś jeszcze.

– Co takiego?

– Nie wiem, ty zawsze spiskujesz.

Matka Thatcher'a zaśmiała się nerwowo.

– Pamiętaj, że ty też jesteś teraz częścią spisku – zwróciła się do mnie.

– Nic o tym nie wiem.

– Może tak – powiedziała Thelma z tym swoim sceptycznym spojrzeniem, które sprawiało, że czułam się jak naga. – A może nie.

Bunny patrzyła na mnie, jakby Thelma Carriage rozsunęła jakąś kurtynę – ale za moment potrząsnęła głową i znów skupiła się na planowanym przyjęciu.

Nie wiem, czy sprawiła to presja, jaką wywierano na mnie przy herbacie, czy moja wcześniejsza morska eskapada z Thatcherem, ale nagle poczułam się bardzo zmęczona. Przeprosiłam i wstałam od stołu, aby udać się na drzemkę. Kiedy się obudziłam, było już ciemno i ze zdumieniem zobaczyłam, że minęła dwudziesta pierwsza. Smuga księżycowego światła przecinała ocean jak srebrna wstęga, sięgająca horyzontu. Jaśniała tak, że pochłaniała światło gwiazd.

Zastanawiałam się, gdzie jest Thatcher, i miałam nadzieję, że on też chciałby wiedzieć, co się ze mną dzieje. Weszłam do łazienki i obmyłam twarz zimną wodą. Byłam skołowana, zupełnie jakbym coś brała.

W domu panowała cisza i zrazu pomyślałam, że Thatcher po prostu dał sobie spokój i poszedł spać, ale kiedy zeszłam na dół, zobaczyłam, że siedzi na tylnym tarasie; popijał drinka i wpatrywał się w ten sam księżycowy blask, który podziwiałam chwilę wcześniej. Miał na sobie biały jedwabny półgolf z krótkimi rękawami i czarne luźne spodnie.

Parę sekund stałam nieruchomo, analizując zamyślenie, z jakim wpatrywał się w ocean. Zawsze lubiłam podglądać tatę, kiedy nie wiedział, że na niego patrzę. To oczywiście nie fair i sama nie znosiłam, kiedy ktoś mnie skrycie obserwował – lecz z drugiej strony był to jedyny sposób, żeby naprawdę kogoś poznać. Czyli uchwycić czyjąś minę bez ochronnej maski, ciało w swobodnych pozach, bez odgrywania ról. W tacie widziałam uosobienie mężczyzny. Thatcher też był męski, a do tego... och, jakież przystojny i inteligentny!

– Cześć. – Podeszłam do niego.

– O, hej. – Zerwał się z miejsca. – Co u ciebie? Zastanawiałem się, co się z tobą dzieje. Okazało się, że przestałaś istnieć dla świata, więc uznałem, że nie należy ci przeszkadzać. Bunny powiedziała mi, że poznałaś siostry Carriage.

– Zgadza się – przyznałam.

– Thelma bywa upierdliwa, a Brenda jest tak dziecinna, że wymaga specjalnej troski, jak nie przymierzając pięciolatka. – Skrzywił się wymownie. – Słyszałem o imprezowych planach Bunny i jest mi przykro, bo wiem, że nie tego się spodziewałaś.

– Nie ma sprawy – zapewniłam.

Podsunał mi krzesło.

– Głodna?

– Trochę.

– Możemy więc sobie przekąsić coś meksykańskiego. A na początek napijemy się margarity. – Sięgnął po dzbanek i nalał mi.

Służba musi mieć uszy w ścianach, pomyślałam, gdy pokojówka zjawiała się z daniami w chwili, kiedy napełnił mi kieliszek.

Thatcher uniósł pokrywkę półmiska.

– Zamówiłem *fajitas*, *enchiladas* i parę *burritos*.

– I to nazywasz przekąską?

Roześmiał się.

– Tu nic nie jest małe, zwłaszcza nasze ego. A, byłbym zapomniiał – był telefon do ciebie.

– Do mnie?

– Tak. – Wyjął z kieszeni spodni karteczkę i mi podał. Była to wiadomość od pana Bassingera. Przekazał, że wszystko jest w porządku, ale chciałby, żebym odezwała się do niego w wolnej chwili.

– Mam nadzieję, że to nic złego – powiedział Thatcher.

– Nie, to tylko nasz rodzinny prawnik. Zajmuje się sprawami domu pod moją nieobecność.

– Rozumiem. Musi być przyjacielem rodziny, prawda?

– Tak.

Wzrok Thatchera przesunął się badawczo po mojej twarzy, jakby szukał ukrytych znaczeń. Umknęłam spojrzeniem ku potrawom.

– Wszystko tu wygląda i pachnie pięknie.

– Nic dziwnego, rodzice mają świetnego kucharza.

– Własnego?

– Nie, robi tylko śniadania, obiady i kolacje – odpowiedział ze śmiechem. – Jedyne rzeczy, jakie potrafi upichcić moja mama, to skandale i intrygi towarzyskie.

Teraz ja się roześmiałam. Było miło i fajnie nam się gadało. Thatcher opowiedział mi więcej o swojej młodości i podróżach, a także co nieco o siostrze i jej rodzinie. Okazało się, że zwiedził wszystkie miejsca, o których marzyłam. Odniosłam wrażenie, iż większość tych podróży odbył z kimś, lecz raczej nie z osławioną Mai Stone.

Potem poszliśmy na spacer po plaży. Szliśmy, trzymając się za ręce, i całowaliśmy się od czasu do czasu, ale byłam coraz bardziej senna. Kiedy Thatcher zobaczył, że zamykają mi się oczy, zawrócił.

– Za dużo słońca i drinków – powiedziałam.

– Byle nie za dużo mnie. – Zachichotał.

– Na razie nie musisz się obawiać – zapewniłam. Odprowadził mnie do pokoju i poszedł do siebie.

Zasnęłam, zaledwie przyłożyłam głowę do poduszki.

Ocknęłam się nagle w środku nocy, jakby czuwał mój szósty zmysł, odbierający ukryte sygnały z otoczenia. Zerknęłam na zegarek. Druga. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że księżyc już zaszedł, uwalniając światło gwiazd. Niespieszenie wyszłam z łóżka, niemal jak lunatyczka, która usłyszała nocny zew. Coś ciągnęło mnie w stronę tarasu. Wyszłam przez balkonowe drzwi prosto w chłodne powietrze nocy. Dół nocnej koszuli zafalował w powiewie bryzy. Głęboko nabrałam powietrza i już miałam zawrócić do łóżka, kiedy kątem oka zobaczyłam błysk światła w oddali. Podeszłam do barierki, żeby mu się przyjrzeć.

Najpierw widziałam tylko światełko. Wyglądało, jakby się poruszało; za moment zorientowałam się, że

pochodzi z latarni trzymanej przez kogoś, kto nią machał, jakby dawał znaki. Kiedy moje oczy przywykły do ciemności, zobaczyłam, że to moja mama stoi na pomoście. Była ubrana w białą, długą nocną koszulę, która zdawała się jaśnieć blaskiem pożyczonym od gwiazd.

Co ona tam robi?

Razem z nią wpatrzyłam się w ocean ciemny jak atrament, ale na horyzoncie przesuwały się tylko światła jakiegoś statku.

Wypatruje kogoś?

Dziwne było to wszystko.

Pod wpływem nagłego impulsu wróciłam do pokoju po szlafrok i kapcie, które dała mi Bunny, po czym w pośpiechu wymknęłam się na zewnątrz.

Schodząc z tylnego tarasu, ciągle widziałam latarnię kołyszącą się w ciemnościach. W połowie drogi do plaży zatrzymałam się z bijącym sercem. Co ja robię? Jak można tak nachodzić kogoś w środku nocy? Czy ona w ogóle wie, że tu jestem? Czy Linden powiedział jej, czy nie? Co będzie, jeśli wystraszę ją i ucieknie spłoszona, bo nakryłam ją na nocnej eskapadzie?

Za długo się zastanawiałam i kiedy znów ruszyłam, mama już odchodziła. Chciałam zawołać do niej, ale bałam się, że nie usłyszy. Po prostu za wolno się poruszałam. Zanim dotarłam do plaży, zniknęła za rogiem swojego domu.

Zatrzymałam się i stałam tak, czując się głupio w tym szlafroku i kapciach. Z żalem stwierdziłam, że muszę wrócić do sypialni, choć wiedziałam, że nie zasnę do rana. Wtem usłyszałam szelest i zamarłam, a potem odwróciłam się i rozejrzałam czujnie, śledząc każdy cień w mroku.

Zrazu niczego nie zobaczyłam i już miałam wracać, kiedy znów usłyszałam ten odgłos i skupiłam spojrzenie na ciemnym kącie, w którym zmaterializował się jakiś cień. Za moment zmienił się w pełnowymiarową postać i nagle Linden pokazał się w świetle gwiazd. Na jego widok odjęło mi oddech. Odruchowo złapałam się ręką za gardło i zrobiłam krok w tył.

– Co ty tu robisz? – zapytałam zduszonym szeptem.

– Wyszedłem się przejść. A ty co tu robisz o tak dzikiej porze?

– Zobaczyłam... wyjrzałam przez okno i zobaczyłam twoją mamę na pomoście.

– Na pomoście? W środku nocy? Moją mamę? Nie, to śmieszne. Chyba ci się śniło.

Przysunął się bliżej. Miał na sobie jasnoniebieską kurtkę, ale był bez koszuli i bez spodni, tylko w slipkach, bosy.

– Nie, jestem pewna, że ją widziałam.

– Nie mogłaś widzieć tu mojej mamy. W żadnym razie. Musiało ci się przywidzieć.

– Ale ktoś tam był – upierałam się. – Machał latarnią.

– Latarnią? – zdziwił się. – Co to ma być? Pisziesz jakąś powieść, czy co?

– Nie, ja tylko...

– Nie widziałem nikogo na pomoście – stwierdził z całkowitym przekonaniem – a przecież jestem tutaj od dobrych dwudziestu minut. Ciemność, światła, ruch fal mogą zmylić wzrok. Nie słyszałaś marynarskich opowieści o żonach czy matkach, które ponoć idą ku nim po falach tysiące kilometrów od brzegu?

Spojrzał na ocean.

– Tyle gwiazd odbija się w wodzie, a każda migocze i zwodzi twoją wyobraźnię albo twoje skrywane życzenia. To wszystko, nie ma się czym ekscytować.

Kiwnęłam głową.

– Zapewne masz rację.

– Oczywiście, że mam rację. Mieszkam tutaj od urodzenia, więc wiem. – Urwał i popatrzył na mnie. –

Powinnaś wrócić do łóżka.

– Czemu ty nie idziesz do łóżka, tylko chodzisz po nocy? – odbiłam piłeczkę. – Jest już po drugiej.

– Od dawna dręczy mnie bezsenność. Już jako dziecko nie mogłem zasnąć. Nienawidzę sjesty, bo drzemka jest nie dla mnie.

– I nie czujesz się zmęczony?

– Można być nawet wyczerpanym i nie doczekać się snu.

– Nie powinieneś iść do lekarza?

– A myślisz, że nie byłem? Konowały potrafią tylko przepisywać środki na sen, które uzależniają.

Mama daje mi przed snem do wypicia kubek gorącego mleka i to czasami pomaga, lecz mam poczucie, że nade mną wisi nasza klątwa. Wszyscy zmagamy się z klątwami, z którymi przyszło nam żyć, prawda, Isabel? – zapytał i popatrzył na mnie wymownie. Nawet w mroku czułam jego intensywne spojrzenie.

Pozostało mi tylko kiwnąć głową.

– Powinnaś wrócić do łóżka – powtórzył. – I nie zapomnij o naszym układzie – dodał, po czym odwrócił się na pięcie i pomaszerował do drzwi, starając się iść w najgłębszym cieniu, niczym jakieś nocne stworzenie.

Pędem pobiegłam z powrotem.

Dlaczego Linden tak usilnie zaprzeczał obecności mamy na pomoście? Jak mógł jej nie zauważyć?

A może ma rację i rzeczywiście coś mi się uroiło?

Długo przewracałam się w łóżku, a potem śniły mi się koszmary. Dopiero kiedy pierwsze promienie słońca liznęły moją twarz i powieki, obudziłam się z jękiem i chwilę leżałam, rozmyślając o tym, co się zdarzyło.

Naprawdę mi się przyśniło?

A może jednak nie i moja mama naprawdę stała z latarnią na pomoście, a Linden czaił się w ciemnym kącie? Kim oni naprawdę są, ta matka i syn, którzy żyją jak pustelnicy w bogatej posiadłości?

Ile z nich jest we mnie? Czy moja matka adopcyjna miała jednak rację, kiedy wmawiała mi, że łatwo może się u mnie rozwinąć choroba psychiczna? Ja też niedługo będę wychodzić na pomost w środku nocy i wpatrywać się w ciemność? Czyżby dla mojej prawdziwej matki istniała tylko ciemność, nawet w najbardziej słoneczny dzień? Takie samo jest moje przeznaczenie?

Niczym czytelnik, przerażony tym, co czyta, bałam się odwrócić kartkę i czytać dalej.

Ale wiedziałam, że nie mam wyboru. Teraz ta historia stała się moim udziałem i lektura była obowiązkowa. I tak wiedziałam już zbyt dużo, ale chorobliwy apetyt pchał mnie, aby pożerać tyle nowej prawdy, ile tylko mogę strawić.

Rozdział dwunasty

LINDEN

Już miałam podnieść się z łóżka, kiedy usłyszałam dyskretne pukanie do drzwi.

– Tak?

Thatcher z uśmiechem wsadził głowę w szparę. Był już w garniturze i pod krawatem, rześki i gotów do rozpoczęcia pracowitego dnia.

– Przepraszam – powiedział. – Zjadłbym z tobą śniadanie, lecz dzisiaj muszę służbowo jechać do Miami. Zajmie mi to prawie cały dzień, ale jeśli zechcesz, zabiorę cię na kolację.

– Chętnie – odparłam.

Uśmiechnął się, sprawdził, czy nikt nie idzie, po czym szybko wszedł do pokoju i pocałował mnie.

– Fajnie, że jest ktoś, kogo mogę czule powitać rano. Ustawi mnie to na cały dzień. – Jeszcze raz mnie pocałował. – Muszę iść – dodał z żalem i zawrócił do drzwi. – Tylko nie daj się zwariować mojej mamie i jej przyjaciółkom. I nie daj się w nic wpuścić, dobrze? – ostrzegł. Pomachał mi od progu i cicho zamknął drzwi, tylko po to, żeby zaraz je uchylić. – Powiem Jenningsowi, żeby zadzwonił do ciebie za parę minut i zapytał, czego byś sobie życzyła na śniadanie. Sugeruję, abyś zjadła je na tarasie. Czy wiesz, że wschody słońca i poranki w Palm Beach są najpiękniejsze w całej Ameryce? Promienie złocą całe miasto niczym reflektory, jakby natura realizowała wielki spektakl.

– Och, naprawdę? – zapytałam ze śmiechem. – Powinieneś pracować w branży promocyjnej.

– Wielu ludzi bardzo poważnie podchodzi do spraw natury i energii, Willow. Wierzą w coś, co się nazywa *feng shui*. Wiesz, o czym mówię?

Pokręciłam głową.

– *Feng shui*, pradawna chińska nauka, każdy szczegół codziennego życia rozpatruje w harmonii z naturą. Według niej znaczenie ma rozkład domu, w którym się mieszka, i jego wystrój. Ważne jest nawet, jak rozstawisz meble. Odpowiednio zorganizowane czas, przestrzeń i działania mają zwiększać naszą życiową energię, harmonię z kosmosem, działać uzdrawiająco i przynosić nam szczęście – wyjaśnił, po czym wykonał ostrzegawczy gest. – Tylko nie pozwól, żeby Bunny wskoczyła na swojego ulubionego konika. Dziesięć razy przemeblowywała salon, w zależności od tego, co kazał jej ten czy inny guru.

Harmonia z naturą, pomyślałam. Cudownie brzmi. Każdy dąży do jakiegoś szczęścia czy komfortu, pragnie mieć poczucie bezpieczeństwa – nawet najbogatsi z nas. Podejrzywałam, że u podstaw tego wszystkiego leży zwykły strach przed samotnością.

– W każdym razie – podjął Thatcher – ciesz się pięknym porankiem i udawaj, że jestem przy tobie – zalecił mi z uśmiechem i wyszedł.

Ja też poczułam, że mój dzień wystartował i zaczął nabierać kształtu. Z drugiej strony ciągnęło mnie, żeby wrócić do łóżka i jeszcze trochę pospać. Bezwolnie opuściłam głowę na poduszkę. Co się ze mną dzieje? Przecież nie przyjechałam tutaj po to, żeby przesypiać cenny czas.

Interkom zadzwonił, zanim znów zaczęłam się zmagać ze sobą. Przyszedł Jennings, żeby dowiedzieć się, czego sobie życzę na śniadanie. Złożyłam zamówienie, po czym wstałam i wyszłam na taras. Poranek był rzeczywiście przepiękny. Teraz już wiedziałam, dlaczego ludzie czują się tutaj jak w raju. Znów spojrzałam na pomost i przypomniałam sobie nocne wydarzenia. Może dzisiaj uda mi się porozmawiać chociaż chwilę z mamą i wreszcie zrozumieć, co się ze mną dzieje, pomyślałam z nadzieją.

Wzięłam szybki prysznic i siedziałam już w szlafroku na tarasie, kiedy pokojówka przyniosła śniadanie. Nie wiem, czy sprawiło to świeże oceaniczne powietrze, czy może spaliłam w łóżku tyle energii, przewracając się i nie mogąc zasnąć – dość, że z apetytem sprzątnęłam prawie wszystko z tacy. Następnie włożyłam szorty, top i sandały, po czym zbiegłam na dół, spiesząc na umówione z Lindenem pozowanie.

Był już na plaży i przygotowywał się do malowania. Zerknął na mnie i odwrócił wzrok.

– Nie liczyłem, że przyjdiesz – powiedział tym swoim posępnym tonem.

– Jak mogłam nie przyjść, skoro się zgodziłam?

Znów na mnie spojrzał, tym razem z irytująco sarkastycznym uśmiechem.

– Tutaj ludzie obiecują wiele rzeczy, nie mając zamiaru dotrzymać obietnic.

– Ale ja nie jestem stąd, nie pamiętasz już? Zresztą zawarliśmy układ. Mam rozumieć, że nie zamierzasz go dotrzymać ze swojej strony? Przecież jesteś stąd.

Zmierzył mnie wzrokiem. Już myślałam, że powie coś niemiłego, lecz nagle twarz mu się rozjaśniła i zaczął się śmiać.

– Dobra. – Ruchem głowy pokazał na dużą papierową torbę. – Rzeczy są tutaj.

Zajrzałam do środka i przeszłam z torbą za wydmnę, którą wskazał mi wczoraj. Wszystko pasowało jak ulał, jakby uszyte na miarę, a do tego pięknie pachniało moją ulubioną lawendą. Kiedy wróciłam przebrana, popatrzył na mnie z aprobatą, a może nawet było w tym coś więcej. Niespiesznie omiół mnie spojrzeniem, przenosząc je powoli z mojej twarzy na szyję, dekolt, piersi i talię, aby powrócić znów do twarzy i zatopić wzrok w moich oczach. Patrzyliśmy tak na siebie długą chwilę, aż zaczęłam się zastanawiać, czy zobaczył we mnie coś z siebie – na tyle, aby dało mu do myślenia, kim naprawdę jestem. Czy dlatego tak mi się przyglądał?

Wyraz jego twarzy zmienił się nieco, jakby mur, który wzniosł pomiędzy nami, skruszył się, i mogłam zobaczyć jego inną stronę, tę łagodniejszą.

– Wyglądasz dokładnie tak, jak sobie wyobraziłem – powiedział wreszcie.

– To znaczy jak?

– Świeżo, niewinnie.

– Jasne, cała ja – zachichotałam.

– Przynajmniej taką mam artystyczną wizję – odpowiedział z uśmiechem.

– Gdzie mam usiąść? – spytałam, nie kryjąc zniecierpliwienia. Trzeba przyznać, że ten gość potrafił grać na nerwach.

– Och, siadaj tutaj. – Wskazał na małe wzniesienie przy plaży. – I patrz na ocean.

Zrobiłam, o co prosił. Przyglądał mi się chwilę.

– Mogę? – zapytał. Kiedy kiwnęłam głową, podszedł i położył mi dłonie na ramionach.

– Tak, oczywiście.

Obrócił mnie lekko, a potem wsunął mi palce we włosy i zwichrzył je malowniczo. Następnie zrobił krok w tył, znów długą chwilę taksował mnie spojrzeniem artysty, po czym pochylił się i wygładził mi spódnice.

– Wygodnie ci się siedzi?

– Na razie tak, ale nie sądzę, żebym wytrzymała bez ruchu dwie czy trzy godziny – ostrzegłam.

– Nie oczekuję, żebyś zamieniła się w posąg na dwie czy trzy godziny. Możemy przecież robić przerwy

– dodał i pospieszył do sztalugi, jakby się obawiał, że zaraz się zerwę i mu ucieknę, a wraz ze mną umknie natchnienie. Pracował szybkimi, gorączkowymi ruchami, cyzelując mój wizerunek, przetrawiał go w wyobraźni i dodawał mu wszystko ze swojej wizji.

– Przepraszam, jeśli wystraszyłem cię wczoraj w nocy – odezwał się niespodziewanie po dziesięciu minutach malowania.

Chciałam odruchowo obrócić się ku niemu.

– Och, proszę, spróbuj jeszcze chwilę nie zmieniać pozycji.

– Spróbuję. Przykro mi, że masz kłopoty ze snem. Rzadko zdarzają mi się takie momenty, ale szczerze ich nienawidzę. Budzę się wtedy roztrzęsiona i zła na siebie, że za bardzo się czymś zamartwiam albo zjadłam coś niestrawnego. I że ludzie zobaczą, w jakim jestem stanie.

– Zgadza się – przytaknął. – Ale w moim przypadku ludzie będą raczej uważać, że zawsze budzę się rozdrażniony i zły na siebie, bez względu na to, ile śpię.

– Serio? Ciekawe, czemu tak myślisz – zainteresowałam się z nutą kpiny.

– Nie wiem, z czego się tu śmiać. Jestem, jaki jestem. – Wzruszył ramionami.

– I tak każdej nocy?

– Prawie – odparł i dodał po chwili: – Wolałbym, żebyś nie opowiadała o naszym spotkaniu. Zaraz by ci powiedziano, to specjalność Eatonów, że mam gen zaburzeń psychicznych.

– Gdyby sądzić na podstawie bezsenności, znalazłoby się tu wielu ludzi z zaburzeniami psychicznymi – zauważyłam.

– A kto mówi, że ich tutaj nie ma? – odpowiedział z rozdrażnieniem. – Jeśli chciałoby ci się pić, mam chłodną lemoniadę – dodał, ruchem głowy pokazując na turystyczną lodówkę.

– Dzięki.

Milczeliśmy. Kątem oka obserwowałam, jak Linden maluje. Czynił to z niemal obsesyjnym skupieniem i determinacją. Żył na szyi i czole nabrzmiały mu z wysiłku. Parę razy przygryzł wargi do krwi.

– Malujesz w przepięknej scenerii – rzuciłam, żeby przerwać ciszę.

– Nie zawsze tu pracuję. Czasami biorę żaglówkę i płynę do zatoki niedaleko stąd, gdzie już zupełnie nikt mi nie przeszkadza. Tutaj przeszkadzają mi odgłosy domu czy nawet goście Eatonów, którzy włączają się po plaży i zaglądadają mi przez ramię, żeby zobaczyć, co maluję.

– Lubisz samotność?

Zgromił mnie spojrzeniem, jakbym zapytała o głupotę.

– Przeważnie tak – odpowiedział – ale to nie znaczy, że nie lubię ludzi.

– Nadmiar introwertyzmu nie jest dobry, ale człowiek od czasu do czasu powinien być sam i jest to całkowicie normalne. Jednak wielu z nas obawia się, że w samotności przemówi niczym nietłumiony wewnętrzny głos, którego wolelibyśmy nie słyszeć.

– Mówisz jak psycholog. Tym się zajmujesz?

– Zgadłeś – odpowiedziałam z uśmiechem.

Pędzel znieruchomiał w powietrzu.

– Ale nie przyjechałaś tu w sprawach zawodowych, prawda? Jeśli ktoś cię tu przysłał, nie...

– Absolutnie nie! – zaprzeczyłam żywo. – Robię tutaj badania socjologiczne... potrzebne mi do pracy magisterskiej.

Mur pomiędzy nami znów wyrósł; spojrzenie Lindena stało się chłodne i sceptyczne.

– Zresztą – dodałam – szpiegowanie bez zgody danej osoby urąga zasadom badań naukowych. Takie postępowanie jest nieetyczne. Musisz zdobyć zaufanie ludzi, żeby ich rozumieć i poznać ich problemy – zwłaszcza jeśli chcesz im pomóc.

– Skąd tyle o tym wiesz? – zapytał z autentycznym zaciekawieniem. – Nie brzmisz jak studentka.

– Mój ojciec był psychiatrą.

– Aha. – Z wyraźną ulgą kiwnął głową. Czyżby myślał, że musiałam się leczyć psychicznie? –

Współczuję – dodał i powrócił do malowania.

– Dlaczego mi współczujesz?

– Bo ludzie mogą pomyśleć, że masz dobrze, bo w razie czego ojciec da ci prochy, i nie potrafią oddzielić cię od niego. Ja mam podobnie, bo wszyscy widzą mnie przez pryzmat mojej matki i wiem, że doszukują się u mnie objawów, które podejrzewają u niej.

– Oj, tak, niełatwo być nastolatkiem – przyznałam.

Skinął głową.

– Niełatwo? Ja miałem piekło!

– Czemu?

Znów rzucił mi spojrzenie sugerujące, że zadałam głupie pytanie. Nie odpowiedział, malował dalej. Obserwowałam jacht żaglowy, który zrobił zwrot i zaczął płynąć w stronę swojej przystani. Buczący dźwięk motorówki przypomniał mi o Thatcherze. Za moment na niebie pojawił się samolocik, ciągnący za sobą baner reklamujący specjały jakiejś restauracji.

– Zróbmy przerwę – zaproponował Linden po kwadransie. Otworzył lodówkę, wyjął schłodzoną lemoniadę i nalał mi.

– Dziękuję.

– Czy ty i Thatcher już dostaliście się na tapetę?

– Co takiego?

Odwrócił się i chwilę trwał napięty niczym struna skrzypiec, gotowa pęknąć przy niewłaściwym pociągnięciu smyczka.

– Czy kobiety zawsze muszą udawać, choćby odruchowo? – warknął.

– Nie tylko kobiety udają – odparowałam i z obawą wstrzymałam oddech. Wybuchnie, słysząc mój poirytowany ton?

Linden zaskoczył mnie uśmiechem.

– Masz rację – przyznał. – Mężczyźni tak samo dobrze potrafią udawać i kłamać. Na przykład taki Thatcher.

– Nie lubisz go?

– Jest mi na tyle obojętny, że nie ma kwestii, czy go lubię, czy nie. Wiem, jaki jest, jak został wychowany i jak zarabia na życie.

– O ile mi wiadomo, pomaga tobie i mamie?

– Owszem, ale nie ma w tym nic z altruizmu. Po prostu zajmując się zaburzoną kobietą i jej synem artystą, kreuje wizerunek adwokata o ludzkiej duszy.

– Wydaje mi się, że się mylisz. Nieraz wypowiadał się przy mnie krytycznie o tutejszych elitach. Czasami potrafi być tak kąśliwy, że zastanawiam się, co tu jeszcze robi.

– A pytałaś go o to?

– Tak.

– I co? Pewnie odpowiedział w stylu: „A gdzie miałbym żyć?”.

– Zgadza się. A ty? Musisz się tu męczyć?

Spodziewałam się, że kolejny raz zgromi mnie spojrzeniem, ale nie zrobił tego.

– Jestem tutaj ze względu na mamę.

– Dlaczego ona tu siedzi?

– Siedzi, bo myśli, że... – Zawiesił głos.

– Że co? – zapytałam bez tchu, bojąc się, że zachowa odpowiedź dla siebie.

Nie miałam pojęcia, co sprawiło, że w ogóle zaczął o tym mówić. Może wyczuwał łączącą nas duchową więź, a może trzymane w tajemnicy sekrety drażniły mu serce i pragnął się wreszcie ich pozbyć? Tata nazywał podobną postawę mentalnym krwotokiem wewnętrznym i twierdził, że udręczeni ludzie chcą wreszcie przeciąć ten wrzód. Sztuką było wyczucie, kiedy zbliża się ten moment, i sprawienie, żeby pacjent lekarzowi zaufał.

– Myśli... myśli, że ktoś cudowny, wyczekiwany przyjdzie po nią – wyjął szeptem Linden. – I zabierze ją stąd, daleko od tego wszystkiego, gdzieś, gdzie będzie mogła zapomnieć o minionych latach i udrękach. Mama bez ustanku o tym marzy.

Ledwie mogłam oddychać. Powiew bryzy poruszył mi włosy, pieszcząc nimi twarz. Rześka słona wilgoć ożywczo działała na skórę, a regularny szum oceanicznych fal koił niczym kołysanka, wprowadzając nas w spokojny, medytacyjny nastrój.

– To jest jej nowe szaleństwo – dodał Linden.

– Dlaczego tak mówisz? – zachnęłam się. – Dlaczego nazywasz to szaleństwem? Każdy ma marzenia o lepszym losie.

Milczał długą chwilę, a potem odwrócił się do mnie.

– Skłamałem ci wczoraj w nocy. Ona rzeczywiście była na pomoście. Nic ci się nie śniło. Wyszedłem za nią, żeby sprawdzić, czy nie...

– Czy czegoś sobie nie robi?

– Czy zadowolili się tylko staniem na pomoście i dawaniem sygnałów latarnią.

– Dlaczego to robi?

– Musi być coś w jej przeszłości... Może ktoś jej coś obiecał... Trudno powiedzieć. Nigdy nie mówiła mi o tym.

– Nie rozumiem. – Pokręciłam głową.

Znów na mnie popatrzył.

– Mama myśli, że on zaraz się zjawi, więc jak latarnia morska pragnie naprowadzić go na drogę do jej serca. Szaleństwo, nie? – Znów powrócił do swojego agresywnego, drażliwego „ja”. – Idealny materiał dla naukowców albo dla tutejszych plotkarskich kółek.

– Nieprawda – zaprotestowałam. – To nie jest szaleństwo.

Oczy rozszerzyły mu się ze zdumienia.

– Tak uważasz?

– Tak. Tu nie chodzi o nowe szaleństwo, tylko o nadzieję, marzenie, bardzo mocne pragnienie czegoś czy kogoś – wyjaśniłam. – Ona wychodzi na ten pomost i daje znaki, bo chce żyć. Po to właśnie są nadzieje i marzenia. Pomagają nam dać sobie radę ze sobą i z rzeczywistością.

Wpatrzył się we mnie jeszcze bardziej intensywnie, a potem, jakby zrozumiał, że dopuścił mnie do swoich wewnętrznych rejonów, do których nikt nie ma prawa wejść, i z zakłopotaniem odwrócił wzrok.

– Ładne wytłumaczenie – mruknął. – Niestety, ja nie mam marzeń ani nadziei.

– Na pewno masz, bo inaczej nie byłbyś artystą.

Znów na mnie spojrzął i w jego oczach mignął błysk, niczym blask lampy, która długo była zamknięta na strychu, a potem wyjęta i zapalona. Mroczny gniew zaczął rozmywać się na jego twarzy, jakby Linden nosił maskę z lodu, która zaczęła topnieć. Wyłaniało się spod niej oblicze młodzieńca potrafiącego kochać, marzyć, żyć i pracować. Na moment objawiła się jego prawdziwa natura, ale tylko na moment.

– Muszę wrócić do malowania, bo mi tu nie wysiedzisz – powiedział, zrywając się z uśmiechem z piasku. – Wytrzymasz jeszcze trochę?

– Jasne, bez problemu.

– Świetnie. Dzięki.

Powrócił do sztalugi i znów staliśmy się dwiema połówkami artystycznego procesu; oboje w poszukiwaniu prawdy usiłowaliśmy zatrzymać ją w malarskim kadrze, inspirując się nawzajem. Miałam poczucie, że jestem dla Lindena czymś więcej niż zwykłą modelką... Może nawet rodzajem muzy?

Rozstaliśmy się w południe. Dalej chciał malować już sam, ale obiecał, że następnym razem pokaże mi, co dotąd pojawiło się na płótnie. Przebrałam się, a Linden wrócił do domu przy plaży. Wcześniej przypomniał mi, że o wpół do trzeciej mam przyjść na spotkanie z jego mamą.

Asher i Bunny już wstali i pili kawę. Popatrzyli na mnie zaskoczeni.

– Myśleliśmy, że pojechałaś do miasta, aby robić wywiady – rzekł Asher.

– Gdzie byłaś, kochanie? – dopytywała się Bunny.

Powiedziałam im, co robiłam, i wspomniałam o układzie z Lindenem. Asher sprawiał wrażenie rozbawionego, ale Bunny spoważniała.

– Nie wiem, czy ona powinna spędzać z nimi tyle czasu, Asher. Zwłaszcza sam na sam z Lindenem na plaży.

– Och, przesadzasz, on jest nieszkodliwy – zbagatelizował jej obawy.

– Miałam nadzieję, że pójdziesz ze mną na zebranie komitetu organizującego Bal Rakowy – powiedziała z niezadowoleniem Bunny. – Poznałabyś tam wielu bogatych mieszkańców Palm Beach. Wierz mi, to jest o wiele przyjemniejsze niż towarzystwo tego mruka Lindena i Grace Montgomery.

– Bardzo dziękuję za zaproszenie – odparłam – ale już jestem umówiona.

– Och, oni z całą pewnością zapomną, że miałaś przyjść – stwierdziła Bunny, lekceważącym gestem pokazując na dom przy plaży, jakby to był dymek unoszący się w powietrzu, który zaraz się rozwieje.

– Ale ja nie zapomniałam i zamierzam przyjść – zapewniłam.

– Bunny, nie wtrącajmy się, niech dziewczyna robi, co zechce – odezwał się Asher.

– Ja tylko próbuję pomóc – zaperzyła się. – Przecież mało kogo tu zna. Nie ma pojęcia, z kim warto porozmawiać, a na kogo szkoda czasu.

– Doceniam wszystko, co robisz, Bunny, i jestem ci bardzo wdzięczna.

– Więc pojedziesz ze mną?

– Nie, nie mogę.

– Cóż, muszę się zbierać – powiedziała z nadąsaną miną. Jak dorosła kobieta może być taka dziecinna i kapryśna? Jakim cudem wychowała syna takiego jak Thatcher? – Gdybyś się jednak zdecydowała, wychodzę za godzinę – dorzuciła i wyszła.

Asher pokręcił głową i popatrzył za nią z uśmiechem.

– Bunny ma zwyczaj narzucania ludziom tego, co ona uważa dla nich za najlepsze. Jednocześnie jest jak delikatna filiżanka z chińskiej porcelany, którą należy odstawiać ostrożnie, żeby się nie stłukła. Tak niewiele trzeba, żeby zburzyć jej szczęście, zwłaszcza ostatnio.

– Dlaczego właśnie ostatnio?

– Bo czuje się... starsza. Nie pozwala nam już świętować swoich urodzin, więc nie ma prezentów, uroczystych kolacji, a przede wszystkim przyjęć. Kobiety z Palm Beach kłamią na temat swojego wieku jeszcze bardziej niż kobiety z Hollywood. Bunny twardo nie pozwala dzieciom Whitney nazywać ją babcią. Muszą zwracać się do niej Bunny, jak wszyscy – mówił z uśmiechem. – I to akurat im się podoba. Przypuszczam, że nasza wnuczka Laurel nadal myśli, że babcia jest ożywioną postacią z kreskówki.

– Ile lat ma Laurel?

– Dwanaście, a wnuk Quentin czternaście. Poważny z niego młody człowiek i czasami stawia się babci, ale oba dzieciaki są piękne i zdolne. Zobaczysz je w weekend na przyjęciu.

Pojawił się Jennings.

– Lunch, panie Eaton – oznajmił sztywno.

– Och, cudownie – powiedział Asher. – Zjesz ze mną, Isabel? – Wstał i podał mi ramię. Nawet w południe był ubrany jak z żurnala – miał jasnoniebieską sportową marynarkę, ciemnoniebieski krawat, białą koszulę, białe spodnie i na nogach mokasyny.

– Chętnie, dziękuję – odparłam z uśmiechem. Teraz zrozumiałam, po kim Thatcher odziedziczył swój urok.

– I co o tym wszystkim myślisz? – zapytał, pokazując szerokim gestem na patio, ogród, prywatną plażę, budynki i resztę włości.

– Robi wrażenie – przyznałam. – Wygląda bardziej jak hotel niż jak dom. Macie tu wszystko, czego potrzeba do szczęścia.

– To prawda – przyznał ze śmiechem. – Ktoś, zdaje się, że Ogden Nash, napisał o bogatych ludziach: „Nie dbam o ich majątek i nie interesuje mnie, na co go wydają. Ale do licha, niech powiedzą szczerze, że on ich cieszy”.

Roześmialiśmy się oboje. Bawił mnie sposób, w jaki nieskromnie mówił o swoim bogactwie. Wielu ludzi z grona mojego taty i mamy adopcyjnej bardzo tajemniczo mówiło o swoich pieniądzach. Usiłowali usprawiedliwić ich wydawanie i tłumaczyli się z każdej zachcianki, jakby się bali, że jacyś zazdrońcy będą próbowali im je zabrać albo rzucić na nich kłutwę. W Palm Beach było zupełnie inaczej. Choć przebywałam tu od niedawna, zdążyłam zauważyć, że wręcz obnoszą się ze swoim bogactwem, prześcigając się, kto ma wspanialszy dom, stroje czy nawet, jak powiedziała wczoraj Thelma Carriage, kto urządził bardziej wystawny bal.

– Zawsze żyliście na takim poziomie, Asher?

– O ile pamiętam, tak.

Jak zwykle na użytek tylko nas dwojga zaaranżowano prawdziwą ucztę – półmisek krewetek, sałatki, pieczone mięsiwa, indyk, pieczony łosoś i oczywiście wybór deserów. Dwie pokojówki towarzyszyły nam przy stole, zdając się współzawodniczyć, która szybciej nałoży nam na talerze kolejne przysmaki. Kiwaliśmy głowami i pokazywaliśmy, na co mamy ochotę, a one obsługiwały nas wprawnie i szybko.

– Jak możecie tak jeść codziennie? – zapytałam, nie kryjąc zdziwienia.

– Och, nie myśl, że tak jest codziennie. Oczywiście mogłoby być, ale nie chcemy tego – odpowiedział nonszalancko i oczy mu zabłyśły. – Podejrzewam, że mój syn, rozmawiając z tobą, zdążył już skrytykować nasz styl życia. Przedstawił całą listę zarzutów?

– Niezupełnie – odparłam dyplomatycznie. – A przynajmniej nie uczynił z tego głównego tematu rozmowy.

– Czyżby? Nie wierzę. Ma to po moim dziadku – wyznał Asher. – Poważny, ambitny, lubiący wyzwania. Jest perfekcyjny i niemal wpada w depresję, jeśli przegra sprawę albo nie pójdzie ona po jego myśli. Dlatego ostrzegam cię – dodał – że może źle zareagować na odmowę i jeśli raz wpadłaś mu w oko, nie odpuści ci już nigdy.

– Mówisz, jakby był niebezpieczny – odparłam z uśmiechem.

Wzruszył ramionami.

– Tutaj czyhają same niebezpieczeństwa – rzekł, spoglądając na ocean. – Przy czym te zwykłe, fizyczne, mogą być mniej bolesne i przerażające. Podrzucę ci parę moich przemyśleń, które mogą przydać ci się do badania tego światka. Bogaci mogliby wykupić większość problemów, które gnębią zwykłych zjadaczy chleba. Nigdy się nie martwiłem, że zepsuł mi się samochód czy jakiegokolwiek inne urządzenie, albo elektryczność czy hydraulika w domu. Tak samo nie martwią mnie rachunki, podobnie zresztą jak Bunny. W jakimś sensie wszystko staje się względne. Potrafi z hukiem wyjść z restauracji, w której zamówiła stolik dla siebie i przyjaciółek, jeśli się okaże, że nie ma tam wina, które lubi, odpowiedniego szampana

czy zakąsek. Może się nawet rozchorować z zawodu.

Jeśli nasze dzieci mają problemy, zatrudniamy terapeutów, tutorów czy innych specjalistów i nie musimy tracić czasu na zajmowanie się tym. Jeśli rozpada się jakieś małżeństwo, zatrudniamy najlepszych prawników do przeprowadzenia rozwodu, a potem lecimy na Lazurowe Wybrzeże, żeby ochłonać po sprawie. Nie dopuszczamy nawet, żeby śmierć zepsuła nam zabawę. W zeszłym roku umarł mąż dość bogatej znanej kobiety, i to bardzo niestosownie, na samym początku sezonu. Żona była na niego wściekła, bo musiałaby stracić parę balów, więc kazała zamrozić ciało i odwołała pogrzeb. Takie doniesienia przeważnie mnie bawią, ale dla mojego syna to niemal kryminał. – Spowaźniał nagle. – On nie jest nawet w połowie tak szczęśliwy jak ja i Bunny. Za bardzo się wszystkim przejmuje. Ma parę demonów, które go dręczą. – Zerknął w stronę domu przy plaży.

– Czasami myślę – ciągnął, teraz już niemal szeptem – że Thatcherowi jest bliżej do Lindena Montgomery’ego, niż sądzi.

Spojrzał na mnie, jakby oczekiwał komentarza.

– Nie wiem, za mało znam jednego i drugiego – powiedziałam ostrożnie.

Z uśmiechem skinął głową.

– Bardzo dobra odpowiedź.

– To jest prawda, Asher.

– Nie wątpię. Cóż, sam byłem kiedyś taki jak Thatcher. Nie wiem, czemu wjechałem na takie poważne tematy. To twoja wina. – Oskarżycielsko wytknął mi palec. – Jesteś zbyt poważna, Isabel. Zbyt skupiona na pracy. Gdzie jest twój hedonizm? – Roześmiał się, widząc moją minę. – Musisz wykorzystać okazję, że u nas jesteś.

– Już to robię. Wasza gościnność...

– Nie, nie, zupełnie nie o to chodzi. Możesz robić wszystko, co zechcesz. Bunny z radością zabierze cię do sklepów albo w inne tego typu miejsca. Wystarczy tylko, że jej powiesz.

Mimo woli rozdziawiłam usta. Nie zdawałam sobie sprawy, że bogactwo do tego stopnia zmienia myślenie. Tylko czemu tak mnie to śmieszyło?

– Coś mi mówi, że chcesz mnie przekupić, Asherze Eaton – powiedziałam, a on się roześmiał.

– Masz rację. – Skinął głową. – Ludzie tacy jak ty boleśnie uświadamiają nam naszą próżność i dziwactwa. Więc trzeba cię przekupić, żeby uspokoić swoje sumienie.

– I dlatego jesteś trochę zły na Thatchera – zasugerowałam.

– Dobra jesteś! – pochwalił. – Mogłabyś być terapeutką dla bogatych albo psychologiem. – Znów popatrzył na dom przy plaży. – Może dlatego Grace i Linden tak dręczą Bunny. Przez Grace ma czarne myśli.

– Jakie? – spytałam, wstrzymując oddech.

– Że straci wszystko, zestarzeje się i stanie się jak ona... takim cieniem na plaży, więźniem własnych myśli. Czy wiesz, co jest największym niebezpieczeństwem i koszmarem dla wielkich i bogatych z Palm Beach?

– Co?

– Samotność. – Kolejny raz zerknął w stronę domu Grace.

Chyba się nie myliłam, pomyślałam. Jak widać przejęłam po tacie empatię i zdolność oceny ludzi. Tylko jak wykorzystać ten dar?

Asher ponownie przeprosił za zbytnią powagę, a potem zaczął nalegać, żebym obejrzała jego salę do gier, gdzie miał piękny stół bilardowy, stary automat do gier oraz tor z elektrycznymi samochodzikami. Wyznał, że razem ze swoimi kumplami organizują wyścigi i zakładają się o nienormalnie wysokie sumy. Ostatnio facet przegrał w jeden wieczór pięćdziesiąt tysięcy dolarów.

W pewnym momencie zerknęłam na zegarek i musiałam przeprosić Ashera, bo zrobiło się późno. Podziękowałam za lunch i poszłam do swojego pokoju, żeby się odświeżyć i przebrać. Nieuchronnie zbliżał się moment, dla którego tu przyjechałam – poznania mojej rodzonej mamy.

Tak jak obiecywał Linden, kiedy nadeszłam, siedział z nią na patio. Pili kawę, rozmawiając cicho. Przystanąłam i chwilę ich obserwowałam, zanim podeszłam. Mama nadal miała na sobie domową sukienkę – tę samą, w której widziałam ją po raz pierwszy. Włosy związała w koński ogon i była nieumalowana. Jej twarz emanowała łagodnym, niemal medytacyjnym spokojem. Na ustach błąkał się cień uśmiechu. Linden powiedział coś i przytaknęła mu skinieniem głowy, a potem oboje ucichli i siedzieli nieruchomo, patrząc na ocean, jak postacie z jego obrazów.

– Witam ponownie – odezwałam się, wchodząc na taras. Mama była zaskoczona, ale miałam wrażenie – a może raczej nadzieję – że mój widok ją ucieszył.

– Cześć – odpowiedział Linden.

Tym razem zaskoczenie na twarzy mamy było dużo wyraźniejsze. Zerknęła na niego, zapewne spodziewając się, że wyprosi mnie stąd. Nic takiego się nie stało, więc z powrotem przeniosła spojrzenie na mnie.

– Czy tu zawsze jest tak pięknie i rajsco? – zagadnęłam, podchodząc bliżej.

– Nie – rzucił Linden ostrym tonem. – Mamy tu huragany, duszną wilgoć i plagę moskitów. Ale te ostatnie nie mają wstępu na Worth Avenue.

– Niestety, moskitów nie da się przekupić, żeby przeniosły się gdzie indziej – stwierdziłam, nie spuszczać oczu z mamy. Ona też wpatrywała się we mnie i delikatny uśmiech nie schodził jej z ust.

A jednak jakaś mroczna myśl musiała przemknąć w jej umyśle, bo uśmiech nagle zgasł jak zdmuchnięty. Pomyślałam, że mama zaraz wstanie i zniknie w głębi domu.

– Przepraszam, że was nachodzę – powiedziałam szybko – ale nie zabawię tu długo, a mało jest w okolicy interesujących ludzi, z którymi mogłabym porozmawiać w związku z badaniem, które prowadzę. Bo od Eatonów nic ciekawego się już nie dowiem – dodałam.

Lindena niewątpliwie ucieszyła ta ostatnia uwaga.

– Wcale ci się nie dziwię. Trudno jest doszukać się u nich głębi. – Spojrzał na matkę, a potem znów na mnie. – Dobrze, poświęćmy ci odrobinę naszego cennego czasu. Co byś chciała wiedzieć?

Teraz w jej oczach pojawiło się więcej strachu niż zaskoczenia. Serce zabiło mi szybciej. Nie chciałam, żeby zaczęła widzieć we mnie zagrożenie.

Uśmiechnęłam się i wskazałam na fotel stojący obok.

– Mogę usiąść?

– Tak, tak i pytaj – zachęcił Linden niecierpliwie.

Usiadłam i zapytałam:

– Czy tu się pani urodziła i wychowała, pani Montgomery?

– Oczywiście, że tak – odpowiedział za nią Linden.

Udałam, że go nie słyszę, i nie spuszczałam wzroku z mamy, zaznaczając tym samym, że czekam na jej odpowiedź, nawet jeżeli będę musiała siedzieć tu do zmroku.

– Właściwie tak – odparła – choć nie w tym domu.

– Ona o tym wie, mamó – wtrącił Linden.

– Wyobrażam sobie, że dorastała pani jak mała księżniczka pośród tego luksusu.

– Raczej jako więzień – skomentował Linden.

Uciszyła go spojrzeniem i zwróciła się do mnie.

– Nie było tak. Naprawdę czułam się jak księżniczka. Choć w pewnym sensie masz też rację, Linden, bo wyobrażałam sobie, że nasza posiadłość jest zamkiem z fosą, strażami i murami, gdzie jestem

bezpieczna i chroniona przed wszystkim, nawet zarazkami.

Głośno wypuścił powietrze i kręcąc głową, odwrócił się w stronę oceanu.

– Jaki zamek, taka ochrona – mruknął.

– Nie urodziłam się tutaj – mówiła. – Miałam niecałe szesnaście lat, kiedy zamieszkałyśmy tu z mamą.

– A wcześniej gdzie mieszkaliście? – zapytałam najbardziej łagodnym tonem, jakim potrafiłam. Miałam wrażenie, że poruszam się po polu minowym i trzeba stąpać na paluszkach, licząc, że nie będzie eksplozji. Linden jak zwykle sprawiał wrażenie, jakby za chwilę miał u niego nastąpić samozapłon; z kolei mama wyglądała, jakby za moment miała zalać się łzami. Jedno niewłaściwe słowo, jedno spojrzenie u obojga mogło uruchomić lawinę.

– Mieszkałyśmy w domu, który tutaj, w Palm Beach, uchodziłby za raczej skromny – powiedziała. –

Mama była wtedy młodą i bardzo atrakcyjną kobietą, urodzoną w Norfolk w Wirginii. Mój tata, oficer marynarki, zginął w katastrofie helikoptera, kiedy miałam piętnaście lat.

– Współczuję – powiedziałam.

– Był bardzo przystojnym mężczyzną i czekała go kariera. Mama nazywała go nawet „admiralem”, gdyż szczerze wierzyła, że pewnego dnia naprawdę awansuje aż tak wysoko. Doskonale to pamiętam. Mówiła o nim tak nawet do mnie. „Admirał wraca do domu w weekend”. A ja byłam jeszcze młoda i wierzyłam, że rzeczywiście nosi admiralskie pagony. Tata śmiał się z tego i radził mamie, żeby przestała go tak nazywać przy mnie – bo jeśli nie, rozpowiem wszystkim w szkole, że mój ojciec jest wielką szycią w amerykańskiej flocie wojennej. Byliśmy bardzo szczęśliwą rodziną – dodała, uśmiechając się do wspomnień.

– A jak trafiłyście tutaj? – zapytałam. Gdyby wiedziała, że wypytuję o własną rodzinę!

– Moja mama była bardzo niezależną kobietą o mocnym charakterze. Nie chciała przepłakać całego życia jako wdowa po marynarzu. Pewnego dnia po prostu spakowała nas i przeprowadziłyśmy się do West Palm Beach. Miała już doświadczenie w dziedzinie gastronomii.

– W kelnerowaniu – dorzucił Linden gorzko.

– Tak, była kelnerką, kiedy poznała tatę, ale znała się także na menedżerskiej robocie. Dostała pracę jako kelnerka w restauracji przyjaciół, jednej z najlepszych w Palm Beach. Tam też poznała Winstona Montgomery’ego, który był dziadkiem Lindena.

– Nigdy nie był moim dziadkiem – mruknął Linden.

– Dawał mojej mamie wszystko, czego tylko zechciała. Pragnął tylko jej szczęścia. Zbudował dla niej ten wielki dom, ale był od niej sporo starszy, a mama nigdy nie została w pełni zaakceptowana przez elity Palm Beach. Owszem, stałyśmy wysoko w hierarchii ze względu na ojczyma, ale...

– W katalogu Searsa – szydził Linden.

– Nie, w Who is Who – ciągnęła niewzruszona. – Mój ojczym był bogaty i wpływowy na tyle, by nikt nie śmiał jawnie obrażać mojej mamy czy mnie, ale i tak ją lekceważono.

– I całe szczęście – dogadywał dalej Linden.

– Winston zmarł, kiedy miałam dwadzieścia jeden lat, a potem mama związała się jeszcze z kimś na parę lat.

– Ona to wszystko wie – warknął Linden. – Przecież ci mówiłem.

– Niezupełnie – powiedziałam. – Ale nie jestem tutaj po to, żeby wyciągać stare, przykre wspomnienia – zaznaczyłam.

– To miło z twojej strony – stwierdził sucho.

Mama nie spuszczała ze mnie wzroku. Poczulałam się nieswojo i umknęłam spojrzeniem w bok.

– Gdybym poprosiła o ułożenie listy pięciu czy sześciu najważniejszych rzeczy, które pani straciła, kiedy rodzina utraciła majątek i pozycję w Palm Beach, co powinno się znaleźć na pierwszym miejscu? –

zapytałam.

Linden z takim samym zainteresowaniem jak ja nasłuchiwał odpowiedzi.

Mama uśmiechnęła się i odpowiedziała po chwili namysłu:

– Utrata poczucia siebie.

– To znaczy człowiek nie wie, kim naprawdę jest?

– Nie, nie o to chodzi. Po prostu kiedy byliśmy częścią tego wszystkiego, zupełnie nie wiedziałam, kim jestem, i sądzę, że moja mama też nie. Definiowano nas przez to, co posiadamy. Ale pieniądze przychodzą i odchodzą, czyjeś wpływy mogą osłabnąć, a style wyjść z mody. I dlatego – powiedziała z naciskiem – trzeba było straty tego wszystkiego, żebym zaczęła odzyskiwać poczucie samej siebie, świadomość tego, kim naprawdę jestem. – Uśmiechnęła się. – Zupełnie jakby stało się na scenie w świetle jupiterów albo twoje nazwisko stale było obecne na pierwszych stronach gazet. To jest ekscytujące i oczywiście ci pochlebia, ale zatracasz umiejętność widzenia, postrzegania rzeczy, jakimi są naprawdę, a zwłaszcza siebie. Mama patrzyła w lustro i zastanawiała się, co się stało z kobietą, którą kiedyś była. Pamiętam, że tak mówiła. Bardzo dobrze pamiętam, gdyż to samo przytrafiło się mnie. Kiedy zgasły światła sceny, zostaliśmy w półmroku, ale za to zaczęliśmy widzieć rzeczy, których dotąd nie mogliśmy widzieć – mówiła. – Myślę, że zobaczyliśmy siebie takimi, jakimi byliśmy kiedyś, zanim się na dobre zagubiliśmy.

Roześmiała się nagle.

– Tylko nie zrozum mnie źle. Nie mam nic przeciwko ludziom bogatym. Byłam w życiu i biedna, i bogata. W sumie bogactwo jest lepsze. Chodzi tylko o to, żeby nie upajać się zbytkiem, zapominając, że się jest tylko członkiem rasy ludzkiej. W takich miejscach jak Palm Beach jeszcze łatwiej jest o podobną postawę.

– Nie ma tu szpitali ani cmentarzy – mruknęłam bardziej do siebie niż do nich, ale usłyszeli.

– Tak – odparła z uśmiechem mama. – Widzę, że rozumiesz. A teraz wybacź, ale poczułam się nagle zmęczona. – Wstała. – Miło było cię poznać. Mam nadzieję, że wpadniesz do nas jeszcze.

– Bardzo chętnie.

– W takim razie zapraszam. – Zerknęła niepewnie na Lindena.

Był tak samo oszołomiony zachowaniem matki jak ja. Zamrugał i kiwnął głową.

– Tak, tak – powiedział. – Odpocznij, mamo.

– Życzę miłego dnia – rzuciła do mnie, odchodząc.

Linden odprowadził ją wzrokiem, a potem też wstał. Miałam wrażenia, jakbym przekroczyła barierę czasu. Jakbym rozgarnęła mgłę i zajrzała w swoją przeszłość, która tak długo pozostawała ukryta.

– No cóż... – zaczął Linden.

– Dzięki. – Zrobiłam ruch, chcąc wyjść, ale natychmiast zastąpił mi drogę.

– Nie wiem, dlaczego to zrobiła – powiedział.

– Co?

– Opowiedziała ci o tym wszystkim. Nie mówiła o tych rzeczach od lat. A już jej odpowiedź, kiedy zapytałaś, co straciła... Musiała od dawna zastanawiać się nad tym, ale mnie nie powiedziała ani słowa.

– Bardzo się cieszę, że mi zaufała.

– Nie, nie mówię tego po to, żebyś ją doceniła. Chciałem powiedzieć, że ja mamę doceniam. – Uśmiechnął się. – Masz w sobie coś, Isabel. Coś niezwykłego. Pewnie dlatego zapragnąłem cię malować.

Już miałam pokręcić głową, kiedy wziął mnie za rękę i popatrzył mi w oczy tak intensywnie, że serce zabiło mi mocniej.

– Chcę, żeby to był najlepszy obraz, jaki namalowałem. I będzie. Popłyniesz ze mną jutro do mojej

prywatnej zatoki?

– Ale już zaczęłam pozować na plaży – powiedziałam, żeby go nie rozczarować.

– Nic nie szkodzi. Mój obraz mam tutaj. – Postukał się w głowę. – Najlepiej pracuje mi się właśnie nad zatoką. Dopłynięcie do niej nie zajmie więcej niż półtorej godziny. Jestem dobrym żeglarzem; lepszym niż Thatcher, wierz mi – zapewnił.

– Nie o to się martwię.

– W takim razie o co? – zapytał z irytacją.

Zastanowiłam się chwilę.

– O nic, nieważne. Dobrze, popłynę z tobą do zatoki.

– Świetnie. – Od razu się rozpromienił. – Nikomu, absolutnie nikomu nie udało się skłonić mojej mamy do takich zwierzeń – podkreślił i zawrócił do domu. – W takim razie widzimy się rano.

Podniesiony na duchu odszedł żwawym krokiem, nie oglądając się już.

Tylko dlaczego miałam wrażenie, że stoję na ruchomych piaskach?

Rozdział trzynasty

IMPREZA

Było piętnaście po szóstej i szykowałam się do wyjścia na kolację z Thatcherem. Kiedy mnie nie było, zadzwonił i polecił Jenningsowi, by przekazał, że przyjedzie po mnie o wpół do ósmej wieczorem.

Dzwonił także pan Bassinger. Obawiając się, że coś mogło się stać z domem albo z Milesem, oddzwoniłam do niego, gdy tylko Jennings przekazał mi wiadomość.

– Czy coś się stało, panie Bassinger? – spytałam, zaledwie się przywitaliśmy.

– Twoja ciotka Agnes dzwoniła do mnie i mówiła bardzo niepokojące rzeczy.

– Na przykład?

– Jest przekonana, że dybie na ciebie jakiś łowca posagów, wykorzystujący twoją wrażliwość i naiwność. Zagroziła, że wynajmie prywatnego detektywa, aby cię odnalazł i śledził. Można podejrzewać, że zrealizuje tę groźbę.

– Jeśli to zrobi, już nigdy się do niej nie odezwę.

Wstydziłam się zapytać go o fantastyczne opowieści Milesa, ale musiałam to zrobić.

– Sprawdził pan gabinet mojego ojca, będąc w domu, prawda?

– Oczywiście. Nic nie było włączone, żaden program nie działał. Pewnie Milesowi coś się przyśniło i już dawno o tym zapomniał. Przeprowadziłem z nim poważną rozmowę, podkreślając, że twój ojciec zadbał o jego potrzeby i spokojnie starczy mu na godne życie, kiedy dom zostanie sprzedany.

– Bardzo się cieszę – powiedziałam z ulgą.

– Wszystko u ciebie dobrze, Willow, mam nadzieję? Wolałbym, żeby ciotka całkowicie minęła się z prawdą.

– Proszę się nie martwić. Ciocia absolutnie nie ma racji i w ogóle nie ma pojęcia, co robię.

– Rozumiem, że twoje posunięcia mają związek z dokumentami, które ci przekazałem?

– Tak.

– Oczywiście nie wiem, co w nich jest, ale mogę ci w zaufaniu powiedzieć, że ostatnią rzeczą, jakiej chciałby twój ojciec, byłoby przyczynianie ci dalszych nieszczęść, Willow.

– Wiem. I bardzo panu dziękuję.

Jak tata o mnie, tak ja martwiłam się o mamę i ciągle zadawałam sobie pytanie, czy moim postępowaniem nie unieszczęśliwię jej jeszcze bardziej.

Drgnęłam, słysząc pukanie do drzwi.

– Proszę – zawołałam i wszedł Thatcher. Wyglądał dziwnie, ze ściągniętymi brwiami i stężalymi rysami, jakby strasznie bolała go głowa.

– O ile pamiętam, umówiliśmy się na wpół do ósmej – powiedziałam. Byłam jeszcze w szlafroku i nie zdążyłam się uczesać.

– Nie, nie chodzi o spóźnienie. Po prostu... Bunny zatrzymała mnie na chwilę rozmowy, kiedy wróciłem z Miami.

– Tak?

– Opowiedziała mi, co robiłaś z Lindenem Montgomerym.

– Rozumiem.

– Pozowałaś mu?

– Tak. Ale nie nago – dodałam szybko w przekonaniu, że o to mu chodziło.

– I dobrze. Sądzę jednak, że nie powinnaś zadawać się z tym facetem, Willow. On jest nieprzewidywalny. Zresztą sama wiesz, widziałaś jego obrazy i jego zachowanie.

– Wiem, o czym mówisz, ale niepotrzebnie się martwisz.

– Nie mogę się nie martwić. Czuję się częściowo odpowiedzialny, bo przecież sam ci go przedstawiłem.

– Będę wiedziała, kiedy się wycofać – zapewniłam. – Naprawdę nie musisz się martwić, Thatcher – dodałam z naciskiem.

Pokręcił głową.

– Zrobisz, jak chcesz, ale pamiętaj, że cię ostrzegałem.

– Spokojnie, wszystko będzie dobrze – odparłam z uśmiechem w nadziei, że Thatcher wreszcie wyluzuje.

– Dobra, idę wziąć prysznic i przebrać się do kolacji. – Ruszył do wyjścia, ale odwrócił się w progu i zatrzymał. – Sposób, w jaki opowiadała mi o tym wszystkim mama, wskazuje, że poczuła się urażona, kiedy wybrała Lindena zamiast jej imprezy charytatywnej. Uważa, że wiele straciłaś. Odpowiedziałem, żeby się nie martwiła, bo załatwimy to inaczej, jeszcze dziś wieczorem.

– Nie rozumiem. Co ma być wieczorem?

– W ciągu dnia otrzymałem zaproszenie na party na jachcie Hope Farris. Hope jest siedemdziesięcioletnią dziedziczką futrzarskiego imperium Farrisów. Pięć razy była zamężna i miałem zaszczyt sporządzić intercyzę małżeńską dla jej ostatniego związku. Małżeństwo trwało czternaście miesięcy i dzisiaj ona zamierza uczcić udany rozwód. Niedawno cytowano w prasie jej ostatnią wypowiedź: „Ktoś taki jak ja ślub, a potem rozstanie ze stratą zaledwie jednego używanego rolls-royce’a może uznać za sukces”. Ja zaś dodam od siebie – dorzucił z głupawym, szerokim uśmiechem – że ten sukces jest w dużym stopniu moją zasługą.

– Uczcić rozwód? A w ogóle po co znów wychodzić za męża, skoro cztery razy się nie udało?

– Och, to typowa zabawa w stylu Palm Beach. Po prostu musi być ruch w interesie.

– Mówisz, że impreza będzie na jachcie? Nie mam nic nadającego się na taką okazję.

– W małej czarnej i perłach możesz pokazać się wszędzie – tak twierdzi Franklin Noyce, miejscowy guru mody i wyrocznia w tych sprawach. A przecież masz taką sukienkę, prawda?

– Owszem, ale nie mam pereł.

– Bunny ma tyle sznurów, że można by nimi połączyć Stany z Europą. Na pewno ci coś pożyczę. Zaraz powiem jej o tym. – Spojrzał na mnie uważnie. – Hej, nie spinaj się! Zapewniam, że będziesz się dobrze bawić i poznasz całą naszą śmietankę, od tych ludzi uzyskasz wszystkie niezbędne informacje.

Wyszedł, a ja zaczęłam się malować i czesać. Nie minęło dwadzieścia minut, kiedy Bunny wpadła do mojego pokoju z girlandami pereł zwisającymi jej z szyi.

– Przybywa pogotowie modowe! – zawołała od progu. – Którą piękność mam ratować?

Nie mogłam się powstrzymać od śmiechu.

– Nie śmieć się, to poważna sprawa. Włóż kieckę – rozkazała – i zobaczymy, jakie będą najlepsze.

– Nie przepadam za biżuterią – zastrzegłam, sięgając po sukienkę.

– Nieprawda, każda kobieta szaleje za biżuterią, choćby tylko w marzeniach. Jesteśmy stworzone do noszenia klejnotów. Czymże byłby brylant, gdyby nie lśnił na palcu kobiety, w jej uchu czy na jej szyi?

Niczym. Zaledwie błyszczącym szkiełkiem, o które chciwi mężczyźni gotowi są zabijać się nawzajem. Jednak miejscem cennych ozdób z kamieni nie są sejfy. Ich przeznaczeniem jest zdobić nasze ciała, więc korzystajmy z tego przywileju. – Ostatnie słowa wypowiedziała tonem absolutnego przekonania i nakazu.

Z westchnieniem pokręciłam głową. Bunny odstąpiła krok do tyłu i otaksowała mnie spojrzeniem.

– Jeśli chcesz mieć takie włosy, potrzebujesz jeszcze kolczyków z perłami – orzekła. – Mam coś, co będzie pasowało. – Uniosła dłonią warstwę naszyjników. – Są z kolekcji Etoile. Hodowlane perły. Znasz się choć trochę na perłach, moja droga?

– Mama miała całe metry naszyjników, ale zwykle nie zwracałam uwagi, co nosi – przyznałam szczerze.

– Szkoda. Ja zadbałam, żeby moja córka była wyedukowana w kwestii klejnotów. To wstyd, takie „ochy” i „achy” nad jakimiś sztucznymi kamyczkami! W tym mieście jest wiele nieszczęsnych idiotek, które myślą, że w ich pierścionkach zaręczynowych lśnią cenne brylanty, a potem u jubilera okazuje się, że to nędzna klasa VS1 albo nawet WS2. Trzeba pamiętać o zasadzie czterech C, kochana!

– Czterech C?

– Czyli: *clarity, color, cut, carat*³. Dlatego nie popadaj w zazdrość, kiedy zobaczysz tu kobietę, której wielki brylant lśni na palcu. Niektóre nawet nie wiedzą, że noszą cyrkonie imitujące diamenty. Ja poznaję takie podrobki od razu. Naszyjnik, który ci teraz proponuję, ma pół metra długości, jest wykonany z hodowlanych pereł tahitańskich i ma zapięcie z brylantów oprawionych w platynę. Oczywiście bardzo wysokiej jakości.

– Musiał być bardzo drogi – zauważyłam nieśmiało.

– Czy był drogi? – Zastanowiła się. – Chyba czternaście tysięcy.

– Bunny, ty chyba nie mówisz serio? Chcesz mi pożyczyć naszyjnik za czternaście tysięcy dolarów?

– Tak, i kolczyki. Za sześć czy siedem, nie pamiętam.

– Nie mogę ich włożyć, będę się za bardzo denerwować – zaprotestowałam, robiąc krok w tył.

– Och, proszę. – Miała zbolałą minę. – Cała moja biżuteria jest ubezpieczona.

– Ale taka suma...

Bunny skrzywiła się z niecierpliwością.

– Jeśli ci to przeszkadza, mogę zaproponować inny, także z hodowlanych pereł... – Urwała i spojrzała na mnie uważniej. – Czy wiesz, jaka jest różnica pomiędzy perłami naturalnymi a hodowlanymi?

– Nie – odparłam – ale coś mi mówi, że wkrótce się dowiem.

– Najwyższy czas, żebyś nauczyła się takich rzeczy – powiedziała z ożywieniem. – Otóż naturalne perły powstają przypadkiem, kiedy pod skorupę perłopława dostanie się jakaś drobina, na przykład piasku. To drażni małża, więc obudowuje obce ciało wydzieliną, którą nazywamy masą perłową. Trzeba lat, żeby wokół takiej drobinicy nabudowała się piękna duża perła. U perłopławów hodowlanych z chirurgiczną precyzją podważa się skorupę i wszczepia się do środka tak zwany zarodek, czyli zwykle kuleczkę z masy perłowej. Dalej wszystko odbywa się tak jak w przypadku pereł naturalnych. Słynna jest zwłaszcza japońska hodowla Akoya.

– Ile kosztuje ten naszyjnik?

– Ten? – Przesunęła parę pereł palcami. – Myślę... Asher kupił go u Tiffany’ego i zapłacił chyba dziesięć, może jedenaście tysięcy.

– A nie masz po prostu sztucznych pereł? – zapytałam z nadzieją.

– Po co mi one? Nie rozumiem kobiet, które mają w sejfach piękną biżuterię, ale na wyjścia wkładają kopie. Po co im w takim razie oryginały? Przestań się wreszcie przejmować. Przecież nie będziesz chodziła w tym po slumsach. Możesz się czuć całkowicie bezpieczna, a kobiety zzielenieją z zazdrości. Osobiście wolę zazdrość innych kobiet niż uznanie mężczyźni – dodała ze śmiechem.

Jeszcze dwa dni temu taka uwaga byłaby dla mnie szokiem, ale teraz, w ustach Bunny Eaton brzmiała

zupełnie naturalnie.

W rezultacie zdecydowałam się na drugi naszyjnik, bez kolczyków. Thatcher zjawił się dokładnie o wpół do ósmej.

Prezentował się świetnie w wytwornym smokingu; był wyluzowany i czarujący. Stał w progu i wpatrzył się we mnie. Milczał tak długo, że zaczęłam się niepokoić. Może uznał, że będę wyglądać jak uboga krewna wśród tych wszystkich pięknych i bogatych kobiet?

– I co? – zapytałam wreszcie.

– Mój Boże, Willow, wyglądasz absolutnie olśniewająco!

Powiedział to z taką szczerością i zachwytem, że na moment odjęło mi mowę i miałam wrażenie, że zaraz zacznę lewitować ze szczęścia. Było tak silne, iż odruchowo zerknęłam w dół, żeby sprawdzić, czy moje stopy jeszcze stoją na ziemi.

– To perły od twojej mamy – zastrzegłam skwapliwie i Thatcher się roześmiał.

– To przede wszystkim jeden z rzadkich przypadków, kiedy kobieta przyćmiewa klejnoty, a nie odwrotnie – stwierdził z błyskiem w oku.

– Thatcherze Eaton, skąd wzięłeś te poetyckie słowa?

– Z serca, Willow, z samej głębi serca.

Rozbawiony uśmiech zniknął z mojej twarzy, kiedy Thatcher pochylił się i pocałował mnie niemal z czcią.

– Chodź, wytyczymy nowe szlaki w świątku Palm Beach – powiedział niecierpliwie.

Dlaczego nie czułam się tak, jakby świat legł mi u stóp? Zachwycał się mną przystojny mężczyzna, człowiek sukcesu, należący do ścisłej elity. Zdobila mnie droga biżuteria. Wsiadliśmy do kabrioletu rolls-royce corniche, żeby pojechać na przyjęcie na jachcie w scenerii bajecznego wieczoru w Palm Beach. I to wszystko spotykało mnie, Willow De Beers – może i nie nędzarkę, ale zwykłą studentkę, która jeszcze niedawno piłaaby w weekend piwo ze swoim chłopakiem i jego kumplami. Zaiste, powinnam się czuć jak księżniczka.

– Wiesz, Thatcher, trochę się denerwuję. Nigdy nie byłam na przyjęciu na jachcie – wyznałam.

– Przyjęcie jak każde inne, tylko będzie tam więcej służby, blichtru i zadęcia. Niemcy na swoich przyjęciach piją piwo, Francuzi wino, a my szampana, i to jest główna różnica. Jako przyszła znawczyni ludzkich zachowań powinnaś to rozumieć – dodał i puścił do mnie oko.

Tym luzackim, dowcipnym komentarzem rozbroił mój lęk, ale w chwili, kiedy zaparkowaliśmy na nabrzeżu, gdzie cumował wspianały jacht, skrzący się światłami i pulsujący muzyką; kiedy zobaczyłam kobiety siejące blaski niczym diamentowe posągi, paradę kelnerów ze srebrnymi tacami i pomiędzy nimi różne znane twarze, trema powróciła ze zdwojoną siłą. Nogi mi się trzęsły, kiedy wchodziliśmy po trapie. Na pokładzie śliczna hostessa witała gości. Na powitanie wręczyła nam kieliszki szampana.

– Dobry wieczór państwu. Witamy – powiedziała.

Grała sześćoosobowa orkiestra. Stoły uginały się od półmisek z wędlinami, homarami, krewetkami, płatami indyka, pieczonymi kurami i bażantami oraz od misek z dziesiątkami rozmaitych sałatek. Ten z warzywami zdawał się żywcem przeniesiony z farmerskiego straganu, a na osobnym stole znajdowało się pieczywo.

– Przywitajmy się z Hope Farris, a potem coś zjedzmy – zaproponował Thatcher. – Umieram z głodu.

Musieliśmy przepychać się wśród tłumu, choć jacht był największy, jaki widziałam w życiu. Thatcher wyjaśnił mi, że najwidoczniej przyszli prawie wszyscy zaproszeni przez Hope goście.

– Pewnie jest niezadowolona – powiedział.

– Niezadowolona? – zdziwiłam się. – Czemu?

– Bo za dużo gości jest chętnych na jej przyjęcia. Oczywiście najgorszą rzeczą z możliwych jest

urządzić imprezę i mieć pustki. Po czymś takim od razu lecisz gwałtownie w dół w hierarchii towarzyskiej. Moi rodzice zapraszają na weekend po dwieście osób.

– Dwieście! Bunny mówiła mi, że sto, najwyżej sto dwadzieścia.

– Tyłu spodziewa się normalnie, ale zwykle bywa znacznie więcej.

Szliśmy dalej. Thatcher uśmiechnął się do kogoś i pomachał do innych.

– Niezła mieszanka – ocenił. – Widzę tu tuziny młodych wilczków biznesu, paru nuworyszy, jak Thomas Carter, właściciel UX.com, oraz pewną liczbę starych, wpływowych fortun. Na przykład Mildred Callwell, jedna z szacownych dam socjety Palm Beach, której małżonek jest właścicielem Perk-Up Coffee. Z kolei starsza pani na wózku inwalidzkim, tam z tyłu, w brylantowym diademie, ściskająca kurczowo torebkę z motylem, w której ma lek na serce, to hrabina von de Myer. Jest autentyczną arystokratką i mieszka w zamku w Belgii. Widzisz tych dwóch facetów? – Ruchem głowy wskazał na dwóch bardzo wytwornych dżentelmenów, identycznie szczupłych, identycznie opalonych, o niemal identycznych czarnych wąsikach i starannie wystylizowanych fryzurach. Stali z boku, paląc długie, cienkie cygaretki, i uśmiechali się uwodzicielsko do pięknych młodych kobiet, które przechodziły obok.

– Tak, widzę.

– Takich jak oni nazywają eskortą. Niczego nie mają, choć wyglądają na zamożnych ludzi sukcesu. W zamian za bezpłatną wyzerkę i dobrą zabawę towarzyszą bogatym kobietom w czasie takich przyjęć. Niektórzy udają, iż mają tytuły hrabiów czy baronów, ale każdy wie, że są tyle warte, co pewna rzecz, dzięki której trawa rośnie lepiej.

– Nie rozumiem. Skoro wszyscy wiedzą, kim są ci goście, czemu te bogate kobiety pokazują się z nimi?

– Bo chcą mieć mężczyznę u boku, o dobrej aparycji i obyciu. Taki układ jest też korzystny dla innych mężczyzn, bo jest ktoś, kto się zajmie samotnymi kobietami, zaprosi je do tańca, pogawędzi z nimi i tak dalej. Tacy faceci bywają często zatrudniani na statkach wycieczkowych. Z drugiej strony czym tacy ludzie się różnią od innych, którzy nawet nie wiedzą, że są pustymi wydmuszkami, tylko na pokaz? – zapytał retorycznie Thatcher. – Iluzja i rzeczywistość, nie? Twój temat, prawda?

– Prawda – przytaknęłam nerwowo. Jego słowa przypominały mi o prawdziwym celu mojego pobytu w Palm Beach. – O, patrz, siostry Carriage – powiedziałam z rezygnacją.

– Spróbujemy trzymać się od nich z dala, choć to może być trudne na jachcie. Gdzie jest Hope? – Wyciągając szyję, rozglądał się ponad głowami ludzi.

– Widzisz ją?

– Jeszcze nie. To nie takie proste. Zdarza się, że ktoś wyprawi przyjęcie, a pokazuje się dopiero pod koniec.

– Czemu?

– Niektórzy nienawidzą przyjęć, ale muszą je urządzać, żeby nie stracić miejsca na świeczniku.

– Pozycja w towarzyskiej hierarchii jest aż tak istotna?

– Tak. Moim zdaniem chodzi o to, że w towarzystwie mniej obawiasz się śmierci. Rozumiesz, trzeba się bawić, bo życie pozagrobowe może być nudne – dodał ze śmiechem.

– Thatcher! Już myślałam, że nie przyjdiesz! – zawołał ktoś, przekrzykując gwar. Wysoka ciemnowłosa kobieta o smukłej figurze, w długiej ołówkowej sukni z czerwonego jedwabiu, przewiązanej szyfonową szarfą wysunęła się z tłumu i wyciągnęła do nas rękę na powitanie. Wydawało się, że ma na każdym palcu pierścionki z brylantami. Jej oczy miały piękny jadeitowy odcień, lecz miało się wrażenie, że tylko one uniknęły interwencji chirurga, pozostając jedynym naturalnym elementem w twarzy o skórze naciągniętej za uszami, nosie poprawionym skalpelem i wargach napompowanych kolagenem. Jedynie nieznaczne zmarszczki u nasady szyi zdradzały jej prawdziwy wiek.

– Ależ Hope, jak mógłbym nie przyjść?

Roześmiała się i pocałowała go w oba policzki.

– Chciałbym ci przedstawić Isabel Amou – powiedział. – Przybyła tu z Karoliny Południowej.

– Och, tak. – Hope uścisnęła mi rękę. – Wiele o tobie słyszałam.

– Siostry Carriage? – zapytał domyślnie Thatcher.

– Lepsze niż CIA – przytaknęła Hope. – Zadzwoń do mnie jeszcze w tym tygodniu. A teraz wybacz, ale muszę załatwić coś w związku z moją posiadłością w Puerto Rico. – Obróciła się do mnie. – Baw się dobrze. Polecam pokaz kinetycznej rzeźby imprezowej Tani Morgan, na prawej burcie, za barem z deserami. Powinno wam się podobać, choć zdecydowanie bardziej gustują w tym panowie. Doprawdy, nie wiadomo dlaczego – dodała ze śmiechem. – O, jest Donald! – zawołała i szybko zniknęła w tłumie.

– Co to jest kinetyczna rzeźba imprezowa? – spytałam.

Przewrócił oczami i pociągnął mnie w stronę baru deserowego. Za nim, przy prawej burcie, tłoczył się mały tłumek. Kiedy podeszliśmy bliżej, zobaczyłam dwie nagie kobiety, pokryte czymś, co wyglądało jak płynne srebro, siedzące plecami do plecy ze skrzyżowanymi nogami i rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Były kompletnie nieruchome i nie drgnął im nawet jeden mięsień. Nie mrugały, jakby zacementowano im powieki. Wyglądały jak posągi. Ludzie wokół nas mówili, że co dziesięć minut wstawały i zamieniały się miejscami, aby na powrót znieruchomieć. I to był cały kinetyczny aspekt tej sztuki.

– To jak zmiana warty przed pałacem Buckingham – skomentował wysoki, szczupły dżentelmen o łysiejących siwych włosach. Jego wargi wyglądały jak zrobione z gumy. – Każdy musi zobaczyć tę atrakcję.

– Chodźmy coś zjeść – mruknął Thatcher i pokierował mną w stronę bufetu.

Kiedy usiedliśmy przy stoliku, podeszły do nas dwie starsze pary.

– Nie wstawaj. – Niższy z mężczyzn powstrzymał gestem podnoszącego się Thatchera. – Thatcher, pamiętasz Mitcha Rosewata i jego żonę Brownie, prawda?

– Tak, tak, oczywiście. – Thatcher zerwał się i uścisnął dłoń wyższemu mężczyźnie, a potem jego żonie.

– Poznaliśmy się na party u Pullmanów, prawda?

– Tak. Tu jest raczej sennie, czyż nie? – odparł mężczyzna z czysto brytyjskim akcentem.

– Pragnę ci przedstawić Isabel Amou, która niedawno przybyła do nas z Karoliny Południowej – wyjaśnił Thatcher. Uwaga o miejscu mojego pochodzenia na stałe weszła już do jego formuły i pomyślałam, że wkrótce sama zacznę się tak przedstawiać. – Isabel, poznaj Toma i Melinę Dancerów. Tak się akurat składa, że Tom również jest prawnikiem – dodał z szerokim uśmiechem.

– Och, ja tylko przekładam papiery w kancelarii – odparł skromnie Tom Dancer, wyciągając do mnie rękę. Jego żona wpatrywała się we mnie tak intensywnie, że zaczęłam się obawiać, czy nie mam dipu na nosie.

– Zatrzymałaś się u Ashera i Bunny Eatonów w Joya del Mar, tak? – zapytała.

– Tak, a czemu pytasz? Czyżby opisano mnie w gazetach? – odparowałam.

Wszyscy się roześmiali.

– W tym mieście wystarczy, że ktoś kichnie, a już wszyscy słyszą – powiedział Tom.

– Rozmawiałaś już ze Stukniętą Grace i jej synem? – spytała mnie Melinda. – Wiesz, Thatcher – ciągnęła, nie czekając na moją odpowiedź – nie rozumiem, dlaczego twoi rodzice nie kupią od nich tej posiadłości i nie pogonią ich w diabły. Nie czułabym się bezpieczna, gdyby taki nienormalny typ jak Linden włóczył mi się po terenie. Co do Grace też nie wiadomo, co jej strzeli do głowy. Mogłaby coś podpalić, nie daj Boże.

– Och, Melindo, nie przesadzaj. Nie jest aż tak źle, prawda, Thatcher?

– Oczywiście. Oni przeważnie siedzą u siebie. – Zerknął na mnie. – Tak długo, jak żyją spokojnie własnym życiem, nie ma problemu.

– A ja jednak nie mogłabym zasnąć – upierała się Melinda.

– Grace nie jest niebezpieczną wariatką – zaprotestowałam ostro. – W żadnym razie.

– Och, widzę, że już ją poznałaś? – Wzrok Melindy stał się czujny.

– Owszem.

– No to czemu jeszcze nie opowiedziałaś nam o niej? Nie widzieliśmy jej od lat. Jak teraz wygląda?

Czy to prawda, że chodzi boso, w starym szlafroku, nie ma zębów i się nie czesze?

– Absolutnie nie – zapewniłam. – Przeciwnie, jest jedną z najbardziej atrakcyjnych kobiet, jakie znam.

Emanuje naturalnym pięknem, które obywa się bez skalpela chirurga plastycznego i kosmetyków – dodałam z naciskiem. Nie było trudno zauważyć, że zarówno ona, jak i Brownie wiele zawdzięczają klinikom chirurgii plastycznej.

– Serio? – Melinda i Brownie wymieniły niezadowolone spojrzenia. – Nie bełkocze już jakichś niezrozumiałych słów?

– Świetnie mi się z nią rozmawiało; wypowiadała się bardzo sensownie. – Z trudem utrzymywałam spokój. Policzki zaczęły mnie palić.

– Serio? – powtórzyła, a jej głos wprost ociekał zjadliwym sceptycyzmem.

– Jak najbardziej. Powiem nawet więcej, z nikim dotąd w Palm Beach tak dobrze mi się nie rozmawiało. Wiele tracicie, nie zapraszając jej na przyjęcia.

Obie panie popatrzyły na siebie i wybuchnęły śmiechem.

– Coś mi się wydaje, Thatcher, że będziesz musiał jeszcze wiele nauczyć tę młodą damę o Palm Beach – zauważyła cierpko Melinda.

Thatcher popatrzył na mnie, a potem na Melinę.

– Cały czas się uczy – odpowiedział. – Ja mieszkam tu całe życie i ciągle jeszcze się uczę – dodał i towarzystwo znów się roześmiało.

– Bawcie się dobrze – powiedział Tom Dancer. – Odezwę się w tym tygodniu w sprawie Crosby Mall, Thatcher.

– Jasne. Miło było was spotkać – rzekł Thatcher do Rosewaterów.

Zaledwie oddalili się o parę kroków, Melinda powiedziała coś i wszyscy ryknęli histerycznym śmiechem.

– Widzę, że ludzie tutaj są okrutni dla siebie – skomentowałam.

– Czy ja wiem? Chyba nie bardziej niż wszędzie. Przynajmniej nie strzelają do siebie, a to już coś.

– Nie strzelają z broni, ale potrafią okrutnie razić słowami.

– Dziwnie gwałtownie zaczęłaś bronić Montgomerych jak na kogoś, kto zna ich dopiero od paru dni, więc nie dziw się ich reakcji – odparł. – Byłem zaskoczony prawie tak samo jak oni. Czy jednak nie za bardzo zaangażowałaś się w kontakty z Lindenem?

Odsunęłam talerz i siedziałam w milczeniu, spoglądając na tłum megamilionerów, na kobiety pyszniące się swoją biżuterią i olśniewające kreacjami. Pomyślałam, że gdyby mogły, wymachiwałyby metkami.

Oklaski od strony baru deserowego zasygnalizowały, że srebrne kobiety znów zmieniły pozycję. Muzycy zagrali głośniejsz. Śmiech dźwięczał wokół. Poczulałam, że kręci mi się w głowie.

– Co się stało? – zapytał z troską Thatcher.

– Nie wiem. Nagle straciłam apetyt. Może tu jest zbyt duży wybór. Zaczynam rozumieć, że nadmiar bogactwa może zaszkodzić.

– Nie tutaj – odparł. – Względne bezpieczeństwo, wielkie majątki, iście rajski klimat, miasto z olśniewającymi ulicami i sklepami tworzą w tych ludziach poczucie, że są ponad zwykłymi ziemskimi sprawami. I dobrze się czują na swoich wysokościach.

– Takie życie uzależnia, jak każdy narkotyk.

- Czy to źle, że ktoś jest uzależniony od miłych i pięknych rzeczy?
- Nie wyczuwam ciebie, Thatcher. Zwykle głęboko negujesz ten świat, ale czasami...
- Bronię go i czuję się jego częścią, tak?
- Właśnie.

Kiwnął głową.

– Walt Whitman napisał kiedyś: „Czy przeczę samemu sobie? A jeśli nawet? Jestem wielki. Zawieram w sobie wielość”. Każdy z nas jest złożony, Willow. Ty też jesteś pełna sprzeczności. I tajemnic – dodał.

– Mam rację?

Odwrociłam spojrzenie.

– Musisz bardziej uważać – ciągnął. – Sekrety potrafią owijać się wokół serca jak pyton i wyciskać z nas radość.

Pochylił się nad talerzem. Muzyka była coraz głośniejsza. Skubałam potrawy bez apetytu.

– Może chcesz, żebyśmy wyszli? – zapytał nagle.

– Dokąd?

– Przejdziemy się po Worth Avenue, albo coś w tym stylu.

– Ty nie chcesz stąd wyjść, Thatcher. I nie zaprzeczaj. Wiem, że są tu ludzie, których chciałbyś zobaczyć, pogadać z nimi.

– Nie muszę tu być. Chodźmy. Zjemy sobie na mieście lody.

– Wyjdziemy na ulicę tak ubrani i wstąpimy do lodziarni?

– Tutaj to normalne. Nikt nawet na ciebie nie spojrzy.

– A Hope Farris? Nie obrazi się, jeśli wyjdziemy tak wcześnie?

– Nawet nie zauważy, że wyszliśmy – zapewnił, wstając. – Chodź – ponaglił.

Uśmiechnęłam się i wstałam. Przepchaliśmy się do wyjścia przez gwarny tłum i po trapie wyszliśmy na nabrzeże. Po chwili jechaliśmy już w spacerowym tempie po Worth Avenue. Może Thatcher ma rację, pomyślałam. Jesteśmy pełni sprzeczności i może nie ma w tym nic dziwnego, że sami sobie wydajemy się skomplikowani, nie mówiąc już o innych. I może to nawet lepiej? Kto chciałby być prosty i przewidywalny?

Właśnie na tym polega problem z ludźmi, których dotąd poznałam. Wszyscy są przewidywalni.

Nic dziwnego, że Thatcher zakochał się w nieprzewidywalnej Mai Stone, a potem złamała mu serce – bo tak przecież było, choć bardzo usiłował to ukryć.

W miarę jak oddalaliśmy się od sławnych i bogatych, Thatcher był coraz bardziej wyluzowany i naturalny. Zaparkował, a potem trzymając się za ręce, szliśmy spacerkiem ulicą. Po drodze oglądaliśmy wystawy, a Thatcher pokazał mi coś, co nazwał psim barem – półkoliste korytko, wykładane kafelkami, ze srebrnym kranem, gdzie mogły się napić rasowe, drogie pieski, dla których właściciele kupowali obróżki od Chanel i posłania od Gucciego. Pokazał mi jeden z takich kojców na wystawie. Kosztował tysiąc pięćset dolarów.

– Większość ludzi nie traktuje tak dobrze swoich dzieci – skomentowałam.

– Dla tych ludzi psy są ich dziećmi. A przy okazji wspierają przemysł, produkujący dla pupilków. Ale ten interes kwitnie wszędzie, nie tylko tutaj – odpowiedział, znów usiłując bronić czegoś, co moim zdaniem było nie do obrony.

Pod koniec spaceru wstąpiliśmy do lodziarni przy Peruvian Avenue. Pomimo zapewnień Thatchera czułam na sobie spojrzenia ludzi i wcale się temu nie dziwiłam – siedzieliśmy przy stoliku w zwykłym lokalu, zajadając lody, ubrani wytwornie, wieczorowo. Z drugiej strony podobało mi się tutaj o wiele bardziej niż na jachcie i powiedziałam o tym Thatcherowi.

– Może po prostu masz uczulenie na bogaczy – zażartował.

– Nic z tych rzeczy. Nawet gdybym była biedna, też bym do nich nic nie miała. Nie przyleciałam tutaj, żeby prowadzić socjalną krucjatę.

– Tego nie powiedziałem. – Przyglądał mi się uważnie, a potem powiedział z uśmiechem: – Kiedy wreszcie się dowiem, po co naprawdę tu przybyłaś, Willow?

Omal nie udławiłam się lodami.

– O co ci chodzi?

– Myślę, że doskonale wiesz, o co mi chodzi, ale nie musisz mówić, jeśli nie zechcesz. Jakikolwiek jest ten powód, cieszę się, że dzięki niemu poznałem ciebie – dodał szybko.

Prawda, tak długo skrywana, gwałtownie domagała się ujścia, ale podeszła kelnerka i zapytała, czy zamawiamy coś jeszcze. Podziękowaliśmy i Thatcher zapłacił.

Do samochodu wracaliśmy w milczeniu.

Kiedy wsiedliśmy, Thatcher zaczął się śmiać.

– Co takiego?

– Wyobrażam sobie minę Bunny, kiedy jej powiem, co zrobiliśmy na przyjęciu i gdzie widziano jej perły.

Parsknęłam śmiechem i od razu poprawił mi się nastrój.

Gdy przyjechaliśmy do domu, jego rodziców oczywiście już nie było. Pojechali na swoje przyjęcie.

– Zmęczona? – zapytał po chwili.

– Nie.

– Jeszcze nie byłaś w moich apartamentach, prawda?

– Chcesz pokazać mi swoje znaczki?

– Nie mam znaczków ani też dzieł sztuki kinetycznej. Ty jesteś jedynym dziełem sztuki, które mnie interesuje.

– Naprawdę?

Zeszliśmy ze schodów, trzymając się za ręce, i za chwilę byliśmy w sypialni Thatchera. Tam się kochaliśmy, leniwie, niemal niezdecydowanie, jakbyśmy nie byli pewni, czy naprawdę tego chcemy. Pocałował mnie w policzek, a ja przyglądałam się kolekcji porcelanowych główek Bossona z Anglii. Thatcher musnął ustami moją szyję, a potem położył mi dłonie na ramieniu. Przycisnęłam policzek do jego prawej dłoni i przeniosłam spojrzenie na oprawne w ramki fotografie stojące na biurku.

– Czy to Mai Stone? – zapytałam, sięgając po zdjęcie Thatchera na jachcie żaglowym z piękną, wysoką brunetką; oboje byli w szortach i kapitańskich czapkach.

– Tak. Dawne czasy, kiedy dopiero co się poznaliśmy. Szkoda, że wtedy nie wiedziałem tego, co wiem teraz – dodał tonem wyjaśnienia.

– Jest bardzo ładna, nawet piękna – powiedziałam.

– Jest znakomitą ilustracją określenia „piękna i próżna”.

Starał się, żebym nie postrzegła jej jako rywalki.

– Skoro myślisz o niej tak niepocholebnie, czemu wciąż trzymasz to zdjęcie na biurku?

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się.

– Zdjęcie po prostu jest ładne, nie uważasz?

– Owszem – przyznałam.

Thatcher szybkim ruchem obrócił mnie ku sobie i trzymając mocno za ramiona, spojrzał mi w oczy.

– Posłuchaj, Willow, nie zamierzam cię okłamywać i mówić ci, że jesteś pierwszą kobietą, z którą byłem i którą pokochałem. Sam też nie sądzę, żebym był pierwszym liczącym się mężczyzną w twoim życiu. Jeśli zaczniemy się wstydzić naszej przeszłości, czy ją ukrywać, nigdy nie poznamy siebie dobrze.

Prawda jest taka, że byłem kiedyś zaangażowany, ale teraz moje zaangażowanie dotyczące ciebie jest nieporównanie większe. Czy to takie straszne?

– Skądże – odparłam miękko.

Uśmiechnął się znowu.

– W takim razie wyrzucmy za burtę bagaż złych wspomnień i płynmy dalej z lepszymi sercami – zaproponował i znów zaczął mnie całować.

Tym razem pocałunek był długi i tak żarliwy, że niemal desperacki. Wolałabym się zatrzymać, wyhamować ten pęd, który pchał nas nawzajem ku sobie. Zbyt zaangażowana w swój cel nie chciałam, żeby coś mi go przesłaniało. Jednak Thatcher należał do mężczyzn, dla których nie istniało słowo „nie” – albo też, jeśli zaczynało zagrażać jego zamiarom, stawał się jeszcze bardziej uparty. Ale uległam i dałam się ponieść fali namiętności, zatracając się w niej kompletnie.

Miłosne tsunami wyniosło nas na łóżko i za moment leżeliśmy na nim nadzy, trzymając się siebie kurczowo jak ludzie porwani przez huragan. A potem, niczym dwójka wyczerpanych pływaków, którym udało się bezpiecznie dopłynąć do plaży, legliśmy nieruchomo jedno obok drugiego. Kiedy Thatcher zasnął, wstałam cicho, ubrałam się i wróciłam do siebie.

Niespodziewanie obudziło się we mnie poczucie winy, choć nie dlatego, że znów się kochaliśmy. Miałam raczej pretensję do siebie za to, że przestałam dążyć do celu i skupiać się na nim. Nie powinnam angażować się w związek w takim momencie. Byłam jak nastolatka, pisząca na lekcji liściki do chłopaka, w którym zakochała się na zabój. Nauczycielka łapie ją na tym i upomina, że nie uważa na lekcji... z tym że to ja sama byłam tą nauczycielką.

Jeśli coś miało wytrącić mnie z tego stanu i skierować z powrotem na właściwe tory – był to widok, który zobaczyłam, gdy w koszuli nocnej podeszłam do okna, żeby zasunąć zasłony.

Znów tam była.

Moja mama.

Na pomoście, dająca znaki latarnią.

Wypatrująca swojego obiecane cudu.

³ 4C – skrót pochodzący od pierwszych liter czterech [angielskich](#) słów: *carat* (karat – jednostka określająca masę), *color* (barwa), *clarity* (czystość), *cut* (szlif), które decydują o wartości i jakości brylantu. Brylanty o wspaniałej [barwie](#), nieskazitelnej czystości, bardzo dobrym [szlifie](#) i znacznej masie należą do najrzadszych (przyp. tłum.).

Rozdział czternasty

W PUŁAPCE

Rano Thatcher zostawił dla mnie wiadomość, że jedzie na negocjacje do biura przy Jupiter Beach i później do mnie zadzwoni. Tak jak wczoraj zeszałam na dół, na śniadanie. Dom był pusty i cichy. Bunny i Asher zapewne odsypiali przebalowaną noc. Nie rozumiałam, jak można spędzać życie na niekończącym się ciągu balów i innych rozrywek, nie robiąc nic konkretnego i sensownego. Czy nie męczył ich widok wciąż tych samych twarzy, słuchanie tych samych zdań, jedzenie tych samych potraw? Gotowa byłam się założyć, że ani Asher, ani Bunny nigdy nie pofatygowali się do kuchni, żeby zrobić sobie zwykłą kanapkę. Otoczeni zastępami służby, gotowej na każde skinienie, obstawieni adwokatami i doradcami finansowymi, którzy dbali o ich interesy i pomnażali ich majątek, mieli tylko jeden cel – wymyślanie coraz to nowych rozrywek i sposobów spędzania czasu. Nietrudno było wskazać ich największy koszmar, którego najbardziej się bali – nudę.

Ale znałam wielu ludzi, którzy odpowiedzieliby na to: „Chcielibyśmy sobie tak beztrudnie pożyć. Lepiej zwalczać nudę niż inne nieszczęścia”. Kto wie, rozmyślałam, może oni mają rację, a ja się mylę. Może reszta śmiertelników przypomina mitycznego Syzyfa, który toczy głaz pod górę, a ten wymyka mu się z rąk przed samym szczytem i spada w dół, po czym cały trud zaczyna się od nowa. Naszym przekleństwem jest nigdy niezaspokojona ambicja. Tymczasem miało się wrażenie, że jedyną ambicją Bunny i Ashera było wynajdywanie coraz lepszych firm cateringowych, które zorganizują im coraz lepsze przyjęcia – i tak tydzień w tydzień.

Tego ranka byłam bardziej nerwowa niż zwykle. Nie powiedziałam Thatcherowi, że zgodziłam się popłynąć z synem Grace do jego prywatnej zatoki. Nie chciałam, żeby się wściekł i zaczął żądać nie tylko odmowy, ale i zerwania kontaktów z Lindenem. Nie mogłam ryzykować czegoś takiego pod groźbą utraty kontaktu z mamą. Z drugiej strony musiałam za wszelką cenę zdobyć zaufanie i przychyłność Lindena, jeśli chciałam osiągnąć swój cel.

Łudziłam się, że może zapomni, ale niestety tak się nie stało. Czekał na mnie przy pomoście i nie był jak zwykle w starych dzinsach i wyciągniętej koszulce. Tym razem miał na sobie nowy strój żeglarski, łącznie z czapką. Sprawiał wrażenie nieco skrępowanego i wyczułam, że nieczęsto robi takie rzeczy. Wyraz wyczekiwania, kryjący się w jego uśmiechu, uruchomił dzwonki wiatrowe w mojej głowie – pierwsze, jeszcze łagodne sygnały paniki.

– Mamy już na łódce wszystko, co trzeba – oznajmił, kiedy się zbliżyłam. – I popatrz, jaki piękny dzień! Idealny wiatr do żeglowania – równy i nie za mocny. Zabrałem również lunch. Pomyślałem, że spodoba ci się mała odmiana. – Ruchem głowy pokazał na duży dom. – Coś prostszego niż tamte rarytasy – dodał, kiedy nie zareagowałam. – Mamy dobry chleb, sery i wino. Ale jeśli nie chcesz płynąć, trudno, jakoś to przeżyję. – W napięciu czekał na odpowiedź. Moje wahanie dodawało mu nadziei. – Po prostu pomyślałem, że taka wycieczka ci się spodoba.

– Nie, wszystko w porządku, Linden. Chętnie popłynę, ale nie chciałabym zajmować ci dnia.

– Zajmować mi dnia? – Roześmiał się. – Dla mnie nie ma miesięcy, tygodni ani dni. Wszystko zlewa mi się w jeden strumień czasu. Mama musi mi przypominać, który mamy dzień, a czasami nawet miesiąc. Weszliśmy na pomost.

– A oto mój jacht – oznajmił z dumą. – Zupełnie nie przypomina tego luksusowego ścigacza Thatchera. To trzymetrowy drewniany jol. Tyle zostało z morskiej kariery Montgomery’ego.

– Bezpiecznie jest żeglować po oceanie na takiej łupinie? – zapytałam.

– Wikingowie przepływali Atlantyk w łodziach ledwie dwa razy większych od tej. A ja jestem dobrym żeglarzem. Lepszym niż Thatcher – dodał. – Spędziłem dzieciństwo na tej plaży i w tych falach, podczas gdy on kapał się w luksusie. Jeśli uważasz jednak, że z nim będziesz się czuła bezpieczniej, to trudno. Po prostu zapomnijmy o wycieczce.

Znów był spięty i niebezpiecznie narastało w nim ciśnienie. Przypominał butelkę nitrogliceryny, balansującą na krawędzi stołu – tylko czeka na nieostrożny ruch, aby spaść i zmieść wszystko wybuchem. Jedno niewłaściwe słowo, mina, nawet niestosowne westchnienie mogło go spłoszyć i sprawić, że ucieknie z pochyloną głową, dziko gestykulując, jak pustelnik nagle wywabiony na światło dzienne, który chce znów zaszyć się w swojej jaskini.

– Źle zrozumiałaś. Nie wątpię, że jesteś znakomitym żeglarzem. Zadałam to pytanie, bo kompletnie nie znam się na żeglowaniu.

– Skoro kompletnie nie znasz się na żeglowaniu, skąd wiesz, że robię to dobrze? – zapytał podchwytliwie.

Pokręciłam głową i uśmiechnęłam się do niego.

– Co znowu?

– Powiedzmy, że jestem medium i po prostu wiem, Linden. To go rozbroiło.

– Dobrze już, dobrze. – Uśmiechnął się. – W takim razie ruszajmy w rejs. Spojrzałam na dom przy plaży.

– Twoja mama wie, że płyniesz ze mną, prawda?

Podążył za moim spojrzeniem i oczy mu pociemniały, a czoło się zmarszczyło.

– Tak – odpowiedział. – Chodźmy – dodał niecierpliwie. Wszedł na pokład i podał mi rękę.

– Możesz usiąść tutaj. – Pokazał mi miejsce. – Z łatwością potrafię obsłużyć żagle i ster, więc podziwiał sobie spokojnie widoki.

– I co powiedziała? – dopytywałam się.

– Kto?

– No, twoja mama. Rozumiem, że opowiedziałaś jej o wszystkim – w tym też o moim pozowaniu. Tak? Nie odpowiedział. Odcumował łódkę, odepchnął ją od kei i zaczął stawiać żagle. Moje pytanie zawisło w powietrzu jak jesienny liść porwany przez wiatr.

– Nie powiedziałem jej o obrazie i pozowaniu – odezwał się po chwili. – Myślę, że wczoraj zrobiłaś na niej bardzo dobre wrażenie.

– Co znaczy „myślisz”? Zrobiłam czy nie?

– Zapytałam ją o wrażenia zaraz po waszej rozmowie.

– I co?

– Uśmiechnęła się tak, jak nie uśmiechała się od bardzo długiego czasu, i powiedziała: „Ona jest urocza”. I nawet wypytywała o ciebie.

– O co na przykład pytała?

– Na przykład na jak długo zatrzymałaś się u Eatonów. Odpowiedziałem, że nie wiem. A potem...

– Co potem?

Linden usiadł za sterem.

– Wspomniałem, że zabieram cię dzisiaj na żagle, i wtedy się zdenerwowała.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Zapytałem, co w tym złego, ale pokręciła tylko głową i wróciła do domu. Więcej nie wspominała o tej sprawie, więc ja też nie. Chyba się martwi, że odejdę z kimś i ją zostawię. A przecież coś takiego w ogóle nie wchodzi w grę. To znaczy nawet będąc w związku, przecież bym jej nie zostawił – zapewnił.

– No, płyniemy! – zawołał, kiedy wiatr wypełnił żagle i woda zaczęła klaskać o burty.

Jasne, że nie sunęliśmy tak szybko, jak motorówka Thatchera, ale bliskość wody, prysznic słonych kropelek na twarzy i bujanie się łodzi na falach okazało się dla mnie tak samo, jeśli nie bardziej ekscytujące.

Widać było, że Linden jest z oceanem za pan brat. Zupełnie się zmienił. Twarz mu promieniała, a oczy zaniebieszczły się od błękitu wody i nieba. Już nie sprawiał wrażenia kruchego i zagubionego. Znikły oznaki depresji. Był ożywiony i pełen energii, a jego przemiana oddziaływała także i na mnie.

Nie miałam pojęcia, że żeglowanie jest takie wspaniałe. Nie wiedziałam, jak to jest, kiedy żaglówka wspina się na fale, a wiatr rozwiewa ci włosy i słońce pieści twarz.

Aż zapiszczałam, kiedy wybrał żagle i łódka skoczyła przed siebie jak koń, zawisła dziobem nad falami, aby za moment w nie zanurkować.

Moje reakcje śmieszyły Lindena.

– W życiu bym nie zamienił żagli na motorowy jacht za miliony dolarów – powiedział. – Tylko na takiej łódce czuje się wodę. Jesteś częścią oceanu, rozumiesz?

– Tak – powiedziałam.

Znow się uśmiechnął.

Sprawiał wrażenie szczęśliwego i zadowolonego, bardziej z siebie niż ze mnie, i zastanawiałam się, kiedy ostatnio miał taki nastrój. Pomyślałam, iż to dobrze, że płyniemy razem, dotrzymuję mu towarzystwa i pomagam cieszyć się tym, czym na co dzień nie potrafił się cieszyć. Podjęłam właściwą decyzję, więc bądźcie cicho, powiedziałam dzwonkom w swojej głowie. Przestańcie alarmować. Wszystko mi się uda. Będzie dobrze. Nic złego się nie dzieje, nie ma niebezpieczeństwa.

Usiadłam swobodniej i roześmiałam się.

– Popatrz! – Pokazałam na dwóch narciarzy wodnych. Pomachali do nas, po czym zawrócili efektywnym łukiem, posyłając w naszą stronę fontanny wody.

– Palanty! – krzyknął za nimi Linden, choć nie mogli go usłyszeć.

Widzieliśmy motorówki i setki innych żaglówek. Linden pokazał mi luksusowy wycieczkowiec na horyzoncie.

– Pewnie płynie do Fort Lauderdale – zawołał, przekrzykując szum wiatru i łomot fal. Wiatr zwiewał nasze głosy i czułam się jak zawieszona w innej rzeczywistości, gdzie istniały tylko żagle, woda, wiatr i krzyki mew.

Energicznym gestem wskazał mały przesmyk i tam skierował łódkę. Przesmyk znajdował się pomiędzy dwiema plażami, odgrodzonymi od oceanu linią skał. Wpłynęliśmy tam jak po sznurku.

– Oto plaża Lindena – oznajmił ze śmiechem.

Za moment dobiliśmy do brzegu. Wskoczył pierwszy, wyciągnął łódkę na piach, a potem objął mnie w pasie i uniósł ponad burta. Wcześniej zdjęłam buty, spodziewając się, że będę brodzić, ale jego szczupłe ramiona okazały się zdumiewająco silne i z łatwością przeniósł mnie na suchy ląd. Jego wargi prawie dotykały mojego policzka.

– Pięknie tutaj, co? – zapytał.

– O tak.

– Zainstalujemy się na tych skałach – powiedział i zawrócił do łodzi po rzeczy.

– Pomóc ci?

– Nie, nie trzeba. Rozejrzyj się przez ten czas.

Upajałam się dotykiem wody i piasku, pieszczących moje stopy. Parę ciekawskich mew krążyło mi nad głową, a potem odleciały z krzykiem, przypominającym śmiech. Zostawiłam sandały na skałach i obserwowałam, jak Linden rozstawia sztalugi, a potem wraca do łódki po resztę rzeczy. Za moment podał mi papierową torbę ze strojem, w którym pozowałam wczoraj.

W tym momencie oboje sobie uświadomiliśmy, że wokół nie ma miejsca, gdzie mogłabym się przebrać.

– Och, po prostu się odwróć – stwierdził. – A tamci – pokazał na inne łódki – są zbyt daleko, żeby cokolwiek zobaczyć. Tak będzie dobrze?

– Okay.

Rozpięłam bluzkę i zsunęłam ją z ramion. Linden klęczał, odwrócony tyłem, układając pędzle i farby, a ja przebierałam się szybko w wiejski strój.

– Już – powiedziałam. Odwrócił się z uśmiechem i pokazał mi, gdzie mam usiąść.

– Jak możesz malować mnie w dwóch różnych krajobrazach?

– Tło nie jest istotne. Tylko ty jesteś ważna.

Przyjęłam tę samą pozycję, co poprzedniego dnia i rozejrzałam się po zatoczce. Piasek plaży wydawał się dziewiczy. Ale skąd bezлюдna plaża w tej mekce rekreacji i sportów wodnych?

– Jakim cudem takie miejsce pozostało nieodkryte? – zapytałam.

– Nieodkryte to za dużo powiedziane. Po prostu właściciel terenu nie zdążył jeszcze nic z nim zrobić. Jestem pewien, iż ten stan nie potrwa długo. Słyszałem, że niedawno zmarł i trwa podział majątku. Nie zdziwiłbym się wcale, gdyby wkrótce zaczęto budować tu hotel. Gotowa?

– Jasne. Czy mam tu coś innego do roboty?

– No pewnie, że masz. Możesz wpatrywać się w ocean, siedząc w tej pięknej pozie. Innymi słowy, zrelaksuj się i bądź sobą.

Milczałam przez dobry kwadrans, pozwalając mu malować.

– Na jakiej podstawie sądzisz, że twoja mama zdenerwowała się na wieść o zaproszeniu mnie na łódkę? – odezwałam się.

– Znam mamę i wiem, kiedy ją coś dręczy czy zaburza. Mieszkamy przecież ze sobą i zawsze miałem z nią bliski kontakt. Do tego stopnia, że rozpoznaję jej nastroje, zanim ona je sobie uświadomi. Dlatego nie martw się o nic. Mama ucieszy się, kiedy zobaczy, że wróciłem, zamiast odpłynąć w siną dal z pierwszą napotkaną piękną kobietą, która zechciała ze mną rozmawiać.

– Co ona robi przez cały dzień?

– Czyta, czasem ogląda telewizję, choć rzadko, i oczywiście dba o mnie i o dom. Nie słyszałem, żeby żaliła się na nudę.

– I nigdzie nie wychodzi?

– Nie.

– Nawet do kina czy do restauracji?

Milczał.

– Przepraszam. Nie chciałam cię zdekoncentrować.

– Nic się nie stało. Mama jest dość introwertyczna i ja pewnie mam to po niej. Co nie znaczy, że mamy coś z psychiką – dodał skwapliwie. – Ja robię zakupy i załatwiam różne rzeczy na mieście. Tak to funkcjonuje.

– Mama nie ma jakichś starych przyjaciół, którzy by dzwoniли do niej czy wpadali?

Roześmiał się.

– Starzy przyjaciele? Nie ma. Była persona non grata, jeszcze zanim zaczęła mieć problemy. Możesz sobie wyobrazić, jak było po jej powrocie. – Zastanowił się chwilę. – Czekał, raz ktoś ją odwiedził.

– Kto?

– Ktoś z kliniki, w której się leczyła – wyjaśnił i wrócił do malowania.

– Może jej lekarz? – podsunęłam z bijącym sercem. Czyżby jednak tata ją odwiedził?

– Nie, lekarze nie mają zwyczaju interesować się losami swoich pacjentów, kiedy ci skończą leczenie i przestają już być klientami, na których problemach można zarobić – powiedział z nutą goryczy. – Zresztą to była kobieta.

– W takim razie kto? Inna pacjentka z kliniki?

– Możliwe. Mama nie chciała mi nic o niej powiedzieć, ale pamiętam, że nie były to odwiedziny zbyt miłe. Po tej wizycie wpadła w depresję, całkiem głęboką. Wiem tylko, że ona nie była z Palm Beach. I pamiętam, że miała raczej rzadkie imię... Nadine. Znasz takie?

– Nie.

Nadine Gordon, pomyślałam. Pielęgniarka, która coś podejrzewała. Ta, o której doktor Price mówił, że kochała się na zabój w moim ojcu. Najprawdopodobniej to ona odwiedziła mamę. Ale po co?

– Popatrz na to. – Linden pokazał na niebo. Samolot rozpylał reklamowy napis na nieskazitelnym błękitnie. – Wszędzie zanieczyszczenia. Dziwi mnie, że królowie i królowe Palm Beach jeszcze na to nie narzekają. Postępuje niedopuszczalna komercjalizacja przestrzeni powietrznej. Wszystko jest na sprzedaż, wszystko ma swoją cenę – nawet powietrze.

Powrócił do malowania, jak gdyby sztuka była dla niego ucieczką od rzeczywistości miejsca, którym gardził. Patrzyłam, jak wpada w twórczy trans, mięśnie twarzy ma napięte i skupione spojrzenie. Dopiero prawie po dwudziestu minutach musiał zauważyć, że odpłynął do własnego świata i wreszcie wynurza się na powierzchnię niczym jakiś potwór z głębin. Popatrzył na swoje dzieło, jakby widział je po raz pierwszy, i naprawdę mu się spodobało.

– Wow! Wspaniała z ciebie modelka. – Z aprobatą kiwnął głową. – Wiesz, po czym się poznaje, że ktoś idealnie nadaje się na modela?

– No?

– Kiedy artysta kompletnie zatraci się w pracy, w twórczej pasji, i przestaje zauważać, że ktoś mu pozuje. Wiem, to brzmi dziwnie, albo nawet sprzecznie, ale naprawdę jest tak, jakbym przenikał cię wzrokiem, wnikając do twojego serca i duszy, a w tym momencie nic innego dla mnie nie istnieje. Chłonę cię i przekazuję to na płótno, rozumiesz?

– Myślę, że tak – odrzekłam. – Bardzo ekscytujące, przynajmniej dla ciebie.

– Tak właśnie jest. Dzięki. – Odłożył pędzel, podszedł do mnie i usiadł przede mną ze skrzyżowanymi nogami, jak jogin. Głęboko wciągnął powietrze, przesycone oceanicznym aromatem. Rozbawiła mnie ta jego żarliwość. Uśmiechnęłam się i Linden odpowiedział mi tym samym.

– Taki dzień zdarza się bardzo rzadko, ma niezwykłą, niepowtarzalną atmosferę. Wiadomo, że nie ma dwóch takich samych chwil, ale często się tak wydaje, prawda? Przynajmniej ja tak czuję. I tylko wtedy, kiedy zatracę się w pracy albo spotykam kogoś takiego jak ty i mogę cię malować, czuję, że wyrastam ponad nużącą codzienność. Boże, zamęczę cię tym gadaniem – dodał. Wziął głęboki oddech i pokręcił głową. – Przepraszam.

– Nie, to ciekawe, co mówisz. Dla mnie z kolei pozowanie jest możliwością wniknięcia w mentalność artysty, popatrzenia na świat jego oczami. Dzięki, że dopuściłeś mnie do tajemnicy swojej pasji.

Linden nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Jesteś niezwykłą osobą – powiedział. – Zupełnie jakbyś wyszła z moich marzeń i fantazji. Pojawiłaś się tak nagle i wydaje mi się, jakbym spotkał bratnią duszę, swoją drugą połówkę. Ty też masz takie poczucie?

Gorączkowo szukałam słów, które pozwoliłyby mi bezpiecznie wybrnąć z tej zbyt emocjonalnej sytuacji, lecz on wziął moje milczenie za zgodę i zbliżył usta do moich ust.

Doznałam szoku, jakby nagle poraził mnie prąd. Gwałtownie odskoczyłam od Lindena, który zamarł zdumiony, zmieszany, przyłapany w momencie pożądania; krew uderzyła mu do twarzy, ale za moment odpłynęła, zostawiając gniewne, ściągnięte rysy i wyraz rozczarowania w kącikach ust.

– Aż tak ci się nie podobam? – warknął.

– Nie, nie o to chodzi – zapewniłam w pośpiechu. – Po prostu bardzo mnie zaskoczyłeś.

– Och, jasne, jak mogłem zapomnieć. Przecież stałaś się zabawką samego Thatchera Eatona, więc ja, zwykły śmiertelnik, mogę sobie tylko pomarzyć. – Podniósł się z piasku.

– Mylisz się, Linden. Nie jestem niczyją zabawką.

– Ależ tak, kontrolujesz wszystko. Jak te inne, które przyprowadzał do domu i brał do łóżka. – Urwał i spojrzał na mnie uważnie. – Byłaś już w jego sypialni, prawda?

– To nie są sprawy, o których chciałabym rozmawiać, Linden.

– Zrozumiałe. – Oczy mu pociemniały – te oczy, które zdawały się znać wszystkie pokrętne i mroczne drogi tego świata.

Powinnam powiedzieć mu prawdę, tu i teraz? – zastanawiałam się. Wytłumaczyć, dlaczego nie możemy zostać kochankami? Ale czy mogę to zrobić przed ostateczną rozmową z naszą mamą? Może nie chciałaby, żeby Linden – czy ktokolwiek inny – o tym wiedział? Jak mam postąpić?

Byłam zdesperowana i zdezorientowana. Czy mogłam przewidzieć taki rozwój sytuacji? I zapobiec mu?

Linden stał z rękami opartymi na biodrach, wpatrzony w ocean, a gniew wznosił się ku jego twarzy niczym rtęć w termometrze.

– Linden, proszę...

– W porządku – powiedział. – Zagalopowałem się. To się zdarza.

Zaczął pakować swoje malarskie przybory.

– Co robisz? Przecież mamy jeszcze dużo czasu, nie?

– Artyści bywają kapryśni – mruknął. – Zachowujemy się nieprzewidywalnie i nielogicznie. Nie wini siebie za moje humory. Wierz mi, nie pierwszy raz zdarza mi się tak zachowywać.

– A nie możemy jednak zostać, żebyś mógł dokończyć swoją robotę?

– Nie mogę pracować, kiedy jestem w takim stanie. Przykro mi. Rozumiesz, wszystko noszę tutaj. – Znacząco pokazał na głowę. – W odpowiednim momencie wrócę do tego obrazu i dokończę go, więc się nie martw. Dotrzymałaś swojej części umowy.

Dokończył pakowanie i odnosił rzeczy do łodzi. Ruchy miał szybkie, niemal gniewne, i bałam się odezwać. Po chwili łódka była załadowana.

– Linden...

– Przebierz się, proszę. – Odwrócił się do mnie plecami. – Musimy wracać.

– Nie chciałam zranić twoich uczuć, wierz mi.

– Dobrze, nic się nie stało.

– Wszystko wytłumaczę – nalegałam. – Może nie w tym momencie, ale chciałabym to zrobić jak najszybciej. Wtedy zrozumiesz. Obiecuję.

– Przebierz się – powtórzył, nie patrząc na mnie.

Posłuchałam i za moment oddałam mu ubranie. Wepchnął je do torby i cisnął ją na łódkę.

– Odpływamy – rzucił.

Poderwał mnie z ziemi i ponióśł do łódki, ale tym razem trzymał głowę odwróconą. Kiedy znalazłam się w kokpicie, odepchnął łódź od brzegu i na nią wskoczył.

– Szkoda, że zmarnowałeś sobie dzień pracy, Linden – powiedziałam cicho.

– I co z tego? Wiele dni zmarnowałem. – Wciągnął żagle i wkrótce zostawiliśmy za sobą nasz małeńki prywatny raj.

Spoglądałam do tyłu, aż zrobiliśmy zwrot i raj rozplynął się w mgiełce oddalenia, jak wiele ważnych momentów z życia nas obojga.

Dopłynęliśmy do pomostu dwa razy szybciej, niż zabrała nam podróż w tamtą stronę – jakby gnały nas wichry gniewu. Linden przycumował łódkę i pomógł mi wysiąść.

– Chcesz, żebym jutro ci pozowała? – zapytałam nieśmiało.

– Dzięki, wystarczy. Nie musisz już tracić dla mnie swojego cennego czasu – dodał boleśnie urażonym tonem. Miałam ochotę pogłaskać go po głowie i pocieszyć; obiecać, że wkrótce, bardzo niedługo zrozumie wszystko. Nie śmiałam jednak go dotknąć. Stał odwrócony do mnie plecami, z głową wciśniętą w ramiona, niczym drapieżny ptak, gotów rzucić się na ofiarę.

Kiedy zesłam z pokładu, idąc w stronę domu, zobaczyłam mamę, obserwowała mnie z tarasu domu przy plaży. Odwzajemniłam spojrzenie i patrzyłyśmy tak na siebie długą chwilę, aż wreszcie mama odwróciła się i weszła do środka. Postanowiłam, że spróbuję porozmawiać z nią jeszcze dzisiaj i wtedy powiem jej prawdę. Jednocześnie w głębi duszy miałam poczucie, że ona już wie. Jest wielce prawdopodobne, że matka rozpozna swoje dziecko, nawet jeśli nie widziała go od urodzenia. Jakby istniała pomiędzy nimi magiczna więź, która nie może być rozerwana ani ukryta.

Wkrótce się przekonam, pomyślałam i ta perspektywa podniecała mnie i przerażała zarazem.

– Cześć, gdzie się podziewałaś? – usłyszałam, kiedy wchodziłam do domu od strony tylnego tarasu.

Bunny i Asher siedzieli przy stole i jedli swoje późne śniadanie.

– Czy przypadkiem przyplłynęłaś z Lindenem? – zagadnęła Bunny.

– Owszem, zgadza się – odparłam. – Było bardzo przyjemnie. Linden jest dobrym żeglarzem.

Popatrzyli na mnie z lekkim zdumieniem i wymienili zatroskane spojrzenia.

– Czy musiałaś się zaprzyjaźnić akurat z Lindenem Montgomerym? – zapytała Bunny z nieukrywaną pretensją. Może podejrzewała, że wdałam się z nim w romans, podczas gdy ona usiłowała spiknąć mnie z Thatcherem?

– On naprawdę tęskni za towarzystwem – wyjaśniłam. – Myślę, że jego wrogi dystans jest tylko fasadą. Gdyby inni byli dla niego bardziej mili, nie...

– Jak można być miłym dla niego, skoro nawet nie raczy odpowiadać na powitania i nie patrzy w oczy, kiedy się do niego mówi? Uwierz mi, wielu moich przyjaciół zagadywało go na plaży, a on im tylko odwarkiwał, więc uznali, że ma coś z głową. Wystarczy zresztą popatrzeć na jego obrazy, by dojść do wniosku, że z tym człowiekiem nie jest w porządku, a do tego jeszcze to dziwaczne zachowanie! Wniosek nasuwa się jednoznaczny. Oczywiście nie ma to znaczenia z punktu widzenia twojej pracy – dodała.

– Ależ przeciwnie – zaprotestowałam. – Linden i jego mama okazali się moimi najcenniejszymi informatorami i stanowią dla mnie bardzo interesujący przypadek. Dlatego zamierzam ich jeszcze wykorzystać.

Bunny gwałtownie wciągnęła powietrze i spojrzała na Ashera, który uśmiechnął się do mnie.

– Moim zdaniem ona wie, co robi, Bunny. Po prostu chce poznać różne punkty widzenia, a dobry badacz musi najpierw zdobyć zaufanie badanego, prawda?

– Otóż to – potwierdziłam.

Jego słowa uspokoiły Bunny, jej napięte ramiona opadły i nie trzymała się już za szyję.

– Może napijemy się herbaty albo soku? – zaproponował Asher.

– Myślę, że morskie powietrze zaostriło ci apetyt – powiedziała do mnie Bunny.

– Nie, nie jestem głodna, natomiast chętnie napiję się kawy. – Gdy usiadłam przy stole, zza rozsuwanych drzwi natychmiast wyłoniła się służąca i nałała mi.

– Wszystko jest już dopięte, jeśli chodzi o moje jutrzejsze przyjęcie – zaczęła Bunny. – Ponad sto osób potwierdziło swoje przybycie i ciągle dzwonią następne. Będzie orkiestra, o której marzyłam, a kiedy zobaczysz menu, wpadniesz w zachwyt, tak jak ja. No i nie zabraknie niespodzianek – pojawi się parę bardzo ważnych postaci z Palm Beach oraz znanych ludzi estrady i kina.

– Dobre przyjęcie to podstawa – zaznaczył z uśmiechem Asher.

– Nie czujecie się zmęczeni tym bezustannym ciągiem imprez? – spytałam.

– Ależ skąd – zapewniła Bunny. – Jest sezon i chyba wiesz, co to znaczy? Przybywają tutaj ludzie z całego świata, właśnie po to, żeby się zabawić, odświeżyć stare znajomości i zawierać nowe. Uwielbiamy tę porę roku. Jak moglibyśmy coś pominąć? To nie do pomyślenia, prawda, Asher?

– Prawda. W zeszłym tygodniu Gloria van de Mere przyjechała karetką na bal charytatywny na rzecz maltretowanych kobiet – mówił Asher, kiwając głową. – Wyszła właśnie ze szpitala po operacji usunięcia woreczka żółciowego i prosto z tej karetki wjechała na salę na wózku w asyście pielęgniarki.

– A ojciec Glorii van de Mere stworzył sieć Chump Charlie Hot Dog – dorzuciła szybko Bunny. – Idą łeb w łeb z Holy Dog, jeśli chodzi o udziały w rynku fast foodów.

– I pracują dla nich niesamowici ludzie – powiedział Asher.

Słuchałam, jak paplają o swoich gościach, rzucając nazwiskami i nazwami firm, sieci sprzedaży, marek odzieżowych, dziedziców fortun z branży farmaceutycznej, prezesów wielkich korporacji – prawdziwe Who is who bogactwa i wpływów w skali całych Stanów.

– I pomyśl, że ten cały wielki świat gości w skromnych progach tego domu – podsumowała z dumą Bunny. – Wszystko przed tobą, kochana. Asher, Thatcher i ja przedstawimy cię wszystkim ważnym osobom i będziesz mogła porozmawiać z każdym, z kim zechcesz.

– Mam tremę na samą myśl o tym – przyznałam szczerze, ale tylko ich rozbawiłam.

Później poszłam do pokoju, żeby się przebrać. Zadzwonił Thatcher, przepraszając, że będzie dopiero wieczorem, gdyż przedłużają mu się spotkania. Powiedziałam, iż wszystko jest w porządku i nie musi się przejmować.

– A ty co będziesz robić do tej pory? – zapytał podejrzliwie.

– Nic specjalnego. Pewnie zajmę się porządkowaniem notatek.

– To dobrze, bo nie chciałbym, żebyś przeze mnie zaważyła pracę – stwierdził z ulgą. A jednak w jego głosie wychwyciłam nutę napięcia. Prawdopodobnie zdążył już porozmawiać z Bunny, która regularnie relacjonowała mu moje poczynania. Zaczynałam coraz bardziej wątpić, czy dobrze zrobiłam, przenosząc się tu z hotelu.

Dokładnie o wpół do trzeciej udałam się do domu przy plaży. Miałam nadzieję, że mama siedzi na tarasie, pijąc herbatę z Lindenem. Kiedy jednak wyszłam zza rogu, zobaczyłam, że nikogo tam nie ma. Rozczarowana ruszyłam dalej na plażę, aż stanęłam na brzegu i wpatrzyłam się w ocean, zastanawiając się, czy wrócić, zapukać do drzwi i poprosić o rozmowę, czy dać sobie spokój na dzisiaj.

– Isabel Amou – usłyszałam nagle za swoimi plecami. Odwróciłam się i zobaczyłam, że mama stoi za mną. Była w białej sukience bez rękawów, a na ramiona narzuciła szal. Nogi miała bose, a włosy rozpuszczone.

– Hej – powiedziałam.

Patrzyła na mnie chwilę, a potem uśmiechnęła się łagodnie i skrzyżowała ramiona na piersi.

– Przejdźmy się – zaproponowała i skrzyżowała w lewo.

Zrównałam się z nią w paru krokach. Serce biło mi tak mocno, że traciłam oddech, bałam się, że upadnę na piasek i rozpląszczę się na nim jak miękka szyfonowa apaszka.

– Jak się ma twój ojciec? – zapytała po długiej minucie milczenia.

Stałam jak wryta. Mama zatrzymała się i obróciła ku mnie.

– Wiesz, kim jestem?

– Oczywiście – powiedziała. – Wiedziałam już w momencie, kiedy tylko cię zobaczyłam, i potem jeszcze...

– Co?

– Usłyszałam to imię. – Zaśmiała się cicho. – Dawno temu słyszałam o pewnej niani, Isabelli, którą podopieczna nazywała Amou.

Przypomniał mi się jej list do taty. Być może podświadomie użyłam tego imienia, aby dać jej sygnał.

– Tak, wiesz to od niego.

– Wskazówka nie była trudna do odszyfrowania.

– Często się z tobą kontaktował?

– Mam trochę jego listów. – Na jej wargach pojawił się łagodny uśmiech, wywołany przez wspomnienia. – Mnie było trudniej odpisywać, ale starałam się. To on przysłał cię do mnie?

– Nie bezpośrednio, ale myślę, że chciał, abym cię kiedyś poznała.

– Chciał?

Każdy mięsień w jej ciele, każdy najdrobniejszy mięsień w jej twarzy, wszystkie zamarły w napiętym oczekiwaniu. Łzy w moich oczach wystarczyły jej za odpowiedź.

– Kiedy? – zapytała, wstrzymując oddech.

– W zeszłym tygodniu.

Błyskawicznie przeniosła wzrok na ocean, jakby spodziewała się tam potwierdzenia moich słów.

– Jak? – spytała krótko.

– Atak serca – wykrztusiłam ze zdławionym gardłem.

Mama ruszyła dalej z pochyloną głową. Szłam obok i długo nie powiedziałyśmy słowa.

– Kiedyś, dawno temu sobie fantazjowaliśmy – zaczęła wreszcie. – „Pewnego dnia, powiedział do mnie, nie będę już zdolny się kontrolować. Przestaną myśleć o konsekwencjach i po prostu zjawię się u ciebie”. Wiedziałam, że chodzi mu bardziej o marzenie niż obietnicę, ale przystałam na tę grę. „Będę na ciebie czekała, obiecałam. Nigdy nie przestanę na ciebie czekać. Będę się ciebie spodziewała każdej nocy”. „Przypłynę łodzią, mówił. Zobaczysz w ciemności światełko, coraz jaśniejsze, w miarę jak się będę zbliżał”. „A ja będę stała na pomoście, machając latarnią, żeby pokazać ci drogę”. To było oczywiście dziecinne – ciągnęła. – Wiadomo, jak bardzo niebezpieczne mogą się stać takie fantazje, ale po prostu pozwoliliśmy sobie na drobną ekstrawagancję, próbę flirtu z zakazanym szczęściem.

Urwała i zwróciła się do mnie z poważną, surową miną.

– Nie osądzaj go za to, co zaszło pomiędzy nami w klinice – powiedziała. – Klinika przestała dla nas istnieć. Ja nie byłam już pacjentką, a on lekarzem.

– Wiem. – Kiwnęłam głową. – Czytałam jego dziennik.

– Jego dziennik? – Uśmiechnęła się. – Pisał pamiętnik?

– Tak. Sam fakt, że pisał pamiętnik, był dla mnie większą niespodzianką niż jego zawartość.

– Mam nadzieję, że któregoś dnia dasz mi go do przeczytania.

Nie powiedziałam „tak”. Nie bardzo wiedziałam, co robić. Czy tata na pewno chciał, żeby mama to czytała? Czy zakładał, że na pewno ją odnajdę? Mama zdawała się rozumieć moje niezdecydowanie. Szła teraz w milczeniu i tylko łzy płynęły jej po policzkach.

– Mówiłaś coś o tym Lindenowi? – zapytałam.

Pokręciła głową i przystanąła, próbując zapanować nad sobą.

– Wiem, muszę mu powiedzieć. Ale on nie zrozumie, Willow. I tak już wiele wycierpiał z mojego powodu. Nie chciałabym dokładać mu cierpienia do tego bagażu. – Westchnęła głęboko, bardzo głęboko, jakby miało jej pęknąć serce. – Ale zdaję sobie sprawę, że nie mam wyjścia. – Spojrzała na mnie i tym razem się uśmiechnęła. – Jesteś tak piękna, jak cię opisywał. Wspaniale cię wychowali – on i ta twoja niania. Wiem, że twoja matka adopcyjna miała niemiły charakter. Wyczytałam to pomiędzy wierszami w jego listach. Nie chciał, bym zadreślała się poczuciem winy, więc wersja dla mnie z pewnością brzmiała dużo lepiej niż wersja dla ciebie – dodała.

– Och, tak, Amou była dla mnie jak prawdziwa mama – powiedziałam z westchnieniem.

– Bardzo się cieszę. – Pokiwała głową. – Obserwowanie, jak dorastasz, musiało być dla niego bolesne.

– Czemu?

– Pisał, że coraz bardziej przypominasz mu mnie i coraz trudniej przychodzi mu utrzymanie w tajemnicy swojej ojcowskiej miłości, aby twoja matka adopcyjna nie domyśliła się, że jesteś jego rodzoną córką. Cierpiał, że nie mógł traktować cię tak szczerze i czule, jak by pragnął.

– Ja też cierpiałam z powodu dystansu pomiędzy nami, ale z czasem się do siebie zbliżyliśmy.

– Dobrze, że tak było.

– Chciałabym spędzać więcej czasu z tobą, jak córka z matką, żebyśmy mogły się lepiej nawzajem poznać – powiedziałam.

– Marzę o tym – przytaknęła. – Nie jesteś na studiach?

– Postanowiłam wziąć urlop dziekański po tym, gdy znalazłam dziennik taty i dowiedziałam się o tobie.

– A co o tym wszystkim myślą Eatonowie? Wiedzą, po co naprawdę tu jesteś?

– Ależ skąd, nic im nie mówiłam. Myślą, że realizuję tu badanie naukowe – to samo, o którym na początku mówiłam tobie. Tylko ja i doktor Price znamy prawdę o was.

– I jeszcze ktoś – dodała.

– Nadine Gordon?

– Tak. Skąd o niej wiesz? – zdziwiła się. – Tata również pisał o niej w dzienniku?

– Nie, powiedział mi o tej pielęgniarce doktor Price. Ale dzisiaj Linden wspomniał, że jakiś czas temu była tutaj. Po co?

– Myślała, że zdoła mnie zaszantażować. To wstrętna postać – zawistna, fatalnie traktująca pacjentów, a już zwłaszcza mnie.

– I co zrobiłaś, kiedy przyszła?

– Po prostu wyrzuciłam ją za drzwi.

– Sądziłabym raczej, że chciała szantażować mojego tatę, a nie ciebie.

– I na tym polega ironia sytuacji. Nadine Gordon naprawdę kochała twojego ojca i nie byłaby w stanie go skrzywdzić. Ale mnie tak. Jednak wygląda na to, że zdołała coś od niego wyciągnąć.

– Nic o tym nie wiem. – Pokręciłam głową.

– Dziś to już nieważne. – Mama znów popatrzyła na ocean. – Oby tylko nie zaszkoziła w jakiś sposób tobie i Lindenowi.

– Chciałabym być jego przyjaciółką, siostrą, jeśli oczywiście się zgodzi.

Chwilę wpatrywała się we mnie uważnie, a potem zerknęła w stronę domu przy plaży.

– Już dawno powinnam mu powiedzieć. Teraz byłoby nam wszystkim łatwiej. Zbyt długo skrywane sekrety rozrastają się jak rak, zżerając serca i dusze.

Kiwnęłam głową i przygryzłam usta, żeby powstrzymać łzy piekące pod powiekami. Biedny tata musiał trzymać w ukryciu takie bolesne tajemnice, tak długo nie mógł się nimi z nikim podzielić.

Mama uśmiechnęła się i pogładziła mnie po włosach.

– Sam twój widok, Willow, przywołuje we mnie cudowne wspomnienia taty – powiedziała miękko. – I takie piękne dał ci imię. Tylko on i ja wiedzieliśmy, jak bardzo jest wyjątkowe. Ależ był szczęśliwy! Widzę jego uśmiech w twoim uśmiechu i to samo światło w twoich oczach. Jestem szczęśliwa, że mnie tu znalazłaś. Nawet jeśli tak długo musiałam na to czekać.

– Ale przywiozłam ci złe wieści, mamó. Obawiałam się, że przysporzę ci bólu, i niestety tak się stało.

– Stało się, ale już minęło. Więcej złych wieści nie będzie. – Brzmiało to prawie jak modlitwa.

Odpowiedziałam jej uśmiechem.

Nad naszymi głowami smętnie zakrzyczała mewa, zupełnie jakby usłyszała słowa mamy, lecz wiedziała, że los jeszcze nie zaspokoił swojego głodu łez. Jeszcze nie.

Rozdział piętnasty

W FALACH

Mama obiecała, że powie Lindenowi prawdę jeszcze tego wieczoru, i jeśli wszystko pójdzie dobrze, spotkamy się u nich. Ostrzegłam ją przed balem u Eatonów. Słyszała coś o tym od kogoś ze służby, kto sympatyzował z nią, a nie z Asherem i Bunny.

Myślałam, że Eatonowie zechcą odpocząć przed swoim wielkim balem, ale Bunny przekazała mi przez Jenningsa, że zostali zaproszeni na kolację, więc nie będą mi towarzyszyć przy stole. Zaznaczyli, że mogę poprosić, o co tylko zechcę.

– Wedle życzenia – podkreślił Jennings. – Kucharz już czeka.

Wygłosił swój tekst, ale nie ruszył się, tylko stał nade mną i czekał, jakbym była skazańcem, który ma zamówić ostatni posiłek przed egzekucją.

– Nie jestem głodna, Jennings. Wystarczy mi trochę sera, krakersy oraz świeże owoce z kawą. Chcę zjeść w swoim pokoju.

– Bardzo dobrze – odrzekł i skłonił się nieznacznie. Zniknął w głębi domu, a ja poszłam do siebie. Usiadłam na balkonie i wpatrzyłam się w domek na plaży. Rozmyślałam, co się tam dzieje, czy mama zaczęła już ujawniać tajemnicę Lindenowi i jak zareagował. Byłam spięta, i kiedy zadzwonił telefon, zerwałam się jak oparzona.

Ponownie dzwonił Thatcher.

– Chciałem zapytać, co robisz. Wybierasz się może do miasta, żeby z kimś pogadać?

– Nie. Właśnie relaksuję się na balkonie.

– Wpadnę do ciebie, gdy tylko przyjadę do domu – obiecał.

– Jasne, ale nie musisz się o mnie martwić.

– Kiedy się dowiedziałem, że moi rodzice chcieli cię zabrać na dzisiejszą kolację, zabroniłem im. Nie chcę, żeby cię zagarnęli, bo jeszcze nie daj Boże na przyjęciu poznasz jakiegoś biznesowego księcia i puścisz mnie w trąbę.

– Sam jesteś biznesowym księciem, o którym marzą dziewczyny – odparowałam i Thatcher się roześmiał.

– Słuchaj, muszę wracać do stołu rokowań. Gramy o prawie pięć milionów dolarów.

– Znów te hot-dogi? – zażartowałam.

– Teraz brzmisz jak prawdziwa dziewczyna z Palm Beach – droczył się ze mną. – Niedługo się zobaczymy. Szybko mi zejdzie, a poza tym jestem niedaleko.

– Jeśli się pospieszysz, załapiesz się na ser i krakersy.

– Zrobię wszystko, żeby zdążyć.

Pożegnaliśmy się ze śmiechem.

Telefoniczna pogaducha z Thatcherem poprawiła mi humor i na moment ukojła nerwy. Jennings przyniósł zamówioną lekką kolację. Chrupałam krakersy niespiesznie, zagryzając je serem oraz owocami.

Uświadomiłam sobie, że ciągle jestem tak zajęta, że niemal zapomniałam o ludziach z mojego roku. Dziwiło mnie również, że tak szybko odłożyłam na półkę myśli o Allanie. Być może dlatego, że bardzo boleśnie odczułam jego brak reakcji na moje zmartwienia i problemy.

Kiedy byłam mała, tata radził, żebym wrzuciła swoje kłopoty i smutki do czarnej dziury i tam je zakopała. Najpierw trzeba było sobie zwizualizować tę dziurę, a potem z uciechą wrzucać do niej po kolei niechciane, niedobre rzeczy. Czasami to naprawdę działało.

I bardzo chciałam, żeby zadziało dzisiaj. Uznałam, że jest dobry moment, aby spróbować. Tego wieczoru ciemności zdawały się zakrywać świat, pełnząc od strony oceanu i dalekiego horyzontu, jakby ktoś powoli rozwijał gigantyczny koc, narzucając go na brzeg i na dom. Gwiazdy usiłowały wyglądać przez szpary pomiędzy chmurami, których mleczna biel błyskawicznie zniknęła pod nawałem granatowej szarości, szarpanej sztormowymi powiewami. Fale rosły i bieleły się grzebieniami piany. Ocean przypominał bestię, która z groźnym pomrukiem czai się do ataku.

A jednak nie zaczęło padać. Burza tylko pogroziła palcem i chmury się rozplynęły, pozostawiając po sobie cieniutkie pasma mgiełki, rozwlekanej po horyzoncie przez zachodni wiatr. Gwiazdy znów wzięły niebo we władanie i konstelacje rozbłysły jak klejnoty, dumnie siejąc blask. Oszołomił mnie ten majestatyczny spektakl natury i niemal zasnęłam, hipnotycznie wpatrzona w niebo. Dopiero łomot drzwi zatraskiwanych na dole sprawił, że ocknęłam się z gwałtownym drgnięciem.

Podeszłam do balustrady balkonu i popatrzyłam na dom mamy. Za moment pojawił się Linden. Maszerował szybkim krokiem w stronę plaży, wymachując rękami, jakby kłócił się sam ze sobą. Nawet z tej odległości widziałam, że ma zwichrzone włosy. Światło gwiazd zdawało się tworzyć wokół nich ognistą aureolę. Nagle stanął, uniósł głowę i popatrzył prosto na duży dom i na mnie – a przynajmniej tak mi się wydawało – po czym szybko poszedł dalej i zniknął za zakrętem.

Co się stało? Mama mu powiedziała? Co mówiła o mnie?

Spojrzałam na dom przy plaży, ale nie widać było, żeby mama wybiegła za Lindenem. Teraz już na serio się zaniepokoiłam. Zerwałam się i zbiegłam na tylny taras. Na próżno jednak wypatrywałam Lindena. Nigdzie nie było go widać i mój niepokój wzrósł. Pamiętałam, jak przejęta i zszokowana się czułam, kiedy czytałam dziennik taty. Dla Lindena, który tyle lat później usłyszał całą historię od mamy, przeżycie mogło być jeszcze bardziej traumatyczne. Musiał pogodzić się ze świadomością, że nie jest jedynakiem i że ja też doświadczam podobnych uczuć. Z tą myślą zbiegłam z tarasu i pobiegłam tropem swojego przyrodniego brata.

Szłam brzegiem oceanu i znacznie oddaliłam się od domu, ale Lindena ciągle nie było widać. Przystanąłam, zaczęłam go wołać, ale nie odezwał się. Uznałam, że nie ma sensu iść dalej, i zawróciłam. Zatrzymałam się w miejscu, gdzie pierwszy raz mu pozowałam, i tam, u podnóża wydmy zobaczyłam jego ubranie na piasku. Wbiegłam w wodę i wypatrywałam go w oceanie. Wreszcie dostrzegłam głowę, podskakującą na falach, i głośno wołałam, żeby wracał. Nie zareagował. Albo mnie nie słyszał, albo nie miał ochoty odpowiadać.

Nagle głowa zniknęła i serce podeszło mi do gardła.

– Linden!

Spojrzałam w stronę domu. Nikogo nie było widać. Rozglądałam się gorączkowo i krzyczałam, licząc, że ktoś się pojawi. W atramentowej ciemności majaczyły jedynie zarysy krzaków i drzew. Mogłam sobie krzyczeć do woli. Znów wpatrzyłam się w ocean i zobaczyłam, że głowa pokazała się na powierzchni i za moment zniknęła wśród fal. W panice błyskawicznie zrzuciłam ubranie i wbiegłam do wody.

Mieliśmy w domu basen i byłam niezłą pływaczką. Jednak inną rzeczą jest pływać w spokojnej wodzie basenu, a inną we wzburzonym oceanie. Zagarniałam wodę ramionami, z wysiłku i przerażenia ciężko łapiąc oddech. Zakrztusiłam się, wykaszlałam wodę, lecz wytrwale dążyłam do miejsca, gdzie widziałam

głowę Lindena. Były momenty, że znikająca mi z oczu na długą chwilę. Kiedy rozglądałam się wśród fal, zobaczyłam, że odpłynęłam całkiem daleko.

Znów go wołałam, walcząc z falami, które ciskały mną jak piłką. Poczułam lodowate ukłucia strachu wzdłuż kręgosłupa, bo coraz trudniej było mi oddychać. Wreszcie zadziałał instynkt samozachowawczy, postanowiłam zawrócić do brzegu. Fala zagarnęła mnie i wepchnęła pod wodę, zanim zdążyłam zaczerpnąć powietrza. Zupełnie jakby jakaś silna ręka przytrzymała mnie i przytopiła.

Spanikowałam, w desperacji dziko młóciłam rękami i nogami, walcząc o utrzymanie się na powierzchni. Nagle poczułam, że coś obejmuje mnie w pasie i ciągnie w stronę brzegu. W pierwszym odruchu zaczęłam się bronić, ale w następnej sekundzie zrozumiałam, że to Linden mnie ratuje.

– Co ty robisz?! – wrzasnął. – Przestań! Oddychaj, płyn spokojnie.

Podtrzymał mnie ramieniem, dopóki nie wyrównałam oddechu i ruchów. Razem płynęliśmy w stronę plaży aż do miejsca, gdzie mogłam wreszcie stanąć o własnych siłach. Zataczałam się, ledwie doszłam do brzegu, kaszląc i wypluwając słoną wodę. Wreszcie złapawszy oddech, obróciłam się ku Lindenowi. Nasze nagie, spływające wodą ciała lśniły w świetle gwiazd.

– Co ci strzeliło do głowy? – zapytał.

– Myślałam, że... że toniesz – wykrztusiłam.

– Słusznie, bo rzeczywiście tonąłem – odpowiedział. – Niestety, ocean nie chciał mnie przyjąć.

Wyszedł na brzeg i padł bezsilnie na piasek. W paru krokach znalazłam się przy moich rzeczach i zaczęłam się w pośpiechu ubierać.

– Chciałaś mnie ratować? – Nie krył rozbawienia. – Własnymi siłami?

– Tak, chciałam.

– Też należysz do tych, którzy chcą zbawić świat i ludzkość? – dopytywał się cynicznie. – Sama się przekonałaś, jak trudno jest walczyć z falami. Musisz do tego przywyknąć, Willow. Teraz już wiem, jak masz naprawdę na imię. Cóż, Willow, zagarnęła nas fala losu i nie zatrzymasz jej, tak jak nie zatrzymasz tych oceanicznych fal.

– Nie wierzę w to – odparłam buntowniczo.

– No tak... z tego, co usłyszałem od mamy... naszej mamy, wynika, że bardzo długo nie orientowałaś się w sytuacji. Nie musiałaś żyć z tą klątwą na co dzień, jak ja, i ciągle jeszcze nie zdajesz sobie sprawy, że los igra z nami okrutnie, majstrując przy naszych sercach i umysłach, zwodząc nasze uczucia. Czasami nawet daje nam posmakować szczęścia, ale kiedy zaczynamy za nim gonić, szybko nam je zabiera, abyśmy w pełni odczuli, co straciliśmy i jak fatalne są nasze losy. Witaj w rodzinie – dodał i odszedł do swoich rzeczy.

– Nie wierzę w to, co mówisz, Linden! – zawołałam w ciemność. – I ty też nie.

Zaśmiał się dziko.

– Wspólnie – mówiłam, wciągając ubranie na mokre ciało – możemy nadać naszym losom nowy sens. Możemy przywrócić miłość, zrozumienie i nadzieję naszej mamie i nam samym.

– Willow, proszę – odpowiedział z mroku. – Nie wiesz, o czym mówisz, zapewniam cię. Jeśli możesz, nie dobijaj mnie, bo i tak jestem na krawędzi wytrzymałości. Jediną rzeczą, która mogłaby choć na chwilę wyrwać mnie z tego stanu – ciągnął, podchodząc do mnie – jest złudna nadzieja i te głupie, rozkoszne marzenia. Musisz słuchać oceanu, Willow – dodał. – Za każdym razem, kiedy zaczniesz ci się wydawać, że możesz zmienić świat, siebie i ludzi, przyjdź tutaj i posłuchaj go. Usłyszysz pieśń znaną od zarania kobietom i mężczyznom, ten odwieczny ryk śmiechu. To jest właśnie głos losu! Możesz sobie do niego krzyczeć jak do ściany.

– Nie – powiedziałam twardo.

Chwycił mnie za ramiona i obrócił ku sobie, zmuszając, żebym patrzyła mu w twarz. Przycisnęłam

bluzkę, którą trzymałam w rękach, do swoich nagich piersi. Wpatrywał się we mnie chwilę, po czym jednym ruchem obrócił mnie w stronę rezydencji.

– Dawno temu nasza mama została zgwałcona w domu, który tam widzisz – powiedział. – Nie uwiedziona, tylko zgwałcona – podkreślił. – Z tego gwałtu urodziłem się ja. Jestem skażony, zepsuty, rozumiesz? Mam w sobie jego krew. Minęło jeszcze parę lat i jak wiesz, mama znów została zgwałcona, zanim zdążyła się podnieść po tamym. I urodziłaś się ty.

– Nieprawda. – Pokręciłam głową. – Było zupełnie inaczej.

– I urodziłaś się ty – powtórzył. – Jak sama widzisz, jest między nami wiele podobieństw. Może powinniśmy zapomnieć, że jesteśmy rodzeństwem przyrodnim, co? I dać się porwać nurtowi ślepej namiętności, która stworzyła nas oboje?

– Nie – powiedziałam, kiedy rozłożył mi ramiona, aż trzymana przeze mnie bluzka odsłoniła piersi. Dosłownie pożerał mnie wzrokiem.

– Nie masz ochoty na małą rodzinną scenę tu, na plaży? – warknął.

Serce waliło mi tak mocno, że nie miałam siły się wyrwać. Nagle Linden mnie puścił. W pośpiechu wciągnęłam bluzkę.

– Zresztą co by to zmieniło? – mruknął. – Co za różnica?

Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę domu.

Szybko włożyłam sandały i pobiegłam za nim.

– Linden, zaczekaj. Powiedzieliś nieprawdę. W klinice mojego ojca zdarzyło się zupełnie coś innego.

Zamiast odpowiedzi przyspieszył kroku i po prostu uciekł. Zwolniłam, patrząc, jak biegnie po plaży, i po chwili znika w cieniu domu. Szłam dalej i wkrótce znalazłam się w zasięgu światła rezydencji. Mokre ubranie lepiło się do mokrego ciała, a bluzka oklejała piersi jak przezroczysty, cienki papier. Obejrzałam się za Lindenem, po czym odwróciłam się w stronę domu – i zamarłam.

Przedemną stał Thatcher i wpatrywał się we mnie szeroko otwartymi oczami.

– Co się stało, wypadliście z łódki? – zapytał kpiącym tonem.

– Nie.

– Tak też myślałem. Mam nadzieję, że przynajmniej się dobrze bawiłaś – rzucił i zawrócił do domu.

– Thatcher, zaczekaj! – krzyknęłam.

Zatrzymał się i gwałtownie odwrócił.

– Zabawne – wycedził. – Byłem przekonany, że zapewnię ci tu niejedną niespodziankę, a tymczasem to mnie spotykają same niespodzianki. Czy tak powinno być?

– Thatcher, nic nie rozumiesz – zaprotestowałam. – Nie zjawiłam się tutaj z powodu, o którym ci wcześniej mówiłam. Nie prowadzę żadnych badań nad społeczeństwem Palm Beach.

Pokręcił z uśmiechem głową.

– Tak też myślałem, Willow. Prawidłowo podałem twoje imię, czy znów natknę się na jakąś niespodziankę? – Popatrzył znacząco na dom przy plaży. – Czyżbyś wiedziała o Lindenie Montgomerym coś, czego ja nie wiem? A może po prostu czujesz słabość do tego smętnego, zwariowanego typa? Czy seks z kimś takim jest bardziej ekscytujący? Perwersyjny? Więc jak to jest? – Już prawie krzyczał, wpatrzony we mnie z wściekłym grymasem na twarzy. – Znałem takie, ale to było, zanim poznałem ciebie.

Łzy popłynęły mi po twarzy tak nagle, jakby otwarto śluzy. Dławiło mnie w gardle.

– Najbardziej żałuję – ciągnął – że potraktowałem cię tak uczciwie i byłem wobec ciebie absolutnie szczerzy. Teraz czuję się jak idiota, ale przecież powinienem wiedzieć, że wy, kobiety, kochacie nas upokarzać, prawda?

Pokręciłam głową.

– Thatcher...

– Daj sobie spokój. – Powstrzymał mój protest władczy gestem dłoni, jakby sprawa została ostatecznie rozstrzygnięta. – I tak nie uwierzę w żadne twoje słowo.

Odwrócił się i szybkim krokiem poszedł do domu. Zanim zdążyłam się ruszyć, drzwi się za nim zamknęły.

Ale namieszałam! Byłam wściekła na siebie. Linden doznał szoku i wpadł w jeszcze większą depresję. Mama zapadła się w mroki rozpacz i zawodu, gdy zrozumiała, że tata nigdy nie wróci. Jakby tego było jeszcze mało, wpędziłam Thatchera w bagno cynizmu, które porzucił dla mnie, kiedy się poznaliśmy, pokochaliśmy i uwierzyliśmy w nasze szanse na szczęście.

Powinnam po prostu wrócić do domu, pomyślałam, do poprzedniego życia. I udawać, że dziennik taty nigdy nie istniał albo jest tylko fikcją, napisaną przez kogoś innego. Potrzebowałam czyjejs mądrej rady, a w tym przypadku najlepszy byłby Allan, z tym swoim bystrym i trzeźwym myśleniem. Tyle że jest już za późno.

Lepiej będzie stąd zniknąć. Tak, wyjadę i przyślę mamie list, w którym wyjaśnię wszystko.

Weszłam do domu i od razu udałam się do swojego pokoju. Tam przebrałam się w suche rzeczy i zaczęłam się pakować. Postanowiłam, że jeśli nie uda mi się dostać na samolot, zatrzymam się w hotelu przy lotnisku. Tak mi się spieszyło, że nie chciałam już załatwiać rezerwacji przez telefon. Uznałam, że pojedę na lotnisko i zobaczę, co się da zrobić.

Usiadłam przy biurku i napisałam krótki list z podziękowaniami dla rodziców Thatchera. Prosiłam w nim, aby wybaczyli mi nagły wyjazd, dodając, że była to dla mnie konieczna decyzja. Na koniec wyraziłam przekonanie, że bal zakończy się ogromnym sukcesem. Kiedy list był gotowy, zadzwoniłam po Jenningsa. Zdziwił go widok spakowanej walizki, ale nie zadawał pytań.

– Przekaż, proszę, ten list państwu Eaton – powiedziałam, wręczając mu kopertę.

– Tak jest, oczywiście. Czy mam znieść walizkę do samochodu?

– Nie trzeba, Jennings, sama to zrobię – odparłam.

– W takim razie proszę pozwolić mi znieść ją do holu – nalegał.

Podejrzewałam, że w myśl kodeksu obowiązującego tutejszą służbę lokaj utraciłby twarz, a pewnie i stanowisko, gdyby dopuścił, żeby gość sam wynosił z pokoju swoje bagaże. Kiwnęłam głową i Jennings zabrał walizkę. Otarłam łzy i po chwili ruszyłam za nim. Zeszłam ze schodów i skręciłam na tylny taras, żeby ostatni raz popatrzeć na dom nad oceanem. Stałam przy barierce, zastanawiając się, czy pójść się pożegnać, czy jednak nie. Po namyśle uznałam, że w ten sposób tylko skomplikuję sprawę i przyczynię mamie dodatkowego bólu. List powinien wystarczyć, postanowiłam i odwróciłam się, żeby odejść.

Thatcher siedział spokojnie w wielkim klubowym fotelu. Musiał zejść po cichu na dół i pewnie obserwował mnie od dłuższej chwili.

– Dokąd się wybierasz? – zapytał.

– Do domu.

– Gdzie jest ten dom? Teraz już możesz zdradzić mi prawdę.

– Tam, gdzie mówiłam, w Karolinie Północnej. Większość tego, co mówiłam, jest prawdą, Thatcher.

– Akurat!

– Owszem, jest. – Obróciłam się i stanęłam z nim twarzą w twarz. – Nie wierzysz mi? Cóż, przykro mi, że musiałeś tak stanowczo odciąć się ode mnie, utwierdzając się w przekonaniu, że jestem podstępna, kłamliwą manipulantką, ale ty nic nie wiesz, Thatcher.

Zachował swój sceptyczny uśmiech.

– Czy twój ojciec i twoja matka naprawdę nie żyją? – zaczął drażnić, jakby maglował świadka na sali sądowej.

– Zgadza się.

– A twój ojciec był lekarzem psychiatrą?

– Tak.

– I przypadkiem leczył Grace Montgomery? Mówiłaś, że skierowano ją do jego kliniki?

– Tak było, Thatcher.

Uśmiechnął się lodowato.

– To musiało ci ułatwić sprawę. Co zrobiłaś – zdobyłaś jej teczkę ze szpitala?

– Można powiedzieć, że tak, ale nie to sprowadziło mnie do Palm Beach. Nie poluję na spadek. Nie przyjechałam tutaj, żeby ugrać swoje w Palm Beach, jak pewnie uważasz. Jeśli chcesz wiedzieć, obojętne mi są posiadłości i majątki. Nie jestem tak zamożna jak większość ludzi ze świata twoich rodziców, co nie znaczy, że jestem biedna. Nie posiadam jachtu ani biżuterii wartej tysiące dolarów, ale posiadam tyle, że nie muszę polować tu na bogatego jelenia, który wprowadzi mnie do waszego sztucznego świata.

Zaśmiałam się głośno.

– Wiesz co, Thatcher? Teraz, kiedy poznałam trochę ten świat, na serio zastanawiam się, czy naprawdę nie zaproponować mojemu wykładowcy psychologii, że w przyszłym semestrze zrobię takie badanie.

Oderwałam się od barierki i ruszyłam do wyjścia.

– Dobrze – powiedział, składając dłonie w daszek. – Pozwól, że na odchodnym zadam ci parę pytań. Prawdą jest, że twój ojciec prowadził klinikę, a Grace Montgomery była jego pacjentką. Chciałbym wiedzieć, jak połączyć ten fakt z twoim zaangażowaniem w związek z Lindenem?

Zatrzymałam się i popatrzyłam na niego. W jego twarzy ciągle były cynizm i gniew, ale dostrzegłam też ból. Myślał tylko o mojej zdradzie.

– Nie zjawiałam się tutaj ze względu na Lindena, a przynajmniej z początku nie miałam takiego zamiaru – wyjaśniłam.

– I co się stało później?

– Thatcher, przyleciałam tutaj, żeby poznać moją rodzoną matkę.

Brwi podjechały mu w górę.

– Nie rozumiem. Rodzoną matkę?

– Po śmierci taty dostałam zapiski, które on zdeponował u swojego przyjaciela i prawnika z instrukcją, żeby przekazać mi je dopiero po jego śmierci. Przeczytałam pamiętnik i dowiedziałam się, że on i Grace Montgomery zostali kochankami w trakcie jej leczenia.

– Co takiego? Twój ojciec miał romans z własną pacjentką, którego owocem byłaś ty? Grace Montgomery jest twoją matką?

– Tak. Ale gdybyś przeczytał ten dziennik i porozmawiał z Grace, zrozumiałbyś, że sprawa była o wiele głębsza, niż sądzisz. Pozostała w klinice dłużej, niż powinna, gdyż tak bardzo go kochała. Z wzajemnością.

– Chcesz mi powiedzieć, że Linden Montgomery jest twoim... twoim bratem przyrodnim?

– Dokładnie tak, Thatcher. Dzisiaj mama wyznała mu prawdę i Linden tak się po tym załamał, że postanowił utopić się w oceanie. Zobaczyłam go, jak zniknął pod falami, i popłynęłam mu na ratunek. W rezultacie to on musiał ratować mnie.

– Nie rozumiem, czemu miałby załamać się na wieść, że jesteś jego siostrą przyrodną? – zapytał Thatcher i zaraz sam wpadł na odpowiedź. Stałam i po prostu patrzyłam na niego. – Och – mruknął po chwili. – Jasne. Od lat nie zdarzyło się, żeby tak piękna i urocza młoda kobieta zechciała poświęcić mu tyle czasu i uwagi.

– Zaszкодziłam wszystkim, pojawiając się tutaj. Mądrzy ludzie odradzali mi ten wyjazd, ale nie chciałam ich słuchać. To wszystko zamierzałam ci wytłumaczyć, kiedy zobaczyłeś mnie i Lindena mokrych, wracających z plaży. Przepraszam, że sprawiłam ci przykrość. Żegnaj – powiedziałam i ruszyłam do wyjścia.

– Zaczekaj, Willow. Grace wie, że wyjeżdżasz?

– Nie. Postanowiłam, że napiszę do niej po powrocie do domu.

– To nie jest w porządku. Przywiało cię tutaj nagle jak ze środka oceanu i teraz chcesz sobie po prostu odlecieć?

Poczułam, jak napina mi się skóra na twarzy; usta drżały mi tak, że szczykałam zębami.

– Nie jestem już w stanie znieść więcej... smutku i... *dor no coração, peso na alma*.

– Co mówisz? – Zmarszczył brwi.

Uśmiech rozproszył na moment mrok mojej desperacji.

– Ból w sercu i ciężar na duszy, jak mawiała moja niania Amou.

– To po portugalsku?

– Tak.

Wstał i podszedł do mnie powoli.

– Jak wiesz, wróciłem do swojego pokoju strasznie wściekły. Chodziłem od ściany do ściany, wkurzony na ciebie, siebie, moich rodziców oraz resztę świata, a potem zatrzymywałem się i wiele razy odtwarzałem sobie to wszystko w głowie, bo czułem, że musi być jakieś inne wytłumaczenie. Po prostu nie mogłem przyjąć do wiadomości tego, co z pozoru samo się nasuwało. Dlatego przyszedłem tutaj, żeby z tobą porozmawiać.

Uśmiechnął się.

– I dobrze zrobiłem. Nigdzie stąd nie wyjedziesz. Zwłaszcza teraz, kiedy już wiem, że twoje zainteresowanie Lindenem Montgomerym jest czysto siostrzane.

Zrobiłam ruch, żeby pokręcić głową.

– Przybyłaś tutaj w określonym celu i powinnaś zostać, dopóki go nie osiągniesz. Nie możesz tak po prostu wlecieć w życie swojej matki jak meteor, a potem do widzenia, miło było – pożegnać się i polecieć dalej. Jeśli nawet twoje pojawienie się i wieści, które przyniosłaś, wywołały u niej traumę, uleczy ją miłość, którą także przyniosłaś. Jestem pewien, że kiedy Linden oswoi się z sytuacją, ucieszy się, że ma taką wspaniałą siostrę.

– Myślisz, że tak będzie?

– Oczywiście, chociaż powodują mną także własne, egoistyczne pobudki. Nie wyobrażam sobie, że miałbym się z tobą teraz pożegnać. W ogóle tego sobie nie wyobrażam.

Podszedł i chusteczką otarł mi łzy z policzków, a potem osuszył mi twarz delikatnymi pocałunkami i przytulił mnie mocno.

– Jeszcze tylko jedno, Willow – szepnął.

– Co?

– Nie mówmy na razie o tym moim rodzicom, zwłaszcza przed imprezą, dobrze?

– Dlaczego nie? – Wysunęłam się z jego ramion. W piersi ostrzegawczo załopotwały mi motyle skrzydełka.

– Wierz mi, im mniej będą wiedzieć, tym lepiej. W ich życiu nie ma miejsca na ból, troski czy problemy większe niż ten, że wino smakuje korkiem. Bardzo bym nie chciał, żeby moja mama stała się obiektem plotek. Wyobraź sobie, co by z tymi wieściami zrobiły siostry Carriage!

– Mam dosyć ukrywania prawdy, Thatcher, i nie obchodzą mnie siostry Carriage.

– Dobrze, po przyjęciu będzie dużo czasu na prawdę. Ale musisz pamiętać, iż prawda ma czasem tak

gorzki smak, że powinno się ją przyjmować w małych dawkach i nigdy całą porcję naraz. Złudzenia i niepełne informacje są łatwiejsze do strawienia.

Sięgnął po moje bagaże.

– Mogę?

Dwa głosy w mojej głowie znów wszczęły spór. Jeden nakłaniał, żebym została, a drugi nakazywał natychmiastowy odwrót.

– Zawsze przecież możesz wyjechać – dodał, widząc moje niezdecydowanie. – To jest łatwe. Powrót jest niełatwy.

Ucięłam ten spór. Kiwnęłam głową i powoli weszłam na schody. Miałam nadzieję, że podjęłam właściwą decyzję.

Noc spędziliśmy ze sobą, tym razem w mojej sypialni. Leżeliśmy wtuleni w siebie, a Thatcher bez końca zadawał mi pytania – zupełnie jakby moje wyznanie prawdy otworzyło szerzej drzwi do jego skrywanych pokładów troski i zainteresowania drugim człowiekiem. Opisałam mu swoje dzieciństwo i młodość. Szczegółowo opowiedziałam o Amou, a potem o mojej matce adopcyjnej i jej odnoszeniu się do mnie. Chciał też wiedzieć więcej o moim tacie. Wyraźnie zafascynował go jego romans z Grace Montgomery.

– Wydaje się, że oni naprawdę się kochali i po rozstaniu ciągle już żyli w bólu – powiedział. – Świadomość tego pozwoli mi bez wątpienia lepiej zrozumieć Grace – dlaczego jest taka, jaka jest, i co spowodowało, że do tego stopnia zamknęła się na świat. Zawsze ją lubiłem i oburzało mnie, kiedy ludzie wygadywali o niej różne straszne rzeczy. Dlatego zapewniam jej pomoc prawną i cieszę się, że mogę to robić. Próbowałem zaprzyjaźnić się z Lindenem – ciągnął. – W rzeczywistości to ja załatwiłem mu wstawienie obrazów do galerii. On o tym nie wie, bo gdyby się dowiedział, natychmiast by je stamtąd wycofał. Rozumiesz, Linden nie chce niczyjej pomocy, a już zwłaszcza kogoś z Palm Beach. Zaproponowałem nawet wspólne żeglowanie i prawie się zgodził. Rozmawiałem z nim o jachtach, zasięgnąłem jego opinii i zaprosiłem go na pokład, ale nic z tego nie wyszło. Zupełnie jakby zmagał się z jakimś wewnętrznym przeciwnikiem, z innym Lindenem, który niestety go zdominował.

– Ja też tak mam – przyznałam.

– Jak?

– Są we mnie dwa głosy, które się spierają.

– Ups, czyżby to cecha rodzinna? – zapytał na poły poważnie, na poły żartobliwie.

– Możliwe, ale nie sądzę. A tobie nie zdarza się czasami mówić do siebie?

– Och, wszyscy jesteśmy lekko schizofreniczni, prawda?

– Owszem.

– Nie, nie wierzę w to – powiedział. – Owszem, wierzę. Tak. Nie. Tak. Nie.

Klepnęłam go w ramię.

– Nie nabijaj się ze mnie, Thatcherze Eaton.

Roześmiał się i przyciągnął mnie do siebie. Całowaliśmy się, a kiedy wreszcie odchyliłam głowę, zobaczyłam, że nadal ma zamknięte oczy i uśmiecha się z satysfakcją.

– O czym myślisz, Thatcherze Eaton?

– Myślę o tym, jak podle bym się czuł, gdybym się dowiedział, że jesteś moją siostrą – wyznał. – Podejrzewam, że próbowałbym odrzucić tę prawdę i zaryzykować kazirodztwo.

– Ty głupolu! – Teraz ja go pocałowałam.

Kochaliśmy się i zostaliśmy w łóżku aż do chwili, kiedy poranny blask eksplodował jasnością na ścianie, jak rozsunęła się czarna kurtyna, dając znak do rozpoczęcia nowego przedstawienia. Niemal

słyszałam oklaski widowni.

Razem zjedliśmy śniadanie na dole, na tylnym tarasie, a potem Thatcher musiał jechać do biura. Mnie czekały dzisiaj rozmowy z mamą i z Lindenem. Rodzice Thatchera jeszcze spali, ale zanim wyszłam do domu przy plaży, zjawiły się ekipy, które miały zbudować bajkową scenerię. Rozbijano namioty, rozstawiano stoły i rozwieszano festony światełek. W sumie naliczyłam prawie dwa tuziny ludzi, dwoili się i troili przy tej robocie. Niepojęte, że Eatonowie mogą sobie smacznie spać w takich chwilach. Ale mieli przecież Jenningsa, który doglądał przygotowań i widać było, że ma wszystko pod kontrolą. Nic dziwnego, przecież podobnych przyjęć urządzano tu setki.

Mamę zastałam na tarasie. Piła kawę i spoglądała na ocean. Uśmiechnęła się na mój widok, ale uśmiech szybko ustąpił wyrazowi zatroskania i smutku.

– Dzień dobry – powiedziałam. – Linden jeszcze nie wstał?

– Och, nie, wstał bardzo wcześnie, prawie o świcie. Wziął łódkę i popłynął do tego swojego miejsca samotnego dumania.

– Czyli do plaży Lindena, jak je nazywa.

– Napijesz się kawy?

– Nie, dzięki. Mówił ci, że rozmawialiśmy wczoraj, po tym, gdy wyjawiaś mu prawdę?

– Nie.

Zawahałam się. Czy powinnam jej powiedzieć o próbie samobójczej?

– Zobaczyłam go na plaży i zaczęliśmy rozmawiać – odparłam oględnie.

– Był wstrząśnięty – przyznała. – Źle przyjął tę wiadomość. Ma do mnie żal, gdyż jego zdaniem go zdradziłam, utrzymując prawdę tak długo w tajemnicy. Ma rację, już dawno powinnam mu powiedzieć.

– Skąd mogłaś wiedzieć, że się pojawię?

– Nie, ale tamte wydarzenia to nie tylko moja przeszłość. Również jego.

– Są rzeczy, które matki muszą czasem ukrywać przed dziećmi. Rzeczy, które należą tylko do nich, bo przecież są także kobietami – powiedziałam.

To musiało do niej trafić.

– Racja, są sprawy, o których najlepiej rozmawia się z drugą kobietą – odparła z uśmiechem konspiratorki.

– Zapewne to samo można powiedzieć o mężczyznach w roli ojców – stwierdziłam. – Fakt, że jest się rodzicem, nie wyklucza własnego życia, marzeń czy bardzo osobistych fantazji.

– Linden nie potrafi poradzić sobie z prawdą. – Ruchem głowy wskazała na przestwór oceanu. – Jest zbyt emocjonalny, aby racjonalnie o niej pomyśleć. Twój tata mawiał, że czasami trzeba odłożyć emocje na bok, zamknąć je w innym pokoju, aby spokojnie i rozumowo podejść do swoich problemów. A kiedy już się to zrobi, można wrócić po swoje emocje i zapoznać je z podjętymi decyzjami.

Roześmiała się.

– W jego ustach brzmiało to tak prosto i przekonująco, że szybko uwierzyłam w tę metodę. Stała się ona elementem iluzorycznego świata, który stworzyliśmy dla siebie w klinice. Ale dosyć już o mnie – dodała. – Teraz musisz mi opowiedzieć wszystko o sobie, choćbyś miała mówić całą noc. Chcę wiedzieć wszystko – kiedy wypadł ci pierwszy mleczny ząb, kiedy pierwszy raz podpadłaś rodzicom, kto był twoją pierwszą miłością, kiedy pierwszy raz umalowałaś usta... Po prostu wszystko.

– Od czego mam zacząć?

– Od początku, od twoich najwcześniejszych wspomnień. Wszystko jest dla mnie ważne. – Odchyliła się z wyczekującą miną w fotelu, gotowa do słuchania.

Roześmiałam się.

– Nie ruszysz się stąd przez wieki.

– Mam nadzieję. – Wychyliła się i pogładziła mnie po policzku. – Mam nadzieję.

Kiedy po dobrych paru godzinach skończyłam swoją opowieść, Linden nadal się nie pojawił.

– On często znika na cały dzień – uspokoiła mnie mama. – Nie lubi tego miejsca i stara się uciekać stąd, kiedy tylko może, zwłaszcza teraz, gdy Eatonowie wyprawiają kolejne przyjęcie.

– Wpadnę później, żeby się z nim zobaczyć – obiecałam.

– Dobrze. Może jeśli usiądziemy we troje i porozmawiamy... – Nie dokończyła zdania, jakby marzenie rozpułyło się, zanim zostało wypowiedziane.

– Na to liczę. – I wróciłam do dużego domu, gdzie krążyła już Bunny, dyrygowała służbą, syjąc rozkazami jak ryżem na ślubnej uroczystości. Nakazała przestawić meble, aby zmienić przepływ energii we wnętrzach zgodnie ze wskazówkami swego mistrza *feng shui*. Powiedziała mi, że Asher jest w pokoju rozrywkowym i ogląda mecz kosza w telewizji.

– Jakby nie miał nic innego do roboty – dodała.

Wcale mu się nie dziwiłam, bo nawet jego małżonka nie miała nic do roboty przy takiej armii sprawnej służby zaangażowanej w szykowanie przyjęcia. Bunny pozostało tylko udawać, że zarządza. Ze sposobu, w jaki reagowano na jej pokrzykiwania, było widać, że ci ludzie wiedzą, jak zadowolić swoją panią, i tylko uśmiechają się za jej plecami.

Nagle Bunny zauważyła, że ciągle stoję obok niej, i obróciła się ku mnie gwałtownie.

– Co dzisiaj włożysz? Chyba nie tę samą małą czarną?

– To jedyny wieczorowy strój, jaki posiadam, Bunny.

– O masz ci los! Powinam spytać cię o to wcześniej i pojechać z tobą do Monique, żeby dobrała ci coś z Paryża. Włóż chociaż moje najlepsze perły! Nie musisz się o nie bać, tu są sami swoi.

– Dobrze – zgodziłam się, licząc, że zaraz zapomni.

Nie zapomniała. Za dziesięć minut pokojówka przyniosła mi perły do pokoju.

Czekając na rozpoczęcie przyjęcia, zadzwoniłam do domu. Telefon dzwonił i dzwonił, ale Miles nie odbierał, a ja nie chciałam zawracać głowy panu Bassingerowi. Powinam wrócić do domu i sama sprawdzić, co się dzieje. Może Miles po prostu pojechał po zakupy, a może spał. Zadzwonię ponownie za pół godziny.

Jednak nie zrobiłam tego. Całkowicie pochłonęły mnie przygotowania do przyjęcia. Potem wpadł Thatcher, żeby sprawdzić, na jakim jestem etapie, a za moment trzeba było już zejść na dół i witać gości, wysiadających ze swoich limuzyn, rolls-royce'ów i mercedesów. Rozbrzmiała muzyka. Służba krążyła z tacami z szampanem i zakąskami. Kobiety w sukniach od najsłynniejszych projektantów, które musiały kosztować majątek, olśniewające swoją biżuterią, prezentowały się jak na wybiegu. Ci ludzie zachowywali się, jakby nie widzieli się od lat, gdy tymczasem z rozmów, które słyszałam mimochodem, wynikało, że widywali się przynajmniej dwa razy w tygodniu.

Wreszcie poznałam siostrę Thatcher, Whitney, i jej męża, starszego od niej chyba o dwadzieścia lat. Był krępy i prawie łysy, nie licząc złotawego pasemka włosów, którymi usiłował zakryć piegowatą skórę na czasce. Whitney była od niego wyższa – ba, nawet o parę centymetrów wyższa od Thatcher! – i miała twarz bardziej szczupłą i pociągłą niż brat. Wąskie wargi zaciskały się w cienką linię, kiedy mówiła, jadła czy uśmiechała się wymuszenie. Oczy miała ciemniejsze, ładnie wykrojone, lecz spojrzenie bardziej krytyczne i twarde niż u Thatcher. Trzymała się sztywno jak kij, przesuając się pomiędzy gośćmi, a jej głowa poruszała się jakby niezależnie od ciała. Jakim cudem tak zabawowi i beztroscy rodzice mogli spłodzić kogoś tak sztywnego i zasadniczego? – dziwiłam się w duchu.

– Mama wiele mi o tobie opowiadała – powiedziała, ściskając moją dłoń. Jej dłoń była zimna, ale uścisk miała mocny jak facet. – Pewnie coś plotła, jak zwykle.

– Nie wiem, co ci opowiadała, ale próbuję pokazać się z dobrej strony – odrzekłam i Thatcher się roześmiał. Jego siostra pytająco uniosła brwi i przyglądała mi się z jeszcze większym zainteresowaniem.

Okazało się, że Hans jest całkiem miły i bezpośredni, ale szybko nas porzucił, kierując się ku stołom i przyjaciółom, których tam zobaczył. Przyprowadzili ze sobą dzieci – siostrzenicę Thatcherera Laurel i siostrzeńca Quentina. Dzieciaki zachowywały się niczym marionetki pociągane za sznurki. Quentin wyglądał jak skóra zdjeta z Hansa, Laurel na szczęście odziedziczyła łagodniejsze rysy rodziny ze strony mamy i Thatcherera. Jak można było się spodziewać, sprawiały wrażenie zmuszonych do przyjścia i nudzących się straszliwie od chwili przekroczenia progu tego domu. Nic dziwnego, były jedynymi nastolatkami na przyjęciu.

Przedstawiono mi tyle osób, że aż rozbolała mnie głowa. Asher ochoczo oprowadzał mnie po salonie i co chwila przejmowali mnie od niego Thatcher i Bunny. Czułam się trochę jak Audrey Hepburn w *My Fair Lady* – biedna dziewczyna, która zmienia się w arystokratyczną damę. Bunny ciągle mnie zawstydziała, wyjaśniając wszystkim, że noszę jej perły. Kątem oka widziałam, jak Whitney kręci głowę z dezaprobatą i szepcze coś do ucha innym kobietom, wywołując na ich twarzach wyraz zdumienia.

Wreszcie wybawił mnie Thatcher, prowadząc na parkiet, który urządzone przy basenie. Blask światełek mieszał się z blaskiem gwiazd i mieliśmy wrażenie, że dwudziestosześcioosobowa orkiestra gra tylko dla nas. Zatopiłam się w jego ramionach, a kiedy się rozejrzałam, zobaczyłam, że większość oczu patrzy na nas, a najbardziej zawistnie Whitney. Asher i Bunny stali w pobliżu i wyglądali jak książęca para, która znalazła odpowiednią kandydatkę dla ich dziedzica. Na szczęście po chwili dołączyli do nas inni tancerze i już nie czułam się tak wystawiona na spojrzenia wszystkich.

Potrawy były tak ekstrawaganckie, jak należało się spodziewać – homary i krewetki; żeberka i płaty mięsiwa z sosami prosto z najśłynniejszych francuskich restauracji; warzywa tak pokrojone i przyprawione, że nie sposób było rozpoznać w nich zwyczajnej marchewki czy groszku, oraz cały wybór dań rybnych, od łososia z Dover po ośmiornicę. Stół z wiedeńskimi deserami ciągnął się, jakby był długi na kilometr, uginając się od wybitnie kalorycznych ciast i ciasteczek.

– Nabierzesz wagi, zanim zdążysz zauważyć – powiedziałam do Thatcherera.

Był taki przystojny i sprawiał wrażenie szczęśliwego, beztroskiego i wyluzowanego. Pomyślałam, że nie ma dla niego lepszego daru niż dar prawdy, który otrzymał ode mnie wcześniej tego dnia. Potwierdził to, kiedy pochylił się nade mną i szepnął:

– Willow, jesteś pierwszą dziewczyną, przy której poczułem się bezpiecznie i przy której nie muszę udawać ani wznosić obronnych murów. Dzięki, że mi zaufałaś.

Jego słowa mnie uskrzydliły. Pocałował mnie szybko i znów ruszyliśmy do tańca. Nie przypuszczałam, że tak pochłonie mnie atmosfera snobistycznego balu. Szczerze pragnęłam, żeby orkiestra nie przestawała grać i muzyka uwięziła nas w kapsule czasu; marzyłam, że Ziemia przestaje się obracać, a my zastygamy niczym postacie kochanków z urny greckiej, opiewanej przez Johna Keatsa jako symbol piękna i miłości, które nigdy nie zbledną. Mogłabym przeżywać bez końca te piękne chwile.

Niestety, wszystko się kiedyś kończy i świetliste nocne gwiazdy pochłania dzień.

Kiedy wreszcie zesliśmy z parkietu w cień, gdzie nie sięgał blask lampionów, mój wzrok mógł powędrować dalej i zobaczyłam pomost.

Stała na nim moja mama z latarnią.

Serce zatrzymało mi się na moment i mocno ścisnęłam ramię Thatcherera.

– Co się stało?

– Coś niedobrego. Z Grace. – Ruchem głowy pokazałam na pomost. Dostrzegł ją, po czym z troską popatrzył na mnie.

Chyłkiem wymknęliśmy się z przyjęcia i pospieszyliśmy tam.

- Grace! – zawołał Thatcher, wbiegając na pomost. – Co się stało?
 - Linden – powiedziała i obróciła się ku mnie. W jej oczach lśniły łzy.
- Nie musiała nic mówić.
Powiedziałam to za nią.
- Linden nie wrócił.

Rozdział szesnasty

POSZUKIWANIA

– Co ty wygadujesz, Thatcher?! – wykrzyknęła Bunny Eaton. – Nie możemy teraz wezwać Straży Wybrzeża! Przecież mamy przyjęcie i wiesz, kto się na nim bawi.

– On zaginął i może jest ranny – odparł spokojnie Thatcher.

Asher pokręcił głową i wbił wzrok w podłogę.

– Na pewno nie – zaprzeczyła Bunny. – Nieraz już zniknął na długo. Przecież wiesz, że on nie jest całkiem normalny. Jeżeli zaczniemy coś robić, staniemy się pośmiewiskiem całego miasta. Nie można przerwać przyjęcia z takiego powodu, bo wszyscy przypomną sobie, kim są właściciele tej posiadłości i jakie z nich dziwadła.

– Bunny, życie człowieka może być zagrożone! – powiedziała, z trudem panując nad sobą. – Grace umiera z niepokoju.

– Dobrze, i co z tego? Pewnie umiera każdego dnia, mając takiego synalka. Asher, no powiedz coś! – krzyknęła do męża.

Ojciec spojrzał na syna.

– Linden zniknął na cały dzień, tak? – upewnił się.

– Wypłynął o wschodzie słońca, tak mówi Grace.

– Och, ona jak zwykle przesadza – rzuciła niecierpliwie Bunny. – Pewnie nawet nie wie, jaka jest pora dnia.

– Nieprawda! – warknęłam.

Zmierzyła mnie wściekłym spojrzeniem.

– Czy możesz mi wyjaśnić, co się stało, że stałaś się taką fanką tych dwojga oszołomów? – zaatakowała.

Thatcher i ja wymieniliśmy spojrzenia, co nie uszło jej uwagi.

– Co się dzieje? Mów! – zażądała. – O co chodzi, Thatcher?

Zerknął jeszcze raz na mnie i zwrócił się do matki:

– Mamo, po prostu chodzi o życie człowieka.

Bunny skrzyżowała ramiona na piersi z jawnie niezadowoloną miną.

– Uważam, że Thatcher będzie musiał zadzwonić – rzekł Asher.

– Niech Grace Montgomery zadzwoni. Jeśli te wszystkie łodzie, helikoptery, reflektory i ekipy zostaną uruchomione po nic, przynajmniej będzie na kogo zwalić – odpowiedziała Bunny cierpko.

– Nie rozumiem, jak możesz być taka okrutna, Bunny – wyrwało mi się. – Przecież chodzi o matkę, która martwi się o dziecko. Jej syn może być w niebezpieczeństwie!

– Och, przecież zdążyłaś już poznać tę kobietę. A my znamy ją jeszcze lepiej.

– Ja też. – Niedobrze mi się robiło od tych kłamstw.

– Jakim cudem? Skąd możesz wiedzieć o niej coś więcej?

– Wiem więcej.

Spojrzała na mnie i skrzywiła się lekceważąco, jakby chciała powiedzieć: „Nie wiesz, o czym mówisz”, kiedy wypaliłam nagle:

– Już ci mówię, jakim cudem. Po prostu Grace Montgomery jest moją rodzoną matką.

Gdyby w pokoju nastąpił wybuch bomby, nie wywarłoby to na niej takiego wrażenia, jak te parę słów. Wydawało się, że oczy wyskoczą jej z głowy. Zrobiła się czerwona na twarzy. Jej dłonie zatrzepotały rozpaczliwie i przyłgnęły do gardła jak ranne ptaki. Cofnęła się gwałtownie, jakby dostała w twarz. Kurczowo łapiąc powietrze, odwróciła się do Ashera, który gapił się na mnie zaszokowany.

– Grace Montgomery jest twoją matką? – upewnił się, jakby nie wierzył własnym uszom.

– Tak. I to jest prawdziwy powód, dla którego przyleciałam do Palm Beach. Tuż przedtem dowiedziałam się o niej i chciałam koniecznie ją odnaleźć.

– O Boże! – wykrzyknęła Bunny, wywracając oczami do sufitu. Powieki jej trzepotały, jakby za chwilę miała zemdleć. – I to wszystko musi się dziać w czasie mojego party! – jęknęła.

– Mamo, uspokój się. Usiądź, zaraz przyniosą ci wody. – Thatcher posadził ją na fotelu. Asher wystawił głowę zza drzwi i zawołał do pokojówki, żeby natychmiast przyniosła zimną wodę i szklanki. Głowa Bunny lekko opadła, ale za chwilę uniosła ją i popatrzyła na mnie.

– Jak to się stało, że Grace jest twoją matką?

– Mój ojciec i ona byli kochankami – powiedziałam spokojnie. – Czy spodziewałaś się czegoś innego?

Bunny pokręciła głową i spojrzała na Ashera.

– Nie rozumiem. Co ona mówi?

– Mój ojciec był szefem kliniki psychiatrycznej, w której się leczyła. W trakcie terapii zakochali się w sobie – wyjaśniłam.

– Lekarz miał romans z pacjentką? – Przeniosła spojrzenie na Thatchera. – Ty też o tym wiedziałeś?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Nie, dowiedziałem się dopiero dzisiaj.

– Dzisiaj? O Boże, Boże, Boże... dzisiaj...

– Musimy zawiadomić Straż Wybrzeża – zwróciłam się do Thatchera. – Zadzwonisz czy ja mam to zrobić?

– Idź do domu tej swojej matki, jak ją nazywasz, i zrób to – warknęła do mnie Bunny. – Oszukiwałaś nas, udawałaś kogoś innego, nadużyłaś naszej gościnności... a ja wyprawiłam to przyjęcie specjalnie dla ciebie, aby przedstawić cię... O Boże... – Znów chwyciła się dłońmi za gardło. – Byłemu gubernatorowi Wysp Dziewiczych Stanów Zjednoczonych!

– Mamo, uspokój się – poprosił Thatcher.

Zjawiła się pokojówka z tacą z dzbankiem i ze szklankami. Thatcher nalał Bunny. Wypiła duszkiem, po czym opadła na oparcie i przymknęła oczy.

– Idę, żeby zadzwonić, Thatcher. – Ruszyłam do wyjścia.

– Zaraz tam będę.

– Dostanę ataku serca – jęknęła Bunny, ściskając go za ramię. – Wyobrażasz sobie, jaki to będzie skandal, kiedy się dowiedzą, że jej ojciec był lekarzem tej kobiety? Zawołaj tu Whitney, Asher. Szybko! Ona już będzie wiedziała, jak mam to rozegrać. Idź! – rozkazała i Asher wybiegł za mną.

– Przykro mi, że tak się stało – mówił, zanim skręciliśmy w dwie różne strony. – Za duży szok i w złym momencie.

– Żaden moment nie byłby dla niej dobry, nie uważasz?

Nie odpowiedział. Pobiegłam szybko do mamy, żeby zadzwonić.

Po niecałej półgodzinie do pomostu przybił kuter Straży Wybrzeża i Grace wyszła, by porozmawiać

z ratownikami. Było widać, że ich przybycie wywołało niemałą sensację wśród gości przyjęcia. Nawet orkiestra ucichła. Czekałam, aż dołączy do nas Thatcher, ale dotąd się nie pojawił.

Grace przekazała kapitanowi tyle informacji, ile mogła, a ja postarałam się jak najdokładniej wyjaśnić, gdzie należy szukać plaży Lindena. Obiecał, że natychmiast złączą intensywne poszukiwania, i za moment wezwał helikopter. Po dziesięciu minutach widok maszyny przeczesującej brzeg potężnym snopem światła szperacza postawił gości Bunny na baczność.

Po chwili, jakby ta cała akcja, napięcie i możliwość czyjegoś wypadku lub śmierci zadziałały niczym gest wielkiej ręki, która strzeliła palcami i przerwała czar beztroski, megabogacze, rekiny biznesu, politycy, gwiazdy i celebryci w pośpiechu opuszczali scenę.

– Jakby na tonącym Titanicu – mruknęłam. – Uciekają, żeby nie utopić swojej reputacji.

Mama uśmiechnęła się blado, a potem znów wpatrzyła się w ocean, obserwując światła na wodzie. Siedziałyśmy na frontowym tarasie, w napięciu czekając na telefon i wypatrując powrotu Lindena i ratowników.

Wreszcie zobaczyłam, że zbliża się Thatcher.

– Przepraszam – powiedział, kiedy stanął przed nami. – Musieliśmy wezwać doktora Andersona, żeby przepisał środki uspokajające dla mojej matki. Ona po prostu nie potrafi sobie radzić ze stresem, wszystko jedno, czy dużym, czy małym.

– Jeszcze nigdy w życiu nie widziałam tak egocentrycznej i rozpieszczonej osoby – skomentowałam bezlitośnie. – Ona myśli tylko o sobie. Ty i twój ojciec, Thatcher, też się do tego przyczyniliście.

– Możliwe – przyznał i zerknął na moją mamę. – Cóż, musimy żyć z tym, co stworzyliśmy.

– Nie zawsze – stwierdziłam. – Czasami możemy coś zmienić.

Kiwnął głową raczej zdawkowo i przeniósł spojrzenie na ocean.

– Żadnych wiadomości? – zapytał.

– Na razie nic – odparła mama. – Nie rozumiem, czemu dotąd nic nie wiedzą. Przecież nie mógł odpłynąć daleko na takiej małej łódce.

– Nie było go cały dzień, Grace – powiedział łagodnie Thatcher. – Mógł odpłynąć całkiem daleko.

– Muszę się czegoś napić, czegoś zimnego. – Mama wstała. – Czy ktoś jeszcze ma ochotę?

– Nie, dzięki – odparł Thatcher. Pokręciłam głową i patrzyłam, jak ona znika w głębi domu.

– Tylko ją uznaje się za nieźrównoważoną i tylko jej mówi się okrutną prawdę w oczy. Czy to cię nie dziwi, Thatcher? niesprawiedliwe jest, że bogaci i uprzywilejowani są tak chronieni przed przeciwnościami losu, nie uważasz?

– W żadnym razie nie chcę tłumaczyć moich rodziców, Willow. Są, jacy są, i nic tego nie zmieni. To zresztą nieważne w tej chwili.

Miał rację.

– Jak myślisz, co mogło się stać z Lindenem?

– Mógł wypłynąć za daleko w ocean albo przybić gdzieś do brzegu, ukryć łódź i i zaszyć się gdzieś. To do niego podobne. Zresztą, kto wie? W każdym razie nocne akcje nie są łatwe.

– Mam wyrzuty sumienia – powiedziałam udreńczonym głosem, kuląc się w sobie.

– Nonsens. – Usiadł przy mnie. – Nie możesz się winić za jego emocjonalne reakcje. Przecież nie przyjechałaś tutaj po to, żeby go zranić, ani tym bardziej nikogo innego.

– Nieważne są intencje czy ich brak, skoro rezultaty są takie same.

– Oczywiście, że są ważne. Nie możesz mówić takich rzeczy adwokatowi – zażartował. – Intencje to dziewięćdziesiąt procent wszystkich spraw.

– Słusznie. – Obejrzałam się na dom. – Zostanę z nią dzisiaj, Thatcher.

Kiwnął głową.

– Okay.

– Za jakiś czas przyjdę po rzeczy.

– Nikt cię nie wyrzuca, Willow.

Uniosłam brwi.

– Raczej nie mam ochoty na jutrzejszy brunch z twoimi rodzicami.

– Minie parę dni i na pewno zapomną, więc...

– Thatcher, po prostu nie mogę i nie ma o czym mówić. Na razie niech tak zostanie, dopóki się wszystko nie wyjaśni.

– Oczywiście, Willow. Rób, jak uważasz.

Zamilkliśmy i śledziliśmy promień reflektora z helikoptera, przeczesując wybrzeże.

Nagle maszyna zawróciła, a potem zawisła w miejscu, a reflektor zgasł. Po paru minutach usłyszeliśmy, jak w głębi domu dzwoni telefon. Serce zamarło mi na chwilę, a potem ruszyło galopem. Wymieniliśmy z Thatcherem spojrzenia i czekaliśmy, wstrzymując oddech.

Wreszcie wyszła mama.

– Dzwonili ze Straży Wybrzeża – powiedziała, przyciskając dłonią serce. – Znaleźli go w pewnej odległości od plaży. Łódka uwięzła w wodorostach pomiędzy skałami.

– I co z nim? – spytałam niecierpliwie.

– Powiedzieli, że musiał ulec wypadkowi, ma ranę na głowie. Jest przytomny, ale kompletnie zdezorientowany. Na razie nic więcej nie mogą powiedzieć na temat jego stanu i przyczyn wypadku. Kuter zabiera go właśnie do Fort Lauderdale; dalej do szpitala przewiozą go helikopterem.

– Jedziemy – rzucił szybko Thatcher. – Zabieram was obie.

Wzięłam mamę za rękę i pospieszyliśmy do samochodu.

– Co mogło się stać? – zapytałam, kiedy ruszyliśmy.

– Och, wiele rzeczy – odparł Thatcher. – Mogła go zepchnąć większa fala, mógł stracić równowagę i wypaść z łódki, albo w chwili nieuwagi dostać bomem w głowę. Natura zawsze jest groźna.

– A Linden jest wiecznym samotnikiem – dodała cicho mama. – Pośród natury i wśród ludzi.

Ścisnęłam mocniej jej dłoń i dalej jechaliśmy w milczeniu.

Karetka zdążyła już przywieźć Lindena i kiedy weszliśmy do szpitala, lekarze badali go na izbie przyjęć. Czekaliśmy niecierpliwie, aż któryś z nich wyjdzie do nas.

– Jestem jego matką – powiedziała szybko mama i lekarz od razu zwrócił się do niej. – Co z nim?

– Ma pięćdziesiąt szwów na głowie. Doznał pęknięcia czaszki i wstrząsu mózgu. Wstępne badania wskazują na krwotok podtwardówkowy.

– Co to znaczy? – zapytała z niepokojem.

– Rana głowy sprawiła, że krew zaczęła się gromadzić pomiędzy zewnętrznymi a wewnętrznymi oponami mózgu. To wywołuje ucisk, który musimy zlikwidować.

– W jaki sposób?

– Niestety, konieczny będzie zabieg chirurgiczny. Przekażę pacjenta doktorowi Parkerowi Thornbergowi, który jest znakomitym i bardzo znanym chirurgiem neurologiem.

– Tak – potwierdził Thatcher. – Słyszałem o nim.

Doktor spojrział na niego z uśmiechem.

– Zaraz się tu zjawi, żeby potwierdzić diagnozę.

– Czy mogę zobaczyć syna? – spytała mama.

– Może pani, ale musi pani wiedzieć, że doznał częściowej amnezji, co nie jest niczym niezwykłym w takich przypadkach. Ten stan stopniowo przeminie. To, jak długo będzie się utrzymywać, zależy od zakresu uszkodzeń; kiedy położymy go na stół, będziemy mogli...

– On nie wie, kim jest?

– Jest zdezorientowany.

– Możliwe, że kiedy ją zobaczy, pamięć ożyje i przypomni sobie, co się stało – zasugerował Thatcher.

– Może się tak zdarzyć – przytaknął doktor, ale sposób, w jaki spojrział na niego i uśmiechnął się, sugerował, że raczej w to wątpi.

Mama zrobiła ruch, żeby z nim odejść, ale zatrzymała się i zwróciła do mnie:

– Myślę, że najlepiej będzie, jeśli na razie pójdę tam sama.

– Oczywiście. – Usiadłam. Spuściłam wzrok i wpatrzyłam się w swoje palce, nerwowo splatające się na podłożu.

– Absolutnie nie możesz się za to winić, Willow – powiedział Thatcher. – Mówiłem ci, że Linden zawsze był impulsywny, uparty i drażliwy na swoim punkcie. Słyszałaś, co mówiła Grace w samochodzie. To samotnik. Kto wie, jak szalał tam na falach, wyładowując na sobie frustrację.

– Żałuję, że kiedy wybierałam się tutaj, nie zabrałam w swoim bagażu więcej nadziei i szczęścia, zamiast problemów i smutku.

– Twoje przybycie do nas okazało się cudownym zrzędzeniem losu, wierz mi. Kto nie chciał z niego skorzystać, powinien sam siebie winić – powiedział Thatcher.

Odchyliłam się na oparcie krzesła. Nagle poczułam się śmiertelnie zmęczona, obolała aż do dna duszy. Marzyłam, żeby położyć głowę na poduszce i spać bez przerwy jak Rip Van Winkle, nie budząc się przez całe lata. Może powinnam stąd wyjechać. Jak żałowałam, że nie mogę znów być małą dziewczynką, z ukochaną Amou na każde wezwanie. Marzyłam, żeby znów przyłożyć głowę do miękkiej poduszki w swoim łóżeczku, w którą wsiąkną moje łzy, i słuchać tego łagodnego, kojącego głosu niani, gdy mi śpiewała, pocieszała mnie i zapewniała, że wszystko będzie dobrze.

Tak mi jej brakowało.

Zamknęłam oczy i zaczęłam odpływać. Kiedy ponownie je otworzyłam, Thatcher stał w drzwiach, rozmawiając z wysokim, szczupłym dystyngowanym mężczyzną w ciemnoniebieskim garniturze. Uścisnęli sobie ręce i Thatcher podszedł do mnie. Wyprostowałam się szybko, przecierając oczy.

– Kto to był?

– Doktor Thornberg. Zoperują Lindena najszybciej, jak to możliwe. Ucisk da się łatwo zlikwidować i fizyczne wyzdrowienie powinno nastąpić szybko, lecz boją się, czy nie wystąpi coś, co nazywają zespołem stresu pourazowego – dodał, zniżając głos.

– O co dokładnie chodzi?

– Zdarza się, że po traumatycznych przejściach, sytuacji zagrożenia życia, mogą wystąpić problemy psychiczne. Broniłem ofiar błędów lekarskich, u których zdarzały się tego typu konsekwencje, więc przypomnę sobie tamte sprawy. Nie jestem specjalistą i przekazuję ci tylko standardowe lekarskie zastrzeżenie. Mózg, psychika to skomplikowana materia – dodał, spoglądając w głąb korytarza, jakby chciał sprawdzić, czy moja mama już wraca. – Linden już przed wypadkiem miał problemy ze sobą, a ta sytuacja może je jeszcze zaostrzyć.

Urwał i nabrał powietrza.

– Tylko po co zawczasu tworzyć dramatyczne scenariusze? Zaczekamy i zobaczymy, a potem będziemy się martwić.

– Biedna mama – powiedziałam.

Thatcher otoczył mnie ramieniem i czule uścisnął.

Wróciliśmy na miejsca i czekaliśmy na moją mamę. Po niecałej półgodzinie pojawiła się i powiedziała nam w zasadzie to, co już wiedzieliśmy – że przygotowują Lindena do operacji. Przeszliśmy do innego holu i Thatcher poszedł dla nas po kawę, gdyż lekarze ostrzegali, że może to potrwać parę godzin.

Usiadłam obok mamy i próbowałam ją pocieszać.

– Źle to wszystko znoszę – poskarżyła się. – Powinnam przewidzieć, że pewnego dnia coś takiego się stanie. Niech to będzie lekcja dla ciebie, Willow. Nie da się pogrzebać sekretów. One potrafią hibernować jak niedźwiedzie, ale kiedy przyjdzie ich czas, znów wyjdą na wierzch. Wtedy możesz się tylko starać, żeby opóźnić nieuniknione. Nic więcej. Tłumiony ból kumuluje się, aż zaatakuje ze zdwojoną siłą.

– Nie możesz się za to winić, mamó.

– A kogo mam winić? Ciebie? Bo chciałaś zobaczyć i poznać swoją rodzoną matkę? Czy może twojego tatę, bo tak mnie kochał? Być może Linden miał rację, kiedy mówił, że los igra sobie z nami – powiedziała z nutą rezygnacji. – Biedny Linden, miota się teraz w labiryncie, nie widząc wyjścia. Tam, w głębi, musi być bardzo przerażony i samotny.

Łzy popłynęły jej po policzkach.

– Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Nic mu nie będzie. Damy radę – zapewniłam ją.

Odpowiedziała mi uśmiechem.

– Nie masz pojęcia, jak bardzo przypominasz swojego ojca. Mam wrażenie, jakbym cofała się w czasie.

Wzburzyła mi włosy i uśmiechnęła się przez łzy.

Zjawił się Thatcher z kawą. Czekaliśmy dalej.

Minęło parę godzin i doktor Thornberg pojawił się, tak jak zapowiadał.

– Operacja przebiegła pomyślnie – poinformował.

– Czy spodziewa się pan komplikacji? – spytała mama.

Lekarz i Thatcher wymienili spojrzenia.

– Zobaczymy – powiedział wymijająco doktor Thornberg.

Mama powoli kiwnęła głową.

– Tak – szepnęła. – Zobaczymy.

Pozwolono jej zobaczyć Lindena, choć jeszcze się nie wybudził. Stałam w drzwiach i obserwowałam, jak całuje go i szepcze mu coś do ucha. Kiedy wyszła, objęłam ją i wyprowadziłam ze szpitala.

Już dniało. Światło poranka przedzierało się przez zasłonę ciemności nocy i gwiazdy musiały mu ustąpić. Rezydencja była dziwnie cicha i spokojna. Nie usunięto jeszcze lampek, dekoracji, stołów, krzeseł i parkietu; serpentyny i zwiotczałe balony kołysały się w porannej bryzie.

– Wszyscy potrzebujemy snu. – Thatcher uśmiechnął się do mnie. – Czuję się tak, jak muszą się czuć moi rodzice po jednym z tych całonocnych balów. Pewnie wszyscy wstaniemy późno.

– Szybko wezmę swoje rzeczy – powiedziałam. – Nie zostawię mamy teraz samej.

Kiwnął głową i zwrócił się do Grace.

– Wpadnę do was w ciągu dnia. Zadzwoń, jeśli będziesz czegoś potrzebować, dobrze?

Podziękowała mu i skręciła do swojego domu.

– Przykro mi, Willow, z powodu mojej mamy i tego wszystkiego, co wygadywała.

– Daj spokój, Thatcher, to teraz nieważne.

– Słusznie – stwierdził.

Pozegnaliśmy się i poszłam po rzeczy.

Kiedy wróciłam do domu przy plaży, mama zaprowadziła mnie do najlepszego jej zdaniem pokoju gościnnego. Uścisnęłyśmy się i ucałowały serdecznie na dobranoc. Byłam pewna, że zasnę kamiennym snem, gdy tylko przyłożę głowę do poduszki, ale się myliłam. Leżałam z otwartymi oczami, myśląc, jak szybko to wszystko się wydarzyło, i zastanawiając się, co mam dalej robić. Wewnętrzny głos namawiał

mnie, żebym teraz postarała się odpocząć i poczekać na dalszy rozwój wydarzeń.

Nie masz już wpływu na sytuację, Willow – mówił mi głos podobny do głosu mojego ojca. – Zapauzuj myśli.

Wyluzuj.

Kiedy się obudzisz, wszystko, co dobre i niedobre, będzie na ciebie czekać.

Możesz na to liczyć.

Poczułam czyjaś obecność i otworzyłam oczy.

– Co się dzieje? – zapytałam, siadając na łóżku.

– Obudziłam się, bo wydawało mi się, że Linden mnie woła, więc zadzwoniłam do szpitala. Powiedzieli, że się obudził, ale nadal jest zagubiony i zdezorientowany. Pewnie jest też przerażony. Muszę do niego pojechać.

– Za dziesięć minut będę gotowa – powiedziałam.

– Prawie nie spałaś.

Rzeczywiście, minęły dopiero cztery godziny.

– Wszystko w porządku, nie czuję się senna.

– Zdążę jeszcze zaparzyć kawę. Przyda się nam – powiedziała i wyszła. Obmyłam twarz zimną wodą, uczesałam włosy i ubrałam się szybko.

Mama czekała już na mnie z kawą.

– Zrobiłam też tosty. Nie powinnyśmy jechać z pustymi żołądkami.

Zjadłam kawałek tosta z dżemem i wypiliśmy kawę. Po paru minutach wsiadliśmy do mojego samochodu i pojechaliśmy do szpitala.

Linden był nadal w ciężkim stanie i powiedziano nam, że może wejść do niego tylko jedna osoba. Usiadłam przed salą, popijając następną kawę, którą przyniosłam z automatu. Po mniej więcej dwudziestu minutach mama wyszła z oddziału intensywnej terapii z bardzo zatroskaną miną.

– I co z nim? – zapytałam niecierpliwie.

Pokręciła głową.

– Wydaje się, że mnie nie poznaje. Jego spojrzenie jest puste. Pielęgniarka mówiła, że wymamrotał coś bardzo dziwnego.

– Co?

– Dopytywał się, dlaczego tyle tu się kręci szkieletów, mając też na myśli ją. Zupełnie jakby uważał, że jest w jednym ze swoich obrazów, albo coś w tym stylu.

– Nie przypisuj tym słowom aż tak przerażającego znaczenia, mamó. Linden miał wypadek i jest po operacji. Zaczekajmy, co powiedzą lekarze.

Kiwnęła głową i nagle zobaczyłam, że jest śmiertelnie zmęczona i słaba.

– Powinnyśmy pojechać do domu, żebyś mogła wreszcie odpocząć – powiedziałam.

– Ja tu zostanę, a ty jedź – zaproponowała.

– O nie, nie zostawię cię tutaj.

Uśmiechnęła się.

– Ciągłe jeszcze jesteśmy sobie obce, Willow, a już troszczysz się o mnie bardziej niż ludzie, których znałam całe życie.

– Musisz się do tego przyzwyczaić – odrzekłam, a ona uśmiechnęła się, prawie roześmiała.

Namówiłam mamę, żebyśmy poszły do bufetu i zjadły coś ciepłego, musimy nabrać sił. Kiedy wróciłyśmy na oddział, lekarz prowadzący Lindena już tam był i sam do nas podszedł.

– Jest zbyt wcześnie, żeby ocenić w całej pełni jego stan – zaczął. – Mogę jednak powiedzieć, że u pani

syna pojawią się symptomy stresu pourazowego, będącego reakcją na wypadek. Nie potrafię przedstawić pełnej listy wszystkiego, co może się zdarzyć. Wystarczy, jeśli powiem – dodał tonem fachowej wyższości – że wystąpią pewne objawy i pacjent zapewne będzie potrzebował terapii, ale problem może być mniejszy, niż nam się obecnie wydaje.

– Albo większy – odezwała się mama.

– Tak, albo wystąpi z większym natężeniem. Na razie najważniejsze jest, aby fizycznie jak najszybciej doszedł do siebie. Musimy działać krok po kroku, pani Montgomery.

Spojrzał na mnie.

– Jestem jego siostrą.

– To dobrze. Przy takim wsparciu szybciej wyzdrowieje.

Rzucił nam szybki uśmiech i oddalił się.

– Dziękujemy, doktorze – zawołałam za nim. Skwitował to gestem ręki, nie odwracając się.

– Podejrzewam, że nie mogłabym tak dzień w dzień stykać się w pracy z ludzkimi problemami – mruknęła mama. – Powiedziałam to kiedyś twojemu tacie.

– I co ci odpowiedział?

– Że istotą lekarskiego powołania nie jest traktowanie leczenia jako pracy. Sekret polega na tym, że każdy przypadek trzeba traktować jak cud, w którym szczęśliwym trafem lekarz może odegrać swoją rolę. Niewielu jest takich lekarzy – dodała z westchnieniem.

Wróciła do łóżka Lindena, a ja położyłam się na kanapce w poczekalni, zamknęłam oczy i spróbowałam się odprężyć. Obudziłam się, kiedy ktoś mną potrząsnął. Thatcher.

– Zobaczyłem, że nie ma twojego samochodu, i pomyślałem, że pojechaliście do szpitala. Jak tam Linden?

Przekazałam mu to, co powiedział lekarz.

– Przynajmniej jest szczerzy. Reszta, jak mówi Szekspir, jest jeszcze w łonie czasu i narodzi się później.

– Wszyscy jesteśmy w łonie czasu – mruknęłam. Czułam się zmęczona, otępiała i zniechęcona. Nagle zapragnęłam wrócić do domu. Zatęskniłam za własnym domem, za spacerami po jego terenie, gdzie czułabym bliskość taty.

W tym momencie przypomniałam sobie, że dzwoniłam i Miles nie oddzwonił.

– Muszę zadzwonić – powiedziałam do Thatchera. Dał mi swoją komórkę.

– Pójdę nalać sobie kawy – powiedział.

Zadzwoniłam i czekałam, czekałam, czekałam, ale nikt nie odbierał. Teraz już nabrałam pewności, że coś musiało się stać, więc nerwowo zaczęłam grzebać w torebce w poszukiwaniu wizytówki pana Bassingera. Kiedy Thatcher wrócił, sekretarka już mnie przełączyła i od razu odezwał się prawnik.

– Willow, czekałem, aż zadzwonisz.

– A dzwonił pan do mnie?

– Tak, wczoraj wczesnym popołudniem. Nie przekazano ci?

– Nie. – Zerknęłam na Thatchera. – Co się stało, panie Bassinger?

– Niestety, nie mam dobrych wieści. Miles odszedł.

– Odszedł? Opuścił dom?

– Odszedł na zawsze, Willow. Okazało się, że twoja ciotka Agnes wynajęła kogoś, żeby regularnie zaglądał do domu i to akurat się dobrze złożyło. Miles nie leżał tam długo, najwyżej jeden dzień. Zjawiłem się tuż po przyjeździe ambulansu i policji. Został znaleziony w gabinecie twojego ojca; ścisnął w rękach garść pustych kartek i miał wybałuszone oczy, jakby zmarł na skutek szoku. Później potwierdzono, że był to atak serca. Jak na ironię on i jego pan zmarli z tej samej przyczyny, choć w przypadku Milesa sprawa jest bardziej zrozumiała, wzięwszy pod uwagę jego zdrowie i wszystko, co

przeszedł. Sprowadziłem ekipę i teraz sprzątają dom. Na wczoraj byli umówieni ewentualni kupcy, ale musiałem ich odwołać. Za chwilę wszyscy dowiedzą się o śmierci Milesa. A ty gdzie jesteś? Jakie masz plany?

– Jestem teraz w innym miejscu. – Podałam mu numer telefonu mamy. – Nie wiem, jak długo tu zabawię, ale postaram się zadzwonić do pana jak najszybciej. A co z pogrzebem?

– Twój ojciec już wcześniej wszystko przygotował. Pogrzeb odbędzie się pojutrze. Dzisiaj powinni oddać ciało. Przykro mi z powodu tego wszystkiego. Ciągłe złe wieści.

Żebyś wiedział, pomyślałam.

– Śmierć mojego ojca złamała mu serce – powiedziałam. – Tata był jego jedynym przyjacielem. Powinnaś się tego spodziewać.

– Nie możesz się martwić o cały świat, Willow. Teraz musisz się skupić na sobie; zadbać o siebie i realizować swoje marzenia, tak jak chciałby twój ojciec. Bądźmy w kontakcie. Dzwoń do mnie, gdybyś czegokolwiek potrzebowała.

Podziękowałam mu i się rozłączyłam.

Jedno spojrzenie na moją minę wystarczyło Thatcherowi.

– Co się stało?

Opowiedziałam mu o Milesie.

– Dlaczego umarł z pustymi kartkami w rękach? – zastanawiał się.

– Myślę, że zobaczył coś, czego nie widział nikt inny. Co nie znaczy, że widział to naprawdę.

– Słucham? Nie rozumiem.

– Ja też nie. – I wstałam na spotkanie mamy.

– Uspokoił się, ale nadal jest zagubiony. Wszystko, co mówi, jest mniej lub bardziej niezrozumiałe. Obawiam się, że czeka go długa droga do zdrowia. – Westchnęła ciężko.

– Tym bardziej powinnaś zadbać o siebie, Grace – odezwał się Thatcher. – Wypocznij, bo musisz mieć siłę.

– Tak, tak, bardzo dobra rada. – Spojrzała na mnie. – Ciebie też dotyczy.

– Muszę na chwilę wyjechać, mamo – powiedziałam. – Muszę jechać do domu. – Już wcześniej opowiadałam jej o Milesie i więzi, jaka łączyła go z tatą.

– Miles?

Kiwnęłam głową.

– Umarł.

– Och, jak mi przykro. Za duży ciężar musisz dźwigać na tych młodych, kruchych ramionach, Willow. Oczywiście, jedź do domu i pozalätwiaj wszystkie sprawy, prawne i inne. Powinnaś też wrócić na studia. Twój ojciec na pewno chciałby, żebyś je skończyła.

– Chcę je skończyć, ale...

– Ja się nigdzie nie wybieram, a jak słyszałaś, Linden też nieprędko stąd wyjdzie. Żle bym się czuła ze świadomością, że tak się poświęcasz ze względu na mnie.

– Nie robię niczego, czego bym sama nie chciała – zapewniłam.

Uśmiechnęła się.

– Wiem, ale to wcale nie musi być dla ciebie dobre. Wyobraź sobie, że tata siedzi tutaj i nas słucha. – Wskazała ruchem głowy puste krzesło. – Jak myślisz, co by ci doradził? Posłuchaj tego głosu – poradziła łagodnie. – Swojego wewnętrznego głosu.

Nabrałam powietrza i spojrzałam na Thatchera. Odwzajemnił na moment moje spojrzenie, a potem odwrócił wzrok.

– Zawieź mnie do domu – poprosiła mama. – Muszę się przespać.

– Jasne.

– A ja muszę wpaść do biura – rzucił Thatcher. – Wrócę jak najszybciej.

Zadzwoiła jego komórka.

– Zobaczmy się niedługo – powiedział do kogoś.

Wzięłam mamę pod rękę i powoli poszliśmy do windy.

– Thatcherera znasz od niedawna, prawda? – spytała.

– Tak.

– Jest bardzo bystry i zawsze wydawał mi się miłym i ciepłym człowiekiem, zwłaszcza jeśli się wie, skąd pochodzi i w jakim świecie żyje. Czasami jednak myślę, że jest zbyt słaby, żeby walczyć z tym światem – a on nas zmienia.

– Wiem.

Uśmiechnęła się.

– Jesteś bardzo bystrą młodą damą. Widzę, jak on na ciebie patrzy, a ty na niego. Czasami magia ujawnia się bardzo szybko. Jednak – dodała, sięgając do własnych wspomnień – często sama magia nie wystarczy. Pamiętaj o tym, a wszystko będzie dobrze.

Czy tak będzie? – zastanawiałam się.

Czy będzie dobrze?

Rozdział siedemnasty

W DOMU

Kiedy wreszcie zrozumiałam, że niewiele tu mogę zdziałać, zadzwoniłam i zarezerwowałam lot. Nie mogłam pozwolić, żeby nikt nie opłakiwał Milesa na jego pogrzebie. Mama załatwiła sobie kogoś, kto miał ją wozić do szpitala i przywozić stamtąd, a mnie zapewniła, że nie muszę się o nic martwić.

– Byłabyś zaskoczona, wiedząc, ilu ludzi ostatnio się o mnie troszczy – powiedziała.

– Chyba nie byłabym zaskoczona.

Roześmiała się, ale zaraz spoważniała.

– Dziwne, że ludzie często ukrywają swoje dobre uczynki i uczucia. Ci, którzy mieszkają razem ze mną w domu, boją się, że Eatonowie mogliby ich zwolnić, gdyby się dowiedzieli, że koszą dla mnie trawnik albo przy okazji wyjazdów na zakupy robią też zakupy dla mnie. Nie zniosłabym myśli, że ktoś miałby ucierpieć przeze mnie, ale nie mogę im wyperswadować, żeby przestali się o mnie troszczyć.

– I dobrze, że tacy są – odparłam.

Lot miałam po południu, więc zdążyłyśmy jeszcze zjeść posiłek na patio. Rozmawiałyśmy i rozmawiałyśmy. Opowiadałam jej dalej o swoim dzieciństwie i o naszym domu w Karolinie Południowej.

– Twój ojciec kochał ten dom i posiadłość. Mówił o tym tak pięknie, że wyobrażałam sobie to miejsce jako raj, do którego nie miałam wstępu.

– Wiem. Ja też mam mieszane uczucia co do sprzedaży. Z drugiej strony dom jest za duży dla mnie i za dużo w nim wspomnień, ale już mam wrażenie, że zdradziłam ducha taty.

– Nie myśl tak. Jestem pewna, że chciałby, abyś żyła własnym, szczęśliwym życiem. Tak jak powiedziałaś, po śmierci taty, a teraz Milesa, dom nigdy nie będzie już taki sam. Nie pozwól, żeby cię coś więziło, Willow. Myśl o sobie. Bądź wolna. – Spojrzała na plażę i dom. – To jest coś, do czego ja nigdy nie byłam zdolna. Gdybym potrafiła być wolna, wszystko potoczyłoby się zupełnie inaczej. Nienawidzę żalu, wiesz? – ciągnęła. – On jest niszczący. Rób wszystko, żebyś nie musiała niczego żałować, nawet jeśli miałabyś popełnić parę błędów czy stracić trochę czasu i pieniędzy. Abyś później mogła sobie powiedzieć, że przynajmniej próbowałaś. Idź śmiało naprzód. W dzisiejszym świecie trzeba być śmiałym i przebojowym, zwłaszcza tutaj.

Niestety, agresywni, egocentryczni i bezczelni ludzie za często zdobywają to, czego pragną. Śmiało pokazuj im, gdzie jest ich miejsce – dodała, spojrzawszy znacząco na rezydencję. – Bo jeśli tego nie zrobisz i nie postawisz się im od razu, potraktują cię jako swoją kolejną własność.

– Na pewno tak się nie stanie – zapewniłam.

Mama się uśmiechnęła.

– Wierzę ci.

Czekałam, aż zjawi się Thatcher, ale ciągle go nie było i nawet nie zadzwonił. Wobec tego postanowiłam zadzwonić do niego, żeby powiedzieć mu, o której wylatuję.

– Siedzę na jednym z tych niekończących się zebrań – wyjaśnił. – Myślałem, że wszystko jest już dopięte, ale niestety nie. Przyjadę, gdy tylko będę mógł.

Poinformowałam go, o której mam lot.

– Och, serio? No cóż, na szczęście niedługo wrócisz – rzucił beztrzesko. Ukrywał rozczarowanie czy chodziło o coś jeszcze?

– Tak, wrócę do mamy – powiedziałam z naciskiem.

– Jasne. Dobra, muszę wracać na zebranie. Miłej podróży.

Rozczarowała mnie ta rozmowa, ale nie dałam nic poznać mamie.

Następnie zadzwoniłam do pana Bassingera i powiadomiłam go o przylocie. Powiedział, że wyjedzie po mnie na lotnisko.

– Och, proszę nie robić sobie kłopotu.

– To żaden kłopot. W drodze naświetlę ci sytuację pod kątem spraw prawnych, nad którymi pracuję.

Podziękowałam mu i zanim pożegnałam się z mamą, wychodząc, przystanęłam przy pokoju, który Linden używał jako pracowni. Stała tam sztaluga zasłonięta czarną tkaniną. Nagle zapragnęłam sprawdzić, czy zakrywa ona obraz, do którego mu pozowałam. Było mi głupio, że wkradam się bez jego wiedzy do pracowni, ale ciekawość okazała się silniejsza.

Weszłam i uniosłam tkaninę. Stałam i wpatrywałam się bez ruchu w obraz. Nie przypominał mnie. Wyglądał jak moja mama. Jak gdyby Linden od początku znał prawdę. Jakby dostrzegł ją artystycznym okiem albo w trakcie pracy doznał jasnowidzenia.

Zakryłam szybko obraz i wybiegłam stamtąd.

– Powinnam już jechać, mammo. Muszę jeszcze oddać wypożyczony samochód.

– Dzwon do mnie.

– Codziennie – obiecałam.

– Gdybym nie odbierała, znaczy, że jestem w szpitalu. Będę tam każdego dnia, dopóki go nie wypiszą.

– Mammo, ale dbaj też o siebie.

– Ty również.

Objęłyśmy się i tuliłyśmy długą chwilę, jakbyśmy miały już się nie zobaczyć. Żadna nie chciała pierwsza puścić drugiej, ale wreszcie mama odsunęła mnie od siebie i pocałowała w policzek. Uśmiechnęła się i szybko weszła do środka domu.

Łzy płynęły mi po twarzy, gdy taszczyłam walizkę do samochodu. Kiedy zbliżałam się do rezydencji, usłyszałam, że woła mnie Bunny. Stała na tylnym tarasie z kieliszkiem „szamponu” w ręce.

– Opuszczasz nas? – spytała. Jej głos znów był dziecinnie rozkoszny.

– Tak, na trochę. Muszę załatwić pewne sprawy w Karolinie Południowej.

– Tam ci będzie lepiej – stwierdziła. – Teraz już każdy w Palm Beach plotkuje o tej historii. Przecież musiałam wytłumaczyć, dlaczego moja impreza została zrujnowana, prawda? – dodała tonem usprawiedliwienia. – Cóż, co się stało, już się nie odstanie. Wyjazd to dobry ruch. Nie będziesz musiała świecić oczami za swoją rodzinę. Słusznie, bo młoda kobieta taka jak ty nie potrzebuje podobnej antyreklamy.

– Dzięki za głupie rady – odpowiedziałam.

Cofnęła się gwałtownie, jakbym trzasnęła jej przed nosem z biczem.

– Jeśli uważasz, że moje rady są głupie, nie jesteś nawet w połowie tak inteligentna, za jaką cię uważałam. Ale dam ci radę, która na pewno nie jest głupia – paplała szybko. – Nie myśl, że Thatcher będzie tu na ciebie czekał, współczując ci albo coś w tym stylu. Nigdy nie pozwolę, żeby zmarnował swoje życie, swoją błyskotliwą karierę i świetną reputację, żeniąc się z kobietą z rodu Montgomerych.

– Nie jestem kobietą z rodu Montgomerych. – Wyprostowałam się, jakby mój kręgosłup zmienił się

w stalową strunę. – Jestem Willow De Beers, a mój ojciec był jednym z najśłynniejszych amerykańskich psychiatrów. Dzieje mojej mamy były dramatyczne, co nie znaczy, że powinna czuć się gorsza niż ty albo ktokolwiek z twojej rodziny, Bunny. A teraz parę słów w kwestii Thatchera – dodałam. – Jeśli nie zaczniesz żyć i myśleć samodzielnie, jeśli sam nie postanowi, kim chce być i kogo kochać, to nie życzę sobie, żeby więcej do mnie dzwonił. I mogę cię zapewnić, że nie będę polowała na twojego synka.

– Doprawdy, śmieszne. Z jakiej racji jakaś kobieta miałaby...

– Nie jestem jakąś kobietą, Bunny, a już na pewno nie jestem gorsza niż inne tutaj – oświadczyłam twardo, prostując się dumnie. – Życzę ci dobrej nocy, a może dobrego balowania?

Energicznie ruszyłam przed siebie z bijącym sercem. Miałam nadzieję, że nie zmięknę i dotrzymam wszystkich moich gróźb, jeśli zajdzie taka potrzeba.

Wierzysz w to? – zapytałby mój tata.

Tak.

W takim razie dasz radę. Zwalcz każdy atak na siebie, kiedy tylko ktoś spręży się do ciosu.

Wsiadłam do auta i odjechałam, nie oglądając się – nawet kiedy stałam przed bramą i czekałam, aż się otworzy. Chciałam podążyć tylko przed siebie.

Start się opóźnił, ale dalej wszystko odbyło się bez przeszkód. Pan Bassinger już na mnie czekał. Wziął ode mnie bagaż i poszliśmy do jego samochodu. Od razu poznałam, że ma mi coś ważnego do powiedzenia.

– Nie przyjechał pan tutaj tylko po to, żeby mnie odebrać, panie Bassinger. Co się stało?

– Nie chciałem, żebyś była zaskoczona – odrzekł. – Twoja ciotka Agnes jest w domu. Oczywiście dowiedziała się o Milesie i jej prawnik zadzwonił do mnie. Ona nie ma żadnych podstaw prawnych, żeby o czymkolwiek decydować, ale może narobić sporego zamieszania. Węszy wszędzie, usiłując się dowiedzieć, dlaczego pojechałaś do Palm Beach i co tam robiłaś – ciągnął. – Nie musisz mi się zwierzać, ale nie chciałbym, żeby próbowała torpedować nasze poczynania w związku z twoim domem.

– Oczywiście, że powiem panu, o co chodzi. Myślę, że tata życzył sobie, abym to zrobiła po przeczytaniu jego dziennika.

– Jeśli uważasz, że sprawa jest zbyt osobista albo nie ma nic wspólnego z aktualną sytuacją, nie muszę o tym wiedzieć – zastrzegł.

– Nie, powiem panu. Był pan przyjacielem i powiernikiem taty i tak też ja chciałabym pana traktować.

– Doceniam i dziękuję, Willow – odparł.

Opowiedziałam mu wszystko.

– Wiedziałem, że małżeństwo twojego ojca nie było udane – powiedział pan Bassinger, kiedy skończyłam. – Nikogo nie osądzam i to, co się stało, już niczego nie zmieni, Willow. Nie pozwól, żeby twoja ciotka przekonywała cię, że jest inaczej.

Zanim zajechaliśmy pod dom, zdążył mi jeszcze podać szczegóły pogrzebu Milesa i powiedział, że przyjedzie rano, żeby zabrać mnie do domu pogrzebowego. Dziwne było przyjeżdżać do domu ze świadomością, że Miles już nie będzie czekał na mnie na progu, żeby mnie powitać i zabrać bagaże. W oknach paliły się światła, ale dom sprawiał wrażenie martwego i pustego, jakby zabrano z niego serce i została tylko skorupa. Pan Bassinger pomógł mi wnieść bagaż.

– Dam sobie radę – zapewniłam. – Proszę się nie martwić. I dzięki za wszystko.

Uśmiechnął się i życzył mi dobrej nocy.

Otworzyłam drzwi kluczem i weszłam.

– Ciociu Agnes? – zawołałam.

Po chwili pojawiła się u szczytu schodów.

– No, nareszcie – powiedziała. – Najwyższy czas, żebyś wróciła do domu.

Była w szlafroku; na głowie miała papiloty i siatkę, a na twarz nałożoną maseczkę odmładzającą, co nadawało jej upiorny wygląd w świetle żyrandoli.

– Dzisiaj przez cały dzień działała tu ekipa sprzątająca – ciągnęła, idąc na dół. – Nie masz pojęcia, jaki tu był bałagan, co ten menel zrobił z twojego domu!

– Co zrobił?

– Co? Wszędzie walały się resztki jedzenia, nawet w sypialni twojego ojca, zupełnie jakby kogoś tu sprowadzał. Gabinet był wywrócony do góry nogami; książki i papiery rozrzucone, a kuchnia... stopy naczyń w zlewie, resztki jedzenia rozsmarowane na podłodze, gnijące jedzenie w piekarniku. Dobrze, że nie zaległy się szczury! Musiano odkazić cały dom, ekipa dezynfekcyjna wyszła parę godzin temu. Kiedy tu przyjechałam, zastałam drzwi i okna otwarte. Wszystko mogło się tu zakraść, nawet węże! Jak myślisz, co by było, gdyby dzisiaj rano przyjechał ten ewentualny nabywca? – zawołała, gestykulując gwałtownie. – Jak mogłaś zostawić dom pod opieką takiego człowieka? Co ty w ogóle robiłaś w Palm Beach? Czemu ten wyjazd jest taki tajemniczy? Dlaczego przerwałaś studia? – Zasypywała mnie gradem pytań w nadziei, że chociaż na jedno odpowiem. – I co? Czemu tak stoisz i patrzysz na mnie jak na wariatkę? – zapytała napastliwie, kiedy dalej patrzyłam na nią w milczeniu.

Pomyślałam, że Eatonowie już wiedzą, kim jestem i po co przyleciałam do Palm Beach, co znaczy, że sprawa zaraz będzie znana wszystkim. Kto wie, jak szybko rozprzestrzenia się wieści? Może już wypełniają pierwsze strony i kolumny towarzyskie tamtejszej kolorowej prasy. Nie ma sensu, żebym dłużej utrzymywała sprawę w tajemnicy. Poza tym czułam, że wyznanie prawdy, otworzenie drzwi zatekłego sejfu może mi przynieść ulgę. Niemal sadystycznie uśmiechnęłam się do ciotki.

– Musimy porozmawiać, ciociu Agnes. Najlepiej teraz, zaraz, żeby mieć to wreszcie za sobą. Muszę przyznać, że wyjątkowo się cieszę z twojego wścibstwa i wkładania nosa w moje sprawy. Przynajmniej raz się przydało.

– No, myślę – powiedziała z nieskrywaną dumą, że udało jej się poradzić sobie z tym wszystkim. – Może teraz będziesz słuchała moich rad.

– Może. Zaiste będę potrzebowała wielu rad – stwierdziłam tajemniczo. – Możemy usiąść w salonie i porozmawiać?

Łypnęła na mnie podejrzliwie.

– Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że szykuje się ślub w Palm Beach, co?

– Nie, nic z tych rzeczy. I nie jestem też zaręczona.

– To dobrze. Oczywiście chętnie rozmawiam. Mam nadzieję, że ogarnięcie spraw tutaj zajmie mi jeszcze dzień czy dwa, a potem muszę wracać do domu. Zbliża się ślub Margaret Selby i Bóg jeden wie, ile jeszcze ciężarów będę musiała wziąć na swoje ramiona. Młodzi ludzie są dzisiaj zbyt beztroscy i roztrzepani, żeby porządnie zająć się swoimi sprawami. Kiedy byłam w twoim wieku, miałam już męża i prowadziłam dom. Nie było czasu na głupoty – ciągnęła, sadowiac się na dawnym ulubionym fotelu taty. Zatonęła w nim i wydawała się jeszcze drobniejsza, jak dziecko, które usiłuje być dorosłe. Ten widok wywołał u mnie uśmiech.

– Z czego się śmiejesz?

– Nic takiego – zbyłam ją. Zdjęłam żakiet i usiadłam na kanapie.

– I co? – zapytała, kiedy zapadła przedłużająca się cisza. – Chciałabym niedługo iść do łóżka, bo jestem wykończona tym wszystkim, co musiałam robić, i na dodatek wykańcza mnie myśl, co jeszcze mnie czeka.

– Jak już wiesz – zaczęłam – i przypominałaś mi o tym przy każdej okazji, czy to przez aluzje, czy bezpośrednio, jestem dzieckiem adoptowanym. Moją matką była pacjentka z kliniki taty.

– Oczywiście, wiem o tym. Sądzisz, że twój ojciec ukrywałby przede mną takie wiadomości? Byłam

jego jedynym rodzeństwem, siostrą, której ufał jak nikomu innemu. Mówił więcej mnie niż twojej matce. I co ma z tego wynikać?

– Mojej matce adopcyjnej – sprostowałam.

– Wszystko jedno. Nie rozumiem, jaki jest sens po raz kolejny babrać się w tych samych brudach?

– Nie ma sensu, ciociu Agnes, ale tym razem nie chodzi o stare brudy, jak powiedziałaś, tylko o nowe.

– O czym ty mówisz, Willow De Beers?

Uśmiechnęłam się.

– Nawet nie zdajesz sobie sprawy, że w tym momencie brzmisz jak moja matka adopcyjna. Ona też przypominała mi przy każdej okazji, że podarowano mi nazwisko, za które powinnam być wdzięczna i nosić je wypisane na czole, żebyśmy widziała je za każdym razem, kiedy spojrzę w lustro.

– Cóż, miała swoje zalety – odparła ciotka. – Choć jej rodzina zbiedniała i straciła majątek, zachowała dobre pochodzenie i klasę. Gdyby nie to, starałabym się ze wszystkich sił zapobiec temu mariażowi. Nie rozumiem więc, o co masz pretensję. Co jest złego w przypominaniu dziecku, że trafiło do szanowanego, starego i zasłużonego rodu? Nie miałybyś tego szczęścia, gdyby nie dobre serce mojego brata.

– Och, twoim zdaniem chodziło tylko o akty dobroczynności?

– Oczywiście, a jakżeby inaczej? – Starannie wygładziła poły szlafroka. Miało się wrażenie, że siedzi na szpilkach, tak nerwowo kręciła się w wygodnym fotelu. – Muszę iść na górę i zmyć maseczkę, bo za długo mam ją na twarzy. Dlatego przejdź do rzeczy, jeśli możesz.

– Dobrze. Otóż z przyjemnością muszę ci powiedzieć, że znalazłam się w tej rodzinie nie tylko w wyniku odruchu serca mojego taty. I nazwiska De Beers nie otrzymałam jako hojnego daru. Ja należę do tego rodu – podsumowałam.

Ciotka gapiała się na mnie bez słowa. Powieki jej zatrzepotały, odęła usta i mocno wciągnęła policzki. Zupełnie jakby nagle wypompowano jej z ciała całe powietrze.

– Co ma znaczyć to ostatnie zdanie? – zapytała wreszcie chrypliwym szeptem.

– Chodzi o to, że mój ojciec, a twój brat był moim rodzonym ojcem, nie adopcyjnym – wyjaśniłam.

Na moment ciotka jeszcze się zapadła, a potem zaczęła grozić wybuchem. Nawet pod warstwą kremu było widać, że apoplektycznie czerwienieje jej twarz.

– Tak sobie siedzisz i oznajmiasz mi z całym spokojem, że mój brat zapłodnił jedną ze swoich pacjentek?

– Cała historia była o wiele bardziej złożona, ciociu Agnes. Oni się naprawdę kochali i z tego powodu moja mama pozostała w klinice dużo dłużej, niż to było konieczne. Kiedy się urodziłam, tata zabrał mnie do domu. Moja matka adopcyjna nigdy nie dowiedziała się prawdy.

– Jakiej prawdy? Skandalicznej historii, rozpowiadanej przez umyślowo chorą kobietę, w którą wierzysz jak w ewangelię? – W gniewie zerwała się na równe nogi. – Jeśli zamierzasz teraz szermować tymi bzdurami, opowiadając je wszystkim na ucho, to ja...

– Ciociu Agnes – powiedziałam spokojnie – to nie jest majaczenie chorej umyślowo pacjentki. Tę historię opowiedział mi tata.

– Kłamstwo, bezczelne kłamstwo, które rozpowszechniasz, żeby... żeby... umocnić swoją pozycję w społeczności i usprawiedliwić roszczenia spadkowe, ot co! – wrzasnęła. – Twój ojciec nigdy ci czegoś takiego nie powiedział i wiesz, że to prawda.

– Zgoda, nie powiedział.

Odetchnęła głębiej.

– No właśnie.

– Tylko napisał – dodałam.

– Co takiego?

– Napisał do mnie list i dołączył do niego swój dziennik, nakazując panu Bassingerowi przekazać mi ten depozyt dopiero po swojej śmierci. Tak też pan Bassinger uczynił. Namierzyłam moją rodzoną matkę i dowiedziałam się, że mieszka w Palm Beach. Taki jest prawdziwy powód mojego tam pobytu – dodałam. – Opowiedziała mi więcej o tacie i ich miłości, ja zaś starałam się opowiedzieć jej całe moje życie. W krótkim czasie stałyśmy się sobie bardzo bliskie.

Ciotka wpatrywała się we mnie nieruchomo, jakby obróciła się w kamień.

– Twój ojciec pisał pamiętnik... i pan Bassinger wie o wszystkim?

– Teraz już wie. Nie zajął do zalakowanej koperty i później nic mu nie mówiłam, ale ponieważ ludzie z Palm Beach już wiedzą, a wiadomości w dzisiejszym świecie rozprzestrzeniają się z szybkością błyskawicy, uznałam, że uczciwie będzie ujawnić prawdę, zanim ty czy on dowiedzie się jej z plotkarskich kolumn, prawda? Powiedz, ciociu, czy to nie jest cudowne? Łączą mnie prawdziwe więzy krwi – z tobą i z całą twoją rodziną, ze wszystkimi! – wykrzyknęłam, udając zachwyty.

Wyglądała, jakby kąciki ust wypadły jej z zawiasów i dolna warga obwisła.

– Ja... – Przycisnęła dłoń do serca. – Wybacz, ale źle się czuję... to chyba zmęczenie.

– Och, może przyniosę ci wodę albo coś mocniejszego? – zaoferowałam z taką troską, że musiało wyglądać podejrzanie. Ciotka jednak niczego nie wyczuła. Była w zbyt wielkim szoku.

– Co? Tak, proszę o wodę. Tak – powiedziała ledwie słyszalnie i opadła na fotel z takim impetem, jakby straciła kontrolę nad swoim ciałem.

Poszłam do kuchni i nalałam wody do szklanki. Kiedy wróciłam, ciotka siedziała nieruchomo i wpatrywała się w ścianę.

– Proszę.

Spojrzała na mnie, a potem na szklankę.

– Dzięki. – Wzięła ją ode mnie i zaczęła pić. – Jak Claude mógł zrobić coś takiego?

– Chciałaś powiedzieć: coś tak pięknego. On naprawdę ją kochał. Z wzajemnością.

– Kochał... Jak mógł się zakochać w kobiecie chorej umysłowo?

– Widzę, ciociu Agnes, że prezentujesz to, co nazywam dyletanckim podejściem do chorób psychicznych. Większość ludzi cierpi na neurozę, słabszą lub mocniejszą. Głęboka depresja mojej mamy miała poważną, konkretną przyczynę i wymagała leczenia. Zaburzenia psychiki są chorobą jak każda inna. Nie gardzimy przecież ludźmi, którzy potrzebują bajpasów czy wycięto im woreczek żółciowy, prawda? Jesteś chora, potrzebujesz fachowej pomocy i tyle.

– To absolutnie nie jest to samo.

– Tylko dla dyletantów.

– Przestań tak o mnie mówić! Odebrałam porządne wykształcenie i zaliczyłam kursy dobrych manier. O Boże, Boże – westchnęła, kręcąc głową. – To wszystko dzieje się w tak fatalnym momencie. Mówisz, że zrobiła się z tego sensacja w Palm Beach?

– Jeśli nie, zaraz się zrobi.

– Dobrze, a kim jest ta kobieta? Czy nadal przebywa w psychiatriku?

– Nie ma szpitali w Palm Beach, ciociu Agnes. Tam nie ma nawet cmentarzy. Bogaci i sławni nie chcą, żeby przypomniano im o tak niestosownych rzeczach jak choroba czy śmierć. Takie rzeczy ukrywa się za sceną.

– Dobrze, w najbliższym szpitalu – warknęła. Mój spokój i pogoda ducha doprowadzały ją do furii.

– Nie. Mama mieszka z synem na terenie wartej miliony dolarów posiadłości swojej rodziny.

– Ma też syna?! Tylko mi nie mów, że...

– Nie, twój brat nie jest jego ojcem.

– Dzięki Bogu choć za to – mruknęła. – Ile dzieci ma ta kobieta i z iloma mężczyznami?

– Tylko z dwoma – odparłam. – I pierwsze nie zostało poczęte za obopólną zgodą.

– Słucham?

– Została zgwałcona przez swojego ojczyca – wyjaśniłam szczerze.

– Rany boskie! Czy nie ma końca tym skandalom? Wstyd się pokazać ludziom!

– Nie bój się, wszystko będzie dobrze – pocieszyłam ją. – A teraz pozwól, że się rozpakuję, wezmę prysznic i coś zjem. Wybierasz się ze mną jutro na pogrzeb Milesa?

– Na pogrzeb Milesa? Oczywiście, że nie. Skończę, co miałam zrobić tutaj, i... wracam do domu. – Nie mogła się otrząsnąć z szoku.

– Tak będzie najlepiej, ciociu Agnes.

– Tak. – Kiwnęła głową. – Tak.

Wychodząc, przystanąłam w progu i jeszcze raz spojrzałam na nią. Nie poruszyła się. Siedziała wpatrzona w ścianę, ściskając w dłoni szklanekę tak mocno, że pobieleły jej knykcie i żyły wyszły na wierzch.

Zaniosłam walizkę na górę, do swojego pokoju.

Zanim się położyłam, zadzwoniłam do mamy. Powiedziała, że fizyczny stan Lindena jest coraz lepszy, lecz nadal sprawia wrażenie kogoś, kto „błądzi we mgle”.

– Wezwali terapeutę i jutro rano przyjdzie do niego – dodała.

– To dobrze. Na pewno mu pomoże, mammo.

– Mam nadzieję. Serce mi się kraje, kiedy widzę go w tym stanie.

– Wyzdrowieje – zapewniłam i zamilkłam na moment, niepewna, czy powinnam pytać. Chyba czytała w moich myślach na odległość, bo zapytała:

– Czy Thatcher dzwonił do ciebie?

– Nie, jeszcze nie. Widziałaś go może?

– Kiedy wróciłam ze szpitala, jego samochód stał na podjeździe, ale tylko tyle. Zdaje się, że urządzili prośzoną kolację, bo było jeszcze z sześć innych aut. A jak ty się miewasz?

– Wszystko dobrze. Na razie zostanę tutaj, żeby załatwić różne sprawy i podjąć decyzje.

– Bardzo słusznie, Willow. I proszę, wróć na studia. Nie odkładaj swoich życiowych planów ze względu na mnie. Nie chcę być odpowiedzialna za takie rzeczy – rzekła błagalnie.

– Zastanowię się, mammo. Nie martw się.

– Włożę to do dołka i zakopię – powiedziała, powtarzając radę mojego taty. Uśmiechnęłam się do słuchawki i pożegnałyśmy się.

Wąłęsałam się po domu, zaglądając do różnych pomieszczeń, które budziły we mnie falę wspomnień. Widziałam Amou, tatę, nawet moją mamę adopcyjną – tych wszystkich, którzy zajmowali się mną w dzieciństwie. Byłam mała i nie wiedziałam jeszcze nic o mrocznych i trudnych sprawach, czających się za zamkniętymi drzwiami. Na samym końcu trafiłam do gabinetu ojca. Książki i papiery zostały uporządkowane, gdyż ciocia Agnes zapewne nie mogła znieść chaosu, który zostawił tu Miles, dręczony przez swoje demony.

Biedny Miles, pomyślałam.

Usiadłam w fotelu taty, myśląc o nim, dopóki miniaturowy dziadkowy zegar nie wydzwonił północy. Uświadomiłam sobie, że Thatcher nadal się nie odezwał. Postanowiłam się nim nie przejmować i wreszcie, wyczerpana, powlekłam się do łóżka. Momentalnie zasnęłam. Obudził mnie rano szum odkurzacza i głosy z dołu oraz z zewnątrz. Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam, że ciotka Agnes sypie rozkazami, jakby była właścicielem niewolników nadzorującym plantację. Kazała umyć wszystkie okna, uporządkować ogród, a nawet ściągnęła ekipę do pomalowania barierki i okiennic.

Włożyłam szlafrok i zeszłam na śniadanie. Kiedy popijałam kawę w aneksie śniadaniowym, wparowała tam ciotka w asyście ekipy sprzątającej, nakazując im wypucować wszystko na wysoki połysk.

– Czy ty nie przesadzasz, ciociu Agnes? – zapytałam cierpko.

– Przesadzam? Wczoraj w nocy dręczyły mnie koszmary, bo wyobraziłam sobie, że twój ojciec wróciłby do domu i zastałby go w takim stanie jak teraz. Ta posiadłość jest łakomym kąskiem i powinna trzymać cenę. Wczoraj wieczorem nie miałam szansy ci tego powiedzieć, bo wałkowałyśmy rodzinny skandal, ale agencja znów dzwoniła i chciała, żeby potencjalny nabywca przyjechał tu jutro. Rozumiesz, nie mogą przetrzymywać klientów, bo ich tracą.

– Czemu tym się martwisz, ciociu Agnes? To przecież moja sprawa.

– Czemu? Czy myślisz, że mogę spać spokojnie, wiedząc, że własność twojego ojca zostanie zagarnięta przez jakiegoś cwane kupca, który wykorzysta sytuację i sprzeda nasze afery prasie? Przecież chodzi o posiadłość rodu De Beers! Nie obchodzi mnie, co zrobisz potem z tymi pieniędzmi. To po prostu jest kwestia rodzinnej dumy. Wy, młodzi, nie przykładacie dziś wagi do rzeczy, które budują trwanie i znaczenie rodu. Dla was to jest przeżytek. Dla was wszystko jest na sprzedaż.

– Nieprawda – zaprotestowałam. – A przynajmniej ja się z tym nie zgadzam. Nie mogę się wypowiadać za innych młodych ludzi – dodałam ostrym tonem.

Ciotka zachnęła się.

– No cóż, jestem pewna, że po latach zrozumiesz i podziękujesz mi – podsumowała z satysfakcją i ruszyła dalej na swój kontrolny obchód. Ja poszłam na górę, żeby się przygotować do pogrzebu Milesa.

Pan Bassinger zjawił się punktualnie. Od razu zapytał, jak układają się moje stosunki z ciotką. Opisałam mu całą rozmowę, a zwłaszcza jej reakcję. Słuchał z nieznacznym uśmiechem.

– Jedno muszę przyznać, Willow – powiedział, kiedy skończyłam – że wykonała kawał dobrej roboty, porządkując ten dom. Posiadłość jest łakomym kąskiem i można za nią uzyskać dobrą cenę. Dotąd nie widziałem, żeby wyносиła stamtąd cokolwiek, ale jeśli nie daj Boże coś by ci się stało, mogę sobie wyobrazić, jak ona i cała jej rodzina rzuciłaby się z pazurami na spadek, żeby wyszarpać wszystko dla siebie. Wiele takich przypadków spotkałem w swojej karierze. Chciwość potrafi odmienić nawet bliskich nam ludzi.

– Zamierzam żyć zdrowo i długo, żeby nie mieli takiej okazji – zapewniłam i pan Bassinger się roześmiał.

– Mam nadzieję.

Byliśmy jedynymi żałobnikami w kaplicy pogrzebowej. Kapłan odmówił stosowną modlitwę, a potem prawił o ciężarach, jakie przyszło nam dźwigać w naszym krótkim życiu, które bardziej przypomina tor przeszkód niżli gładką drogę. Wiedział od pana Bassingera, że Miles był bardzo oddany mojemu ojcu, toteż chwalił zmarłego za miłość bliźniego i lojalność. Łzy popłynęły mi po policzkach i czułam się, jakbym znów opłakiwała tatę, a także i siebie.

Poszliśmy za karawanem na cmentarz, gdzie tata już wcześniej wykupił grób dla Milesa, niedaleko od własnego. Po pogrzebie przeszłam do grobu ojca, żeby zmówić modlitwę i opowiedzieć mu, co robiłam i jak bardzo jestem wdzięczna, że zostawił mi swój dziennik i dzięki temu mogłam poznać moją rodzoną mamę.

Po tym wszystkim poczułam się zmęczona i słaba. Gdy wróciłam do domu, od razu poszłam do pokoju i się położyłam. Spałam do późnego popołudnia. Kiedy wstałam, nie miałam apetytu, ale zeszłam na dół i zrobiłam sobie tosta oraz herbatę. Przed kolacją ekipy wyniosły się z domu i pojawiła się ciotka Agnes, ubrana do wyjścia. Jej bagaże stały w holu.

– Zrobiłam, co miałam do zrobienia – powiedziała. – Wracam do domu. Poprosiłam agencję nieruchomości, żeby informowała mnie o ofertach. Jeśli dojdzie do rozmów, moi prawnicy najlepiej ci

doradzą.

– Mam swojego prawnika i doradcę, ciociu Agnes, więc nie musisz się o to martwić.

– Uważam, że troska o losy rodzinnej posiadłości jest rzeczą normalną – warknęła. – Jakie masz teraz plany?

– Jeszcze nie wiem.

Thatcher nie dzwonił i zaczęłam rozważać powrót na studia.

– Poza tym, skoro chcę jak najszybciej sprzedać dom, muszę się zastanowić, co zrobić z meblami i wyposażeniem – chyba że ktoś zechce je zostawić. Natomiast rzeczy taty chcę gdzieś przechować, dopóki nie kupię własnego domu.

– Możesz je przywieźć do mnie – zaproponowała ciotka. – Mam miejsce i spokojnie poczekają tam na ciebie.

– Dziękuję. – Pomyślałam, że gdybym skorzystała z tej oferty, więcej bym ich nie zobaczyła.

– Usilnie cię proszę, żebyś od tej pory dzwoniła do mnie, jeśli będziesz musiała podjąć ważne decyzje. Jakkolwiek udało ci się odnaleźć swoją rodzoną matkę, nadal jesteś młoda i masz niewielkie życiowe doświadczenie.

– Jakoś przez to brnę i ciągle się uczę, ciociu.

Ciotka z dezaprobatą wydeła cienkie wargi, robiąc ostry ruch głową.

– Nie musiałybyś brnąć, gdybyś tylko mnie słuchała – stwierdziła cierpko. – A przy okazji, nie czuj się zobligowana do uczestniczenia w ślubie Margaret Selby – dodała. W jej głosie brzmiała twarda nuta, a uśmiech był blady i sardoniczny. Spodziewałam się czegoś takiego. Bała się, że przyniosę ze sobą mój skandal i zepsuję całą uroczystość.

– Od początku nie czułam się zobligowana, ciociu Agnes.

– Oczywiście... rozumiemy, że masz teraz tyle na głowie i... Margaret nie będzie miała pretensji.

– Och, myślę, że nie będzie miała, zwłaszcza kiedy jej wszystko wytłumaczysz, ciociu – powiedziałam z uśmiechem nie mniej chłodnym niż jej uśmiech.

– Oczywiście. W każdym razie tak jak prosiłam, dzwoń do mnie. – Obróciła się do wyjścia, ale zatrzymała się i jeszcze raz na mnie spojrzała. – A co zrobiłaś z dziennikiem mojego brata, który jakoby prowadził?

– Nie jakoby. To fakt.

– W takim razie gdzie jest ten dziennik?

– Trzymam go w bezpiecznym miejscu.

– Ktoś jeszcze go czytał?

– Nikt poza tatą i mną.

– Gdybyś przypadkiem miała się go pozbyć...

– Już prędzej pozbyłabym się Biblii – odparłam i jej oczy się rozszerzyły.

– Chciałabym tylko uniknąć dalszych plotek i skandali.

– Za późno – stwierdziłam bezlitośnie. – Musisz niestety do tego przywyknąć.

Pokręciła głową i wypuściła we mnie salwę słów.

– Traktujesz mnie i te wszystkie sprawy z beczelnym lekceważeniem, Willow, ale przyjdzie czas, że będziesz żałować – ostrzegła. Powiedziała to tak władczo i z taką pewnością, że na moment straciłam rezon. – Nie masz pojęcia, jak okrutni i podstępni mogą być ludzie, kiedy mają możliwość zniszczyć kogoś, komu zazdroszą. Uwierz mi. Wielu zazdrości mnie i mojej rodzinie. Nie spodziewaj się uprzejmości i zrozumienia. Jesteś młoda i świat wydaje ci się olśniewający i romantyczny, a dla mnie to tylko bagno i plotki. Jesteś dobrze sytuowaną młodą kobietą i – mam nadzieję – będziesz chciała zrobić karierę. Tego typu plotki i pomówienia, ciągnące się za tobą, z pewnością nie ułatwią ci startu

w zawodowym czy biznesowym świecie.

Zbliżyła się, wycelowwała we mnie długi, kościsty palec i pomachała nim ostrzegawczo.

– Możesz teraz ze mnie kpić i lekceważyć moje rady, ale przyjdzie czas, kiedy zaczniesz patrzeć na życie tak jak ja i pożałujesz swojego zachowania.

Urwała i ściągnęła ramiona, a potem wzięła głęboki oddech, zmrużyła powieki i wystrzeliła następną salwę.

– To doprawdy niesprawiedliwe, że dojrzały i doświadczony ludzie pragną być przewodnikami dla młodych, a tymczasem muszą patrzeć bezsilnie, jak młodzi popełniają okropne błędy, spowodowane ich uporem i głupotą czy źle pojętym dążeniem do niezależności. Masz do wyboru – przez całe życie żałować błędów młodości albo w porę posłuchać mądrych rad i żyć szczęśliwie. Nie wiem – dodała – czy tak dokładnie rozmawiałby z tobą mój brat, ale czuję w sercu, że to właśnie miał na myśli.

– Sama podejmuję decyzje, ciociu Agnes – powiedziałam uparcie.

Jej oczy zmieniły się w dwa ciemne kamienie.

– Zrobisz, jak zechcesz – wycedziła. Machnęła ręką, odwróciła się na pięcie i energicznym krokiem wymaszerowała z mojego domu.

Trzasnęły drzwi i zostałam z echem dzwoniącym w uszach wraz z echem jej ostrzeżeń i gróźb, wiszących jeszcze w powietrzu.

Teraz, kiedy wreszcie zostałam sama, usiadłam i rozplakałam się. Wszyscy, których kochałam i którzy mnie kochali, odeszli na zawsze albo byli daleko. Moja cudem odnaleziona mama ugięła się pod ciężarem dawnych i aktualnych trosk. Thatcher był niczym jeden z tych dekoracyjnych baloników, który zerwał się i dryfuje w przestworzach, unoszony przez wiatr.

Nie pozostało mi nic innego, jak spakować ukochane wspomnienia związane z tym domem i odłożyć je na bok. Szybkimi krokami zbliżał się dzień, w którym miałam wyjechać stąd na dobre i wypuścić się na morze, jak Linden. Nie miałam pojęcia, dokąd zanoszą mnie wiatry i jak silnie będą dęły w moje żagle, lecz możliwe, że tak jak on nie będę miała na to wpływu. I tak jak jemu, zostanie mi tylko wiara w coś większego i potężniejszego niż ja: w los, przeznaczenie albo jakiegoś dobrego anioła, który uśmiechnie się do mnie i nie pozwoli mi zdryfować za daleko w morze lub zbyt blisko niebezpiecznych raf.

Nagle lunął deszcz. W domu szybko zrobiło się zimno, wilgotno i ciemno. Deszcz łomotał w okna, jakby sama natura domagała się mojej uwagi, przypominając mi, że świat może być zimny i okrutny, a słowa ciotki Agnes nie są tylko wymysłem złej i zgorzkniałej kobiety.

Miniaturowy zegar w gabinecie taty zaczął wybijać godzinę; jego dźwięk powędrował przez cały dom, informując mnie, że nadszedł czas, aby zabrał mnie magiczny dywan i poniósł tam, gdzie znajdę odpowiedzi na swoje pytania.

Kim jestem?

Kim będę?

EPILOG

Para, która przyszła obejrzeć dom, nazajutrz złożyła ofertę i rozpoczęliśmy negocjacje. W ich trakcie całkowicie polegałam na radach pana Bassingera. Po dwóch dniach ci ludzie przystali na naszą kontrofertę i dom został sprzedany. Umowa miała się uprawomocnić w ciągu miesiąca i tyle miałam czasu, aby zdecydować, co mam zatrzymać i co przechować na później. Małżeństwo przyszło jeszcze raz i po dokładnych oględzinach zdecydowało, że biorą wszystkie meble poza wyposażeniem biura taty. Żona wolałaby tam widzieć lepsze meble z jasnego drewna. Bardzo mi to odpowiadało i już wyobrażałam sobie, jak urządzam gabinet w swoim przyszłym domu.

Dużo czasu spędziłam na strychu, pakując rzeczy przeznaczone dla sklepów charytatywnych oraz te, które chciałam zostawić na przechowanie – jak książki taty oraz wiele moich rzeczy.

W ciągu kolejnych dziesięciu dni dzwoniłam codziennie do mamy. Linden wyzdrowiał na tyle, że mógł wrócić do domu, lecz jego umysł był nadal otumaniony. Cierpiał na zaniki pamięci, zwłaszcza dotyczące wypadku. W ogóle nie pamiętał, że wsiadł do łodzi, a tym bardziej, co się dalej działo. Lekarze powiedzieli mamie, że taki stan nie jest niczym niezwykłym w przypadku pacjentów, którzy przeżyli ciężką traumę i podświadomie nie chcą o niej pamiętać.

– Jest bardzo drażliwy i nie potrafi się na niczym skoncentrować – mówiła. – Próbowałam go namówić, żeby powrócił do malowania, ale patrzył tylko tępo na swoje sztalugi, farby i pędzle. Większość dnia spędza, siedząc na tarasie, wpatrzony w ocean. I chudnie, gdyż nie ma apetytu.

– Pamięta mnie choć trochę? – spytałam.

– Przykro mi, ale nie.

– Nie tylko on zupełnie o mnie zapomniał – stwierdziłam z żalem.

Milczała chwilę.

– Myślę, że Bunny Eaton intensywnie urabia Thatchera, podsuwając mu inne kobiety. Od czasu twojego wyjazdu urządzili trzy przyjęcia i jedno spotkanie popołudniowe. Na każdym były młode kobiety.

– I dobrze, niech się bawią, jak lubią.

– Raz tylko widziałam Thatchera – kontynuowała. – Przyszedł do mnie i pytał o Lindena, lecz widać było, że chciałby zapytać o coś jeszcze.

– Tak?

– Eatonowie postanowili złożyć nam ofertę kupna posiadłości i forsują swoją propozycję. Domyślam się, że chcą się nas pozbyć, wykupując nas.

– I co z tym zrobisz?

– To bardzo dużo pieniędzy. Za tę sumę mogłabym dostatnio żyć z Lindenem w innym miejscu. Tylko boję się, że teraz źle zareagowałby na przeprowadzkę. Dlatego prosiłam Thatchera, by wstrzymał się z działaniami, dopóki Linden się nie wzmocni, gdyż stres może być dla niego zbyt wielki. Lekarze są tego samego zdania.

– I co powiedział Thatcher?

– Zgodził się, ale sądzę, że Eatonowie nie będą mieli tyle cierpliwości. Ich umowa najmu wygasa za trzy miesiące i muszą się zdecydować, czy ją przedłużają, czy kupują dom.

– Nie musisz go sprzedawać, jeśli nie zechcesz, prawda?

– Jeśli zechcę sprzedać, to tylko za dobrą cenę, choć nie muszę tego robić. Problem w tym, że nie utrzymam posiadłości bez dochodu z wynajmu. Natychmiast bym ją zadłużyła, a wtedy oni i tak by ją kupili. Dlatego nie mam wyboru.

Zastanawiałam się.

– Thatcher jest jedynym prawnikiem, jakiego masz?

– Nie, jest jeszcze starszy pan, mecenas Kasten, już na emeryturze.

– Czy orientujesz się, jakie są koszty utrzymania?

– Chodzi ci o całą posiadłość?

– Tak, mam.

– Prawdę mówiąc, nie bardzo. Jest jeszcze księgowy, Leo Ross. Przeważnie podpisuję to, co mi podsuwa.

– Chcę, żeby mój prawnik zadzwonił do niego oraz do drugiego twojego prawnika i omówił z nimi sytuację. Zgadzasz się?

– Po co miałyby dzwonić?

– Mam pewien pomysł. Najpierw jednak muszę znać szczegóły. Czy możesz zawiadomić obu panów, że zadzwoni do nich pan Bassinger?

– Sama nie wiem... Niezbyt mi się to podoba – wyznała. – Nie chcę, żebyś robiła coś, co nie jest dobre dla ciebie, Willow.

– Nie musisz się o mnie martwić, mam przecież swojego zaufanego prawnika. Więc jak?

Milczała długą chwilę i wreszcie się zgodziła, choć nie do końca przekonana.

Kiedy skończyłyśmy rozmowę, od razu zadzwoniłam do pana Bassingera i opowiedziałam mu o swoim pomysle.

– Postaram się jak najszybciej wszystko sprawdzić – obiecał. – Muszę jednak cię ostrzec, Willow, że jeśli twój pomysł okaże się impulsywny i nieracjonalny, będę ci szczerze odradzał takie posunięcie, choćbyś pragnęła działać dla dobra mamy.

– Dokładnie tego od pana oczekuję – powiedziałam.

– Dobrze.

Zadzwonił po dwóch dniach i zaprosił mnie do swojego biura.

– Oczywiście nie widziałem posiadłości – zaznaczył na wstępie – więc muszę polegać na tym, co mi powiedziano, a także na relacjach paru moich przyjaciół z Palm Beach. Wszyscy zgodnie twierdzą, że ludzie, którzy chcieliby kupić tę posiadłość, proponują złodziejską cenę.

– To właśnie podejrzewałam.

– Z drugiej strony twoja mama nie może wystawić posiadłości na sprzedaż z pominięciem tych państwa, gdyż w umowie wynajmu zawarto klauzulę o prawie do pierwokupu, rozumiesz?

– Czyli jedynym wyjściem dla mamy jest utrzymanie własności, dopóki nie wygaśnie umowa wynajmu wraz z ową klauzulą, tak?

– Dokładnie – odparł z uśmiechem. – Widzę, że masz lepszą głowę do interesów niż ojciec.

– Tatę męczyło zajmowanie się tak przyziemnymi kwestiami, jak podatki, hipoteki, akcje czy obligacje. Nie miał do tego cierpliwości.

– Na szczęście dla niego i dla ciebie czuwali nad tym znakomici prawnicy, świetny dyrektor handlowy i makler... więc...

– Tak?

– Jeśli chcesz wejść w ten interes – innymi słowy, jeśli nabędziesz udziały w majątku, zrobisz bardzo dobrą inwestycję, gdyż ceny nieruchomości w tych okolicach idą w górę. Z taką perspektywą możesz

spokojnie ponosić koszty utrzymania posiadłości, pod warunkiem że nie zarazisz się stylem życia w Palm Beach i nie będziesz wydawać więcej, niż masz – ostrzegł.

– Proszę się o to nie martwić – zapewniłam.

Roześmiał się.

– „Nigdy nie mów nigdy” jest moim mottem, ale dobrze, zakładam, że rozumiesz, co chciałem powiedzieć.

– Tak.

– I naprawdę tego chcesz, Willow? Jesteś przekonana, że tak właśnie będzie najlepiej dla twojej mamy, ciebie i przyrodniego brata?

– Naprawdę. I myślę... nie, wiem na pewno, że tata chciałby, abym tak właśnie postąpiła, panie Bassinger.

– Możliwe. Miał romantyczną duszę, choć nie chciał się do tego przyznać. – Zamyślił się. – Dobrze, daj mi czas, żebym się przygotował. Odezwę się niebawem i wtedy podejmiesz ostateczną decyzję.

– Dziękuję panu.

– Ci ludzie... – Zerknął w papiery. – Eatonowie... Zdajesz sobie sprawę, że po tym wszystkim raczej cię nie polubią?

– Jakoś to przeżyją – powiedziałam bezlitośnie. – Utopią żal w szampanie, zorganizują bal i szybko zapomną. Smutki, rozczarowania i klęski nie mają wstępu do ich świata; każdy, kto ośmieli się publicznie pokazać ponurą twarz, zostanie zaarrestowany przez Policję Radości.

Pan Bassinger zaśmiał się jeszcze głośniej.

– Nie wiem, czemu mam wrażenie, że robisz to wszystko z psotnym uśmiechem, Willow?

– Ależ skąd, jestem bardzo poważna.

Śmiał się jeszcze, kiedy wychodziłam z jego kancelarii. Nie mogłam się doczekać, aż wrócę do domu i powiem mamie, co zamierzam zrobić.

– Twój prawnik mówi, że to jest sensowne?

– Więcej, uważa to za bardzo dobre biznesowe posunięcie!

– Tylko czy naprawdę tego chcesz, Willow? Bo nie zniosłabym myśli, że kieruje tobą litość czy jakieś wymaginowane zobowiązania wobec taty lub mnie.

– Nie, mam, naprawdę tego chcę – potwierdziłam zdecydowanie. – Jeśli oczywiście ty się zgodzisz – dodałam.

– Ależ najchętniej, pomysł jest cudowny!

– A Linden?

– Obawiam się, że nie jest jeszcze gotowy, żeby rozważyć takie kwestie – odparła ze smutkiem.

– Wszystko się zmieni, zobaczysz. Przyjadę i pomogę mu wrócić do rzeczywistości. Wiem, że mi się uda.

Każdy student medycyny czy psychologii z czasem zaczyna myśleć, że potrafi diagnozować i leczyć, zanim będzie naprawdę gotowy do wykonywania zawodu. Tak pomyślałam, zaledwie wypowiedziałam te słowa. Niedostatek wiedzy bywa bardziej niebezpieczny niż brak wiedzy. Nie powinnam składać takich obietnic, ale nie mogłam się powstrzymać.

– Och, wierzę w ciebie, Willow. Dobrze – powiedziała po krótkim namyśle. – Niech twój prawnik zacznie działać i porozumie się z moim księgowym. Może wspólnymi siłami wygramy bitwę z tymi, którzy chcą nas zniszczyć.

– Tak – odparłam z uśmiechem – zwyciężymy!

Podekscytowana po rozmowie z mamą od razu zadzwoniłam do pana Bassingera z prośbą, żeby jak najszybciej przygotował dokumenty.

Kolejne dni spędziłam na pakowaniu rzeczy do oddania, rodzinnych pamiątek i wyposażenia gabinetu taty. Ciotka Agnes zadzwoniła, kiedy tylko dowiedziała się o sprzedaży. Nie informowałam jej, ale musiała mieć swoich szpiegów.

– Dlaczego od razu do mnie nie zadzwoniłaś? – zaatakowała, gdy tylko podniosłam słuchawkę.

– Ciocia Agnes? – Nie poznałam jej głosu.

– Tak, tak. I co?

– Po co miałam do ciebie dzwonić? – zapytałam, udając zdziwienie.

– Jak to po co? Żeby zawiadomić o sprzedaży! Przecież się umówiłyśmy.

– Przepraszam, ciociu, ale ostatnio z powodu nawału spraw pęka mi głowa, ciągle o wszystkim zapominam. A właśnie, przekaż Margaret Selby, że nie dam rady być na jej ślubie. Muszę wracać do Palm Beach, bo mam tam pilny interes do załatwienia.

– Jaki interes?

– Och, pewną inwestycję, nic wielkiego.

– W co chcesz zainwestować?

– W nieruchomości, a w cóż by innego? Nieruchomości to teraz najlepsza opcja, zwłaszcza na tamtym terenie, ciociu. Dziwię się, że o tym nie wiesz.

– Wiem. Jaki rodzaj nieruchomości? Hotel?

– Nie. Nie musisz zawracać sobie tym głowy. Na pewno masz mnóstwo roboty z przygotowaniem wesela i tak dalej. Nie martw się, pan Bassinger mi pomaga, jak zwykle.

Zamilkła na chwilę, szybko przetrawiając moje słowa.

– Nie rozumiem, czemu wracasz do tego miejsca, gdzie wszyscy wiedzą już o tobie i o twojej... rodzonej matce?

– Tata uczył mnie, żeby nie uciekać i nie kryć się, tylko wychodzić na spotkanie problemom i nie dać się im zdominować. Dobra rada, nie uważasz?

– Nie – warknęła. – Ja bym się nie pchała tam, gdzie mnie nie szanują i śmieją się ze mnie.

– Nie ma chyba miejsca na Ziemi, gdzie wszyscy bez wyjątku szanowaliby nas i lubili, ciociu. – Nie pojęła aluzji i dalej perorowała, że powinnam się przespać ze swoim pomysłem i rano otrzeźwieć. Wyszła nawet z propozycją, aby z pieniędzy z mojego spadku rozbudować jej dom, w którym miałabym zamieszkać razem z nią. Ona zaś przedstawiłaby mnie różnym obiecującym młodzieńcom o odpowiednim dla mnie statusie, abym rychło mogła pójść w ślady Margaret Selby. Od samego słuchania robiło mi się niedobrze.

Podziękowałam jej, ale postarałam się, żeby moje „nie” wybrzmiało bardzo dobitnie. Ciotka z kolei nie chciała przyjąć odmowy do wiadomości i jak zwykle zakończyła krakaniem, że ma rację i kiedyś to przyznam, ale będzie już za późno.

– Tak czy owak, jestem na twoje usługi – powiedziała. – Ze względu na pamięć mojego biednego zmarłego brata.

– To bardzo miło z twojej strony, ciociu Agnes. Baw się dobrze na weselu – dodałam i odłożyłam słuchawkę z poczuciem, że zerwałam ostatnie więzy łączące mnie z moim dawnym życiem.

Czas na nowy start.

Nie chciałam jednak rezygnować z kariery i dalszej edukacji, toteż następne dni poświęciłam na sprawdzanie, która uczelnia nadawałaby się dla mnie. Wytypowałam Uniwersytet Florida Atlantic w Jupiter, w odległości czterdziestu kilometrów od Palm Beach. Zadzwoniłam tam, żeby potwierdzić, czy mają program, o który mi chodzi, a potem skontaktowałam się z moim macierzystym Uniwersytetem Karoliny Północnej i poprosiłam o przesłanie dokumentów. Ustaliłam także termin zaliczenia semestru, do którego nie zdążyłam podejść.

Szłam jak burza, mając poczucie, że mocno trzymam w rękę ster własnego życia oraz życia mojej mamy i Lindena. Załatwiwszy sprawy z uczelniami, przeszłam do dalszych ustaleń. Postanowiłam zatrzymać starego mercedesa taty. Ojciec bardzo o niego dbał i wóz wyglądał jak nowy. Kiedy umowa sprzedaży domu uprawomocniła się i przejęli go nowi właściciele, spakowałam do samochodu tyle rzeczy, ile zdołałam, a resztę kazałam wysłać pod adres mamy – teraz i mój.

– Przyjeżdżam! – zawołałam do słuchawki. – Rano ruszam w drogę do Palm Beach!

– Nie ukrywam, że jestem ogromnie podekscytowana, Willow. Usiadłam dzisiaj z Lindenem i wszystko mu wyjaśniłam. Wydawało mi się, że zobaczyłam w jego oczach ożywienie i błysk zainteresowania.

– O, fajnie.

– Niestety, potem znów zapadł się w siebie i światło zgasło.

– Jeszcze je rozpalimy. Niech tylko przyjadę.

– Wiem i jestem ci bardzo wdzięczna – odparła. Po chwili milczenia dodała: – Thatcher dzwonił dziś rano. Usłyszał wieści od księgowego i był w szoku. „Nie mogę ci zagwarantować, że moi rodzice zechcą dalej wynajmować twój dom” – zaznaczył. Na to odpowiedziałam, że wcale tego od nich nie oczekuję, bo nie chcę już więcej mieć lokatorów.

– I co on na to?

– Oczywiście pomyślał, że straciłam rozum, i usiłował mnie przekonać, jak wielki błąd popełniam. A potem...

– Co potem? – Wyczułam, że się waha. – Groził?

– Ależ skąd. Przeciwnie, był bardzo miły i szczerze o mnie zatroskany. Chodzi o to, że pytał o ciebie.

– Tak? – Serce zaczęło mi walić, choć nie chciałam przyznać nawet przed sobą, że pomknęłabym do niego jak na skrzydłach, gdyby tylko dał mi znak. – Co mu powiedziałaś?

– Zapytałam, czemu nie zadzwoni do ciebie i sam nie zapyta. Odpowiedział, że zamierza, ale chciał dać ci czas na przemyślenie wszystkiego i załatwienie swoich spraw. Chyba uznał, że nie zamierzasz tu wrócić w najbliższym czasie. I to go wyraźnie smuci. Wreszcie wymamrotał, że niedługo się do ciebie odezwie.

– W takim razie będzie miał niespodziankę.

– O, wyobrażam sobie jego minę! – Roześmiała się.

– Do zobaczenia wkrótce, mamó – powiedziałam.

– Szerokiej drogi!

Od czasu powrotu do domu często myślałam o Thatcherze. Za każdym razem, kiedy dzwonił telefon, spodziewałam się, że usłyszę jego głos; będzie przeproszał i tłumaczył się, dlaczego tak długo nie dzwonił. Gotowa byłam mu nawet wybaczyć i ukrywać rozczarowanie. Zgadzałam się z przypuszczeniami mojej mamy, że rodzice, a zwłaszcza Bunny, wywierali na niego presję i usiłowali wybić mu mnie z głowy. Tymczasem Thatcher nie dzwonił.

Nawet tego ostatniego wieczoru liczyłam, że zdecyduje się zadzwonić, tak jak powiedział mojej mamie, lecz telefon uparcie milczał. Odezwał się tylko pan Bassinger. Zameldował, że wszystko załatwił. Dokonał transakcji, ustanowił mój udział w posiadłości i teraz trzeba już tylko poczekać, aż uprawomocni się wpis do hipoteki.

Pozostała mi jeszcze jedna, najtrudniejsza rzecz – ostatni rzut oka na pusty gabinet taty, gdzie zostały tylko gołe ściany. Miałam poczucie, jakby w tym momencie dopełniło się jego odejście, zakończyła się pewna epoka; jakby zamknięto drzwi i zgaszono światło. Wszystko, co było nim, co zachowało pamięć o nim, tak żywą w moim umyśle i w sercu, wyparowało z tego pokoju, gdzie kiedyś pracował, rozmyślał, marzył, ale też rozpaczał i żałował.

– Do widzenia, tato – szepnęłam. – Mam nadzieję, że jesteś zadowolony z tego, co robię. Wybacz, ale

pozostanie tutaj bez ciebie byłoby zbyt bolesne dla mnie. Na szczęście zamieszkałam z osobą, która pamięta brzmienie twojego głosu i twój śmiech tak wyraźnie jak ja i która pielęgnuje pamięć o tobie tak samo jak ja. Będziemy dzielić się tobą i dzięki tobie staniemy się jeszcze bardziej sobie bliskie. Dzięki ci za to.

Nie liczyłam, że zasnę, a jednak sen przyszedł. Nie dlatego, żeby zapewnić mi odpoczynek, tylko po to, żeby uwolnić mój umysł od uporczywych myśli, żalu i tęsknoty. Kiedy rano po raz ostatni wyszłam z domu, głęboko nabrałam powietrza i rozejrzałam się wokół. Tyle zawdzięczałam temu miejscu! Dzięki niemu stałam się tą, którą jestem obecnie; ono mnie ukształtowało. Korytarze domu ciągle rozbrzmiewały echem głosu Amou i słyszałam nawet swoje drobne kroczki na schodach. Pomyślałam, że najwyższy czas, aby zatrzasnąć drzwi od przeszłości.

Szybko wsiadłam do samochodu, uruchomiłam silnik i jeszcze raz spojrzałam na werandę, wyobrażając sobie, że stoją tam wszyscy i machają do mnie na pożegnanie: Miles, Amou i oczywiście tata. Cała trójka uśmiechała się z dumą, zachęcając mnie do podróży w nowe życie, i mówiła, żebym się nie bała i uwierzyła w siebie.

A jednak nie potrafiłam się wyzbyć lęku. Zbyt wiele było pytań, domagających się odpowiedzi.

Jak ułoży się życie moje i mamy? A może popełniłam okropny błąd, używając swojego majątku, żeby zatrzymać nas w Palm Beach?

Czy Linden kiedykolwiek zaakceptuje mnie jako siostrę? Czy rzeczywiście przyniosę mu nadzieję i pomogę odzyskać wiarę w siebie i w sens życia?

Czy Thatcher oniemieje na mój widok i ucieszy się, wiedząc, co zrobiłam?

Każdy tam na swój sposób czuje się samotny, myślałam. Ludzie sławni i bogaci pod tym względem nie różnią się zbyt od innych. Życie przeraża ich tak samo jak mamę, Lindena i mnie. Mogą otaczać się blichtrzem balów i błyskotek, ale prawdziwe ukojenie może przynieść tylko muzyka serca, a tej nie da się kupić za pieniądze.

Muzyka serca jest jedynym prawdziwym darem, jaki możemy sobie nawzajem przekazywać; darem, który niweczy strach przed samotnością.

Zapamiętałam zdanie z dziennika taty, gdzie próbował wyrazić swoje uczucie do mamy i wytłumaczyć, czemu nazywa ją największą i najwspanialszą miłością.

Wiem tylko – pisał – że nie będę, nie mógłbym być nigdy szczęśliwy, jeśli ona nie będzie szczęśliwa. I wiem, że ona to samo myśli o sobie.

To jest dar miłości; muzyka serca, którą darujemy sobie nawzajem, żeby nie być samotnymi.

Tata tęsknił za tym darem przez większość życia, a kiedy wreszcie go otrzymał, zaraz musiał go stracić.

Przysięgłam sobie, że jeśli kiedykolwiek otrzymam taki dar, nigdy go nie stracę.

Czy myślisz, że go otrzymasz? – mógłby zapytać.

Tak. Muszę tak myśleć, tato.

W takim razie otrzymasz go.

Jechałam, a rozmowa odgrywała się bez końca w mojej głowie.

W takim razie otrzymasz go.

Droga Willow!

Z ogromnym zainteresowaniem przeczytałam Twoją historię, ponieważ tak jak Ty, przez większość życia nie znałam prawdy o sobie. Ja też nie wiedziałam, kim jest mój ojciec. Moja rodzina miała wiele szkieletów, pochowanych w ciemnych, przepastnych szafach. Wszystko zaczęło się od chwili, kiedy umarła moja babcia, czyli mama mojej mamy Heaven, i dziadek uznał, że w tej sytuacji najlepiej będzie sprzedać własne dzieci. Heaven jako młoda dziewczyna poświęciła wiele czasu i wysiłku na próby odszukania i połączenia rozdzielonego rodzeństwa. Ta podróż w nieznaną poprowadziła ją długą, krętą drogą ku odkryciom, które wyniosły ją z niewyobrażalnej nędzy do świata bogactwa, blasku i prestiżu. Była kobietą, którą moja prababcia nazwałaby „charakterną”, bo potrafiła walczyć z przeciwnościami losu i ze złymi, okrutnymi ludźmi, aby wreszcie zostać piękną, bogatą i światową damą.

Jestem pewna, że spodoba Ci się jej historia, opowiedziana w książkach *Rodzina Casteel*, *Mroczny anioł* oraz *Upadłe serce*. Moje dzieje zawarte są w tomie *Bramy raj*, zaś dzieje mojej babci Leigh – *W matni marzeń*. W tej ostatniej opowieści dowiadujemy się, dlaczego porzuciła bajeczny, bogaty świat Farthinggale Manor, aby poślubić prostego cyrkowca, a potem żyć z nim w nędzy i trudzie w dzikich górach Wirginii. Co za ironia, że moja mama musiała zatoczyć koło i wrócić do korzeni, aby w Farthinggale odkryć rodzinne sekrety!

Bardzo wiele zawdzięczam mojemu rodzonemu ojcu, tak jak Ty swojemu. Kiedy czytałam o Twojej matce adopcyjnej, siłą rzeczy myślałam o prababce Jillian – a zwłaszcza o sposobie, w jaki moja mama opisała pierwsze spotkanie z nią. Ty wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, jak to jest, kiedy masz zamieszkać w miejscu, gdzie Ciebie nie chcą. Tak jak Twoja adopcyjna matka, moja prababka nalegała, żeby Heaven mówiła do niej po imieniu i broń Boże nie nazywała jej babcią, aby nikt się nie domyślił, jakie pokrewieństwo je łączy. Doprawdy, moja mama musiała być naprawdę charakterną, skoro zdołała przetrwać w tym świecie i nie bać się, a do tego dopiąć swego. Często się zastanawiam, czy nasze dzieci będą miały tak dobrą opinię o nas.

Oczywiście są też różnice. Ty nie miałeś przybranego dziadka, jak moja mama. To był niebezpieczny człowiek i gdyby nie mój tata, losy mamy mogły się potoczyć zupełnie inaczej. Z pewnością ta część opowieści jest najbardziej interesująca i dramatyczna.

Podobnie jak Ty, ona też przeniosła się do zupełnie innego świata, jak na obcą planetę. Zapewne dla mojej mamy kontrast był jeszcze większy, gdyż świat, w którym dorastała, dramatycznie różnił się od tego, do którego trafiła. Przeszła drogę od ubogiej sieroty poprzez dziecko adopcyjne, do nieakceptowanej, choć formalnie uznanej wnuczki jednej z najbogatszych kobiet z Bostonu. A swoją drogą jej życie z adopcyjnymi rodzicami, Kitty i Calem Dennisonami, było tak dziwaczne i zarazem tragiczne, że zasługuje na osobną książkę. Moim zdaniem dzisiejsza definicja molestowania nie oddaje w pełni problemu. Trzeba znać tę historię, żeby zrozumieć, co to naprawdę znaczy.

Moja mama musiała przejść te wszystkie dramatyczne koleje losu, żeby wreszcie spełnić swoje marzenie, czyli połączyć rodzinę.

W sumie uważam, że masz szczęście, będąc jedynaczką. Moja mama miała na głowie siostrę, która wymagała ciągłej uwagi i wsparcia, gdyż nie dawała sobie rady w życiu. Nie dlatego, że była upośledzona – chyba że za upośledzenie należałoby uznać jej wieczną bez troskę i puszczalstwo. Ciocia

Fanny była rodzinną czarną owcą. Czytelnicy często mi się zwieriali, że też mają taką osobę w rodzinie, którą wszyscy woleliby ukryć przed światem. Wystarczy, że poczytasz o niej i będziesz wiedziała, jak się zachowuje i jak się wyraża, abyś pojęła, że tak samo można próbować schować słońca w salonie. Przyznam, że polubiłam jednak tę wariatkę. Wkrótce przekonasz się dlaczego.

W życiu mojej mamy zdarzyło się tyle niezwykłych i interesujących rzeczy, że nie chciałabym opisywać go jako tragiczne i mroczne. Przeżyła niezwykły romans, a fabryka zabawek, którą odziedziczyła, produkowała fantastyczne rzeczy. Dzisiaj wiele firm usiłuje naśladować Tattertonów, ale ich lalki są niepowtarzalne. Liczę, że napiszesz do mnie, co o tym wszystkim sądzisz, jeśli tylko będziesz miała szansę poznać te wszystkie historie.

Muszę Ci powiedzieć, że w pewien sposób Twój przyrodni brat Linden przypomina mi mojego rodzonego ojca. Tacy sami introwertycy, rodzaj współczesnych pustelników, do tego artystycznie uzdolnieni. A przy tym szczerzy i wrażliwi do bólu. Kiedy będziesz czytać o niezwykłym ogrodowym labiryncie w Farthinggale Manor i o tym, jak moja mama przeszła go i spotkała mojego tatę, z pewnością będziesz miała wrażenie *déjà vu*.

Mój mąż wierzy – i ja też zaczynam w to wierzyć – że miejsce, w którym mieszkasz, ma wpływ na to, kim jesteś i kim będziesz. I nie chodzi tylko o dom. Mam na myśli całą okolicę – ukształtowanie krajobrazu, pogodę, wszystko. Moja mama wyrosła w pięknym, ale prymitywnym, naturalnym świecie, pełnym zabobonów i ignorancji – a jednak pokonała te przeszkody i zdołała się wedrzeć do panteonu najbogatszych i najbardziej zepsutych ludzi, jakich można sobie wyobrazić. Zapewne dlatego, że przejęła cechy krainy, w której się urodziła i dorastała – dzikiej, twardej i nieokiełznanej.

Niestety – ją i mojego tatę spotkał okrutny los. Tak tragiczny, że nie jestem w stanie Ci go opisać. Sama kiedyś o tym przeczytasz.

Mama nauczyła mnie jednego – jak radzić sobie z trudnościami, z porażkami i jak wypatrzeć tęczę po burzy. Staram się stosować w życiu jej strategię. Nigdy mnie nie dołowała ani nie była cyniczna – przeciwnie, dodawała mi odwagi i inspirowała mnie.

Jak rozumiesz, z niecierpliwością czekam na dalsze odcinki Twojej opowieści, a zarazem mam nadzieję, że jeśli czas Ci pozwoli, zapoznasz się także z dziejami mojej rodziny.

Może któregoś dnia spotkamy się na kawie. Wierzę, że wreszcie i Ty – jak ja – zaczniesz żyć pełnią życia i korzystać z jego błogosławieństw.

Mój rodzony ojciec zawsze się obawiał, iż odziedziczy jego skłonność do melancholii. Kiedy po raz pierwszy spotkałam się z nim jak córka z ojcem, powiedział mi, że mam w sobie więcej z mamy, niż przypuszczał. Na tyle, aby jej dziedzictwo przemogło odziedziczoną po nim melancholię. I bardzo się z tego cieszył.

Mam nadzieję, iż któregoś dnia pojmiesz, że odziedziczyłaś całą mądrość i empatię swojego ojca. One pomogą Ci zmierzyć się z mrocznymi siłami, które tylko czekają, żeby wyrządzić krzywdę.

Pod tym – i pod innymi względami – jesteśmy jak rodzone siostry.

Twoja Annie Casteel

Spis treści

PROLOG

Rozdział pierwszy. POŻEGNANIE

Rozdział drugi. LIST OD OJCA

Rozdział trzeci. PRAWDA UJAWNIONA

Rozdział czwarty. ZGUBNA DECYZJA

Rozdział piąty. WITAJ W PALM BEACH!

Rozdział szósty. JOYA DEL MAR

Rozdział siódmy. THATCHER

Rozdział ósmy. DEKONSPIRACJA

Rozdział dziewiąty. GORĄCA NOC

Rozdział dziesiąty. MIŁOŚĆ CZY SZALEŃSTWO?

Rozdział jedenasty. DAMY Z PALM BEACH

Rozdział dwunasty. LINDEN

Rozdział trzynasty. IMPREZA

Rozdział czternasty. W PUŁAPCE

Rozdział piętnasty. W FALACH

Rozdział szesnasty. POSZUKIWANIA

Rozdział siedemnasty. W DOMU

EPILOG